



*Krew.
Tylko to się liczy*

PIOTR
GÓRSKI

KREWNI

Piotr Górski

KREWNI

Opracowanie graficzne okładki:
Emotion Media

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne:
Joanna Bielska
Korekta:
Sylwia Kozak-Śmiech

© 2019 by Piotr Górski

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Shutterstock, 123rf.com.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25
tel. 691962519

ISBN 9788327640437

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi S.A.

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

1 / 2 / 3 / 4 / 5 / 6 / 7 / 8 / 9 / 10 / 11 / 12 / 13 / 14 / 15 / 16 / 17 /
18 / 19 / 20 / 21 / 22 / 23 / 24 / 25 / 26 / 27 / 28 / 29 / 30 / 31 / 32 /
33 / 34 / 35 / 36 / 37 / 38 / 39 / 40 / 41 / 42 / 43 / 44 / 45 / 46 / 47 /
48 / 49 / 50 / 51 / 52 / 53 / 54 / 55 / 56 / 57 / 58 / 59 / 60 / 61 / 62 /
63 / 64 / 65 / 66 / 67 / 68 / 69 / 70 / 71 / 72 / 73 / 74 / 75 / 76 / 77 /
78 / 79 / 80 / 81 / 82 / 83 / 84 / 85 / 86 / 87 / 88 / 89 / 90 / 91 / 92 /
93 / 94 / 95 / 96 / 97 / 98 / 99 /

*Piekło jest puste,
a wszystkie diabły są tutaj.*

William Szekspir
Burza

1

Spała na boku z głową na rękach złożonych jak do modlitwy. Niczym mała dziewczynka. Rzeka gęstych włosów zasłaniała jej twarz za sprawą matki, która zagarnęła je tam przed wyjściem z sypialni.

„Tu się śpi” – głosił napis w drewnianej ramce zawieszony nad łóżkiem.

Śpij, pomyślał mężczyzna, który stał u wezgowia łóżka przy oknie. Ja będę cicho.

Ale czy tamten drugi będzie?

Nieco dalej na podłodze klęczał człowiek, który nie miał twarzy i bawił się czymś w skupieniu. Błędem byłoby mu przeszkadzać, gdy sięgał do walizki i wyciągał z niej swoje przerażające zabawki.

Nie, tamten też nikogo nie obudzi. Tacy jak on są przyzwyczajeni do ciszy.

Mężczyzna przy oknie uchylił białą zasłonę, która częściowo przesłaniała drzwi tarasowe. Poczuł na twarzy ciepłą smugę czerwcowego światła i przez moment wyobraził sobie, że idzie w tym świetle nadmorskim deptakiem, a potem wchodzi na plażę i rzuca się do morza, żeby zmyć z siebie cały ten obłęd. Przez chwilę bawił się tym wyobrażeniem, po czym znowu zwrócił się ku wnętrzu sypialni.

Dominowały szarości i granaty, oprócz łóżka stały tu jeszcze komoda ze szklanym blatem, toaletka ze zbitym lustrem, stolik z małą lampką i szafa. Nawet ozdobne poduszki miały zgaszone kolory.

Na korytarzu zazgrzytał telefon komórkowy. Jego przeszywający

dźwięk powtórzył się trzykrotnie, zanim wysoka kobieta w garsonce zdążyła odebrać. Powiedziała do telefonu kilka ostrych słów, ale mężczyzna przy oknie tylko na nią patrzył i nie zadał sobie trudu, by zrozumieć, o czym mówi.

Spojrzał na łóżko z niepokojem, jednak dziewczyna wciąż spała.

Jego wzrok łagodnie prześlizgnął się po pościeli utkanej w misterne kwiatowe wzory. To naprawdę ładna pościel, pomyślał.

Z kuchni dobiegł krzyk. Nie przebrzmiał, tylko lekko opadł i trwał, po czym przeszedł w niemal zwierzęce wycie. Mężczyzna na moment przymknął oczy, bo dosięgnął go ból kryjący się za tym dźwiękiem. Nawet to nie obudziło dziewczyny.

Nic już jej nie obudzi. Spała zbyt głęboko.

Kobieta w garsonce skończyła rozmawiać przez telefon, po czym oznajmiła:

- Matkę wysyłam do szpitala. - Dochodziła dopiero dziewiąta trzydzieści rano, ale jej twarz zdradzała oznaki wyczerpania. - Niech ją czymś naszprycują, tu sobie nie poradzimy.

Popatrzyła, jakby na coś czekała. Mężczyzna przy oknie skinął głową, przyzwalając, choć nie musiała go pytać o pozwolenie. Zniknęła w kuchni.

Człowiek bez twarzy podniósł się z podłogi, zdjął białą maskę i odzyskał twarz.

- Sprawca urządził sobie spacer, zanim zaniósł dłoń do łazienki, stąd tyle krwawych plam na podłodze.

- Ile spędzisz tu czasu?

- Cały dzień. Chcę zebrać jak najwięcej próbek.

W przedpokoju zaroilo się od ludzi. Dwóch umundurowanych policjantów prowadziło słaniającą się czarnowłosą kobietę. Głowę obracała w kierunku sypialni, a otyły mężczyzna w garniturze usiłował coś do niej mówić i jednocześnie zasłonić jej widok.

Gdy wyprowadzono ją z mieszkania, na chwilę zapadła cisza.

Otyły człowiek w garniturze wrócił i stanął w drzwiach sypialni. Ciężko oddychał i się pocił.

- Koszmar. - Rzucił szybkie spojrzenie w stronę łóżka. - Dobra, ta pani jest spokojniejsza i sprawi nam mniej kłopotów.

Cofnął się do kuchni, gdzie zostawił narzędzia.

Mężczyzna przy oknie nie odezwał się. Pragnął, aby dziewczyna się pośpieszyła i otworzyła oczy, wstała, zanim tamten wróci rozpocząć czynności. Zanim ją rozbierze, zacznie oglądać jej skórę centymetr po centymetrze, uciśnie ciało w miejscach plam opadowych, włoży w odbył termometr, próbując oszacować czas śmierci. Zanim technik, znowu w masce lub bez, zacznie robić zdjęcia jej zmiażdżonej szyi. Zostało jej jeszcze trochę czasu, żeby powstrzymać to wszystko, ale miała go coraz mniej. Za chwilę medyk w garniturze formalnie stwierdzi zgon, i z tą chwilą młoda kobieta przestanie być człowiekiem, a stanie się rzeczą. Nie całkiem zwykłą rzeczą, rzeczą *sui generis*, wobec której prawo nakazywało szacunek, ale jednak rzeczą, po którą przyjedzie wesoły autobus.

Wstrzymał oddech. Co się dziś z nim działo...

Po raz kolejny popatrzył na dziewczynę, na jej upiornie zmienioną twarz za zasłoną włosów. Doskonale wiedział, co się z nim działo. Z przeszłości wypłynęła inna twarz, nieco młodsza, ale równie upiorna, i te dwie twarze zlały mu się w jedną. Nigdy się od tego nie uwolnię, pomyślał. Tyle razy wydawało mi się, że czas zrobił swoje, ale to ciągle wraca.

Z trudem zapanował nad sobą. Na szczęście technik zajęty był robotą i patrzył w inną stronę. Może to wszystko by nie wracało, gdyby wtedy, w dalekiej przeszłości, udało się zrobić, co należało.

Dotknął dłoni wsuniętej pod policzek dziewczyny. Nawet przez lateksową rękawiczkę poczuł, że jest zimna. Oczywiście, że zimna.

Pomiędzy drobnym nadgarstkiem a przedramieniem widniała szczelina.

Prawa dłoń była odcięta, starannie umyta i idealnie biała, za to prześcieradło w tym miejscu zeszywniało od krwi. Zaschnięte kropelki widniały na twarzy, włosach i ciele dziewczyny.

Zabiję tego, kto ci to zrobił, pomyślał.

Technik schował coś do leżącej w rogu pokoju walizki i wyprostował się.

- Matka mogła zatrzeć sporo śladów. Myślisz, że straciła rozum?

Mężczyzna przy oknie nie odpowiedział, bo zapatrzył się na ogród za szybą.

- Dopadnij sprawcę - mówił dalej technik. - Zafundujmy mu dożywocie. - Czekał na reakcję, ale się nie doczekał. - Hej, komisarzu, co z tobą? Sławek...

Komisarz Sławomir Kruk drgnął, odwrócił się od okna i napotkał wzrok technika.

- Tak, dopadniemy go. Zrobimy, co trzeba.

2

Telefon zadzwonił, ale Grzegorz Konieczny nie odebrał. Dzwoniła Iwona, jego młodsza siostra, u której ostatnio mieszkał i dla której nie miał teraz czasu. Był już spóźniony, adwokat czekał. Wyłączył dźwięk w iPhone i nacisnął przycisk domofonu.

Wszedł do budynku. Nie zdążył schować smartfona, gdy poczuł w dłoni wibracje. Tym razem dzwonił agent nieruchomości. Ten telefon musiał odebrać.

- O co chodzi? - spytał, rozglądając się po ponurej klatce schodowej wiekowej gdańskiej kamienicy.

Głos młodego pośrednika pełen był bólu.

- Za dwie godziny spotykam się z kupującymi.

- Coś nie tak?

- Proszę się wycofać. Jeszcze możemy.

Grzegorz Konieczny wbiegał po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

- Nie ma mowy.

- Jeśli da mi pan kilka tygodni, sprzedam to mieszkanie za sto tysięcy więcej, może nawet sto dziesięć tysięcy. Mam dwóch innych klientów. Muszą załatwić formalności kredytowe, ale oferują wysoki zadatek.

- Niech pan nie kombinuje. Pańska prowizja i tak jest wysoka.

- Nie o to chodzi. To będzie najgorsza transakcja, w jakiej uczestniczyłem. Czuję się, jakbym pana okradał.

- Proszę robić to, na co dostał pan pełnomocnictwo.

Z aparatu dobiegło ciężkie westchnienie.

- Nie zmieni pan zdania?

- Niech pan zawrze transakcję. Cała suma za mieszkanie ma znaleźć się na moim koncie jeszcze dzisiaj. To jest pana jedyne zmartwienie. Żebym dostał dzisiaj pieniądze.

- Rozumiem.

- Na pewno pan rozumie?

- Na pewno. - W głosie pośrednika zadźwięczała gorycz. - Sprzedać mieszkanie za bezcen, przelać pieniądze, zapomnieć.

- Byle pan nie zapomniał o swojej prowizji. Niech pan ją sobie potrąci.

- Szlag by to trafił. Ale tak, oczywiście wezmę swoją krwawą prowizję. Może być pan tego pewien.

Gdy skończyli rozmawiać, znowu zadzwoniła Iwona. Konieczny zawahał się, czy jednak nie odebrać, ale na progu kancelarii witał go już człowiek bez szyi.

Skinieniem głowy zaprosił gościa do środka.

Był ochroniarzem Brunona Kanta, który nigdzie się bez niego nie ruszał. Na początku Konieczny uważał, że ten ochroniarz jest po to, żeby adwokat mógł się wyróżnić i lepiej sprzedawać. Odkąd bliżej poznał Kanta, przestał tak myśleć. Teraz dla odmiany dziwił się, że nawet z takim przybocznym do tej pory ktoś go nie odstrzelił.

Ochroniarz, potężnie zbudowany facet o zadziwiająco inteligentnym spojrzeniu, wskazał otwarte drzwi gabinetu szefa.

Konieczny schował telefon do kieszeni marynarki. Przywitał się z Kantem. Usiedli.

- Moja asystentka ma dziś wolne - powiedział adwokat. - Ani ja, ani Bolo nie umiemy parzyć kawy.

Uśmiechał się groteskowo. Miał niedowład części twarzy i pewnie dlatego zapuścił brodę, a może po prostu chciał być modny. Brunon Kant zawsze się lekko uśmiechał, jakby świat i jego ciemne strony całkiem go bawiły.

- Złożył pan wniosek? - spytał Grzegorz Konieczny.

- Może.

- To nie jest odpowiedź.

- A to, co do tej pory dostałem, to nie honorarium. Ponoszę spore koszty i zaufałem panu, że zostaną pokryte.

Grzegorz nie potrafił ocenić, czy w słowach o zaufaniu nie kryła się groźba. Wyjął z kieszeni i rzucił na stół plik banknotów spiętych banderolą.

Kant sięgnął po pieniądze, rozdarł banderolę i zaczął liczyć. Był jak pokerzysta, który po raz tysięczny bawi się talią kart.

- A reszta? - Wstał i umieścił banknoty w sejfie w ścianie.

- Sprzedaję mieszkanie, dzisiaj spłyną pieniądze. Przekażę je panu jutro do południa.

Adwokat z zadowoleniem skinął głową.

- Zastanawiałem się rano przy goleniu, co zrobi pański brat, gdy znajdzie się na wolności. Musi żywić urazę do niektórych osób.

Konieczny lepiej obejrzał sobie zarośniętą twarz adwokata. Nie wyglądało na to, żeby choć raz golił się w tym stuleciu.

- Dowie się pan, gdy już wyjdzie.

- Tego się właśnie obawiam. Pomijam, za co siedzi pan Dariusz, ale nawet za kratami wyrobił sobie opinię bardzo brutalnego człowieka. Bardzo brutalny pośród innych brutalnych... Cóż, to robi wrażenie.

- Ale przecież nie na panu.

Adwokat uśmiechnął się szerzej i jeszcze bardziej groteskowo.

Grzegorz Konieczny chwilę przyglądał się eleganckim wydaniom książek prawniczych, ustawionych równiutko na półkach regału z egzotycznego drewna. Na piersi czuł wibrowanie telefonu.

- Złożył pan wniosek? - powtórzył pytanie.

- Pański brat opuści areszt za trzy dni.

To zgadzało się z wcześniejszymi przechwałkami adwokata, ale Grzegorz i tak nie za bardzo w to wierzył. Iwona i jej córka Basia

przeciwnie. Zaczęły już przygotowania.

- A jeśli nie?

- Jestem optymistą.

- A jeśli sąd się nie przychyli?

- Wtedy pański brat pozostanie za kratami, a ja będę potrzebować jeszcze więcej pieniędzy.

- Niech pan nie próbuje nas naciągać, bo...

Adwokat grzecznie czekał na ciąg dalszy, który jednak nie nastąpił.

- Jak się nie podoba, wróćcie do swojego poprzedniego prawnika.

Konieczny milczał długą chwilę, po czym stwierdził:

- W porządku. Niech pan robi swoje.

- Robię. Ale niczego nie obiecuję. Może pan stracić te pieniądze i jeszcze więcej, bo prawda jest taka, że owszem, może nam się nie udać. Dotarło?

Znowu wibracje w kieszeni. Konieczny poddał się, wyciągnął komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Iwona, kolejny raz.

- Przepraszam, muszę oddzwonić.

Adwokat, niczym pan i władca, wykonał przyzwalający gest.

- Iwonko, o co chodzi?

Grzegorz Konieczny długą chwilę słuchał przyśpieszonego, gasnącego głosu siostry.

- Tak - odparł na pytanie, czy zaraz przyjedzie. W uszach mu dudniło, pojawił się ucisk w skroniach. - Natychmiast.

Wstał z trudem niczym stary człowiek, choć dopiero co skończył czterdzieści sześć lat. Adwokat patrzył na niego bez słowa.

- Basia nie żyje - powiedział Konieczny, czując, że braknie mu tchu. - Zamordowana... Iwona znalazła ją w domu Darka.

3

Petersowie byli bliźniakami i mało kto potrafił ich rozróżnić. Kruk spędził z nimi sporo czasu, usiłując się zaprzyjaźnić, ale wciąż wydawali mu się identyczni.

Po powrocie z oględzin miejsca ujawnienia zwłok Barbary Malewskiej poszedł na izbę zatrzymań, aby ich pożegnać, gdy będą wychodzić do domu po czterdziestu ośmiu godzinach policyjnej gościny.

Ani się ucieszyli, ani się nie ucieszyli na jego widok. Ściągnięto ich tutaj w związku z rabunkiem transportu papierosów wartego pół miliona złotych z magazynu na terenie portu. W trakcie rabunku ciężko pobity został strażnik. Czynności operacyjne wykazały, że sprawcami mogli być bliźniacy. Zebrano trochę dowodów, ale prokuratura oceniła je jako niewystarczające, aby postawić zarzuty.

Braci mimo to zatrzymano, a Kruk robił, co mógł, aby odnieśli wrażenie, że jest po nich. Chciał ich skłonić do mówienia, bo kiedy człowiek mówi, zwłaszcza w nerwach, łatwo może powiedzieć za dużo. Miał cichą nadzieję, taką naprawdę małą, że jeśli dobrze się za nich zabierze, może nawet przyznają się do winy.

Przesłuchiwał ich osobno, ponieważ jednak byli do siebie podobni, miał wrażenie, że gapi się wciąż na tę samą gębę, którą sobie nawzajem pożyczali.

To znaczy usiłował ich przesłuchać.

Bo odmówili składania wyjaśnień.

I cały czas milczeli.

Kruk, który wziął do pomocy Pawła Lalkarza, robił, co mógł, aby to milczenie przełamać. Grali dobrego i złego glinę, na przemian

współczuli i grozili, obiecywali i straszili, ale bracia zarówno dobrego, jak i złego policjanta zbywali tym samym milczeniem. Kruk poświęcił całą noc, żeby ściągać ich na przemian do pokoju przesłuchań, co było ryzykownym zagranem przede wszystkim dla komisarza. Oskarżał, rozgrzeszał, usprawiedliwiał, prowokował. W rezultacie spędził tę noc na niekończącym się monologu, a Petersowie mu tylko towarzyszyli.

Nad ranem usiłował wmówić każdemu z bliźniaków z osobna, że ten drugi zaczął się pruć i jego wyjaśnienia obciążają drugiego. To była jedyna próba, która emocjonalnie poruszyła braci.

To znaczy młodszy o kilka minut Peters w wyraźnym rozbawieniu uniósł brwi, zaś starszy nawet wydał z siebie dźwięk. Powiedział coś na kształt:

- O ho, ho.

I tyle.

Przez cały ten czas bliźniacy nie zadali sobie trudu, żeby zażądać adwokata. Znali swoje podstawowe prawa, nie przejmowali się przekraczaniem tych praw przez policję, nie skarżyli się, nie protestowali, po prostu milczeli.

A teraz wychodzili na wolność równie niewzruszeni, jak przychodzili, obojętni i nietykalni. Kruk miał kaca, że odgrywał całą tę żalospną komedię, i że odgrywał ją na darmo.

Gdy w końcu zniknęli za horyzontem, udał się prosto do Marcina Zycha, naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. Zastał go w gabinecie, gdy na kartce papieru pisał odręcznie jakiś tekst.

- Posłałem Petersów do domu - powiedział Kruk. - Mogą dziś palić tysiące fajek naraz.

Marcin machnął ręką. Nawet nie chciało mu się komentować. Za to Kruk zrobił się gadatliwy:

- Nie myślisz czasem, że my jedynie udajemy, że łapiemy

bandziorów? Mamy mundury i fajne czapki, żeby w nich ładnie wyglądać. Możemy robić wrażenie na starszych paniach.

- Kiedy ostatni raz miałeś na sobie mundur? - mruknął Zych.

- Jak klient się nie zlituje i nie przyzna, chuja mu zrobimy.

Marcin podniósł wzrok znad zapisanej do połowy kartki.

- Nie czytałeś dzisiaj gazet?

- Pieprzę gazety.

- Szkoda. Dowiedziałbyś się, że policja zatrzymała nastolatka z gramem zioła i jakiegoś dziadka za kradzież batona w markecie. Ty, niedołęgo, wypuściłeś dwóch, twoi błyskotliwi koledzy dwóch złapali. W starciu policja - bandyci remis.

- Daj mi spokój.

- Trzeba zbierać dowody. - Zych ponownie machnął ręką, definitywnie kończąc temat. Przyjrzał się Krukowi uważnie. Zbyt uważnie. - Jak oględziny?

Kruk chwilę zbierał myśli.

- Dwudziestolatka. Barbara Malewska. Uduszona. Zapakowana do łóżka. Upozowana. Zabójca się postarał.

Zych skinął głową, a Kruk mówił dalej:

- Sypialnia pochłapana krwią. Sprawca odciął ofierze dłoń, pospacerował z nią po domu, zaniósł do łazienki i tam umył do czysta.

Zych uniósł wzrok.

- Odcięto jej dłoń?

- Ze śladów wynika, że po śmierci.

- Jakiś rytuał świra?

- Odcięto prawą dłoń. Użyto noża z kuchni. Tyle wiem i tyle gadam.

- Gadaj dalej.

- Zdarzenie miało miejsce w domu wuja dziewczyny przy Migowskiej. Od matki wiemy, że Barbara Malewska często tam

pomieszkiwała, tę sypialnię, w której ją znaleźliśmy, nawet urządziła pod siebie. Ostatnie miesiące miała cały lokal na własność, bo wuj siedzi na Kurkowej.

- Za co?

- Kojarzysz sprawę napaści na dom jednorodzinny sprzed roku, kiedy właściciel odpalił jednego z napastników?

- Słyszałem, że to nie była napaść. I to robiła miejska. - Marcin znów głowę miał opuszczoną i pisał swój tekst. - Coś znaleźliście?

- Norbert zrobił, co mógł. Samych próbek krwi zebrał kilkadziesiąt. Analizy potrważą.

- Oszalał - warknął Marcin. - Nie wie, jakie to koszta? Najbardziej obiecujące próbki do analizy, reszta niech spoczywa w pokoju.

- Przy tej sprawie trzeba mocno pochodzić, a ja mam masę innych.

- Chcesz stworzyć grupę śledczą?

- Dobrze by było.

- Dostaniesz Maszyńskiego do papierkowej roboty.

Dwumetrowy, ważący aktualnie sto czterdzieści kilo suchej masy Radek do papierowej roboty. Kruk omal nie zaśmiał się Zychowi w twarz. Ale dobra, dogadywał się z Radkiem, znali się od lat i Kruk mógł liczyć na jego lojalność. Papierowo będą zapóźnieni, obaj się do tego nie nadają, za to jeśli trzeba będzie zrzucić komuś sufit na głowę, Radek będzie jak znalazł.

- Co dalej?

- To wszystko.

- I to jest ta twoja grupa?

- Nie narzekaj, możesz przekazać inne sprawy. Jak będziesz potrzebował wsparcia, wal do mnie jak do przełożonego, który wiele może. Paweł też ci pomoże, jeśli zaczniesz go błagać.

Marcin skupił się na pisaniu. Kruk zastanowił się, co on tak zawzięcie gryzmoli. Siedzieli w milczeniu.

- Co jest? - odezwał się naczelnik.

Kruk uświadomił sobie, że Zych przestał pisać i uważnie mu się przygląda.

- Bo co?
- Przecież widzę po tobie.
- Nic nie widzisz.
- Znam cię.

Kruk wzruszył ramionami.

- Miała niewiele ponad dwadzieścia lat, to jeszcze dziewczyna.

Marcin odłożył długopis. Nagle zrobił się bardzo poważny, wręcz zmęczony. Utkwił w komisarzu spojrzenie, w którym mieszały się różne uczucia.

- Powiedz mi, Sławek, istnieje ryzyko, że ci w tej sprawie odbije?
- Skądże.
- Jesteś pewny?
- Jestem.

Na czole Marcina pojawiły się bruzdy.

- To dobrze - powiedział cicho. - Bardzo dobrze.
- Skąd to pytanie?
- Przez ostatnie miesiące często je sobie zadaję.
- A kiedy zacząłeś?
- W nocy z osiemnastego na dziewiętnastego lutego tego roku.

Pamiętasz tę noc?

Kruk nie odpowiedział. Starał się nie pamiętać.

- Wtedy, kiedy byłem świadkiem - mówił dalej Marcin - jak rzuciłeś się, żeby nieprzytomnego człowieka...
- Bandziora - przerwał mu Kruk.

Zych pokręcił głową.

- Od lat wyciszam twoje numery, Sławek. Matylda ma o to pretensje. Mówi, że w ten sposób wcale cię nie chronię, że mając moje poparcie, stajesz się tylko jeszcze bardziej brutalny. Zawsze ją zbywałem, uważałem, że nie rozumie, z czym się zmagamy. Ale

tamtej nocy...

- Nie myślałem wtedy jasno.

Marcin Zych popatrzył Krukowi w twarz.

- Można to podciągnąć pod próbę zabójstwa i mam gdzieś, że to bandzior. Zdajesz sobie sprawę, ile zawdzięczasz Pawłowi?

Kruk milczał. Zych ciężko westchnął.

- Pamiętam okoliczności. Pamiętam też, że wcześniej prawie zatłukłeś tego faceta gołymi rękami. Sytuacje ekstremalne ujawniają, co naprawdę w nas siedzi. Ty nie myślisz jak policja. Ty myślisz jak oni.

- Jak kto?

Zych nachylił się nad biurkiem.

- Bandziory.

- Już mnie nazywano bandytą.

- Być może nim jesteś. Nie daje mi to spokoju.

- Nic nie wspominałeś.

- Nie mam pewności, kim sam jestem. Dzwoniła Marta.

- Jaka Marta?

- Nie rznij głupa, kurwa, nie ze mną. Prokurator Krynicka. Niepokoi się, obserwowwała cię dziś na miejscu ujawnienia zwłok. Mówiła, że wyglądałeś dziwnie.

- Niby jak?

- Jakbyś odpłynął. Tak się wyraziła.

- Bzdura.

Zapadła cisza, podczas której nie patrzyli na siebie.

- Po telefonie od Krynickiej umówiłem cię z Moniką Paczulską. Zgłosisz się do niej jutro dwunasta trzydzieści. Nie miała wolnych terminów, ale dla ciebie znalazła.

- Robisz ze mnie zjeba?

- Ludzie chodzą do psychologów. To od dawna modne.

Kruk powoli pokręcił głową.

- Wpół do pierwszej... Mam nowe śledztwo w sprawie zabójstwa, tylko jednego człowieka, a ty rozwalasz mi dzień.

- Jestem twoim szefem, pamiętasz? - Zych, nie czekając na odpowiedź, dodał: - Masz to gdzieś. Wiesz, kim jest Rudy Giuliani?

- No.

- To dobrze. Bo teraz będzie tak: ja będę Giuliani, a ty będziesz Nowy Jork. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Coś mi świta.

- Jesteś ciekawy, co tutaj piszę? - Kruk spojrział pytająco i Marcin odpowiedział na to nieme pytanie: - Twoje zwolnienie dyscyplinarne.

Przez chwilę świat spowolnił, jakby coś się zacięło w jego mechanizmach. A potem znowu ruszył z miejsca, jakby nigdy nic.

- Tylko na niby. Jesteśmy kumplami, byłem ciekawy, czy jestem w stanie to zrobić.

Kruk spojrział na zapisaną równym pismem kartkę.

- Wygląda na to, że jesteś.

- Obserwuję cię ostatnio. Nawet z tymi Petersami... Poświęciłeś całą noc, żeby się nad nimi znęcać.

- Nie mogę spać. A oni się nie obrazili.

- Będziesz miał szczęście, jak nie poszczują cię w nagrodę adwokatem.

- Miałem się z nimi cackać?

- Miałeś działać w ramach prawa.

Kruk pokręcił głową.

- Marcin...

- Od zawsze jestem po twojej stronie, Sławek. Ale zacząłem się zastanawiać. Niepokoję się.

- Zapomniałeś, dlaczego poszliśmy do policji?

- Nie pierdol, to nie ma nic do rzeczy. Matylda mówi, że się staczasz. I że muszę ci pomóc, póki jest na to czas.

- Wywalając mnie z roboty?

- Tak naprawdę to się robi inaczej, daje się polecenie do kadr. -
Marcin Zych przedarł zapisaną kartkę. - To tylko próba. Nawet nie
generalna. Ale już wiem, że potrafię.

4

Zza ściany dobiegała muzyka, ale goście jeszcze nie zaczęli się schodzić. Brakowało całej godziny do otwarcia klubu. Dzień był powszedni, pewnie pojawi się paru ludzi, jak zwykle zbyt mało, aby dało się wyjść na swoje, jednak Leona Stompura nic to nie obchodziło.

Biuro oddzielała od pozostałej części klubu jedynie ceglana ścianka, ale i tak można się tu było schronić przed resztą. Zwłaszcza przed Ante, który wprowadzał w obowiązki nową barmankę. Było to jedno z niewielu zadań, których nie zwał na Leona. Rekrutacja i szkolenie barmanek. I przystawianie się do nich z pozycji szefa tego bałaganu.

Leon usiadł przy stole, na który rzucił portfel. Przez kilka minut powstrzymywał się, tylko się gapił, w końcu jednak podniósł go i otworzył. Spojrzał na zdjęcie za przezroczystą folią. Była to portretowa fotografia dziewczyny. Zwykła fotografia, zwykła dziewczyna, ładna, ale nie jakoś nadzwyczajnie.

A jednak ta dziewczyna zmieniła jego życie.

A raczej zmieniła je ta fotografia.

Wiedział, że ma obsesję, i że to nie jest zdrowe. Kiedy tylko nie był z Natalią, miał poczucie, że marnuje czas. Ale ona musiała chodzić do pracy, on też miał obowiązki w klubie. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby razem zamieszkali. Niestety ona nigdy o tym nie wspomniała, a on nie miał odwagi, by jej to zaproponować.

I gdy nie było jej przy nim, tęsknił. A kiedy tęsknił, gapił się na jej zdjęcie. Usiłował odczytać wyraz jej twarzy, odgadnąć, co czuła w chwili, gdy zdjęcie było robione.

Pytał ją o to wiele razy. Nie potrafiła sobie przypomnieć, pamiętała jedynie, że była wtedy szczęśliwa. To stan, o którym zdążyła zapomnieć, ale Leon miał nadzieję, że dzięki niemu, dzięki temu, co dla niej robił, szczęście kiedyś powróci.

- Jesteś pojebany - usłyszał za sobą głos. - Ale to już wiesz.

Ante.

Bezszelestnie stanął za plecami Leona, który pośpiesznie zamknął portfel. Fotografia zniknęła i od razu poczuł się samotny.

- To zdjęcie znowu sprowadzi na nas nieszczęście - ciągnął Ante.

- Już to mówiłeś.

- Wiele razy.

Ante ciężko usiadł za swoim biurkiem. Krzywił się, jakby właśnie zjadł coś kwaśnego. Miał dwadzieścia trzy lata, był o miesiąc młodszy, ale uważał, że zna życie.

- Myślałem, że jak ją w końcu przelecisz, przestaniesz mieć na jej punkcie taki odpał.

Leon przygryzł wargi. Nie odezwał się.

- Przeleciałeś ją czy nie?

- Nie twoja sprawa.

- Ile to już trwa? Natalia dała ci dupy? - Ante czekał na odpowiedź, a gdy się nie doczekał, westchnął. - Jesteś beznadziejny w tych sprawach.

Leon pomyślał o pewnej nocy. To działo się nie tak dawno temu. Widział przed sobą twarz Natalii, jej ciało, które chciała mu ofiarować, ale nie potrafiła. Nagle, kiedy wydawało się już, że jest dobrze, wybuchnęła płaczem. Płakała, przepraszała, mówiła, że chce się dla niego otworzyć, tylko jeszcze dla niej za wcześnie.

- Jest jej ciężko - powiedział Leon cicho. - Wciąż czeka.

Ante wzruszył ramionami.

- Zakochałeś się. Jesteś pizdą.

- Nie chcę jej skrzywdzić.

- Nie krzywdź jej - zgodził się Ante, przymrużył oczy. - Zaproś ją tutaj. Powinna tu często przychodzić, na pewno by chciała.

Leon popatrzył w podłogę.

- Nie mów tak.

- To miejsce jest magiczne, zwłaszcza nocą. Diabły wyglądają na nas ze ścian, a my możemy śmiać się z nich, bo to my jesteśmy diabłami.

- Przestań. - Leon spojrział na malowidło za plecami Antego, które przedstawiało trzy z licznych demonów zdobiących ściany klubu, gdy pochylają się nad sponiewieranym grzesznikiem. Jeden z tych demonów trzymał klucz do piekła. - Mam prośbę.

- Byle nie o pieniądze.

- Natalia powinna brać nadgodziny, bo jak nie, szef ją wywali. Chociaż na kilka godzin w tygodniu musi zatrudnić niańkę do dziecka.

- Jej chłopak to kawał gnoja, wiesz? Tak zostawić młodą mamę na pastwę losu...

- Przestań o nim gadać.

Ante oglądał swoje paznokcie. Uwielbiał mieć przewagę.

- A więc znowu chodzi o pieniądze. Dobra, zaproś ją tutaj.

- Co?

- Zaproś Natalię. Nie trzymaj jej z daleka ode mnie.

- Nie trzymam.

- Więc niech tu przyjdzie. Zabawmy się.

- Jak?

- Wiesz jak. - Roześmiał się na cały głos, a Leon ostatnio coraz gorzej znosił, gdy Ante zachowywał się w taki sposób. - Nie będzie nudno, co? - Oczy mu błyszczały. - Powiedz, że ją zaprosisz. Ile kasy potrzebujesz?

- Dałbyś mi dwa koła akonto wypłaty.

- Jak ty się ładnie wysławiasz, „akonto” to jakoś z francuska? Dam

ci, jeśli ona tu przyjdzie.

Milczenie.

- To będzie niewinna zabawa - kontynuował Ante. - Żeby nie było nudno. Prawda, że nie będzie?

- Tak - warknął Leon. - Jeśli ciebie spotka, to nie będzie.

- No i dobrze. Przecież o to chodzi, żeby nie było.

Zadzwoił telefon Antego.

Leon od zawsze zazdrościł mu arogancji, pewności siebie i ojca, który niczego mu nie żałował. Klub Krypta 66 należał do Henryka Łozowskiego, dzięki czemu jego syn Antoni mógł bawić się w menedżera. Był prawdopodobnie najgorszym z możliwych menedżerów, taboret na jego miejscu sprawdziłby się lepiej, bo taboret przynajmniej nie wyciągałby łap do każdej barmanki.

Leon nienawidził tego klubu, tych popieprzonych malunków na ścianach, tej nazwy. I powoli zaczynał nienawidzić Antego, choć akurat na to nie mógł sobie pozwolić.

Ostatnio chodził splukany, bo usiłował pomagać Natalii, a Ante był jego jedynym źródłem gotówki. Ojciec Leona nie zamierzał mu pomagać. Był zły, że jego syn pracował w klubie.

Młody Łozowski skończył rozmawiać.

- Dasz mi te dwa koła? - spytał Leon.

Dostrzegł zmianę w wyrazie twarzy kolegi.

- Musimy zająć się czymś ważnym. Właśnie dostałem cynk.

- Jaki?

- Świadkowie w sprawie Koniecznego przyjechali do Gdańska, a ja wiem, kim są i gdzie się zadekowali.

- Skąd to wiesz? Znowu dzwonił ten facet?

- Dziwny jest, szepcze do słuchawki.

- Ufasz mu?

- Przecież go nie znam. Ale jego informacje się sprawdzają. Wiedział, że Konieczny zmieni adwokata, a ten powoła nowych

świadków. A teraz podał adres, gdzie możemy ich znaleźć.

Leon poczuł niepokój. Zdało mu się, że diabeł na ścianie poruszył kluczem, zapraszając do piekła.

- Po co to robi?

- Skąd mam wiedzieć? Może on też nie chce, żeby Konieczny wylazł z pudła. Jednego nie rozumiem. Za każdym razem, gdy kończymy rozmowę, mówi jakoś tak niezrozumiale.

- A co mówi?

Ante wzruszył ramionami, milczał chwilę.

- Może w ten sposób chce powiedzieć „do widzenia”?

- Co mówi? - powtórzył Leon.

Ante odparł niepewnie, co mu się rzadko zdarzało:

- Szosza, szosza.

5

Aspirant Radek Maszyński uśmiechnął się szeroko na wiadomość, że przydzielono go do grupy śledczej.

- Kto jeszcze jest z nami? - spytał Kruka.
- Tylko ty i ja.
- Żartujesz? - Uśmiech zmniejszył się o połowę.
- Tak, kurwa. Żartowniś ze mnie.

Maszyński oczy miał przekrwione. Nie sypiał nocami i skarżył się, że jego mieszkanie przypomina strefę wojny. Właśnie urodziło mu się trzecie dziecko, a tłoczył się z żoną i pozostałymi dziećmi w trzydziestosześcioletniej kawalerce.

- Będę twoim popychadłem?
- Marcin chce, żebyś zajął się papierami.

Wielka łapa opadła z trzaskiem na kolano. Dźwięk był taki, jakby ktoś strzelił z wiatrówki.

- Będę popychadłem, kurwa jego mać.

Pokój Kruka na komendzie był niewielki, a wydawał się śmiesznie mały, gdy siedział w nim Radek. Patrycji Maszyńskiej, jego żonie, śmiesznie małe musiało wydawać się ich mieszkanie, kiedy mąż wracał z pracy.

Radek zwierzył się Sławkowi, że kiedyś zapytała go w gniewie, dlaczego mając takiego faceta, musi mieszkać w kurniku. I czy nie wolałby zostać gangsterem?

- Udało się rozpytać sąsiadów? - spytał Kruk.
- Nie wszystkich. - Maszyński spojrział na zegarek. - Siedemnasta. Nieobecni wkrótce zaczną wracać do domów.
- Może byś zwolnił mundurowych i sam się za to zabrał?

- Ja?

Kruk wzruszył ramionami.

- Zrobisz to lepiej.

- Obiecałem Pati, że wieczorem pomogę z dziećmiakami.

- Radziu, zdarzyło się zabójstwo.

- Strażakom zdarzają się pożary, lekarzom wypadki, a nam zabójstwa. Za każdym razem mam jebać życie rodzinne?

Kruk zastanowił się. Logika Maszyńskiego była nie do odparcia. I należało wyrzucić ją na śmietnik, jeśli chciało się wyników.

- Masz rację - rzekł Kruk. - Ruszaj do domu.

Na twarzy Maszyńskiego pojawił się wyraz bólu.

- Dobra, pogadam z sąsiadami. Po co mi rodzina? Jak Pati mnie zostawi, będę żył sam, też fajnie. Prawda, że fajnie jest żyć samemu, Sławek?

- Odwal się.

- Zadzwoń do niej.

Maszyński wyszedł na korytarz i słycać było jego przytłumiony głos. Kruk chwilę podsłuchiwał, potem wyjął smartfona i uruchomił galerię zdjęć. Zrobił kilka fotografii na miejscu zdarzenia. Wciąż je przeglądał, gdy wrócił Maszyński. Po rozmowie z żoną stał się odrobinę mniejszy.

- Co sądzisz?

Kruk pokazał mu zdjęcie z sypialni, w której znaleziono ciało. Nie było na nim ofiary, zdjęcie przedstawiało toaletkę z rozbitym lustrem. Stłuczenie wyglądało jak lodowe słońce, pośrodku wielka dziura i rozchodzące się od niej promieniście pęknięcia. Toaletka i podłoga wokół pokryte były kawałkami szkła.

- O co pytasz?

- O twoje zdanie, kto i po co to zrobił.

Radek popatrzył nieufnie.

Wiedzieli z oględzin, że lustro zostało stłuczone szklanką, która

najprawdopodobniej stała na szafce nocnej przy łóżku. Na szafce pozostała butelka częściowo napełniona wodą mineralną marki Cisowianka.

- Sina madonna kłóciła się ze sprawcą, któreś z nich chwyciło szklanekę i rzuciło nią w lustro.

„Sina madonna”. Przed oczami Kruka pojawiła się twarz Barbary Malewskiej, która dla Radka i innych policjantów obecnych na oględzinach przestała mieć imię i nazwisko, a stała się właśnie tym.

- To by znaczyło - mruknął Kruk, aby cokolwiek powiedzieć - że doszło do interakcji. Sprawca nie zaskoczył ofiary we śnie.

Spojrzenie Maszyńskiego stało się jeszcze bardziej nieufne.

- Albo zaskoczył, skoro miała na sobie piżamę. Obudził ją rzutem w lustro i zaczął dusić. Ale nie ma śladów włamania, więc jednak nie zaskoczył, sama musiała go wpuścić. Dobrze go znała, skoro otworzyła mu w nocy, jeśli naprawdę otworzyła mu w nocy, bo nie mamy żadnej pewności, czy nie wszedł wcześniej. Ofiara mogła też nie zabezpieczyć drzwi albo sprawca miał klucz, a wtedy mógł zaskoczyć.

Kruk wygasił smartfona. Takie gładzenie nie miało sensu. Zaczął je wyłączyć po to, żeby zagadać Radka. Czuł się winny, że zleca mu robotę w terenie i odciąga od dzieciaków.

Ale Maszyński był inteligentny, zależało mu i mimo że wyglądał jak Hulk, potrafił wzbudzić zaufanie. Ludzie najpierw byli onieśmieleni, gdy się pojawiał. Potem zaczynał z nimi rozmawiać i docierało do nich, że mają przed sobą myślącego człowieka, któremu dobrze z oczu patrzy. W końcu następowała konkluzja, że ten olbrzym stoi po stronie prawa, po ich stronie, i z wielkiej radości, że istnieją tacy policjanci, ludzie się otwierali.

Z mundurowymi bywało różnie, człowiek nigdy nie miał pewności.

Różnie bywało też z samym Krukiem. Dlatego wołał, aby tę część postępowania zrobił Radek.

- Pojedziesz do jej rodziny? – spytał Maszyński.
- Nie dziś. Matka jest w fatalnym stanie.
- No tak.

Maszyński także widział matkę. Przyszła rano do domu brata, żeby spotkać się z córką. To ona znalazła zwłoki. To ona zawiadomiła policję.

Czekała przy łóżku, pracowicie wygładzając pościel, mówiąc do córki, układając jej włosy, zasłaniając tymi włosami twarz dziewczyny, usiłując wprowadzić porządek w chaos nie do pojęcia. Aby policjanci, którzy się pojawią, nie patrzyli na potwornie zmienioną twarz, na wybałuszone oczy, na wypadający z ust język.

Szok odebrał jej poczucie rzeczywistości. W umyśle, który bronił się przed przyjęciem faktów, zapaliła się myśl, że córka musi dobrze wyglądać, gdy do pokoju wejdą obcy ludzie.

Mówiła o tym w kuchni prokurator Marcie Krynickiej z uśmiechem, który należał do innego miejsca i czasu, przekonana, że wszystko, co zrobiła, było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

Kruk strząsnął z siebie tamto wspomnienie.

Maszyński spytał:

- Coś wiemy bliżej o sonej madonnie?

Kruk zdawał sobie sprawę, że określenie Radka, z pozoru bezduszne, było próbą oswojenia koszmaru, ale i tak poczuł, że budzi się w nim sprzeciw.

- Nie mów tak o niej.
- Daj spokój. Nikt nas nie słyszy. Nikogo nie krzywdzimy.
- Ona słyszy.
- Kto?
- Zmarła.

W oczach Radka błysnęło. Przygarbił się, niby jego uwagę przykuł jakiś pyłek, który osiadł mu na rękawie koszuli, ale kątem oka obserwował Kruka.

- Czuję - powiedział - że praca z tobą przy tej sprawie wiele mnie nauczy.

6

Telefon z informacją, gdzie zamieszkali świadkowie, którzy mieli zeznawać na rozprawie za dwa dni, nie był jedynym telefonem odebrany przez Antego.

Dzwonił jego ojciec. Właśnie się dowiedział, że Baśka Malewska nie żyje. Ktoś ją udusił.

Leon i Ante długo patrzyli na siebie w milczeniu.

Milczeli także teraz, kiedy parkowali przed wielokolorowym blokiem na Kombatantów i wpatrywali się w okno na piątym piętrze.

- Jesteś pewny, że ruszą się z domu? - spytał Leon. - Jest już po dwudziestej.

To był jeden z najdłuższych dni w roku, wciąż było jasno i ciepło. W samochodzie szumiała klimatyzacja.

- Piszczący głosik powiedział, że facet jest zestrachany i Kant wciąż musi go głaskać. Zaprosił ich oboje na kolację Pod Łososiem, bo facet lubi ryby.

- Skąd Kant wytrzasnął tych świadków?

- Mężczyzna jest ze Szczecina, to profesor czegoś tam, pracuje na uczelni, ma poważanie i sąd mu uwierzy. A zezna, że widział nas, jak wybiegamy z domu Koniecznego i ściągamy kominiarki. Oboje zeznają, że siedzieli w samochodzie przy ulicy i wszystko widzieli.

- A ta kobieta?

- Informator nic o niej nie mówił. Pewnie ona też się stracha, skoro ma kłamać w sądzie.

- Ja też się stracham. Tym, co mamy zrobić. Ostatnim razem, gdy wleźliśmy gdzieś bez zaproszenia, pamiętasz, co się stało?

- Przestań, Leo. Nie wkurwiał mnie. Niby dlaczego teraz tu

jesteśmy? Właśnie dlatego, że tamto się stało. A tamto się stało przez ciebie. Stul dziób.

Niedaleko zatrzymała się taksówka. Kierowca nie wyłączał silnika. Ante wyprostował się i utkwił wzrok w drzwiach na klatkę schodową.

- Słuchaj - powiedział Leon. - Potrzebuję tych pieniędzy. Dasz mi je?

- Nie teraz. Zaraz wyjdą.

- Ala ja naprawdę potrzebuję.

- Pieniądze to nie wszystko.

- Obiecałem Natalii, że jej pomogę.

- Niech jeszcze trochę zaczeka, graj na czas. Nie mogę dać ci pieniędzy. Przecież wiesz. - Ante obrócił się, położył Leonowi dłoń na ramieniu i spojrzał wodnistymi oczami. - Przecież wiesz, dlaczego nie mogę. Prawda, Leo? Wiesz.

Leon dał za wygraną.

- Wiem.

- Powiedz. Chcę to usłyszeć. Dlaczego nie mogę?

- Bo nie będę głodny.

- Tak. Nie będziesz głodny, a gdy człowiek jest syty, rozleniwia się.

- Ty się nie rozleniwiasz.

- Ja to co innego. Jestem inny.

Leon zrzucił dłoń Antego ze swojego ramienia.

- Dobra. Nie to nie.

- No chyba że przyprowadzisz ją do Krypty. Dla rozrywki się złamię.

- Powiedziałem, że nie.

- Znasz sposób, jak można szybko zarobić.

- Zapomnij o tym.

- To nie, tamto nie... Naprawdę chcesz tych pieniędzy czy tylko

tak gadasz? - Znów obserwował drzwi. - Są.

Z budynku wyszła kobieta w towarzystwie mężczyzny. Oboje w średnim wieku, ubrani skromnie. Rozejrzeli się niespokojnie, dostrzegli taksówkę i natychmiast wsiedli. Taksówka odjechała.

- Kłamliwy profesorek jest w drodze na rybkę - powiedział Ante. -
Idziemy.

Stanęli przy domofonie. Ante wybrał numer jednego z mieszkań na wyższych piętrach.

- Tak? - usłyszeli męski głos.

- Bardzo przepraszam, jestem nowym sąsiadem, zapomniałem kodu. Czy mógłby mi pan otworzyć?

- Otwórz pan sobie kluczem.

W głośniku szczęknęła odkładana słuchawka. Ante wyszczerzył się do Leona.

- Spryciarz.

Wybrał inny numer i tym razem się udało. Weszli na klatkę. Ante nie miał ochoty czekać na windę, więc wbiegli po schodach na piąte piętro. Zdyszani zatrzymali się pod drzwiami jednego z mieszkań.

Leon stanął tak, aby zasłonić wizjer mieszkania naprzeciwko, podczas gdy Ante majstrował przy zamku. Mieli wprawę w takich rzeczach.

Otwarcie drzwi zajęło Antemu dwie minuty. Cicho weszli do mieszkania.

Pozostali tam kolejne siedem minut. W tym czasie Leon zdążył przeszukać bagaże mężczyzny i kobiety, ale nic interesującego nie znalazł. Ante umieścił miniaturowe mikrofony w odpowiednich miejscach.

Potem, posługując się narzędziem, którego nigdy nie dał Leonowi nawet potrzymać, z powrotem zamknął zamki i obaj wrócili do samochodu.

- Myślisz, że coś się nagra? - spytał Leon.

- Pewnie. Przecież jeszcze dwa dni. Oboje się boją, muszą o czymś rozmawiać. Mają zmyślać w sądzie, pewnie nawet będą ćwiczyć, co powiedzą.

- A jak nam się uda, sąd nie odrzuci tych nagrań jako zatrutych owoców?

- Owoców zatrutego drzewa. Niech się tym martwi prokurator. - Ante przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył radio. - Zapomniałem cię zapytać, co robiłeś wczoraj wieczorem. - Jego głos najpewniej miał być lekki i zwyczajny, i nawet mógłby za taki uchodzić, gdyby nie zwracać uwagi na pobrzmiewające w nim napięcie. - Nie przyszedłeś do pracy. Nie odbierałeś telefonów.

- Miałem zły dzień.

Ante skinął głową, jakby odpowiedź go zadowoliła, ale kątem oka obserwował Leona.

On zaś udał, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

7

W pierwszych dniach po tamtej lutowej nocy w domu na uboczu, kiedy omal nie stracił życia, Kruk nie czuł nic specjalnego. Wszystko było w porządku, przeżył, tylko to się liczyło.

Wrócił do zwykłej rutyny i dobrze mu szło.

A potem zaczęły się sny.

W tych snach oglądał siebie z zewnątrz. Zakrwawiony pochylał się nad nieprzytomnym człowiekiem i unosił skute kajdankami ręce, aby zadać kolejny cios. Tamten od dawna się nie bronił, ale Kruka to nie obchodziło. Chciał go zabić. Chciał go zabić, bo się bał. Czuł panikę na myśl, że ten człowiek wstanie i będzie dalej chodził po ziemi, okrutny, obojętny, bez sumienia.

I że będzie mścił się na świecie za to, że jest tym, kim jest. Że jest zdolny do wszystkiego.

Mścił się na niewinnych. I na winnych.

Na Kruku.

I Kruk nie chciał do tego dopuścić, dlatego nie przestawał uderzać, choć głowa tamtego człowieka przypominała krwawą miazgę.

W ulotnej rzeczywistości koszmaru ktoś zawsze chwycił go za ramię i wtedy się budził.

Do dzisiaj.

Dziś sen trwał dalej. Rozwijał się, a Kruk wciąż uderzał, uderzał, uderzał...

Z wysiłkiem wstał z łóżka, powłókł się do łazienki i wsadził głowę pod lodowaty prysznic.

Dygotał z zimna.

Wytarł się, nagi wyszedł z łazienki, stanął przy oknie. Słońce wzeszło, czuł ciepło na twarzy, na piersi. Powoli się uspokajał.

Ostatnio zamknięte pomieszczenia zaczęły go dusić. Gdziekolwiek wchodził, szukał okna, aby upewnić się, że istnieje świat poza ścianami budynków.

Widok nieba, słońca, drzew – to na niego działało.

Odszedł od okna, aby się ubrać. Spojrzał w swoją twarz w lustrze. Uśmiechnął się na próbę.

W ogóle po tobie nie widać, że masz problem, pomyślał.

A potem przypomniał sobie rozmowę z Marcinem Zychem, a także to, z czym zadzwoniła do naczelnika prokurator Marta Krynicka, zaplanowaną wbrew woli Kruka wizytę u policyjnej psycholog – i przestał się uśmiechać.

8

Radek Maszyński czekał na komisarza w pokoju na komendzie. Pawła Lalkarza, z którym Kruk dzielił ten pokój, jeszcze nie było, więc aspirant zajął jego miejsce.

- Co masz? - spytał Kruk bez wstępów.

Gdy usiadł przy swoim biurku, spłynęło na niego przygnębienie. Może z powodu paskudnie brzydkiego wnętrza, choć może wcale nie. Odkąd pamiętał, wnętrze zawsze było paskudne. Więc może dlatego, że nastał pierwszy dzień lata, świat tonął w słońcu, a ktoś zabił młodą kobietę, nie zwracając na to uwagi.

- Sąsiedzi są wstrząśnięci. Wielu uważa, że zabójstwo Barbary Malewskiej może mieć związek ze sprawą jej wuja, tego, który siedzi.

Kruk zwrócił uwagę, że nie było już mowy o sonej madonnie. Ofiara zyskała imię i nazwisko. Z Radka to porządny chłop.

- Może i ma. Albo ten dom jest przeklęty.

- Sąsiad z domu po prawej opowiedział mi całą historię.

- Co tam się stało?

- Tego nie wie nikt. Są dwie wersje: wersja Dariusza Koniecznego, właściciela domu, do którego rzekomo wtargnięto, i wersja rzekomych napastników.

Kruk przymrużył oczy.

- Zdaje się, że sąd dał wiarę rzekomym.

- Ich było dwóch. Podwójna prawda jest bardziej prawdziwa. Poza tym to młodzi mężczyźni z dobrych domów, a Konieczny, gdy weszli, akurat był schlany jak świnia. Weszło trzech, wyszło dwóch.

- Nie wspominali, po co wpadli z wizytą?

- Chcieli zrobić kawał jego siostrzenicy.
- Tej, którą wczoraj znaleźliśmy?
- Tej samej. To jej koledzy. - Radek sięgnął po notes. - Antoni Łozowski, Leon Stompur i obecnie już świętej pamięci Roman Pruszyński. Późnym wieczorem przyszli po samochód, który Leon Stompur pożyczył jej tego dnia. Zamierzali zabrać ją jak zwykle do ich nowo otwartego klubu. Nikt nie odpowiadał na pukanie, ale w oknie na piętrze paliło się światło. Zajrzeli na tył domu, a tam drzwi nie były zamknięte, wpadli więc na pomysł, żeby wejść po cichu i ją nastraszyć. Zaczęli się skradać, było im strasznie wesoło.
- Nikt im nie otworzył, więc poszli na tył domu?
- Właśnie. Ale dziewczyny nie było, siedziała już u matki w mieszkaniu na Krzywoustego. Był za to Konieczny z bronią. Panowie twierdzą, że od razu się przedstawili, przeprosili i wyjaśnili, co tam robią. Facet się nie odzywał, tylko do nich mierzył. Zaczęli iść do wyjścia, oczywiście powoli, żeby go nie rozdrażnić, a on wciąż tylko na nich patrzył pijanym wzrokiem. Roman Pruszyński nie wytrzymał napięcia. Krzyknął do Koniecznego, żeby przestał w nich celować. To jakby go obudziło i strzelił do Pruszyńskiego. Dwaj pozostali uciekli.

Kruk milczał, przyswajając informacje.

- To, jak rozumiem, ich wersja. A jak wydarzenia widzi Konieczny?
- Przyznaje, że mógł nie zamknąć tylnych drzwi, bo wychodził się odlać do ogrodu. Spał nawalony w sypialni na piętrze, gdy obudził go hałas. Jacyś ludzie byli w domu, naliczył trzy głosy. Wziął broń, miał na nią pozwolenie kolekcjonerskie. W kolekcji - jeden glock 17. Tyle zbieżności, od tego momentu ma własną historię. Zszedł na parter, zobaczył dwóch zamaskowanych mężczyzn z teleskopowymi pałkami, jeden z nich rzucił się na niego. Konieczny strzelił. Trzeci zaszedł go od tyłu i uderzył czymś ciężkim w głowę. Stracił przytomność. Gdy się ocknął, był już sam na sam z trupem, a do

domu wchodziła policja.

- Jacyś świadkowie?

- Nie. Policję powiadomili nasi młodzi panowie. Nie było pałek, nie było kominiarek. Na podstawie opinii lekarskiej sąd uznał, że Konieczny sam mógł sobie zadać ranę na głowie, że to raczej wątpliwe, by po czymś takim stracić przytomność.

- Dobrze poinformowany ten sąsiad z domu po prawej.

- Po tym zdarzeniu zainstalował na podwórku kamerę. Zabrałem dyski, bo kamera obejmuje też furtkę domu Koniecznego. Sąsiad wie wszystko od Iwony Malewskiej, która wraz z córką opiekowała się domem. Sam też wykonałem kilka telefonów. Barbara Malewska zeznała, że Leon Stompur wcale nie pożyczył jej samochodu. Ona go ukradła. - Gdy Kruk spojrział pytająco, mówił dalej: - Wcześniej tego dnia pojechała z trzema chłopakami do centrum. Oni poszli do sklepu z płytami, ona miała zajrzeć do obuwniczego. Ale zauważyła, że Leon Stompur zostawił w samochodzie portfel. Malewska do niedawna chodziła z Leonem, a on w portfelu nosił zdjęcie nowej dziewczyny, które przed nią ukrywał. Była ciekawa, więc wróciła i wsiadła do samochodu.

- Zostawili jej kluczyki?

- Tak zeznała. Wrócili, gdy wciąż przeglądała portfel Leona, i wpadli w furję. Przeraziła się, zamknęła się w aucie, a oni zaczęli walić w szyby, grozić, więc spanikowała i odjechała. Odruchowo podjechała pod dom wuja, gdzie ostatnio mieszkała, ale nie wiedziała, że Dariusz Konieczny wrócił z delegacji - był regionalnym koordynatorem sprzedaży w jakiejś firmie farmaceutycznej. Uznała, że będzie w domu sama, na co nie miała ochoty. Zostawiła samochód z kluczykami w środku i pobiegła do mieszkania matki.

- Są jacyś świadkowie?

- Nie, ale widziałeś, tylne drzwi tego domu wychodzą na zalesione wzniesienie. - Kruk skinął głową, a Maszyński mówił dalej: -

Adwokat Koniecznego usiłował przedstawić wściekłość chłopaków jako motyw ich wtargnięcia do domu, ale słabo to wyszło. W sklepie Leon Stompur przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy i wyłożył na ladę ich zawartość, w tym kluczyki do nissana. Zarejestrował to sklepowy monitoring. Wyszło na to, że Malewska kłamała: nie zostawili jej kluczyków, nie mogła wejść do samochodu ani nim odjechać. Przyciśnięta zmieniła zeznanie: twierdziła, że przypadkiem zabrała zapasowe kluczyki z mieszkania Leona, gdy ze sobą chodzili, ale nie potrafiła opisać wnętrza domu, zaś Leon twierdził, że nigdy jej tam nie zaprosił. Według prokuratora znowu skłamała, by uzasadnić agresję wuja.

Kruk westchnął.

- Co to za dobre domy, z których pochodzą nasi chłopcy?

- Ojciec Łozowskiego ma wielkie biuro rachunkowe, takie na całe piętro biurowca, ojciec Stompura to nagradzany architekt. Ojciec Pruszyńskiego to drobny pijaczek spod Gdańska, ale on się nie liczy, bo Pruszyński nie żyje.

- A ta druga istotna sprawa?

Maszyński przewrócił kartkę notesu.

- Sąsiadka z domu po lewej, Justyna Niemicka, lat dwadzieścia pięć, niezamężna, wygląd: pożałuj Boże, wewnątrz budynku... kurwa, takie wewnątrz się zwiedza!... Przedwczoraj w nocy widziała Barbarę Malewską przed domem wuja. Stała przy furtce, jakby na kogoś czekała.

- O której dokładnie to było?

- Wpół do trzeciej.

Kruk zawahał się. Podczas oględzin zwłok plamy opadowe na ciele zmarłej nie ustępowały już pod naciskiem, co wskazywało, że od śmierci ofiary upłynęło co najmniej osiem godzin, może nawet dwanaście. Ciało było wychłodzone. Tymczasem według sąsiadki Barbara Malewska żyła w czasie, kiedy nie powinna już żyć.

- Czemu wspomniałeś o wyglądzie Niemickiej?
- Sam zobaczysz, jak się skusisz, żeby z nią pogadać.
- Barbara Male... - Kruk w krótkim przebłysku wspomnienia ujrzał martwą twarz na poduszce. - Basia Malewska czekała na kogoś?
- Tak powiedziała Niemicka.
- Co dalej?
- Nie ma nic dalej. Niemicka poszła spać, a nikt z pozostałych sąsiadów Malewskiej nie widział jej tego dnia. W ogóle nikt poza Niemicką nie widział nic interesującego.
- Wiesz, co robić. Postaraj się odtworzyć ostatni dzień Malewskiej, przejrzyj jej konta społecznościowe, zlokalizuj i rozpytaj znajomych. Dyski z monitoringu sąsiada dałeś do analizy?
- Maszyński potwierdził, zapisując coś w notesie, po czym spytał:
- A ty co będziesz robił?
- Pojadę spotkać się z matką Basi. I pogadam z jej kolegami, którzy przeżyli spotkanie z jej wujem. To muszą być mili chłopcy, choć zdaniem Barbary Malewskiej, trochę nerwowi.

9

Drzwi otworzył niewysoki, szpakowaty mężczyzna, który robił dobre wrażenie. Jednak gdy Kruk się przedstawił, cień przebiegł po jego twarzy.

Wyjaśnił, że nazywa się Grzegorz Konieczny, jest bratem Iwony Malewskiej, ale nie kwapił się, by wpuścić Kruka.

- Siostra śpi. W szpitalu dali jej mocne środki, a ja przepisałem jej jeszcze mocniejsze. Przez następne godziny nie będzie nadawała się do rozmowy.

- Mogę porozmawiać z panem?

Konieczny nie podjął decyzji od razu. Przyglądał się komisarzowi, a cienie pojawiały się i nikły w jego oczach.

- Niech pan wejdzie.

Przeszli do dużego pokoju. Usiąść nie zdążyli, gdy drzwi sypialni otworzyły się i stanęła w nich starsza kobieta. Ledwo trzymała się na nogach, musiała przytrzymać się futryny, żeby nie upaść.

- Nie śpię - powiedziała.

Konieczny próbował ją wesprzeć, ale odepchnęła go.

- Grzegorz, zwymiotowałam proszki, którymi mnie nakarmiłeś.

Podeszła bliżej i Kruk zdał sobie sprawę, że kobieta wcale nie jest stara. Rozpacz sprawiła, że rysy jej twarzy się rozpadły, oczy zdawały się rozpuszczać w głębi czaszki, a skulone ramiona ledwie utrzymywały głowę okoloną strzępami włosów. Była całkiem siwa. W kilku przerzedzonych miejscach prześwitywały krwawe płyty skóry. Jeszcze wczoraj, gdy widział ją na miejscu ujawnienia zwłok, jej włosy były gęste i czarne jak smoła.

Wyciągnęła do niego dłoń. Palce miała pomazane krwią, wyrwane

loki przykleiły się w kilku miejscach do rękawów jasnej bluzki.

Wstrząśnięty Kruk delikatnie uścisnął jej rękę.

- Bardzo mi przykro, proszę pani.

Nie wiedział, czy go usłyszała, bo zakręciło jej się w głowie i zaczęła osuwać się na podłogę. Przytrzymał ją, a ona wrzasnęła i wyrwała mu się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła. Grzegorz Konieczny łagodnie chwycił ją pod łokieć, ale jemu też się wyrwała. - Niech nikt mnie nie dotyka!

Opadła na krzesło i zaczęła płakać.

Kruk dałby wiele, żeby stąd wyjść. Zamiast tego odczekał chwilę i zapytał:

- Czy jest pani w stanie rozmawiać?

- Pan nie ma oczu? - warknął jej brat.

- Chcę rozmawiać. - Iwona Malewska wyprostowała się, otarła łzy, a palce zostawiły na policzkach krwawe smugi. Miała tego świadomość, bo sięgnęła po lśniącą białą koronkową serwetkę ze stołu i wytarła nią twarz, jakby to był ręcznik. - Chcę o niej mówić. Pragnę mówić o mojej córce.

Kruk usiadł blisko niej przy stole. Czuł się paskudnie, że to robi.

- Niech mi pani o niej opowie.

- Chce pan posłuchać?

- Tak. Chcę posłuchać. Chcę się wszystkiego o niej dowiedzieć, zrozumieć ją.

- Pan jest policjantem. Chce pan o niej słuchać, bo ona nie żyje. - Przez chwilę panowała cisza, którą zakłócił Grzegorz Konieczny, zajmując miejsce w fotelu w rogu pokoju. Twarz Iwony Malewskiej złagodniała, zabłąkał się na niej lekki uśmiech. - Basia jest dobrym dzieckiem.

Kruk drgnął, gdy powiedziała o zmarłej, jakby wciąż żyła.

Malewska zaczęła opowiadać. Pracuje jako pielęgniarka w szpitalu

wojewódzkim, ma z córką doskonałe relacje, zawsze miała, może poza tym trudnym okresem, który zaczął się po śmierci ojca Basi. Udało im się jednak przetrwać tragedię oraz ten czas, kiedy Basia zaczęła się zadawać z niewłaściwymi chłopakami i włączyć po klubach. To już przeszłość. Zresztą, nawet wtedy to było niewinne. Kruk musi wiedzieć, że Basia jest bardzo konserwatywna w tych sprawach. Studiuje pedagogikę na Uniwersytecie Gdańskim, całkowicie pochłania ją nauka, dlatego mieszka w domu wuja, gdzie ma doskonałe warunki do studiowania.

Kruk słuchał, nie przerywając. Jego wzrok skrzyżował się na chwilę ze wzrokiem Grzegorza Koniecznego i przeczytał w nim wyrzut. Facet miał rację. Dla niej było za wcześnie na rozmowę. Iwona Malewska mówiła dosyć długo, zapatrzona w swoje myśli. Snuła opowieść o szczęśliwym życiu z córką i perspektywach na przyszłość.

W końcu jej głos zaczął się rwać. Grzegorz Konieczny bezszelestnie podniósł się z fotela i stanął za jej plecami. Nie zauważyła tego. Umilkła. Siedziała chwilę nieruchomo, podniosła głowę i spojrzała na Kruka, jakby widziała go pierwszy raz.

Przypomniała sobie, kim jest ten obcy mężczyzna.

To zburzyło zasłonę wspomnień i dotarła do niej potworna rzeczywistość. Jej rysy wykrzywiły się w grymasie rozpacz. Grzegorz delikatnie pomógł jej wstać i wyprowadził z pokoju, zamykając za nimi drzwi.

Kruk słyszał szloch Iwony Malewskiej, uspokajający głos jej brata, a potem ten głos też się załamał i płakali oboje.

Czuł się winny, że ich słucha, i znowu poczuł pragnienie, żeby wyjść, ale nie ruszył się z miejsca.

Grzegorz Konieczny wrócił pół godziny później. Drgnął na widok komisarza.

- Pan jeszcze tutaj? - Na jego twarzy pojawiła się wrogość, potem

zgasła i ustąpiła miejsca innemu uczuciu, którego Kruk nie potrafił zdefiniować. – Naprawdę będzie pan szukał mordercy Basi?

– Tak.

Konieczny usiadł na krześle, które wcześniej zajmowała jego siostra, i tylko patrzył. Było to trochę dziwne, ale Kruk mu w tym nie przeszkadzał.

W końcu jednak zapytał:

– Pańska siostrzenica mieszkała sama w domu, w którym stracił życie jej kolega?

Konieczny westchnął, i to go lekko ożywiło.

– To tylko dom – odparł.

– Niezwykłe.

– Mieszkam w Krakowie. Skoro Iwona na to przyzwoliła...

Głowa mu lekko opadła, zaś cienie znów przesunęły się w jego oczach. Kruk szybko przeskoczył na inny temat:

– A jej ojciec?

– O co pan pyta?

– Kiedy zmarł?

– Rok temu.

– Na co?

– Moja siostra nazywa to chorobą duszy.

– Alkoholizm?

Konieczny wzruszył ramionami, dopiero potem odparł:

– Siostra uważa, że był wrażliwy, że świat go przerażał, ale i tak usiłował go zdobyć, bo był także ambitny. Wrażliwość i ambicja, to jej zdaniem go zabiło, a nie mieszanka alkoholu, benzodiazepin i kokainy, które ujawniła toksykologia.

– Tak myśli pańska siostra. A pan?

– Był architektem, myślę, że nawet jeśli miał do tego talent, to go zaćpał. – Rozejrzał się po pokoju, jakby oglądał go pierwszy raz. Ten widok go rozczarował. – Można było lepiej, co? Obiecywał jej, że

kiedyś postawią dom.

Kruk nie powiedział nic.

- Myślę, że nie bez powodu trudno mu było znaleźć pracę - mówił dalej Grzegorz. - Był roszczeniowy i zawsze szukał winy u innych. Myślę, że w jego życiu była inna kobieta. Myślę, że był małym człowieczkiem, któremu się wydawało, że jego przeznaczeniem są większe rzeczy niż coś tak banalnego jak rodzina. Myślę, że nie zasługiwał na moją siostrę, i mam nadzieję, że smaży się w piekle za to, co przeżyła, gdy zmarł.

- Pan go za to obwinia?

- Był znużony codziennością. Iwona potrafi odnaleźć światło w każdym dniu. Od dziecka pasjonowała się sztuką, literaturą, filmem, świat jest dla niej fascynujący, a przynajmniej do niedawna był. Jego nie interesowała żadna z tych rzeczy. To w gruncie rzeczy był tłuk z aspiracjami. Wydawało mu się, że marnuje życie, że przecieka mu między palcami. Szukał nowych doznań i je znalazł.

- Skąd pan wie, że mogła istnieć inna kobieta?

Głowa Koniecznego opadła jeszcze niżej. Przygarbił się.

- Nie rozumiem, po co z panem gadam.

- Moje pytanie pana zdenerwowało?

- Wypytuje pan o rodzinne brudy z przeszłości, zamiast interesować się Basią.

- Dopiero zaczynam śledztwo, nie wiem, co może mieć znaczenie. Chcę poznać świat Basi.

- Ojciec ćpun i cudzołożnik, matka wariatka, wuj zbój i morderca... Może Basi się należało... Tak pan to sobie poukładał?

- Nie. - Zdziwiony Kruk uniósł głowę.

- Gadanie. Nie wiem, o co naprawdę panu chodzi.

- O odnalezienie zabójcy.

Grzegorz Konieczny podniósł koronkową serwetkę, którą jego siostra wytarła sobie twarz. Znowu był spokojny. Wygładził materiał

zabrudzony krwią.

- Co pan zrobi, gdy już go znajdzie?
- Postawimy go przed sądem.
- A co zrobi sąd?
- Wymierzy sprawiedliwość.

Konieczny potrząsnął głową. Zaczął gładzić opuszką palca czerwoną smugę na serwetce.

- Sądy są niezbędne - powiedział powoli. - Dzięki nim mamy złudzenie, że prawo jest czymś namacalnym, że w ogóle jest czymś istotnym, że jego złamanie jest złem i czeka za to kara. Tkwimy w tym złudzeniu, dopóki osobiście się nie przekonamy, czym sądy naprawdę są.

- A czym są?

Konieczny nie przestawał przesuwać palcem po serwetce, ten ruch stawał się coraz bardziej obsesyjny.

- W gruncie rzeczy niczym. Bo czym innym mogą być, jeśli spotka tam człowieka każde świństwo, byle nie sprawiedliwość.

Zostawił wreszcie serwetkę. Uniósł dłoń, spojrzał na swój palec zaczerwieniony od krwi siostry. Patrząc Krukowi w oczy, przytknął do języka palec i polizał go.

- Krew - powiedział. - Tylko to się liczy. Gwiżdżę na pańską sprawiedliwość.

- Panie Grzegorzu... - zaczął Kruk.

Jednak Konieczny przerwał mu ruchem ręki.

- Jeśli prawo jest niczym, pan, jego funkcjonariusz, jest nikim. Basia ma krewnych. Mój brat za dwa dni wychodzi z więzienia. Ja zostanę w Gdańsku do końca.

- Do końca czego?

Konieczny pokręcił głową, ale nie odpowiedział.

10

Monika Paczulska wstała, gdy wszedł do jej pokoju, który też był niemiłosiernie mały. Miał zmieścić jedynie ją i delikwenta takiego jak Kruk.

Kruk lubił Monikę, konsultował z nią kilka przypadków i miał dobre zdanie o jej kompetencjach. Była śliczną kobietą lekko po trzydziestce, szczęśliwie zamężną, zawsze świetnie ubraną, choć zdaniem Kruka zbyt konserwatywnie. Nigdy nie widział jej w krótkiej spódnicy, zawsze paradowała w spodniach, a podejrzewał, że ma świetne nogi.

Podawała mu rękę i zaprosiła, by usiadł.

- Marcin się uparł. - Już na wstępie Kruk uznał, że należy się usprawiedliwić.

Posłała mu delikatny uśmiech.

- Bardzo się wzbraniałeś?

- Nie bardzo, gdy dowiedziałem się, że mam iść do ciebie. Pomożesz mi z tego wybrnąć.

- Z czego? - spytała spokojnie, muskając palcami oprawkę kolorowych okularów tuż przy prawym uchu. Jej gesty miały sporo uroku.

- Marcin coś sobie ubzdurał. Nie wiem co.

- No to ja też nie wiem. Może po prostu chce, żebyśmy porozmawiali.

- Na jaki temat?

- Trochę cię to zmartwi. Na twój.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, którego nie mógł powstrzymać.

- Kiepski temat, rozmowa może się rwać.

- Dlatego dostałam obszerne wprowadzenie. Naczelnik Zych opowiedział mi o tobie.

Kruk przymrużył oczy. Marcin umówił Kruka z policyjnym psychologiem po telefonie od prokurator Krynickiej, którą zaniepokoiło zachowanie komisarza na miejscu ujawnienia zwłok. Nie było wtedy czasu na długie rozmowy.

- Kiedy był taki wylewny? - spytał.

- W ostatnich tygodniach spotkaliśmy się kilka razy w twojej sprawie. Zgodził się, żebym ci o tym powiedziała.

- Więc to tak - warknął Kruk, który już się nie śmiał.

- Jest twoim przyjacielem, martwi się.

- Jasne.

- Jest też twoim przełożonym i czuje się odpowiedzialny.

Kruk zrobił się zły.

- A jak zamierzacie zmusić mnie do rozmowy? Ty poradziłaś mi, żeby odstawił szopkę z lipnym zwolnieniem z pracy?

Patrzyła na niego łagodnie zza okularów.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Dobra. Przyszedłem tu. Jestem. Co teraz?

Spuściła wzrok, nie zamierzając bić się z nim na spojrzenia. Gdy uniosła oczy, nic się w nich nie zmieniło.

- Nie zamierzam cię do niczego zmuszać, Sławek. Ani przez chwilę nie sądziłam, że można cię zmusić do czegokolwiek.

- Przepraszam.

- Musisz mnie jednak zrozumieć. Jestem policyjnym psychologiem, a twój szef ma wobec mnie oczekiwania.

- Jakie?

- Jakiegokolwiek by były, powiedziałam mu, że to się nie uda. Nie poradzę sobie z tobą. - Zawahała się. - Ale on nie ustąpił.

- Bywa uparty.

- Jak każdy z was trzech.

Kruk ciężko westchnął. Skoro Paweł Lalkarz też pojawił się w wyznaniach Marcina, jego rozmowy z Moniką musiały dotyczyć wielu spraw. Także tych, o których już dawno nie rozmawiali między sobą.

Podniosła coś z biurka i podała mu. Ostrożnie wysunął spomiędzy jej palców wizytówkę.

- To jest adres gabinetu i numer telefonu Marka Kaszkiewicza - powiedziała. - Gwarantuję, że to świetny psycholog. Może rozmowa z mężczyzną okaże się dla ciebie łatwiejsza.

- Odsyłasz mnie?

- Marek pracuje z wieloma policjantami i żołnierzami po misjach, jest specjalistą od syndromu stresu pourazowego. Dostać się do niego raczej nie ma szans, ale przedstawiłam mu sytuację. Ciebie przyjmie.

Kurwa, wszyscy niby nie mieli czasu, ale dla Kruka zawsze potrafili go znaleźć.

- Rozmawiałaś z nim... - zrobił przerwę i kolejne słowo wymówił bardzo powoli: - za...nim... - znowu zrobił przerwę - spotkałaś się ze mną?

Nieodmiennie łagodnie spojrzała na niego zza okularów.

- Znam cię nie od dziś. Tacy jak ty, Sławek, nie chodzą to psychologów. A jeśli zostaną zmuszeni, to nie chcą rozmawiać. Będą błaznować i kryć się za tym. Zwłaszcza nie będą otwierać duszy przed kobietą.

- Ani przed żadnym Markiem - warknął.

- On wie, że jesteś trudny. Bierze same trudne przypadki. Ma swoje sposoby.

- Na jego miejscu bałbym się, że mogę się na tych sposobach przejechać.

- To były bokser. Nie jest strachliwy.

Kruk uniósł wzrok i popatrzył na Monikę ciekawie. W jej spokojne

oczy. Oczy stanowczo zbyt inteligentnej jak na swój wiek kobiety.

- Świetnie. - Pokręcił głową. - Odsyłasz mnie do byłego boksera. Jak oglądam walkę, zawsze zastanawiam się, któremu z zawodników powierzyć swe troski.

- Obawiam się, że naczelnik nie pozwoli się zbyć. Jeśli nie pojawisz się u Kaszkiewicza, będziesz miał kłopoty. No, ale to już sprawa między wami.

Zapadła cisza, ale bardzo krótka.

- Dobra. Przekonałaś mnie. Zostaję u ciebie.

- Nie - odparła natychmiast.

- Przecież się zgadzam, w czym problem?

- Nie mam dla ciebie czasu. Z trudem znalazłam dzisiaj te pół godziny.

- Ja też nie mam czasu latać po gabinetach w mieście, prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa.

- A ja jestem pod ręką?

- Nie o to chodzi.

- To niedaleko komendy, na Starówce.

Kruk odłożył wizytówkę na biurko Moniki w taki sposób, jakby było to wezwanie do wojska, a on był pacyfistą.

- Umówmy się - powiedział - ty poprowadzisz nasze spotkania, jak zechcesz, a ja będę grzeczny.

- Nie.

- Będę robił, co każesz.

- Nie.

Wciąż patrzyła łagodnie, ale w jej głosie dźwięczała stanowczość.

- Dobra jesteś. Wszedłem tu, robiąc wielką łachę, że przychodzę. Teraz będę cię błagał, żebyś pozwoliła mi zostać.

- Dlatego że Marek jest bokserem?

- Nie będę gadał o sobie z żadnym facetem.

- Z kobietą jest lepiej?

- Zwierzałem się już kobietom.

- Dlaczego?

- To robiło nastrój.

- Co było potem?

Nie odpowiedział, bo nie musiał. Nachyliła się, aby zajrzeć mu głęboko w oczy.

- Mnie będziesz się tylko zwierzał.

Pierwszy raz, odkąd tu przyszedł, chyba odkąd w ogóle ją znał, usłyszał w jej głosie tak twardy ton.

- Jasne.

- Jeszcze nie powiedziałam, że zostajesz.

- Ale powiesz. - Kruk zrobił się pluszowy, tak jak pluszowe bywają tylko misie. - Dziękuję.

Monika otworzyła kalendarz i zaczęła go przeglądać. Sięgnęła po pióro i coś zanotowała. Znalezienie terminu tam, gdzie tych terminów nie było, nie zajęło jej wiele czasu. Rozwiązała ten problem dużo wcześniej.

- Od czego zaczynamy? - spytał Kruk, usiłując pokryć uśmiechem upokorzenie i gotów kłamać jak z nut.

- Na dziś to wszystko. - Wyprostowała się. - Zobaczymy się pojutrze o szesnastej trzydzieści pięć. Spóźnisz się choćby minutę, żegnamy się. Żadnych usprawiedliwień.

Chciał coś powiedzieć, ale pod ciężarem spojrzenia, którym go obdarzyła, westchnął i dał spokój.

- Szesnasta trzydzieści pięć - powtórzyła.

Wstał. Zastanowił się, pokręcił głową.

- Wykiwałaś mnie. Kto by zapłacił psychologowi z zewnątrz? Przecież nie nasza biedna komenda.

- Naczelnik Zych powiedział, że mam zrobić wszystko, co trzeba, żeby ci pomóc. Zaręczył, że znajdą się na to pieniądze. Zaufanie to podstawa w mojej pracy, nie zaczynam od okłamywania klienta.

- Klienta czy pacjenta?

- Nie jestem lekarzem.

Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech. Chciał wyjść, ale wciąż nie wychodził. Nie wiedział czemu. Wiedział tylko, że czuje niepokój.

- Nie bój się - powiedziała. - Nie zrobię ci krzywdy. To będzie tylko rozmowa.

11

Antoni Łozowski chętnie zgodził się na rozmowę, gdy Maszyński zdobył jego numer telefonu i Kruk zadzwonił. Może wolał spotkanie przy kawie w domu rodziców niż surowe ściany komendy wojewódzkiej. W każdym razie Kruk został przyjęty jak król, a następnie usadzony w fotelu niczym na tronie.

Obecny był także ojciec Antoniego, Henryk, który przywitał Kruka uprzejmie i od tej pory nie wypowiedział jeszcze słowa. Obaj z synem usiedli na kanapie. Byli wstrząśnięci tragedią, przyjaźnie nastawieni i skorzy do pomocy. Antoni zaczął paplać o tym, jakie to straszne, co się stało, i że nie wie, kto mógłby chcieć skrzywdzić Basię.

Na przykład ty, pomyślał Kruk.

- Kiedy widział ją pan ostatni raz?

Młody Łozowski wyglądał jak model męskiej bielizny, tyle że akurat miał na sobie spodnie, koszulę i krawat. Bardzo elegancko noszący się młody mężczyzna.

- W wakacje zeszłego roku trochę chodziliśmy ze sobą.

Albo wspomnienie o wakacjach, albo o tym chodzeniu trochę go skwasiło.

- Spotkał ją pan ostatnio?

- Pan na pewno wie o tragedii, jaka się wydarzyła w sierpniu. Rodzina Basi zakazała jej kontaktów ze mną, a tato - spojrzał na ojca - też mi odradzał ten związek.

Patrzył Krukowi w oczy, jakby chciał go przekonać o swoich dobrych intencjach.

- Wciąż nie odpowiedział pan na żadne z moich pytań.

Bezradne, szybkie spojrzenie na ojca.

- Myślałem, że odpowiedziałem. Nie widziałem się z Basią od tamtego dnia w sierpniu.

- A w sobotę też jej pan nie widział?

- Nie. Całkiem straciliśmy kontakt.

- Gdzie pan był w sobotę wieczorem?

- W pracy. Jestem menedżerem klubu Krypta 66 na terenie dawnej stoczni. Przebywałem tam od szesnastej do czwartej w nocy.

Kruk zastanowił się.

- A w niedzielę?

- Też, choć już nie tak długo.

- Ktoś może to potwierdzić?

- Pewnie ze sto osób, choć nie wszyscy mnie znają.

- Zobaczą pana na monitoringu?

- Nie mamy monitoringu. Wystrój jest surowy. Co tam kraść...

- Klub został wyposażony ekonomicznie - odezwał się Henryk Łozowski. - Syn musiał sam zarobić na jego wyposażenie.

Kruk zapisał w notesie: „brak monitoringu”. Zawsze mu się wydawało, że elektroniczne oko w takim miejscu bywa przydatne nie tylko ze względu na ewentualne kradzieże, a koszt nie jest wysoki. Łozowscy w milczeniu czekali, aż skończy, a on się nie śpieszył, kaligrafując literkę po literce.

- Niech mi pan opowie o tamtej tragedii, o której na pewno wiem.

Chłopak potrząsnął głową. Znowu spojrzał na ojca, który wyprostował się i zwrócił do komisarza:

- Pojutrze jest kolejna rozprawa.

- Słyszałem. To przykra historia, w której oskarżony jest człowiek napadnięty, a ofiarami są napastnicy.

- To nie była napaść - zaprotestował Antoni.

Język mu się rozwiązał. Zaczął opowiadać przebieg wydarzeń z dwudziestego dziewiątego sierpnia 2015 roku. Jego wersja

zgadzała się z tym, co Kruk już wiedział od Maszyńskiego, więc zaczął lekko przysypiać.

Gdy chłopak skończył, wyglądał na zmęczonego. Dochodził do siebie, wstrząśnięty własną opowieścią.

- Więc chcieliście ją nastraszyć dla zabawy?

Młody Łozowski skinął głową.

- Nastraszyć czy zastraszyć?

Wyraz twarzy Antoniego zwiastował, że zaraz nastąpi święte oburzenie. Krukowi nie chciało się na to czekać.

- Niech więc zostanie nastraszyć. Wie pan, co mnie najbardziej ujmuje w pańskiej opowieści, panie Antoni? Że wpadło wam do głowy nastraszyć dziewczynę, która niedawno straciła ojca. Proszę o niej opowiedzieć.

Łozowski przełknął ślinę, popatrzył czujnie.

- Nie wiem, co miałbym powiedzieć.

- Nie ma pan nic do powiedzenia o dziewczynie, z którą pan chodził? Ile to trwało?

- Dwa tygodnie.

- Tylko tyle?

- Potem wydarzyła się ta tragedia z Romkiem.

- Jak pan ją poznał?

- Przez Leona Stompura. To kolega, on zresztą też był z nami w domu wuja Baśki... - Gdy Kruk skinął głową, dodał: - Baśka pracowała w domu jego sąsiadów jako dziewczyna do sprzątanania. Kiedyś przyszła do klubu i tak się poznali.

- Ale została pańską dziewczyną?

Antoni wzruszył ramionami.

- No. - Był wyraźnie zawstydzony.

- Co na to Leon?

- Leon to chłopak z dobrego domu - wtrącił stary Łozowski. - Jego rodzice to nasi znajomi, ale im się nie układało. Leon właściwie

wychowywał się bez matki.

- Chciałbym nadążyć za pana tokiem myślenia - warknął Kruk. - Leon jest z dobrego domu, który nie jest znowu taki dobry, a pan Antoni przejął jego dziewczynę. Mógłby pan to dla mnie jakoś poskładać?

Henryk Łozowski znieruchomiał, wlepiając w komisarza uważne spojrzenie.

- Trudno mi o tym mówić, bo Baśka nie żyje - odezwał się Antoni.
- Naprawdę trudno. - Wyraźnie czekał, żeby ktoś udzielił mu wsparcia, zachęcił, poklepał po plecach.

Kruk zdobył się na krótkie:

- Tak?

- Ona była... wie pan... niewiele było trzeba, żeby...

- Żeby co?

- Była łatwa. Leon niezbyt się przejął, kiedy zaczęliśmy kręcić ze sobą. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze ją chciał. Nie miał do mnie pretensji.

- Rozumiem. Leon ją rzucił, ale pan woli myśleć, że pan mu ją odbił. Panu się podobała, nawet z odzysku. Co pan w niej widział?

- Była interesująca. Jej ojciec zmarł, a ona starała się wznieść ponad to. Chciała się bawić, śmiać, być szczęśliwa.

- To się w sumie głupio złożyło, bo już jej nie jest do śmiechu.

Zapadła cisza. Ojciec i syn wpatrywali się w komisarza ze zgrozą. Miał ich gdzieś. Grozę Kruk czuł w sypialni dziewczyny. Zabrał tę grozę stamtąd i wciąż nosił przy sobie.

A teraz zamierzał zabrać ją z tego domu i wyjść.

Henryk Łozowski odprowadził Kruka do drzwi. Też wyglądał jak model męskiej bielizny, ale trochę przechodzony.

- Pan nie polubił mojego syna - powiedział.

- Tak?

- A przecież wcale go pan nie zna. Może zasługuje na odrobinę

szacunku? Co pana zdaniem jest miarą wartości człowieka?

- A co jest?

- Moim zdaniem praca. Przez długi czas dawałem Antoniemu zbyt wiele swobody, wiem o tym. Ale w pewnym momencie zażądałem: musisz wziąć się do pracy. Przejąłem budynek na terenach postoczniovych i powiedziałem synowi, że pomogę mu zorganizować tam klub. Postawiłem warunek: musiał zarobić przynajmniej część kwoty niezbędnej do modernizacji budynku, skromne pięćdziesiąt tysięcy, a mój wkład stopniowo spłacać mi z zysków.

- Spisał się? - spytał Kruk, żywo zainteresowany, gdzie w krótkim czasie można zarobić taką kwotę.

- Spisali się wszyscy trzej, bo Antoni zaoferował Romkowi i Leonowi wspólne prowadzenie klubu. Ciężko pracowali na budowach, pojechali do Anglii, gdzie w miesiąc zarobili takie pieniądze, jakich w Polsce nie wyciągnęliby przez pół roku. Prace budowlane częściowo wykonali sami, na przykład postawili wszystkie ścianki działowe. Jestem z nich dumny.

- Z Antoniego - skorygował Kruk.

Łozowski uśmiechnął się.

- Tak, przede wszystkim z niego. Praca. To zawsze działa, panie komisarzu. Cenię ludzi, którzy umieją pracować.

- Ja mam mniejsze wymagania. Cenię ludzi za to, że nikogo nie zabili. Mnie to wystarcza.

12

Kruk stanął na ulicy Zakosy. Domy były ładnie utrzymane i oświetlone, a sporej wielkości bliźniak trochę ładniejszy i jaśniejszy. Kruk spojrzął na numerację. Jedna połowa bliźniaka nosiła właśnie ten numer, którego szukał.

Domofonu nie było, zostały po nim jedynie niezabezpieczone kable, więc pchnął furtkę. Nie ustąpiła. Komisarz chwilę zastanawiał się, jak tu się powiadamia o swoim przybyciu. Szukał jakiegoś cuda współczesnej techniki, a gdy nie znalazł, rozejrzał się za zwykłym dzwonkiem, kołatką, gwizdkiem...

Przeskoczył przez płot i w kilku krokach znalazł się na eleganckim ganku. Wiał lekki ciepły wiatr, ale Kruk poczuł dziwny chłód, który nie był wynikiem niskiej temperatury.

Miejsce miało specyficzną atmosferę.

Czy to coś znaczyło? To nic nie znaczyło. Żaden chłód nie istniał nigdzie indziej niż tylko w umyśle Kruka.

Zadzwoił. Dzwonek nie działał.

Zapukał.

Nic się nie stało.

Zapukał jeszcze raz, mocniej.

Wreszcie drzwi otworzyły się na całą szerokość i na progu stanął mężczyzna. W przeciwieństwie do fasady budynku był zaniedbany, z brzuchem niczym Homer Simpson i w jego podkoszulku. Twarz miał czerwoną z wściekłości.

- Jak tu wlałeś?

- Dobry wieczór - powiedział Kruk.

- Jak wlałeś na mój teren, palancie?

Kruk skromnie spuścił wzrok, tylko na chwilę, a kiedy ponownie podniósł oczy, nadal był grzeczny.

- Niestety zepsuł się panu domofon, a furтка była zamknięta.
- Włazłeś przez płot, co? Sam rozpieprzyłem domofon, żeby nie przychodzili tu tacy jak ty.

- To znaczy jacy?

- Włamujesz się do cudzych domów i rzniesz głupa?

- Nie jest pan ciekawy, kim jestem i czego chcę?

- W dupie mam, kim jesteś. Wypierdalaj.

Kruk był pod wrażeniem tej fali gwałtownej nienawiści.

- Przeskoczenie przez płot to jeszcze nie włamanie - rzekł. - Co najwyżej wtargnięcie na posesję, pan powinien o tym wiedzieć. A jeśli pan nie wie, proszę zapytać Leona, on jest specjalistą od takich rzeczy.

Oczy mężczyzny zwięziły się, a pierś uniosła nad wielkim brzuszyskiem. Z głębi domu dobiegał dźwięk włączonego telewizora.

- Co znowu zrobił? - Wściekłość gdzieś wyparowała, pozostała tylko jej imitacja. - Jak masz coś do niego, człowieku, idź na policję.

Ja nie mam siły.

- Pan jest jego ojcem?

- A kim ty jesteś?

- Już to pana obchodzi?

- Nie pogrywaj ze mną.

- Nazywam się Sławomir Kruk, jestem z policji.

- Z jakiej policji?

- Wojewódzkiej. Wydział dochodzeniowo-śledczy.

Mężczyzna zawahał się.

- Ma pan legitymację?

Kruk wyjął legitymację z odznaką i tak ją przytrzymał, by gość mógł się na nią napatrzeć do woli. Trochę to trwało.

Poczuł od niego słabą woń alkoholu.

- Aha - mruknął wreszcie mężczyzna. - To policja teraz skacze przez płoty?

- Zastałem Leona?

- Nie.

- Kiedy będzie?

- Nie wiem.

- Mogę przysłać wezwanie, ale trochę z tym zachodu.

- Niech pan przysyła.

- Trochę z tym zachodu - powtórzył Kruk.

- Czego pan od niego chce?

- Pewnie pan wie.

- Chodzi o tę biedną Malewską? - Kruk nie odpowiedział, co zostało uznane za potwierdzenie. - Chyba nie myślicie, że coś jej zrobił?

- Znał ją, a my rozmawiamy z jej znajomymi. Byłem u państwa Łozowskich, teraz chcę porozmawiać z Leonem.

Mężczyzna znowu poczerwieniał.

- Chodź pan - powiedział. - Jak już przelazłeś przez płot, pofatyguj się pan do środka.

Wnętrze domu było dla Kruka pewnego rodzaju szokiem. Wreszcie ten facet zaczął do czegoś pasować.

Usiedli w obszernym salonie, któremu desperacko przydałoby się świeże powietrze rozpylone pod ciśnieniem. Wielką sofę w kształcie litery L upstrzyły plamy, Kruk z trudem wygospodarował dla siebie w miarę czyste miejsce.

Gospodarz wyłączył telewizor. Bez wiatru, który został na dworze, bez telewizji, zrobiło się przygnębiająco cicho. W tej ciszy, w panującym wokół bałaganie i bezruchu Kruk zapatrzył się na jedyny punkt przyciągający uwagę: cyfrową ramkę do zdjęć, na której co kilka sekund pojawiała się nowa rodzinna fotografia.

Był tam ten mężczyzna. Na zdjęciach świetnie ubrany,

roześmiany, bez brzucha, sprawiał wrażenie króla życia.

- Jestem Jerzy Stompur - przedstawił się i zaraz dodał: - Co panu powiedział ten Antek?

Salon kiedyś musiał być ładnie urządzone, może wciąż był, ale od dawna nikt tu nie sprzątał. Kurz na meblach tworzył skorupę.

- Rozmawiałem z nim w obecności jego ojca.

- I co powiedział ojciec?

- O czym?

- Odpowiadasz pan pytaniem na pytanie. Nie podoba mi się to.

- Jestem przyzwyczajony, że to ja zadaję pytania.

- Mówili, że Leon ma zły wpływ na ich synalka? Bujda, panie policjant. Cała ich rodzinka to patologia, mówię panu. Są jak menele, tyle że jeszcze się myją.

- I sprzątają w domu - podsunął Kruk.

Stompur rozejrzał się po pokoju.

- Pieprzyć ich.

- Pan chyba nie darzy ich sympatią.

- Załgane towarzystwo.

- Wyjaśni mi pan?

- Nie ma nic do wyjaśniania. - Stompur wyprostował się i spojrzał na Kruka ze zdziwieniem. - Po co właściwie pan tu jest?

- Bo mnie pan zaprosił, choć tych rewelacji mogłem wysłuchać na progu. Pan znał Barbarę Malewską?

- Skąd miałbym ją znać?

- Syn nie przyprowadził jej nigdy do domu? Nie przyjaźnili się?

- Panie - warknął Stompur. - Oczu pan nie masz? Rozejrzyj się. Przyprowadziłby pan tu kogoś?

Wystarczyłoby parę setek i znająca się na rzeczy sprzątaczką, aby doprowadzić ten dom do porządku. Kruk nie spisywałby go jeszcze na straty.

- Nie znałem tej dziewczyny - powiedział Stompur z cichym

westchnieniem, od którego zafalował jego wielki brzuch. – Znałem jej ojca, pracował dla mnie.

– Ojciec Barbary Malewskiej pracował dla pana?

– Gdybym wiedział, że ćpa, wywaliłbym go na zbity pysk.

– Czym się pan zajmuje?

– A bo co? Co pan ma do mnie?

– Zapytam inaczej: czym zajmował się Malewski?

– Zatrudniałem faceta w moim biurze projektowym. Miałem biuro... Może wciąż mam...

– Nie wie pan?

– Mam to w dupie.

– W porządku – odparł Kruk. – Pańskie biuro. Pańska dupa.

– Niech pan nie słucha, co gadają Łozowscy. To popaprana rodzina.

– Czemu jest popaprana?

– Wszyscy tam udają. Mamuśka, że jest uroczą mamuśką, tatusiek, że jest statecznym tatuśkiem, a niby układny synalek to szczyt wszystkiego. Od dziecka był małą kanalią. Ale po co ja to panu mówię?

– Nie wiem. Może po to, żebym nie lubił Antka, za to polubił Leona, jeśli zacznę potykać się o nich w śledztwie.

– To byłby wyraz rozsądku. Antek to śliski typ, a Leon jest jego cieniem. Nie chcę, żeby mój syn był cieniem. Ale to nie jego wina.

– A czyja?

– Jego matki.

Kruk spojrzał na cyfrową ramkę, z której właśnie uśmiechała się w przestrzeń atrakcyjna ciemnowłosa kobieta. Kobieta zniknęła, a jej miejsce zajęli Jerzy Stompur z jakimś młodym człowiekiem, dość podobnym do niego. Zapewne z Leonem.

– Dlaczego?

– Nie zajmowała się nim, tak jak matka powinna zajmować się

dzieckiem.

- Mogę zapytać, gdzie jest pańska żona?

Stompur zmrużył oczy. Jego spojrzenie nabrało czujności.

- Nie wie pan? Nie odrobił pan pracy domowej przed przyjściem?

- Nachylił się, jego twarz przybrała cyniczny wyraz. Kruk znowu poczuł od niego alkohol, ale nigdzie w pokoju nie dostrzegął butelki.

- Odeszła ode mnie. Znęcałem się nad nią. Zostawiła nas obu.

- Dawno?

- Jak dla mnie, wieki temu.

- A dla mnie to ile to będzie?

Brak odpowiedzi.

- Leon wychował się bez matki?

- Można tak powiedzieć. Nigdy nie zajmowała się nim jak należy. Swego czasu wydawałem fortunę na opiekunki. Nie kochała go. Mnie też nie kochała. Nigdy nie chciała zostać matką, w każdym razie nie mojego dziecka.

Przenikające się nawzajem zdjęcia w cyfrowej ramce pochodziły z różnych okresów życia rodziny. Wiele było takich, na których chłopak stojący obok kobiety wyglądał na pełnoletniego. Był silnie zbudowany, byczy kark dowodził, że to bywalec siłowni.

Kobieta na zdjęciach wyglądała na czterdziestokilkuletnią przygasłą piękność, która - podobnie jak mąż - straciła złudzenia. Kruk nie mógł się jednak oprzeć myśli, że gdyby nauczyć ją latać, jej uroda mogła ponownie rozkwitnąć innym, dojrzalszym pięknem, które on potrafił docenić.

Pani Stompur, jak się domyślił, nie pozowała do żadnego z tych zdjęć, wykonanych z pewnego oddalenia. I nie porzuciła swoich mężczyzn aż tak dawno, jak chciał przedstawić jej mąż, który odezwał się cichym głosem:

- Nie ma nic bardziej przerażającego dla dziecka, niż gdy nie kocha go matka. To jak spadanie w najczarniejszą ze studni, która

nie ma dna.

- Pańska matka nie kochała pana?

- Nie miała za grosz macierzyńskiego instynktu. Przysiągłem sobie, że moje dzieciaki dostaną najbardziej kochającą matkę na świecie. Chciałem mieć liczną rodzinę, a dostałem tylko Leona. I mimo wszystkich przysiąg, jakie sobie złożyłem, dałem mu taką matkę, jaką sam miałem. Co za gówno...

Jak na faceta, który usunął domofon, żeby nie włązili do niego ludzie tacy jak Kruk, Stompur okazał się raczej wylewny. Kruk nie mógł oprzeć się wrażeniu, że facet znajduje dziwną przyjemność w mówieniu o żonie.

- Pan wciąż ją kocha - zaryzykował.

- Ludzie tak nie sądzą.

- Ludzie nigdy nic nie wiedzą. Widzą tylko fasadę domu, nie mają pojęcia, co kryje się w środku.

Oczy Stompura rozszerzyły się.

- Tak, ma pan rację. Ludzie niczego nie wiedzą, za to chętnie wydają wyroki.

- Jaki wyrok wydali na pana?

Stompur pokręcił głową.

- Pan naprawdę nie sprawdził mnie w swoim wspaniałym policyjnym komputerze?

- Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Barbary Malewskiej. Nie sądziłem, że jest pan z tym powiązany. Oczywiście teraz sprawdzę pana.

- Brakuje jeszcze, żebyście powiązali mnie także z tym.

- Przecież sam się pan tego domaga.

- Nie świadczy to dobrze o mojej inteligencji. Człowiekowi wydaje się, że jak przychodzi do niego policja, to wszystko o nim wie.

- Przyszedłem do Leona.

- No tak. - Stompur powiedział to jakby z żalem.

- A wracając do Leona i policji. Na ganku odniosłem wrażenie, że czegoś się pan boi.

- Przeraza mnie to, w co pakuje się mój syn. Ta historia, gdy zginął Romek Pruszyński... Lubilem tego chłopaka, chodził z Leonem do podstawówki i wobec mnie zawsze był grzeczny, choć muszę przyznać, że miał wyjątkowo gwałtowny charakter. I ja akurat potrafię sobie wyobrazić, że rzucił się na człowieka z bronią.

- Stompur zamyslił się. - Odkąd nie ma Kamili, straciłem wpływ na Leona. Syn oskarża mnie, że nie traktowałem jej jak należy. Mój Boże, nie ma pan pojęcia, jak bardzo starałem się traktować ją jak królową. I jak bardzo robiła wszystko, żebym traktował ją jak dziewczynkę.

Kruk wolałby dowiedzieć się więcej o wydarzeniach w domu Koniecznego, ale Stompur miał zdaje się tę właściwość, że o czymkolwiek zaczynał rozmawiać, zawsze kończył na żonie.

No to Kruk pociągnął temat:

- Miała kogoś?

- Nikogo nie miała, ale i tak odtrącała mnie na każdym kroku. Nie było wzgardliwego gestu, którego by mi oszczędziła.

- Skąd ta niechęć?

- Jak się kogoś nie kocha, a musi się z nim żyć, robi się problem, no nie?

- Mogła odejść.

- Nie chciałem, by odeszła. Nie pozwoliłem jej. - Nagle uniósł głowę i obrzucił Kruka uważnym spojrzeniem. - Dziwi się pan, że tyle gadam po nie najlepszym początku?

Kruk w milczeniu skinął głową dwa razy.

- Siedzę tu sam, rzadko wychodzę. Trochę piję, ale nie tak dużo, jak powinienem. Oglądam telewizję, żeby nie myśleć. Ale myśli i tak nabrzmiewają mi w głowie jak bąble. Mam tam ciśnienie jak w czajniku. Czasem wydaje mi się, że oszaleję, jeśli tego z siebie nie

wyrzucę.

- Rozumiem.

- Nic pan nie rozumie. I nie zrozumie pan, nawet jak zajrzy do swojego policyjnego komputera i poczyta pan o nas.

- Co tam znajde?

- Nie chce psuc panu zabawy.

- Nie jestem zabawowym typem.

- Gwarantuje niezla rozrywke.

- W takim razie zakupie popcorn i cole. Wrócmy jeszcze raz do Leona. Czy pan wie, gdzie byl w sobote wieczorem?

- Ze mna. W domu.

- Naprawde?

- Gdyby to nie byla prawda, nie mowilbym o tym. Siedzialem w pokoju i ogladalem telewizje, bo ostatnio, jak mowilem, nic innego nie robie. Leon byl u siebie w pokoju. Raz zszedl na dol. Zrobil sobie kanapke. Nie wychodzil tego wieczora.

- Ile Leon ma lat?

- Dwadzieścia trzy.

- Wciaz mieszka z panem?

- Panie, dzisiaj swiat jest taki, ze dzieciaki mieszkaja z rodzicami do trzydziestki. Bywa, ze dluzej.

- Pracuje?

- Robi w knajpie u tych Łozowskich, niby jest zastępcą Antka, w rzeczywistości pełni rolę chłopca na posyłki.

- Krypta 66 należy do Łozowskich? - spytał Kruk, jakby o tym nie wiedział.

- Do starego Łozowskiego i jego synalka. Ja kiedyś wyobrażałem sobie, że będziemy wspólnie z Leonem prowadzić Biuro Projektowe Stompur i Syn. Nieźle brzmi, co? Tak przedwojennie... Ale jego matka nie chciała, by poszedł w moje ślady. Wymagała od niego, żeby był jak najmniej podobny do mnie. Tylko za to była skłonna

ofiarować mu ochłapy matczynego uczucia. Chłopak jest zdolny, ale nie chciał się uczyć, a ona mu w tym kibicowała. Jeśli skończył liceum, to dlatego, że go zmusiłem. Ależ była zadowolona, że zniszczyła moje marzenia.

- A tamto wtargnięcie - powiedział Kruk, zanim Stompur zaczął dalej rozwodzić się nad żoną i jej zadowoleniem z różnych nieprzyjemnych rzeczy. - Sądzi pan, że chłopcy mówili prawdę?

- Tak właśnie sędzę. - Stompur wyprostował się, spojrzał twardo.
- Co pan kombinujesz, panie policjant?

- Powiedział pan, że Antoni Łozowski to śliski typ, że Pruszyński mógłby się rzucić na człowieka z bronią. A co do Leona, chciał mnie pan wysłać w jego sprawie na policję.

Stompur z wysiłkiem przełknął ślinę, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że rzeczywiście to wszystko powiedział.

- E tam, takie gadanie. Może już pan pójdiesz, co?
- Gdzie jest teraz Leon?
- Pewnie w robocie.
- Przekáže pan Leonowi, że o niego pytałem? Niech się do mnie odezwie.

- Przekażę. Jemu i naszemu adwokatowi. Ale czy ja jeszcze znam jakiegoś adwokata? Adwokatów też mam w dupie.

Kruk podniósł się, wręczył wizytówkę Stompuruowi, który wziął ją, nie podnosząc się z miejsca.

- Czemu zerwał pan domofon? - spytał Kruk.
- Bo ludzie są tacy jak pan. Niech się trzymają z daleka.
- Otworzy mi pan furtkę?

Stompur wzruszył ramionami.

- Poradzi pan sobie.

Gdy Kruk znalazł się pod drugiej stronie ogrodzenia, napisał SMS-a to Maszyńskiego:

Wrzucić z rana na bęben Jerzego Stompura, ojca jednego

z chłopaków od wtargnięcia, i jego żonę Kamilę.

Odpowiedź od Radka przyszła, zanim jeszcze wsiadł do samochodu.

Była niecenzuralna.

13

Do Iwony przyszły wieczorem dwie najbliższe przyjaciółki, a mieszkanie rozbrzmiało okrutnymi słowami pociechy. Mówiły, że czas leczy nawet takie rany. Grzegorz Konieczny nie mógł tego znieść. Przeprosił, mruknął coś o tym, że wychodzi, ale nie zwróciły na niego uwagi.

Noc była cicha, pachnąca nadciągającym latem, a on poczuł taką ulgę, jakby nic nigdy się nie zdarzyło. Poszedł przed siebie, nie myśląc, dokąd zmierza. Chciał po prostu iść, przedłużać to uczucie i pozwalać, by trwało.

Nagle ogarnęła go euforia, zupełnie jakby organizm, broniąc się przed przytłaczającym przygnębieniem, zbuntował się i w dramatycznej próbie samoobrony zalał się endorfinami. Niesiony tym uczuciem Grzegorz mijał ulicę za ulicą, wchodził pomiędzy szykujące się do snu bloki, wyłaniał się między rozświetlonymi wystawami sklepów, które zachęcały do wizyty w następnym dniu, potem znowu snuł się większymi i mniejszymi ulicami.

Nagle dotarło do niego, że jest pod domem brata.

Zatrzymał się zaskoczony, bo nie miał zamiaru tu przychodzić. A potem poczuł jeszcze większe zaskoczenie, gdy zdał sobie sprawę, że usiłuje się okłamywać, bo od początku wiedział, gdzie idzie.

Przywitały go drżące na wietrze policyjne taśmy, które broniły wstępu.

Euforia go opuściła.

Głęboko odetchnął tutejszym powietrzem. Rozejrzał się. W pobliskim domu jakaś postać odsunęła się od okna na piętrze. Grzegorz nie zdążył jej się przyjrzeć, bo światło dochodziło gdzieś

z głębi domu. Wkrótce i tamto światło zgasło.

Nie znał ludzi, którzy tam mieszkali, choć z ich powodu tu przyszedł. Dom przez długi czas stał pusty i wystawiony na sprzedaż, Darek chyba też nie zdążył poznać nowych sąsiadów, zanim go zamknęli.

Znowu popatrzył na dom brata. Na miejsce tragedii.

Poczuł się jak ktoś, kto zwalnia, widząc wypadek na drodze. Czuje wstyd, że to robi, ale nie może się powstrzymać.

Dariusz powinien założyć rodzinę, pomyślał. Wtedy to wszystko by się nie stało. Może mając żonę i dzieci, znalazłby inną pracę, nie wyjeżdżałby tak często, nie musiałby powierzać kluczy krewnym. I przede wszystkim nie piłby tak dużo.

Żałował, że brat nigdy nie próbował się ustatkować. Tylko raz zakochał się naprawdę mocno, a działało się to w latach szkolnych. Czasem wspominał tamtą dziewczynę i miał wtedy w oczach coś takiego, czego brakowało, gdy Grzegorz widywał go z kobietami w późniejszych czasach. Może miłości z lat szkolnych pamięta się najmocniej... Zastanowił się nad tym, myśląc o swoich szkolnych latach.

Westchnął, gdy jego myśli wróciły z wyprawy w przeszłość i groza ostatnich wydarzeń znowu nakryła świat ciemną chmurą.

Powinien wracać do Iwony. I nie piechotą, ale wezwać taksówkę. Pogonić jej przyjaciółki, zanim całkiem uduszą ją, usiłując zrobić coś dobrego w sytuacji, w której nic nie można już zrobić.

Ponownie spojrzął w okno domu sąsiadów, w którym przed chwilą kogoś widział. Okno było ciemne, nikogo tam nie dostrzegł.

Chociaż nie, może ktoś wciąż tam stał. Widział sylwetkę... albo tylko rysował ją w wyobraźni. Właściwie nie potrafił rozstrzygnąć.

Spojrzął na zegarek. Dochodziło wpół do pierwszej w nocy.

Nawet jeśli teraz ktoś nie stał w oknie, stał jeszcze przed chwilą. Ludzie, który patrzą, widzą. Zwłaszcza ci patrzący nocami.

Bez pośpiechu ruszył w kierunku tamtego domu. Przed drzwiami zawahał się jeszcze.

Nacisnął przycisk dzwonka, ciekawy, czy w tym domu otwiera się nocnym gościom.

14

- Mów - rzucił Kruk, gdy rano stanął spóźniony w drzwiach pokoju na komendzie, a Maszyński już na niego czekał.

- Byle cicho - mruknął Paweł Lalkarz, wgapiony w ekran komputera. - Muszę się skupić.

Kruk spojrzał, co tak zajmowało Lalkarza. Przeglądał plotki na Pudelku.

Maszyński siedział na krześle dla klientów i Kruk nieźle się nawyginał, aby go obejść i dotrzeć do biurka.

- To ma związek z naszą sprawą czy kazałeś mi to sprawdzić, aby nacieszyć się władzą? - spytał Radek.

- To drugie na pewno.

Maszyński otworzył notes.

- Kamila Stompur, a raczej Zdrojewska-Stompur, żona Jerzego Stompura, matka Leona, od ponad roku figuruje w bazie osób zaginionych - przeczytał. - Zaginięcie zgłosił mąż. Kobieta wyszła z domu i nie wróciła.

- Pięknie - mruknął Kruk.

- Od rana czytam, szukam, dzwonię do ludzi, którzy się tym zajmowali... wtedy, bo teraz to już się tym nikt nie zajmuje. Na początku myśleliśmy, że kobieta uciekła od męża.

- My? - Lalkarz podniósł głowę. - Prowadziłeś tę sprawę?

- My, policja - odparł Maszyński.

- Nie identyfikuj się tak zawzięcie z naszą szacowną instytucją.

- Daj spokój. Wyszła z domu, jak stała: w białych spodniach, czerwonej bluzce i czerwonych szpilkach.

- Czerwone szpilki po domu? Zazdrozczę facetowi.

- Paweł, czytaj o cyckach gwiazd - warknął Kruk. - Nie przeszkadzaj, gdy grupa śledcza pracuje.

Lalkarz wywrócił oczami, ale nic nie powiedział.

- W dniu jej zniknięcia Stompur kłócił się z żoną - rzekł Maszyński. - Ona groziła, że odejdzie. On, że jak spróbuje to zrobić, to ją zabije.

- Skąd to wszystko wiadomo? - spytał Kruk.

- Od niego.

- Od niego?

- Po zniknięciu żony facet szalał, domagał się, żeby jej szukać, twierdził, że coś musiało się stać. Nasi nie byli tego tak pewni, bo to nie był pierwszy raz, kiedy Stompur zgłosił zaginięcie żony. Już raz uciekła od niego, to było na początku czerwca dwa tysiące czternastego. Szalał podobnie, bo zapadła się jak kamień w wodę. Tylko że potem się namyśliła i po dwóch miesiącach wróciła do domu.

- Nie było jej dwa miesiące? - upewnił się Kruk.

- Babka ma fantazję. Dwa miesiące bez śladu życia. Zostawiła męża i syna, nie odezwała się do żadnego z nich. Bez jednego telefonu, telegramu, mejla. Nic. Jakby nie istnieli dla niej.

- Przyjemna kobieta.

- Ja bym ją nazwał inaczej.

- Może miała ich dosyć - wtrącił Paweł. - Wzięłeś to pod uwagę? Może nie byli tacy ujmujący, jak sądzisz.

- Zostawić syna?

- A ile miał wtedy lat?

Maszyński odparł po chwili namysłu:

- Dwadzieścia plus coś.

- Stary chłop. Miała go niańczyć do pięćdziesiątki?

- Podobno w ogóle nie była typem niańki - rzekł Kruk, a gdy spojrzeli na niego obaj, dodał: - Rozmawiałem wczoraj z Jerzym

Stompurem.

- Facet naciskał, żeby szukać - kontynuował Maszyński. - Ale stracił entuzjazm, gdy wypłynęła inna sprawa. Trzy tygodnie przed zniknięciem wściekł się na żonę, a potem wywiózł ją i zamknął w jakimś opuszczonym budynku na noc. Sąsiadka, która mieszka w drugiej części bliźniaka, słyszała przez ścianę tę kłótnię w dniu zniknięcia. Zdrojewska wykrzyczała mu, że więcej nie dopuści, aby ją tak potraktował. Stompur stracił rezon i się wyparł. Okazało się też, że Kamila Stompur chodziła z tym na komisariat, ale policjant, z którym rozmawiała, nie przyjął zawiadomienia o przestępstwie, zrobił tylko notatkę.

- Jak to nie przyjął zawiadomienia?

- Nie wiem, jeszcze z nim nie gadałem, bo go za to zwolniono. Pani Stompur ponoć całą noc siedziała zamknięta w jakiejś ruderze, konkretnie w stalowej szafie, a cierpiała na klaustrofobię.

Jerzy Stompur powiedział Krukowi, że gwarantuje mu świetną rozrywkę. Kruk zastanawiał się, czy dobrze się bawi, słuchając tego wszystkiego.

- W każdym razie - podjął Maszyński - czynności policyjne skupiły się na Jerzym Stompurze jako na prawdopodobnym sprawcy zniknięcia żony. Był tym co najmniej rozczarowany. Tyle że to też nic nie dało i od tej pory wszyscy czekają, aż pani Stompur znowu sama się znajdzie.

Maszyński z trzaskiem zamknął notes.

- Czemu kazałeś mi to sprawdzić? To ma coś wspólnego z naszym śledztwem?

- Wylazło przy okazji.

Nie ulegało wątpliwości, że zniknięcie Kamili Zdrojewskiej-Stompur odbiło się potężnym echem w duszy Jerzego Stompura. Wskazywał na to zarówno stan domu, jak i kondycja psychiczna małżonka. Niezależnie od tego, czy Stompur sam ją zniknął, czy

zniknął ją ktoś inny, czy też ona sama miała wszystkiego dość, facet wciąż nie mógł się z tym pogodzić.

- Samo wylazło? - Paweł uniósł wzrok.

- Facet chce o tym gadać - rzekł Kruk. - Najchętniej gadałby tylko o tym. O niej. Co to może oznaczać?

- Pewnie wszystko - odparł Paweł.

- Faceci, którzy pozbyli się żon, zachowują się zwykle inaczej.

- Ale mogą zachowywać się i w ten sposób. Kto im zabroni?

W tym momencie zadzwonili z zakładu medycyny sądowej. Przed godziną skończyli sekcję zwłok Barbary Malewskiej. Asystentka doktora Mariusza Mackiewicza, młoda pani doktor, której Kruk nie znał, poinformowała, że mają wstępną przyczynę śmierci. Potwierdziło się, że było to zadławienie w wyniku działania ludzkich rąk na szyję ofiary. Zgon nastąpił jakieś dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin przed znalezieniem ciała.

- Złamanie kości gnykowej, masywne wylewy do tkanek miękkich szyi, ostre rozdęcie płuc. Nie stwierdziliśmy półksiężycowatych otarć naskórka szyi od paznokci, prawdopodobnie sprawca włożył rękawiczki. Ofiara ma zasinienia na ramionach, sprawca mógł siedzieć na jej klatce piersiowej i kolanami unieruchomić ręce.

Rękawiczki. Zabójca się przygotował. Kruk zadumał się na moment, po czym spytał:

- A co z tą odciętą dłonią?

- Ktoś zmył lakier z paznokci przy użyciu zmywacza i obciął paznokcie. Dziwne zachowanie jak na mężczyznę. Zostawiamy dłoń do dalszych badań, przyjrzymy się jej bliżej.

- Skąd pani wie, że to mężczyzna?

- Kobieta nie miałaby aż tak silnych rąk, żeby dokonać takich obrażeń.

Obiecała toksykologię, całą resztę i raport za dwa tygodnie.

- Czy jest w pobliżu doktor Mariusz? - spytał Kruk.

- Tak.

- Mógłbym z nim porozmawiać?

Za chwilę w aparacie zabrzmiał znużony głos medyka.

- Panie Mariuszu, godzina zgonu to pewne?

- Nie podaliśmy dokładnej godziny zgonu, tylko zakres czasowy.

Czy pani doktor mówiła niewyraźnie?

- Nie ma możliwości innej interpretacji oznak?

- Nie ma. - Głos stał się mniej znużony, bardziej agresywny i całkowicie pewny siebie.

Kruk zniósł to dzielnie. Mackiewicz nie był najsympatyczniejszą postacią pod słońcem, ale Kruk miał u niego fory. Kto inny w wydziale dostawał telefoniczną relację z sekcji?

- Panie Mariuszu, jest pan tego absolutnie pewny?

Prychnięcie po drugiej stronie aparatu.

- Proszę się nie obrażać - powiedział Kruk. - Mamy świadka, który widział naszą klientkę na ulicy ledwie kilka godzin przed znalezieniem ciała.

Chrząknięcie. Głęboki wdech, głos nie tak już pewny siebie.

- Coś podobnego... Niech pomyślę. - Znowu cisza. Potem znowu głos, znowu pewny siebie: - Pan wprowadza mnie w błąd, komisarzu. Pan z pewnością nie ma świadka, który ją wtedy widział.

- A jednak...

- Pan ma świadka, który twierdzi, że widział. Pański świadek to kłamca, osoba ślepa lub niespełna rozumu.

No dobrze, Kruk się nie upierał.

Skoro doktor Mariusz nie chciał zmienić zdania, zdanie będzie musiał zmienić ktoś inny.

15

Domy na ulicy Migowskiej stały ciasno upakowane jeden przy drugim. Mimo to dalsze rozpytania nic nie dały. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Nic niezwykłego ani zwykłego nie zwróciło czyjejkolwiek uwagi.

Kruk obejrzał nagrania z monitoringu sąsiada. Nikt nie parkował przed domem Koniecznego w ciągu ostatnich dni i nocy poprzedzających zabójstwo, nikt nie wchodził furtką od ulicy. Nikt, z wyjątkiem Barbary Malewskiej i jej matki.

Kruk patrzył na niewyraźną postać dziewczyny wchodzącej na posesję, tak bardzo żywą na nagraniu. Była, już jej nie ma, pomyślał. Wszyscy jesteśmy nieistotni. Potem poczuł złość i przestał się nad tym zastanawiać.

Ulica Migowska położona była we Wrzeszczu Górnym, i choć to środek miasta, z obu stron otaczały ją zalesione wzgórza. Tył domu Koniecznego wychodził na ogród, za którym piętrzyła się ściana drzew.

Z analiz wyłoniła się wersja, że sprawca dostał się do domu tylnymi drzwiami albo schodząc ze wzgórza, albo przez ogród sąsiadki, Justyny Niemickiej. Między posesjami była nawet furтка, która nie miała zamka. Przed domem Niemickiej często parkowały samochody, wchodziło i wychodziło tam wielu ludzi, na których nikt nie zwracał uwagi. Wejście na jej posesję zwykle stało otworem. Niemicka prowadziła studio masażu, przyjmowała klientów do późna w nocy.

Na niekorzyść policji działał fakt, że w nocy z niedzieli na poniedziałek padał deszcz. Nie znaleziono nadających się do analizy

śladów w ogrodzie ani poza nim.

Kruk pojechał z Maszyńskim na miejsce i przespacerowali się przypuszczalną ścieżką wejścia i wyjścia. Sprawca mógł liczyć na prywatność, chyba że patrzono na niego z okien domu najbliższej sąsiadki. Inne dwa budynki, z których dało się ewentualnie coś dostrzec, to nocami zamknięty na głucho budynek firmowy i dom starszej kobiety, która brała proszki na sen.

Radek wrócił do samochodu, a Kruk zapukał do domu Justyny Niemickiej.

16

Nie była specjalnie ładna, ale to jej nie wystarczało. Włosy obcięła na szczotkę, w nos wetknęła stalowy krążek, a usta pomalowała szminką w takim kolorze, że wyglądały na sine. Miała bladą cerę i zapadnięte oczy, jakby nie spała od wieków. Kolor zębów zdradzał palaczkę. Ubranie nosiła luźne, niekształtne, żeby nikt, nawet detektyw amator, nie domyślił się pod nim kobiecej figury.

Poprowadziła Kruka do salonu, popełniając w ten sposób pierwszy błąd. Jeszcze w korytarzu wyczuł ulotny zapach marihuany, którą palono na tyle często, że zapach wnikał we wnętrze, lub palono ją stosunkowo niedawno.

Jej drugim błędem okazał się sam salon. Komisarz bywał w wielu domach i rzadko co robiło na nim wrażenie. Ten salon zrobił.

- Mieszkam sama i jestem na dorobku - wyjaśniła. - Przed trzema laty dostałam duży spadek po ciotce. Kupiłam ten dom. Pieniądzy nie wystarczyło na meble, uznałam, że dokupię później. Ale utrzymanie domu kosztuje, a ja jestem tylko masażystką.

Na betonowej podłodze pomalowanej szarą farbą leżało kilka karimat, poza tym pomieszczenie było puste.

- Chciałabym mieć prawdziwe meble, nie tandetę z Ikei. Dlatego nie śpieszę się z zakupami.

- To miejsce ma swój styl.

- Prawda? - Twarz jej się rozjaśniła. - Ciocia mawiała, że jak nie masz czym wypełnić pustki, wypełnij ją emocjami.

Ściany salonu aż kipiały od tego wypełnienia.

Od góry do dołu pokryte były malunkami. Ogromne twarze ludzi, tak realistyczne, że wydawało się, że zaraz przemówią, wydobywały

się z szarości akrylowej mgły. Gdzie indziej mgła rozrzedzała się, ukazując twarze upiorów. Były diabły, płomienie, a czasem, jakby dla odprężenia, postaci z bajek.

Nie było w tych malunkach porządku. Świetne fragmenty sąsiadowały z całkiem nieudanymi.

- To pani malowała? - spytał Kruk.

Pod jedną ze ścian stała cała bateria sprayów, niektóre bez nakrętki, piętrzyły się puszki z farbami, pędzle, markery, kawałki kolorowej kredy.

- Uwielbiam malować.

- Ma pani talent.

- Podobno.

Zaprosiła go, by wraz z nią usiadł na karimatach. Justyna Niemicka skrzyżowała bose stopy i zatopiła w komisarzu spojrzenie jasnych oczu. Oczy miała w porządku. Jeszcze nie uczyniła im krzywdy.

- Pani powiedziała mojemu koledze, że widziała Barbarę Malewską tego wieczora, gdy umarła.

- Zanim ktoś ją zabił - poprawiła go, choć z wahaniem. - Cała okolica już wie.

- Co pani widziała?

- Często pracuję do późna. Po pracy sprzątam, ogarniam się, kładę do łóżka i nie mogę zasnąć. Tej nocy też tak było.

Kruk skinął głową, czekając na ciąg dalszy.

- Wyjrzałam przez okno i ją zobaczyłam. Stała przy furtce, która oddziela nasze ogrody. Pomyślałam, że na kogoś czeka. Czekałam wraz z nią, bo byłam ciekawa. Potem odeszłam od okna, a gdy wróciłam, Basi już tam nie było.

- W oknach paliło się światło?

Kruk wyobraził sobie tę scenę: umarłą dziewczynę przy furtce. I jak potem znika.

- Nie.
- O której to było?
- Mniej więcej w pół do trzeciej.
- To na pewno była Basia?

Niemicka nachyliła się w jego stronę. Była nieufność w jej głosie, gdy odpowiedziała:

- Na pewno. Pan mi nie wierzy?

Zbył ją uśmiechem i zapytał, co sobie pomyślała, gdy dowiedziała się o śmierci Basi.

- Zrobiło mi się słabo. Zamknęłam się w domu i krzyczałam. Emocje we mnie rosły i zaczęłam je z siebie wyrzucać.

Gestem wskazała Krukowi ten fragment ściany, w pobliżu którego stały przybory malarskie. Pokrywały go bohomy, nakładające się na siebie ślady po maźnięciach pędzla ociekającego farbą w dziesiątkach, może setkach barw, tworzące coś na kształt spirali. Barwy krzyczały, budziły niepokój.

Kruk przyglądał się temu długą chwilę, szukając znaczeń. I mógłby powiedzieć, że malowidło niczego nie przedstawia, jest czystą emocją, idealną abstrakcją.

Zagadnął o jej relacje z Barbarą Malewską i dowiedział się, że ledwo się znały.

- Jakie jest pani zdanie w sprawie wydarzeń u sąsiada sprzed roku? - Spłoszyła się. Patrzyła, milczała, jakby nie rozumiała, więc Kruk uznał, że rozwinie pytanie. - Kto mówi prawdę? Pani sąsiad czy młodzi ludzie, którzy go odwiedzili?

- Prawda zawsze leży pośrodku.
- Prawda nigdy nie leży pośrodku, proszę pani.

Uniosła twarz i wykonała dłonią taki gest, jakby chciała odgarnąć włosy z czoła. Na jej czoło nie opadały żadne włosy. Za krótko je obrzępoliła.

- Nie chcę o tym mówić.

Ale Kruk chciał, bo wychwycił w jej głosie napięcie.

- Dlaczego?

Podciągnęła nogi pod brodę i objęła kolana rękami. Wzrok przeniosła za jego plecy, wpatrując się w kapiącą od emocji ścianę. Przytknęła twarz do kolan, niemal chowając się za nimi.

Kruk nie ponowił pytania. Czekał.

Westchnęła cicho, ale nie odezwała się.

Dalej czekał.

- Umie pan dochować tajemnicy?

Nieśpiesznie skinął głową. Chyba jej nie przekonał.

- Chcę się tym z panem podzielić, bo przecież powinnam powiedzieć policji, co widziałam, ale niech pan tego nikomu nie powtarza...

Znowu skinął głową.

- To nieprawda, że odeszłam od okna. Stałam tam cały czas i patrzyłam na nią. Ale się zamyśliłam, a gdy ponownie skupiłam uwagę, zobaczyłam go, jak stoi z Basią.

- Kto?

Niepotrzebnie się odezwał. Powinien był dalej kiwać głową i siedzieć cicho. Jego głos ją wystraszył.

- Kto? - powtórzył dużo ciszej i dużo bardziej łagodnym głosem.

Podeszła do niego na czworakach, a on nachylił się w jej stronę. Zaczęła szeptać.

Kruk dostosował się i po chwili szeptali do siebie oboje.

17

Kruk wyszedł z budynku, wsiadł do służbowej kii, gdzie czekał Maszyński, i streścił mu początek rozmowy.

- Czyli powiedziała ci to samo co mnie.

Maszyński zawrócił samochód i wjechał na Wileńską, a zamyślony Kruk milczał.

- Potem przyznała się - powiedział wreszcie - że trochę kłamała, a trochę nie powiedziała całej prawdy.

- Jakbym nie wiedział.

Samochód zatrzymał się przed rondem, czekając na szansę wjazdu.

- Chyba jednak nie wiesz. Nie tylko nie wycofała tego, że widziała Basię, ale widziała ją, jak rozmawia z Romanem Pruszyńskim, i jak potem razem wchodzi do domu.

Na Maszyńskim ta rewelacja nie zrobiła wrażenia. Twardy był.

- Czy to nie ten gość, którego zastrzelił Konieczny?

- Ten sam. Mówiła o nim dość czule.

- Aha. Historyjka się rozwija.

Samochód ruszył, wjeżdżając w Jańskową Dolinę.

- Mógłbyś się trochę zdziwić. Ja się zdziwiłem.

- Jest szalona. Ma pusty dom i pustą głowę.

- Dla dobra sprawy przyjmijmy, że jednak jest trochę normalna. Akurat tyle, ile nam wystarczy. Co to oznacza?

- Że kłamie.

- Możliwe. A jeśli nie kłamie?

- Widzi zmarłych.

- Bądźmy konsekwentni i przyjmijmy, że jednak nie widzi.

Stanęli na światłach. Maszyński gapił się przez przednią szybę, unikając wzroku Kruka.

- Mówiłem, że będzie z tobą ciekawie, ale jest nawet lepiej. Więc co, Pruszyński i Malewska żyją?

- Gadasz bez sensu.

- Więcej nie zgaduję.

- Kiedy dwoje zmarłych przychodzi pod twój dom, to zawsze coś znaczy - rzekł Kruk.

Maszyński wreszcie na niego spojrział.

- Pod mój dom akurat nie przyszli.

- Duchy nie nawiedzają żywych bez powodu.

- A jaki miały powód nawiedzić Niemicką?

- Dowiemy się tego. Jesteśmy policja.

- Ale nie łowcy duchów. Dlaczego pozwalasz się okłamywać? Czemu nie wezwiesz jej do firmy, nie przesłuchasz jak świadka, nie weźmiesz na papier tych bredni, a potem nie wytrząśniesz z niej prawdy?

- Będę gadał, że nie mogła ich widzieć, a ona na to, że i tak ich widziała.

- Łatwo się rozsypie.

- Naprawdę chcesz ją zobaczyć w jeszcze większej rozsypce? - Kruk potrząsnął głową. - Póki co poznajmy bliżej panią Niemicką i zbierzmy trochę informacji o świętej pamięci Romanie Pruszyńskim, martwym gościu, który lubi ucinać sobie pogawędki na ulicy.

- My?

- Ty. Wiem, że to od cholery roboty. Poproś Marcina, niech przestanie się wygłupiać i da ci ludzi do pomocy.

- A on przestanie się wygłupiać i mi ich da?

Słońce wlewało się do samochodu.

Świat duchów zostawiali za sobą.

Słońce.

Popołudniowe słońce wyszło zza chmur i pokój Kruka na komendzie zalała fala blasku. Jak w sypialni dziewczyny, gdy już zabrano zwłoki, a Kruk całkiem rozsunał zasłony, żeby technik kryminalistyczny miał więcej światła.

- Po co tracisz tu ze mną czas? - spytał go wtedy Norbert Walakiewicz, robiąc zdjęcia przestrzeni pod łóżkiem.

Kruk nie wiedział, co odpowiedzieć.

Skąpany w słonecznym blasku technik odłożył aparat fotograficzny i ostrożnie wyciągnął spod łóżka iPhone'a. Przyjrzał mu się dokładnie, po czym schował do papierowej torebki na dowody i starannie opisał.

Ustalono, że telefon należał do ofiary.

Od tamtej pory telefon trochę podróżował, najpierw do laboratorium, gdzie zdjęto z niego ślady biologiczne. Potem specjaliści z komendy ściągnęli PIN zabezpieczający, aby ktoś taki jak Kruk mógł bez przeszkód wniknąć w prywatność dziewczyny i poznać tę część jej życia, którą utrwalała na komórce.

Miejsce znalezienia iPhone'a sugerowało, że telefon spadł podczas szamotaniny, może ofiara usiłowała po niego sięgnąć, kiedy jeszcze potrafiła sięgać po różne rzeczy. Sprawca nie zainteresował się telefonem, co kazało sądzić, że albo tego nie zauważył, albo aparat nie stanowił dla niego zagrożenia, a przynajmniej on tak uważał.

Albo po prostu o nim zapomniał, pomyślał Kruk, otwierając papierową torebkę na dowody i ostrożnie wyjmując smartfona. Możliwe, że zapomina się o telefonach, kiedy morduje się młode

kobiety.

Przeczytał krótki protokół informatyków przypięty do torebki.

Przeoglądanie zawartości zaczął od galerii zdjęć. W sumie dwieście siedemdziesiąt sześć pozycji w kilku folderach. Zastanowił się, czy to dużo, czy mało, biorąc pod uwagę, że niektórzy młodzi ludzie dokumentują każdą godzinę życia i wrzucają z tego relacje do serwisów społecznościowych.

Doszedł do błyskotliwego wniosku, że mało.

Były to fotografie denatki z osobami w jej wieku, a także trochę zdjęć rodzinnych. Kruk rozpoznał Iwonę Malewską i Grzegorza Koniecznego, obejrzał kilka selfie Basi.

Uderzyło go, jak rzadko się uśmiechała. Jakby wiedziała, że wkrótce umrze, i ten fakt trochę ją martwił. Czy takie rzeczy się wie? Oczywiście, że nie. Nie ma się o tym pojęcia. A może mrok wysyła sygnały, które się ignoruje, o których nikomu się nie mówi, ale one istnieją i gdyby umiało się czytać ich znaczenie, można by przewidzieć własną śmierć?

Na korytarzu ktoś trzasnął drzwiami. Kruk był mu wdzięczny, bo to trzaśnięcie wyrwało go z bezsensownych rozważań. Przeoglądał kolejne foldery, myśląc o tym, że jeden Maszyński to za mało, aby odszukać ludzi z tych fotografii i porozmawiać z nimi o Basi.

W protokole była wzmianka, że informatycy skopiowali z pamięci telefonu zabezpieczony hasłem, ukryty folder.

Prace nad złamaniem zabezpieczeń trwały.

19

Grzegorz Konieczny od wielu godzin siedział w fotelu i ledwie kilka razy się poruszył. Nie spał. Patrzył przed siebie, czasem o czymś myślał, ale najlepiej się czuł, kiedy udawało mu się nie myśleć o niczym.

Odesłał wszystkie przyjaciółki Iwony.

- Nadal pacyfikuję ją lekami - mówił, jakby to miało znaczenie.

Tych przyjaciółek i tak nie było wiele. Tragedia odstrasza ludzi, a im tragedii nie brakowało.

Z sypialni dobiegło ciche szuranie. A więc ostatnia dawka leków właśnie przestawała działać.

Pomyślał, że powinien przygotować Iwonie coś do jedzenia. Rano, na jego usilne prośby, zjadła pół kanapki. Usiadła z nim przy stole, ale tak naprawdę była daleko. Kilka razy pytała o to samo, a odpowiedzi do niej nie docierały.

Tylko raz wykazała jasność myślenia, gdy zapytała o śledczego:

- Przychodził jeszcze?

- Kruk?

- Polubiłam go.

- Pamiętasz policjantów, którzy zatrzymali Dariusza? Też udawali, że są po naszej stronie. A jacy się stali potem?

- Polubiłam go - powtórzyła i znowu odeszła w swój świat.

Za drzwiami sypialni Iwona cicho zakaszła. Grzegorz pomyślał, że podniesie się z fotela, dopiero gdy siostra otworzy te drzwi. A przez najbliższe sekundy wciąż może nie robić nic.

Musiał zbierać siły na jutro. Jutro będzie ważny dzień. Jutro Darek wyjdzie na wolność.

A jeśli Kantowi się nie uda? – przemknęło mu przez głowę i poczuł falę niepokoju. A jeśli sąd uchyli wniosek?

Próbował się uspokoić. Nie tak dawno pytał o to Kanta w jego kancelarii:

- Dużo pan przegrał spraw?
- Sporo.
- Czyli nie jest pan zbyt dobrym adwokatem?
- Ci najlepsi, którzy nie przegrywają, nie wezmą tej sprawy.
- Dlaczego?
- Bo jej nie wygrają, a chcą pozostać najlepsi.

Grzegorz pamiętał poczucie beznadziei, które go wtedy opanowało.

- A więc na tym to polega?
- Nie całkiem. Adwokaci, którzy nie przegrywają spraw, mają jeszcze jedną wadę.

- Jaką?

- Nie istnieją. Gdyby brali tylko takie sprawy, które da się wygrać, klepaliby biedę. Często jedyne, co można uzyskać, to niższy wyrok. Proces to nie ring, na którym prokurator i adwokat mają równe szanse i ten lepszy obije drugiego po pysku. Przede wszystkim liczy się materiał dowodowy.

- Materiał dowodowy w naszej sprawie jest przeciwko nam.

Adwokat uśmiechnął się lekko.

- Trzeba to zmienić.

- Jak?

- Układ jest taki: pan płaci i nie zadaje pytań. Ja robię.

- Mam panu zaufać?

- Czy wspomniałem coś o zaufaniu? Pan płaci, tylko tego od pana chcę.

- A jaką mam gwarancję, że...

- Żadnej. Nie kupuje pan pralki.

- Jeśli mnie pan oszuka...

- Bez gróźb, proszę. Na groźby pozwalam dopiero klientom. Pan jeszcze nie został moim klientem. Nic sobie nie kupiłem za pańskie pieniądze.

Nadal wpatrując się w zamknięte drzwi sypialni, Grzegorz Konieczny czuł walenie serca. Adwokat był odrażającą postacią, ale jedyną, która dawała nadzieję.

- Wierzy pan w wersję brata? - spytał Kant w trakcie tamtej rozmowy.

- Tak.

- Na pewno?

- Postawiłbym na to wszystko, co mam.

- Będzie pan miał okazję. A więc świadkowie oskarżenia kłamią?

- Tak.

- Jest pan tego pewien?

- Do diabła, przecież powiedziałem, że tak.

Adwokat milczał chwilę.

- Możemy próbować podważyć ich zeznania, szukać niekonsekwencji, zakwestionować wiarygodność. Pański poprzedni pełnomocnik właśnie to starał się zrobić, prawda? I gdyby go pan nie pogonił, już byłoby po sprawie. - Gdy Konieczny skinął głową, Kant dodał: - Sam pan widzi. Możemy próbować zrobić to lepiej, ale z takim podejściem nie wiązałem wielkich nadziei. Na szczęście pojawiły się nowe dowody.

- Jakie dowody?

- Przedstawimy zeznania własnych świadków, którzy widzieli rzeczy mogące nam pomóc.

- Jakich świadków?

- Wciąż pan zadaje pytania, zamiast płacić.

- Chce pan powołać fałszywych świadków?

Twarz adwokata zmieniła się. Był to groteskowy widok, biorąc pod

uwagę, że Kant w pełni panował jedynie nad połową twarzy.

- Nie postawiłbym przed sądem fałszywych świadków, to byłoby niemądre, nieskuteczne i nieetyczne. Ja chcę powołać prawdziwych świadków, których zeznań nikt nie podważy, bo będą absolutnie wiarygodni.

- Mój Boże - powiedział cicho Grzegorz Konieczny.

- Też jestem religijny, ale Bóg szanuje niezawisłość sędziowską i nie uczestniczy, gdy wydawane są wyroki. Skoro świadkowie oskarżenia kłamią, a sąd wierzy w ich kłamstwo, musimy ocalić sąd przed piekłem sądowej pomyłki, dając świadectwo prawdzie.

Grzegorz Konieczny zacisnął wtedy dłonie w pięści. Zaciskał je i teraz.

- Pan powiedział, że wierzy bratu. - Słowa adwokata brzmiały mu w uszach. - Dlaczego więc ma pan obiekcje, by nasi świadkowie uwiarygodnili przed sądem prawdziwą wersję wydarzeń?

Grzegorz Konieczny pochylił się teraz w fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Przyniosło mu to ulgę.

Kant w jego głowie wciąż mówił:

- W zeszłym roku wydano w Polsce tysiąc sześćset wyroków za składanie fałszywych zeznań. Z tego ponad tysiąc w zawieszeniu. Jakieś pięćset grzywien. Dla mnie wniosek jest prosty: w sądach można bezkarnie kłamać, oczerniać i pogrążyć ludzi... Ale można też ich wybielać...

Grzegorz Konieczny poczuł dłoń na ramieniu.

- Grzesiu...

Oderwał ręce od twarzy. Iwona stała przy nim znużona i zrozpaczona, ale w jej wzroku była troska.

Nawet nie zauważył, jak przyszła.

- Spokojnie - powiedziała.

Pocałował jej dłoń, wstał i sięgnął po specjalny telefon. Wybrał specjalny numer, stworzony wyłącznie na jeden użytek.

- Słucham? - usłyszał w aparacie głos Kanta.
- Czy wszystko w naszej sprawie w porządku?
- Tak, bo wpłynęły od pana pieniądze. Świadkowie czekają, wszystko jest na dobrej drodze. Nie trzeba się niczym martwić. Nie ma takiej potrzeby.

20

Kruk wyskoczył na hamburgera. Stał przed burgerbusem, z którego dochodził zapach dobrze doprawionego mięsa. Spojrzał na menu i niemal wybrał, gdy zadzwonił telefon.

- Bardzo zajęty? - usłyszał w aparacie głos Maszyńskiego.

- Co jest?

- Mam tu przyjaciółkę Barbary Malewskiej. Mówi ciekawe rzeczy. Zgodziła się podjechać ze mną na komendę.

Gdy Kruk wszedł do pokoju przesłuchań, na krześle kuliła się młoda kobieta, do której Maszyński przemawiał jak do dziecka. Wyglądał na zmęczonego.

- Jest komisarz. A to pani Marzena Korwicz, najbliższa przyjaciółka Basi Malewskiej.

Kruk mruknął coś, że mu przykro.

Patrzyła zalekniona, zaciskając dłonie w pięści i przyciskając je do brzucha, jakby trzymała w nich coś cennego. Nie trzymała w nich nic. Gdy się odezwała, jej głos zabrzmiał cicho, urywanie:

- Płakałam cały dzień i całą noc, gdy się dowiedziałam. Modliłam się, żeby Basia przyszła do mnie w snach. Nie przyszła. Teraz już nie płacę.

Kruk nie zdziwił się, że Basia nie przyszła, skoro jakoś w tym czasie odwiedzała akurat Justynę Niemicką. Twarz Korwicz zdradzała ślady tych długich przepłakanych godzin. Usta leciutko drżały. Wyglądała na szczerze poruszoną, przytłoczoną miejscem, w którym się znalazła, a przy okazji na nieźle afektowaną.

Można czuć szczerą rozpacz i jeszcze zrobić z tego teatr. Dało się.

- Niech mi pani o niej opowie - powiedział Kruk.

- Znamy się od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Na wszystkich zajęciach w jednej ławce, potem razem w gimnazjum i liceum. Dopiero studia nas rozdzieliły, ona poszła na pedagogikę, bo chciała uczyć. Ja wybrałam matematykę, bo... - Potrząsnęła głową. - Nieważne... Podobno byliśmy całkiem inne, ale my tak nie uważaliśmy. Wszystko odczuwaliśmy tak samo, tylko że Basia zawsze pokazywała ludziom uśmiechniętą twarz, niezależnie od tego, jak bardzo krwawiło jej serce.

- Kiedy krwawiło jej serce?

- Najbardziej wtedy, gdy jej ojciec umarł. A potem gdy znalazła w jego rzeczach zdjęcie dziewczyny, niewiele starszej od nas. I te słowa na odwrocie... niepozostawiające żadnych wątpliwości.

- Jakie słowa?

- Wyznanie miłości, które od wieków brzmi tak samo.

- Jak?

Podniosła wzrok, z którego wyczytał coś na kształt wyrzutu.

- Kocham cię i pragnę.

To nie było klasyczne wyznanie miłości, raczej wersja wzbogacona, ale Kruk nie skomentował.

- Był podpis?

- Basia mówiła, że nie.

- Pani nie widziała tego zdjęcia?

- Nie chciała mi go pokazać. - Westchnęła. - Była przejęta i zdezorientowana. Wygadała się tylko dlatego, bo przez chwilę podejrzewała, że dziewczyna może być jego córką od innej matki. Ale to wyznanie miłości... Minęły trzy tygodnie od śmierci ojca, nie zdążyła otrząsnąć się z szoku, a tu... Bardzo kochała ojca. Ja nigdy go nie lubiłam.

- Gdzie znalazła to zdjęcie?

- W domu wuja. Jej ojciec doglądał tego domu, gdy pan Dariusz wyjeżdżał w delegacje.

- Może zdjęcie należało do jej wuja?

Marzena Korwicz pokręciła głową.

- Pan Malewski miał tam coś jakby gabinet, trzymał trochę swoich rzeczy, różne papiery, i często tam pracował. To w tym gabinecie znalazła zdjęcie.

- Na pewno uważała panią za najlepszą przyjaciółkę?

W oczach Marzeny Korwicz pojawiły się łzy.

- Pan jej nie znał. Ukrywała się za uśmiechem i zaczęła mieć tajemnice, ale mnie kochała. Byłam ciekawa zdjęcia, jednak uszanowałam, że nie chce mi go pokazać. Tak tęskniła za ojcem... - Opanowała się. - Basia zaczęła mieć obsesję na punkcie tego zdjęcia. Wspomniała, że chodzi w miejsca, w których bywał jej ojciec. Na przykład siadała na ławce w parku, gdzie ojciec czasem chodził, wystawała pod jego biurem, przeglądała profile jego znajomych.

- Szukała twarzy ze zdjęcia?

- Zaprzeczała, ale jestem pewna, że tak. Któregoś razu zaprosiłam ją do kawiarni i poprosiłam, żeby spaliła to zdjęcie i przestała o nim myśleć.

- Rozumiem - powiedział Kruk.

- Rozplakała się. Wyszeptała, że jej ojciec chyba zrobił coś strasznego. Znalazła w jego rzeczach plecak z kobiecymi ubraniami.

- Z jakimi ubraniami?

- Nie mogłam z niej nic wyciągnąć, zalewała się łzami, było mi jej bardzo żal. Nigdy nie wróciłyśmy do tej rozmowy, bo niedługo potem poznała Leona Stompura i trochę dla niego zbzikowała. Zaczęła mnie unikać. Obchodził ją tylko Leon.

- Jak to się stało, że podjęła pracę?

Zmarszczyła się.

- Jaką pracę?

- Sprzątanie po domach.

- Basia? Nie znosiła sprzątanania. Nie mówię, że była bałaganiarą, ale gdzie i komu miałyby sprzątać? Za pieniądze?

Kruk nie odpowiedział. Podjął poprzedni temat:

- Nie wie więc pani, co za rzeczy miał jej ojciec? - Pokręciła głową. - Ani co takiego straszego zrobił? Powiedziała o tym zdjęciu i rzeczach matce?

Korwicz gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nigdy w życiu. Jej matka i tak była nieprzytomna z rozpacz. - Urwała i zapadła cisza. - Muszę do niej pójść, ale nie mam odwagi.

- Basia zidentyfikowała dziewczynę ze zdjęcia? - spytał Kruk.

- Po poznaniu Leona się zmieniła. Nigdy nie lubiła imprezowania, to był ledwie początek żałoby, a ona i tak zaczęła spędzać wieczory w Krypcie 66. Gdy dowiedziałam się, że Leon rzucił ją dla innej dziewczyny, sądziłam, że Basia się załamie, ucieszyłam się nawet, że będzie szukać u mnie pocieszenia. - Spojrzała na Kruka niepewnie. - A ona odpłynęła w ramiona jego kolegi, Antka. Nie była w ogóle zmartwiona.

Chwilę milczeli.

- Powiedziała pani, że Basia świetnie ukrywała uczucia.

Zamyśliła się.

- Niemal całkiem przestałyśmy się spotykać, gdy wygarnęłam jej, że robi się z niej puszczalska. Przysięgała, że to nieprawda, że z żadnym z nich nie spała.

- Uwierzyła jej pani?

Korwicz wzruszyła ramionami.

- Tak - powiedziała. - Może jestem naiwna, ale uwierzyłam. Myślę, że potrafiłam rozpoznać, kiedy coś przede mną ukrywa. Wtedy mówiła szczerze. - Westchnęła. - Chciałam, żeby między nami było jak dawniej, chciałam jej pomóc przetrwać najtrudniejszy czas, ale ją pochłaniali chłopcy. Po tej tragedii, kiedy pan Dariusz zastrzelił chłopaka z ich paczki, udało mi się kilka razy z nią spotkać. - Jej

twarz się zmieniała. - Któregoś dnia rozplakała mi się na rękach i szlochała tak strasznie, że się przeraziłam. Usiłowałam ją pocieszyć, zrozumieć. Nie chciała się zwierzać. Powiedziała tylko, że dla rodziny zniesie wszystko, że rodzina jest najważniejsza. Byłyśmy wtedy w mieszkaniu jej matki, a pani Malewska właśnie wróciła do domu. Basia natychmiast otarła łzy i zaczęła nakładać maseczkę z alg. Zrozumiałam, że to nie pierwszy raz. Gdy jej matka weszła do pokoju, Basia miała na twarzy zieloną maskę i wydawała się pogodna.

- Pytała pani Basię, co miała na myśli?

- Wtedy, gdy tak płakała, to był ostatni raz, kiedy dopuściła mnie do siebie. - Pokręciła głową. - Nie od razu dałam za wygraną. Wiele razy próbowałam nawiązać kontakt z moją Basią. Nie odbierała telefonów. Gdy przyszedłam do niej, skłamała, że gdzieś się śpieszy i zadzwoni. Nie zadzwoniła. Zamknęła przede mną swój świat. Próbowałam ją zrozumieć, ale ileż można próbować... - Uniosła wzrok, rozbłyły łzy. - Myśli pan, że mogłam ją uratować?

W jej lśniących oczach, w napiętych nagle rysach, w całej postawie kryła się niema prośba.

Kruk spełnił tę prośbę:

- Myślę, że nie.

21

Radek poszedł odprowadzić Marzenę Korwicz, a gdy wrócił, Kruk siedział zamyślony.

- Czyli tak - ocknął się. - Barbara Malewska znalazła w rzeczach ojca zdjęcie kobiety mniej więcej w jej wieku. Do tego plecak z kobiecymi ubraniami, który z jakiegoś powodu ją przeraził. Nie tylko jej ojciec nie żyje, ale okazuje się, że miał tajemnice. Dziewczyna podejrzewa go o coś, nie daje jej to spokoju. Chce odnaleźć kobietę ze zdjęcia. Zaczyna mieć sekrety przed najbliższą przyjaciółką, zdaje się, że też przed rodziną. A potem nagle zakochuje się w Leonie Stompurze tak mocno, że wszystko inne przestaje ją obchodzić, łącznie ze śmiercią ojca.

- Młode laski tak mają - mruknął Maszyński, który spojrział na zegarek w komórce. Dochodziła osiemnasta, a na dworze słońce wciąż było w pełni.

- Ale gdy Stompur ją rzuca, nie ma tragedii. Wiąże się z jego kolegą.

- Tak też bywa.

- Możemy bezpiecznie założyć, że jej zainteresowanie młodym Stompurem miało związek z tym, co znalazła. Łozowski powiedział, że młoda Malewska sprzątała u sąsiadki Stompurów, ale najbliższa przyjaciółka jest tą informacją zaskoczona.

Twarz Radka stężała. Odwrócił wzrok.

- Chcesz, żebym pojechał pogadać z tą kobietą? - spytał.

- Sam do niej pojedę. Do ciebie mam inną sprawę.

Radek skinął głową. Nie patrzył na Kruka.

- Przespacerujesz się do sądu. Jutro jest rozprawa Dariusza

Koniecznego, a Grzegorz Konieczny uważa, że jego brat z miejsca wyfrunie stamtąd na wolność. - Kruk dokładnie wyjaśnił Maszyńskiemu, czego od niego oczekuje. - Teraz jedź do dzieciaków.

- Kończymy na dziś? - Radek poderwał się, stężałe rysy złagodniały.

Chwilę później już go nie było.

Kruk ciężko odetchnął. Popatrzył za okno, na ten słoneczny dzień, który nie chciał się skończyć i nie skończy się jeszcze przez wiele godzin.

Poczuł się zmęczony. Też chciał wrócić do siebie.

Pomyślał, że do sąsiadki Stompurów pojedzie rano.

Rano mogło jej nie być.

Tak, rano mógł jej nie zastać, bo ludzie chodzą do pracy. Ta myśl nie sprawiła, że zmienił zdanie.

Zanim opuścił komendę, przeczytał jeszcze protokół z przeszukania domu, w którym ujawniono zwłoki Basi. I z przeszukania mieszkania Basi, a raczej mieszkania jej matki na Krzywoustego, którego dokonano tego samego dnia. Nie znalazł niczego, co przyciągnęłoby jego uwagę.

Przeczytał oba protokoły ponownie.

I znowu nic nie znalazł.

22

Ante zrobił swoje gładko i bez wysiłku, a drzwi stanęły otworem. Był w tym dobry, wiedział o tym i pożałował, że nie jest jak kiedyś, kiedy mógł częściej wykorzystywać swoje talenty. Wśliznęli się do mieszkania i stanęli w ciemności. Z sypialni dochodziło pochrapywanie jakiegoś faceta. Gdy podeszli bliżej, dał się wychwycić regularny oddech śpiącej obok kobiety.

Naciągnęli kominiarki. Zapłonęło światło pod sufitem.

- Pobudka, słodkie śpiochy - powiedział Ante.

Mężczyzna usiłował usiąść, ale Łozowski już był przy nim i pchnął na poduszkę.

- Nie pozwoliłem wstawać.

Kobieta potrzebowała dłuższej chwili, by odróżnić jawę od snu, a gdy to się udało, otworzyła usta do krzyku. Leon zakrył jej twarz dłonią w czarnej rękawiczce i wcisnął głowę w poduszkę.

- Ciii - wyszeptał.

Obaj młodzi mężczyźni ubrani byli na czarno, w prawych dłoniach trzymali teleskopowe pałki. Kobieta zaczęła się szarpać, więc Leon uniósł uzbrojoną rękę i oznajmił:

- Łeb ci rozjebię.

Podziałało. Znieruchomiała, zdjął dłoń z jej ust, wytarł o spodnie. Przyglądał się, jak dygocze.

- Czego chcecie? - wychrypiał mężczyzna.

Łozowski jednym mocnym ruchem ściągnął z nich kołdrę. Byli nadzy. Kobieta skuliła się, usiłując zasłonić się rękami.

- No, no - pokręcił głową Ante, czując narastające zadowolenie. - Co tu się działo? Jesteście małżeństwem?

- Chcecie pieniędzy? - powiedział mężczyzna. - Portfel leży na szafce.

- Pieniądze to nie wszystko. Oczywiście, że nie jesteście małżeństwem. Pan jest żonaty, panie Zabielski. A pani, droga pani Wasiukowa, czy pani nie jest zameżna?

Żrenice Zabielskiego były wielkości kropki. Głos mu drżał.

- Wiecie, kim jesteśmy?

- Zapytaj lepiej, kim my jesteśmy.

Na chwilę zapadła cisza. Wasiukowa próbowała obejmować obfite piersi rozczapierzoną dłonią i osłonić je przed ich wzrokiem, ale były zbyt wielkie, żeby taki numer mógł się powieść. Drugą ręką osłaniała się między nogami. Ante ocenił, że mogła mieć pod pięćdziesiątkę, miała bladą skórę i nie była w najlepszej formie.

- Kim jesteście? - powiedział posłusznie mężczyzna.

- Obyczajową grupą uderzeniową. Dbamy o wierność, zaufanie i dobry seks między małżonkami. Tępimy każdy przejaw złego prowadzenia się. A państwo, stwierdzam to z całą mocą, uprawiacie seks pozamałżeński i prowadzicie się źle.

Ante zauważył osłupiałe spojrzenie Leona, który nerwowo drapał się po prawym przedramieniu skrytym za luźnym rękawem czarnego golfu. Antego cała sytuacja zaczęła jeszcze bardziej bawić. Czuł się panem sytuacji. Ludzie byli przerażeni.

- Pośpieszmy się - rzekł Leon.

- Niby czemu? - Ante wzruszył ramionami. - Co masz zamiar potem zrobić?

- Chcę mieć już z głowy tę sprawę.

- Kurwa, jaki ty jesteś smutny.

- Wstawajcie - rozkazał Leon.

Rzucił Wasiukowej ubrania z krzesła, a ona zaczęła się niezgrabnie ubierać. Ante zły, że Leon się wtrącił, ruchem głowy wskazał Zabielskiemu, że ma robić to samo.

Byli tu, bo podsłuch nic im nie dał. Profesorek i pani jego serca zajmowali się wyłącznie sobą i spełnianiem swoich seksualnych fantazji. Zachowywali się jak dwójka zakochanych, choć właściwie nie rozmawiali o miłości, tylko o tym, co i w jakiej konfiguracji.

Można się było porzygać.

Ale Antemu się podobało, gdy przesłuchiwał nagrania. Zmartwił się dopiero później, kiedy ocenił, że niczego nie mają. Zdecydował, że muszą załatwić tę sprawę inaczej.

- Zbierajcie swoje graty - powiedział, gdy w końcu się ubrali. - Zmieniacie miejscówkę.

- Co chcecie z nami zrobić? - spytał Zabielski.

- Przeczekacie jutrzejszą rozprawę w ustronnym miejscu. Potem pojedziecie do domów, do stęsknionych małżonków. Nigdy nie wróćcie zeznawać. Bo jeśli wróćcie, to nie tylko rozwalimy wam małżeństwa i kariery, ale i puste łby. Jasne?

Stali nieruchomo, zupełnie zeszywniali.

- Jasne?

Gdy Zabielski milczał, Ante uderzył go w twarz.

Wasiukowa zaczęła płakać.

- Pakować się - warknął Ante.

Ante z pogardą patrzył na ich niezgrabne ruchy, gdy zaczęli otwierać walizki. Zabielski miał część rzeczy w drugim pokoju, więc Ante poszedł za nim. Miał ochotę mu znowu przyłożyć, ot tak, żeby więcej się działo.

Z sypialni dobiegł go odgłos szamotaniny, uderzenia, ktoś upadł, robiąc przy tym wiele hałasu. Ante chwycił Zabielskiego za kark i po chwili znaleźli się z powrotem w sypialni.

Leon stał nad powaloną na podłodze Wasiukową, która patrzyła na Leona z nienawiścią i strachem, ale nie była ranna.

To Leon wyglądał gorzej.

Rękaw prawej ręki miał rozerwany, Ante zauważył tam czerwone

ślady.

- Próbowwała uciec - warknął Leon. - Chwyciłem ją, a ona mnie podrapała.

Ante zawahał się. Nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób kobieta mogła go tak podrapać podczas próby ucieczki. Przemknęło mu przez głowę, że Leon kłamie, ale to nie miało sensu.

Pchnął Zabielskiego w stronę Wasiukowej.

- Odpowiadasz za nią. Jeśli znowu czegoś spróbuje, zapierdolę cię. Zabielski pomagał jej się podnieść. Ante kątem oka widział Leona, który przesadnie pokazywał, jak go boli.

- Pójdziecie z walizkami przodem, my za wami - powiedział Ante. - Wychodzimy przed blok, wsiadamy do białego busa, wy ładujecie się na tył i kładziecie twarzami do podłogi. Wszystko powoli, spokojnie, z uśmiechem. Zaraz zdejmujemy kominiarki. Nie starajcie się odwrócić i zobaczyć naszych twarzy, bo sytuacja się skomplikuje. Jasne?

Skwapliwie kiwali głowami.

Ante zrobił dramatyczną pauzę. Delektował się władzą.

- Będzie dobrze albo źle. Od was zależy.

23

- Basia potraktowała mnie instrumentalnie - powiedziała Zofia Warczak. - Wcale nie chciała u mnie pracować.

Jednak była rano w domu i odpowiadała na pytania, siedząc z dłońmi na kolanach. Miała kilka lat więcej od Kruka i smutek w głosie, bo wiedziała już, co stało się Basi. Aktualnie mieszkała sama. Mąż pływał, syn studiował. Kruk nie zadał sobie trudu, by zainteresować się gdzie.

- Jak to się stało, że pani ją zatrudniła?

- Potrzebowałam pomocy domowej i zgłosiłam się do agencji. Gdy zobaczyłam dziewczynę przy furtce z nosem w smartfonie, ale rzucającą wokół ciekawskie spojrzenia, zeszłam do niej. Okazało się, że nie przysłała jej agencja, przechodziła tędy i zatrzymała się, aby odpisać na mejla. Jednak ucieszyła się, gdy usłyszała o pracy. - Zofia Warczak pokręciła głową. - Zaprosiłam ją do domu, poprosiłam o dowód osobisty, wypytałam, kim jest i co robi. Okazało się, że studiuje pedagogikę. Widziałam ją pierwszy raz w życiu, ale wzbudziła moje zaufanie. Zatrudniłam ją na dwa tygodnie, na próbę. - Niespodziewanie klasnęła w ręce. - Była punktualna, grzeczna, staranna. A gdy znalazła złoty pierścionek w stercie kurzu za regałem, po prostu odłożyła go na półkę. Nawet nie poinformowała mnie o tym.

Zrobiła przerwę i popatrzyła na komisarza w taki sposób, jakby udowodniła coś ważnego.

Kruk zdążył już przyjrzeć się pokojowi i poczynić pewne założenia co do pani Zofii. Nie sprawiała wrażenia osoby, która pozwala, by za jej regałami narastały sterty kurzu.

- Pani podłożyła ten pierścionek?

- Tak. Podobała mi się jej uczciwość, podejście do pracy i urok osobisty, ale nie podobało mi się jej wścibstwo.

- Była wścibska?

- Podglądała sąsiadów. Podpytywała o nich. Rwała się do pracy w ogrodzie, bo mogła obserwować ich dom i narzucać się Leonowi, gdy pojawiał się na podwórku. To syn sąsiadów. Nie jestem głupia, a przynajmniej tak mi się wydaje. Szybko zrozumiałam, że Basia wcale nie znalazła się przed moim domem przypadkiem. Interesował ją Leon, chciała go poznać.

- Osiągnęła cel?

- Tak, ale nie wiem, kiedy do tego doszło. Jednego dnia on jej nawet nie zauważa, choć ona robi słodkie miny. Następnego dnia widzę, że witają się jak starzy znajomi. - Zofia Warczak zasmuciła się, że coś przeoczyła. - Wkrótce potem Basia zrezygnowała z pracy. Nie wytrzymała całych dwóch tygodni, szkoda. Ale widziałam ją raz przed ogrodzeniem, jak czekała na Leona. Wychodzili gdzieś razem. Ich znajomość miała straszny epilog, wie pan? - Jakby zdała sobie sprawę, że Kruk jest z policji, i dodała szybko: - Oczywiście, że pan wie.

- A ci Stompurowie?

- Tak?

- Co to za rodzina?

Spojrzeli w okno, bo jak na zawołanie do swojego ogrodu wyszedł Jerzy Stompur. Miał na sobie elegancką kurtkę. Wciągnął głęboko powietrze, rozejrzał się, po czym odkręcił zawór doprowadzający wodę do węża ogrodowego. Zaczął podlewać krzaki róż.

- Kamila uwielbiała te kwiaty - powiedziała Zofia Warczak. - Odeszła od niego, choć on nie może się z tym pogodzić i zgłosił jej zaginięcie. Od dawna nigdzie nie wychodzi, chyba że do ogrodu. Co się z nim stało... Nigdy nie widziałam mniej dobranego małżeństwa.

Ona go nie kochała, a on patrzył w nią jak w obrazek.

- Skąd pani wie, że go nie kochała?

- Wystarczyło spojrzeć. Ale mężczyźni są ślepi, widzą tylko swoją miłość i dopóki kobieta nie pójdzie do łóżka z innym, nie rozumieją, że patrzą w lustro.

- Znała pani dobrze Kamilę Stompur?

Uniosła wzrok lekko spłoszona.

- Dlaczego pan mówi o niej, jakby nie żyła?

- Chodzi mi o to, czy pani się z nią przyjaźniła, zanim zniknęła. Czemu pani uważa, że odeszła?

- Nie byłyśmy pokrewnymi duszami. Widziałam, że nie jest szczęśliwa, ale nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Wymieniałyśmy czasem uwagi o pogodzie, o tych kwiatach...

- Kłócili się z mężem?

- To kobieta, która nigdy nie podnosi głosu. On czasem krzyczał, ale ona go tonowała. Miała na niego niesamowity wpływ. Tylko raz słyszałam, jak Stompuruwa krzyczy, było to tego ostatniego wieczoru. Zmroziło mnie, gdy jej głos niósł się przez ścianę. Krzyczała, że od niego odchodzi, że więcej nie pozwoli, by ją gdziekolwiek więził, że tym razem odejdzie i więcej nie wróci. Przez to, że pierwszy raz słyszałam jej krzyk, wydał mi się dziwny i nienaturalny.

- Jak skończyła się ta kłótnia?

- Widziałam przez okno, jak wybiegła z domu. Pobiegła ulicą i straciłam ją z oczu.

- A on?

- Stał na progu, nie wiedząc, co zrobić. Miał dziwny wyraz twarzy. W końcu wsiadł w samochód i pojechał za nią.

Kruk patrzył na przygarbioną postać pośród kwiatów. Róże zaczynały rozkwitać, ta część ogrodu była najlepiej utrzymana, najpiękniejsza, jakby tam właśnie, pośród róż, kryła się jego dusza.

Głęboko nieszczęśliwy człowiek w eleganckiej kurtce włożonej do ogrodu i jego kwiaty - było w tym obrazku coś nierzeczywistego, jakiś utajony spokój.

- Kiedy wrócił?

- Nie wiem.

- A o co chodziło z tym zamykaniem?

- To powinien pan wiedzieć lepiej ode mnie. Gdy on zgłosił zaginięcie i przyszła policja, pytali mnie, czy wiem, że więził Kamilę wbrew jej woli w jakimś strasznym miejscu. Ale ja nic o tym nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że ona już raz od niego uciekła, ale potem wróciła.

Siedzieli w milczeniu.

Stompur odłożył wąż, zadziwiająco delikatnym gestem ujął w dłoń rozkwitający pąk róży i pochylił się nad nim. Kruk zdał sobie sprawę, że facet gada do kwiatu.

- Pytał pan, czemu sądzę, że odeszła. Całe lata czekałam, aż to zrobi. On strasznie ją kocha... Widzi pan, komisarzu, nikt nie udźwignie takiego ogromu miłości, jaki on miał dla niej. A już na pewno nie Kamila. Dziwię się, że tak długo wytrzymała.

24

Leon Stompur przyglądał się Brunonowi Kantowi i jego świcie. Była z mecenasem jego asystentka, śliczna dziewczyna o twardym spojrzeniu kelnerki, oraz ochroniarz. To właśnie ochroniarzowi Kant coś tłumaczył, raz po raz patrząc na zegarek. Był podenerwowany. Kilka razy usiłował dzwonić, ale tam gdzie dzwonił, nikt nie odbierał, co podnosiło jego zdenerwowanie do nowego poziomu.

Jego klient, Dariusz Konieczny, ubrany na tę okazję w granatowy garnitur, właśnie został doprowadzony pod salę i stał w otoczeniu dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, nie patrząc na nikogo. Leonowi odpowiadało, że Konieczny nie szuka kontaktu wzrokowego, podobnie jak to, że miał na nadgarstkach kajdanki.

To, co dla Leona i Antego było zmarnowanym czasem, który mogliby poświęcić na ciekawsze zajęcia, dla tego faceta, oskarżonego o zabójstwo, z pewnością było dużym wydarzeniem. Nie tylko dlatego, że znowu ważyły się jego losy, ale i dlatego, że mógł opuścić celę.

Brunon Kant po raz kolejny spojrzał na zegarek i po raz kolejny pokręcił głową.

- Ale się poci - mruknął Ante, nachylając się do ucha Leona.
- Głupi ćwok.

Leon specjalnie powiedział to głośno, żeby tamci usłyszeli. Nie patrzył w ich stronę, mimo to czuł, jak osiadają na nim ich spojrzenia i jak się cofają. Pozostał tylko wzrok tego ochroniarza. Leon jeszcze chwilę czekał i spojrzał mu prosto w oczy.

Po krótkiej wzrokowej przepychance ochroniarz odwrócił wzrok.

- Wygrałeś - zachichotał Ante. - Podobają mi się ich miny.

Leonowi też podobała się obserwacja Kanta, jego sekretarki i pomagiera. Napracowali się, żeby to oglądać, i teraz zbierali owoce ciężkiej pracy.

Na końcu korytarza Leon dostrzegł wysokiego mężczyznę, który stał oparty o ścianę. Chciał pokazać go Antemu, gdy pojawił się ktoś jeszcze. Jeszcze zanim się zbliżył, Leon poznał Grzegorza Koniecznego.

Grzegorz z niepokojem spojrzał na brata, po czym przywitał się z Kantem.

- Wszystko w porządku? - spytał cicho, ale głos i tak poniósł się po korytarzu.

- Oczywiście - odparł Kant szybko.

- Gdzie świadkowie?

- Spóźniają się, ale nie ma się czym przejmować.

Grzegorz Konieczny jednak wyraźnie się przejął.

Leon czuł satysfakcję. Kant, pieprzona adwokacka menda, chciał postawić na miejscu dla świadków ludzi, którzy gotowi byli kłamać. Ci ludzie niczego nie widzieli feralnej nocy, w ogóle ich nie było tam, gdzie chcieli zeznać, że byli. Siedzieli teraz zamknięci w magazynku w Krypcie 66, gdzie nie było okien, jedynie ściany z czerwonej cegły, i mogli zastanawiać się nad sobą.

Leon uważał za ryzykowne targanie ich do Krypty, ale Ante miał inne zdanie. Zawiązał im oczy, żeby nie widzieli, gdzie jada, i uważał, że tyle wystarczy, aby nigdy nie trafili tam z powrotem.

Kant po raz setny tego dnia spojrzał na zegarek. To był drogi zegarek, ale nawet drogie zegarki wskazują tylko godzinę. Na moment zetknęli się wzrokiem.

Nadszedł prokurator. Z sali rozpraw wyszła młoda protokolantka. Rozpoczęło się sprawdzanie, czy strony są obecne i czy stawili się ci, którzy zostali wezwani.

Ten wysoki mężczyzna pod ścianą wciąż się gapił. Ante również go

dostrzegł.

- Pies?

- No chyba.

Na końcu korytarza pojawili się inni mężczyzna i kobieta. Leon przez moment poczuł niepokój, że może więźniom Krypty udało się uwolnić i przybyli na rozprawę, ale to nie byli oni. Tej dwójki w życiu nie widział. Mężczyzna był lekko szpakowaty, w okularach, kobieta przygarbiona, choć starała się iść prosto.

Kant niecierpliwym gestem kazał im się pośpieszyć.

- Pani Piwonia Wasiuk? - spytała protokolantka, a przygarbiona kobieta uniosła rękę. - Pan Adam Zabielski?

Mężczyzna w okularach potwierdził, że jest.

Leon poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Ante stał obok nieruchomy i milczący, tylko jego oddech stał się urywany.

Kant rzucił im szybkie spojrzenie, w kącikach jego ust zamigotało coś, co mogło być śladem uśmiechu. Protokolantka zniknęła w sali rozpraw, aby poinformować skład sędziowski, że mają komplet.

- Kto siedzi w Krypcie? - szepnął Ante.

Ochroniarz Kanta obejrzał się na nich. Wyszczерzył zęby i zbliżył na odległość kilku kroków. Przekrzywił głowę.

- Dzień dobry, panie Ante - powiedział głośno, a potem zaczął szeptać: - Szosza, szosza, w dupę walić przygłuposza.

25

- Iwona czeka, przygotowała obiad - powiedział Grzegorz Konieczny, kładąc dłonie na kierownicy.

Bmw, które jeszcze nie ruszyło z parkingu w pobliżu gmachu sądu, należało do Dariusza, ale odkąd stracił wolność, jeździła nim Iwona. Brat patrzył przez szybę, wciąż oszołomiony wydarzeniami ostatnich godzin.

Na wniosek Kanta sędzia zgodziła się zwolnić go od razu. Musiał jeszcze zgłosić się do aresztu, załatwić formalności i odebrać depozyt, ale to mogło poczekać.

- Zawieź mnie do Sopotu.

- Możemy pojechać tam później, jeśli chcesz się przejść.

- Chcę jechać teraz.

W Sopocie poszli deptakiem Monte Cassino, kierując się w stronę morza. Grzegorz kupił bilety i weszli na molo. Wiatr od morza smagał ich twarze, był chłodny, przyjemny i szumiał w uszach.

Dariusz głęboko wciągnął powietrze do płuc, przymknął oczy.

- Chciałbym się napić.

- Od tego chcesz zacząć?

- Na tym skończyłem.

- Nie wiem, jak tam wytrzymałeś. W zamknięciu.

Grzegorz pomyślał, że sam by tego nie wytrzymał. Przyszło mu na myśl, że wolałby umrzeć. Ale nie powiedział tego na głos.

- Czasem chciałem umrzeć - odezwał się Dariusz. - Tamto miejsce to piekło.

Pomimo płatnego wstępu, na molo spacerowało wielu ludzi. Dariusz przymknął oczy.

- Pięknie tutaj.

- Kant się spisał. Ma nagrania z porwania tych ludzi, których wystawił chłopakom. Jeśli będzie trzeba, podważy ich wiarygodność albo całkiem udupi gnojków.

- Skąd miałeś pieniądze na tego oszusta?

- Sprzedałem mieszkanie.

Dariusz jeszcze raz wciągnął powietrze. Otworzył oczy i spojrzał na brata.

- Swoje ukochane mieszkanie w Krakowie? Trzeba było sprzedać mój dom.

- Za długo by trwało, a u mnie pojawił się okazyny kupiec. Dostałem świetną cenę.

Dariusz zatrzymał się przy drewnianej poręczy molo, oparł o nią i patrzył na morze pod słońce. Promienie odbijały się od drobnych fal i uderzały go w twarz.

- Była u nas policja - rzekł Grzegorz.

- Robią, co muszą.

- Śledztwo prowadzi komisarz Sławomir Kruk. Nie wiem, co o nim myśleć.

- Nic nie myśl.

- Zrobił dobre wrażenie na Iwonie. Pytała o niego. Chce z nim rozmawiać. Ja kazałem mu iść do diabła.

- Niepotrzebnie, Iwona ma rację.

- Mamy współpracować z policją? Po tym, co ci zrobili?

- Ja już przestałem być ważny.

- Od komisarza nic się nie dowiemy. Oni nie odpowiadają na pytania, tylko je zadają.

- Będziemy więc słuchać, o co pytają.

- Te gnojki, przez których siedziałeś...

- Zajmiemy się nimi. Musisz dać mi trochę czasu, to mój pierwszy dzień na wolności.

- Basia miała odciętą dłoń pod głową, położono ją do łóżka, żeby wyglądała, jakby spała. Pamiętasz, co mi mówiłeś?

- Daj mi czas, proszę. Tylko ten jeden dzień.

Mijały ich spacerujące pary. Młodzi ludzie, dziewczyny, tak bardzo podobne do Basi.

Grzegorz pomyślał, że brat ma rację. Nie powinien naciskać.

- Iwona jest w bardzo złym stanie.

- Dostała pomoc?

- Gdy ją zobaczysz... To będzie trudne.

W oczach brata dostrzegł, że on wiedział, że będzie. Dlatego odwlekał tę chwilę. W końcu jednak zeszli z molo, wsiedli do samochodu i wrócili do Gdańska.

Gdy weszli do mieszkania, czekał na nich gorący obiad, zapalone świece, ale Dariusz nie usiadł od razu do stołu. Przytulił siostrę, stali w przedpokoju kilka długich minut, nic nie mówiąc, tylko się obejmując, potem powiedział kilka spokojnych słów, odprowadził ją do salonu i poszedł wziąć prysznic.

Grzegorz Konieczny usiadł obok Iwony na sofie i czekali w milczeniu.

Dariusz wyszedł z łazienki po dwudziestu minutach.

- Musiałem zmyć z siebie tamto miejsce...

- Przez jakiś czas zamieszkasz u mnie, dobrze? - powiedziała Iwona.

Chłodny obiad jedli niemal w milczeniu. Grzegorz Konieczny patrzył to na brata, to na siostrę, i z trudem to wytrzymywał. Basię skrzywdzono najbardziej, ale jej już nie było. Była Iwona, która zebrała się w sobie dla Darka, ale na długo nie starczy jej sił. I był Darek, który mógł wreszcie być z nimi, ale nie dostał szansy, aby się z tego cieszyć.

Było cierpienie. Tylko to było.

Po obiedzie Grzegorz zaparzył kawę. Pili ją w tym samym

milczeniu, oni przy stole, ona przesiadła się na sofę. Odwlekali, ile mogli, rozmowę, która i tak musiała się odbyć.

Wreszcie Dariusz podniósł się zza stołu, usiadł obok siostry, przytulił ją.

- To, o co cię poproszę, będzie trudne.

Grzegorz zauważył, jak Iwona sztywnieje w ramionach brata. Chciał mu przeszkodzić, ale tylko odwrócił głowę, żeby na to nie patrzeć.

Głos Dariusza był spokojny, cichy, kojący.

- Opowiedz mi dokładnie i ze szczegółami, co zrobiono Basi.

26

Kruk spotkał się z policyjnym analitykiem, któremu Radek dał zlecenie na przejrzenie profili społecznościowych Barbary Malewskiej i jej znajomych. Gwałtowna śmierć dziewczyny przeraziła tych, którzy ją znali, i zaciekała tych, którzy znali ją mniej. Wszystkie te reakcje zostały utrwalone cyfrowo, aby ktoś zainteresowany, na przykład policyjny spec, mógł sobie na nie popatrzeć.

Barbara Malewska nie udzielała się nadmiernie ani na Facebooku, ani na Instagramie. Analityk wykonał dobrą robotę, wyodrębniając grupę bliskich i dalszych kontaktów, a potem kopiując w tysiącach wpisów z dalszej i bliższej przeszłości. Mimo ogromu wykonanej pracy w niczym to Krukowi nie pomogło.

Maszyński usiłował odtworzyć ostatni dzień życia Malewskiej. Nikt jej nie widział w sobotę. Położenie komórki sugerowało, że telefon leżał w domu Dariusza Koniecznego, ale położenie telefonu a obecność osoby to dwie zupełnie inne sprawy.

Mogła przebywać tam, gdzie leżał jej telefon, albo zupełnie gdzie indziej. W niedzielę nastąpiły dwie próby połączenia, każde nieodebrane.

To matka próbowała się skontaktować z Basią.

Właśnie na skutek braku kontaktu wybrała się następnego dnia rano do domu brata i znalazła ciało.

Dwa dni wcześniej Iwona Malewska spędziła z córką cały dzień i nie od razu zaczęła się niepokoić. Basia miała uczyć się do poprawki egzaminu, który oblała w letniej sesji. Studia były łatwe, ona zdolna, ale i tak słabo jej szło. No i zaplanowała generalne

sprzątanie domu przed powrotem wujka.

Zrobiła to starannie. Umierała w czystym domu. Tak twierdzili technicy kryminalistyczni, którzy przeryli dom wzdłuż i wszerz.

Po południu Kruk opuścił budynek komendy i spotkał się z Maszyńskim na Długiej. Wysłuchał sprawozdania z rozprawy Koniecznego.

- Skąd wzięli się nowi świadkowie? - spytał, gdy Radek skończył.

- Wypętlili spod kamienia. Bali się zeznawać, bo zeznania wiązały się z ujawnieniem ich relacji, a oboje mają małżonków. Ale niewinny człowiek siedział w więzieniu, mieli wyrzuty sumienia i wreszcie zdecydowali się mówić.

Radek relacjonował przebieg rozprawy tonem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. Ale wyglądał na zde gustowanego.

- Długo im to zajęło. Ile siedział Konieczny?

- Prawie dziesięć miesięcy. Póki co odzyskał wolność, ale to jeszcze nie uniewinnienie.

Kruk zamyślił się, wgapiając się w budynek poczty, z którego wychodzili i do którego bez przerwy wchodzili ludzie. Obaj z Maszyńskim rozpierali się na ławce, bo Radek miał odebrać prywatną przesyłkę. Padał lekki deszcz, taki bardzo lekki, i było przyjemnie.

- Tak jak chciałeś, przyjrzałem się oskarżonemu - rzekł Radek. - Moim zdaniem będą problemy.

Kruk też tak sądził. Przed oczami miał Grzegorza Koniecznego zlizującego z serwetki krew siostry.

- Takie sprawia wrażenie?

- Mówię ci, będą problemy - powtórzył Maszyński.

Kruk zastanowił się, co powinien z tym zrobić. O ile mógł z tym zrobić cokolwiek.

- Co teraz? - spytał Maszyński.

- Popytałem dziś rano o tego policjanta, który nie przyjął

zawiadomienia o przemocy domowej od Kamili Zdrojewskiej-Stompur. Gość już nie pracuje w policji.

Maszyński spojrzał na Kruka zdziwiony.

- A co to ma do naszej sprawy?

- Nie wiem. Może nic.

- Po co za tym chodzisz?

- Bo może coś jednak ma.

Radek nie wyglądał na przekonanego.

- A zdjęcie, które znalazła Malewska? To nas nie interesuje?

- Nas interesuje wszystko, nie możemy tylko zajmować się wszystkim naraz.

- I Zdrojewska ma priorytet?

- Poprosiłem też prokurator Krynicką, żeby zorganizowała nam dostęp do akt śmierci ojca Basi, Waldemara Malewskiego. Przejrzyj je i porozmawiaj z tymi, którzy wtedy przyjechali na miejsce. Może się czegoś ciekawego dowiesz.

- Bo ty zajmować się będziesz Kamilią Zdrojewską?

Kruk uniósł wzrok.

- Radziu, o co ci, kurwa, chodzi?

Maszyński wzruszył ramionami i poszedł na pocztę.

Kruk spojrzał na zegarek z komórce. Dochodziła szesnasta trzydzieści. Za parę minut miał spotkanie z Moniką Paczulską, która nie tolerowała spóźnień, a od komendy był kawałek drogi.

Wrócił na komendę i skierował się prosto do biura Marcina Zycha.

- Chcę założyć ogon pewnemu facetowi - powiedział.

- Komu? - spytał naczelnik wydziału.

- To będzie zwykła rozmowa.

Monika Paczulska wysunęła krzesło i ustawiła je tak, żeby biurko nie oddzielało jej od Kruka. Usiadła, nie krzyżując rąk ani nóg, przyjmując postawę, którą oni nazywają otwartą, i spodziewał się, że zada kilka błahych pytań, dbając o przyjazny ton głosu.

Kruk też się starał, żeby jego ciało nie wysyłało sygnałów, które mogłyby zaniepokoić policyjną panią psycholog. Trochę go to kosztowało, pomieszczenie było cholernie małe, było mu gorąco. Podobało mu się jedynie to, że siedzą tak blisko siebie.

- Masz dość? - spytała.

- Czego...

- Tej pracy.

Przyglądał się jej spokojnie. Nie skomentowała jego piętnastominutowego spóźnienia, nie spełniła groźby sprzed dwóch dni, ale być może w związku z tym uznała, że mają mniej czasu i nie chciała go tracić na kontaktowe pytania.

- Nie.

- Widujesz na co dzień okropne rzeczy. Zwykli ludzie mogą przeżyć całe życie, nie zetknąwszy się z ułamkiem okropieństw, o które ty potykasz się na każdym kroku.

- Te okropne rzeczy robią zwykli ludzie zwykłymi ludziami.

Leciutko uniosła głowę.

- Spędzasz w pracy całe dni, zdarza ci się narażać życie, a w zamian dostajesz kiepską pensję, pretensje, niezadowolenie i skargi. Wielu policjantów wypala się po ośmiu, dziesięciu latach, ty pracujesz o wiele dłużej. Masz prawo mieć dość.

- Nie mam dość - mruknął. - Świetnie się bawię.
- W lutym o mało nie zginąłeś...
- Bywałem już w trudnych sytuacjach.
- To się kumuluje. Niektórzy wypijają pod rząd dziesięć kieliszków mocnego alkoholu i wciąż wydają się trzeźwi. Ale jedenasty zwala ich z nóg.

Uśmiechnął się.

- Ładna metafora. Ale ja nie piję, nie ćpam. Radzę sobie.
- Masz rację, że to metafora. Nie mówiłam o picciu.
- Mam znaleźć w sobie jakiś problem, żeby ci zrobić przyjemność?
- To tylko rozmowa.
- Tak, tylko rozmowa.

Na biurku leżały jego akta osobowe, które czytała przed jego przyjściem. Przygotowała się starannie do tej zwyczajnej rozmowy.

- Przejmujesz się pracą - stwierdziła.

Chciał ją zapytać, czy cały czas będzie mu objawiać rzeczy oczywiste, ale się powstrzymał. Lubił tę dziewczynę, mimo że była psychologiem.

- Jak spiasz? - spytała.
- Nie najgorzej.
- Miewasz jakieś dolegliwości fizyczne: bóle w klatce piersiowej, bóle jelit, głowy?
- Nie.
- Miewasz lęki? Jesteś podenerwowany, łatwo się irytujesz, miewasz napady paniki? Smutku? Depresji?
- Nie, Monika, wszystko jest w porządku.
- A jak z samokontrolą? Panujesz nad emocjami, takimi jak gniew czy agresja?

Zawahał się, ale nie dlatego, że to kłamstwo przychodziło mu trudniej. Skoro Marcin wielokrotnie z nią rozmawiał, musiała to i owo wiedzieć. Niezbyt wiele, Kruk nie spodziewał się, by Zych

wchodził w szczegóły ich pracy, ale coś wiedzieć musiała.

- Wszystko pod kontrolą.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się. - Wygląda na to, że jesteś w doskonałej formie zarówno fizycznej, jak i psychicznej.

Chwilę siedziała w milczeniu. Potem westchnęła i spojrzała na niego wzrokiem, którego nie potrafił odczytać.

- W lutym skatowałeś mężczyznę gołymi rękami, omal go nie zabiłeś, a potem usiłowałeś dokończyć, co zacząłeś, kopiąc go po głowie, gdy był już nieprzytomny. Na szczęście zostałeś powstrzymany.

Kruk drgnął. Tego się nie spodziewał. Nie wierzył, że Marcin jej to wyznał.

- Nikomu nie powiem - rzekła. - Ale ty opowiedz mi, jak to było.

- Nie.

Bardzo powoli podniosła głowę, a w jej oczach pojawiło się coś twardego.

- Załóżmy, że zabiłeś tego człowieka i naczelnikowi nie udało się tego wyciszyć. Załóżmy, że pytają cię o to wewnątrzni albo prokurator. Co im odpowiesz?

- To, co mi każe adwokat.

Zapadła cisza. Monika założyła nogę na nogę, opuściła głowę, patrzyła w podłogę.

- Od lat są na ciebie skargi, których z jakiegoś powodu nikt nie rozpatruje. Na początku tego roku o mało nie postawiono ci zarzutów o pobicie podczas przesłuchania. Jak się okazało, ten człowiek był niewinny.

- Do czego zmierzasz?

- Do tej pory miałeś zadziwiająco dużo szczęścia. Ale jeśli to będzie trwać, szczęście się skończy, bo szczęście zawsze się kończy, i pewnego dnia przekroczysz granicę.

- Jaką?

- Taką, której nie chcesz przekroczyć.

- Powiesz mi, o co naprawdę tu chodzi? Oceniasz, czy wciąż nadają się do służby?

Patrzyła na niego zza okularów. Bardzo spokojna, kompetentna, bardzo czujna.

- Jeśli się pomylę, a ty zawiedziesz, będę współwinna.

Kruk milczał długą chwilę.

- Tamten facet, którego omal nie zabiłem, obciął przy mnie palec kobiecie i zamierzał nas oboje zastrzelić. Torturował inną kobietę... zadręczył ją na śmierć.

- Nie jesteś sądem.

- Nie jestem. Ale chciałem ją uratować.

W jej oczach na mgnienie pojawiło się coś, co bardzo usiłowała ukryć, poprawiając okulary.

- Ta nowa sprawa niezwykle cię poruszyła, prawda?

- Może dasz mi jakieś testy, formularze, cokolwiek... Wypełnię je, ty je sobie obejrzysz i wystawisz opinię.

- Nie chcesz rozmawiać o sprawie?

- Jeśli testy wyjdą w porządku, nawet jeśli zawiodę, ty będziesz kryta.

W jej oczach zapalił się blask.

- Chcesz mnie sprowokować? Odwrócić moją uwagę, bo boisz się, że zapytam o inną sprawę, tę sprzed wielu lat? Naczelnik Zych opowiedział mi o tym, co stało się z jego siostrą. Podobno ty nigdy o tym nie rozmawiasz ani z nim, ani z Pawłem Lalkarzem, w ogóle z nikim.

Kruk nieśpiesznie wciągnął powietrze do płuc, potem je wypuścił. Był świadomy tego, jak zmienia się jego twarz, ale nie potrafił nic na to poradzić.

- Ani z tobą - powiedział wolno głosem, nad którym również nie panował, aż ona też zapomniała o panowaniu nad postawą, odchyliła

się i zaplotła ręce na piersi.

- Nie będziemy poruszać tematów, których nie chcesz poruszać.

- Ja myślę. To przecież zupełnie zwyczajna rozmowa, której stawką jest moja praca.

- Właśnie o to chodzi. To praca, więc nie możesz w każdej sprawie, którą dostajesz, widzieć tej osobistej sprawy sprzed lat.

Kruk pokręcił głową, przetarł palcami oczy.

- Proszę cię, Monika...

- O co mnie prosisz?

- Bez tych psychologicznych bzdur, proszę.

- Naprawdę uważasz, że to bzdury? - Rozplotła ręce, nachyliła się w jego stronę. - Jesteś tutaj, bo gdy prowadzisz śledztwo, angażujesz się i przestajesz być emocjonalnie stabilny. Nie siedzielibyśmy razem, gdybyś nie miał tendencji do przemocy i działał w ramach prawa. Rozumiesz?

On też się do niej nachylił. Mieli twarze naprzeciw siebie, byli blisko, tak blisko, że mogli się pocałować.

- A jeśli prawo nie wystarcza?

Wyprostowała się, w jej oczach znów pojawiło się to coś, co już raz zobaczył. I znów usiłowała to ukryć, majstrując przy okularach.

Wpadło mu do głowy, że sposób prowadzenia przez Monikę rozmowy to jakiś nowoczesny rodzaj testu osobowościowego. Nowa metoda, jak one wszystkie gównie warta, ale i tak ocenią go według jej wskazań.

Sięgnęła po akta.

- Studiowałeś filozofię. - Zajrzała do akt, jakby się upewniając, bo kierunek studiów to taka rzecz, której nie sposób spamiętać.

- Co z tego? - Usiadł wygodniej, usiłował się odprężyć, a przynajmniej taki się wydawać: odprężony.

- Dlaczego filozofia?

- Interesowały mnie te sprawy.

- Jakie?

- Sens życia, dobro i zło, tego typu problemy, którymi większość ludzi przestała się zajmować, odkąd wynaleziono telewizję.

- Nie godzisz się na zło?

- Monika, proszę...

- Sposób, w jaki z nim walczysz, ma znaczenie.

- Staram się. Czasami jest tego za dużo i rzeczy się komplikują.

Patrzyła na niego spokojnie. Była młoda, ale wyczuwał w niej dojrzałość znacznie starszej kobiety. Jeśli była dobra, to nie ze względu na swoje studia i odbyte kursy, ale na to, co miała w sobie od zawsze.

- Nigdy nie myślałeś o psychologii?

- Psychologię wybierają często ludzie, którzy mają problemy ze sobą. Ja nie mam problemu ze sobą. Mam problem ze światem.

Nic nie powiedziała. Też nie dała się sprowokować. Cisza się przedłużała.

- A może to tylko twoja arogancja?

- Kiedy facet wali głową żony o kaloryfer i sąsiedzi wzywają policję, to moja arogancja?

Znowu cisza.

- Co wtedy robisz? - spytała.

- Nic. Sama wiesz, że wojewódzka zwykle na takie rzeczy nie jeździ.

- A co chciałbyś zrobić?

- Domyśl się.

- Powiedz mi.

- Chciałbym, aby tego faceta nie było. Żeby takie rzeczy się nie zdarzały.

Skinęła głową, zamyśliła się.

Na jej twarzy pojawił się wyraz udręki. Wcale nie był pewny, czy zdawała sobie z tego sprawę.

Nie chciał, żeby z jego powodu czuła się źle.

Przez chwilę miał wrażenie, że Monika zbiera się, aby mu coś powiedzieć. I coś powiedziała:

- O wydarzeniach z lutego dowiedziałam się nie od naczelnika, ale od mundurowego, który był przy tym obecny. To młody człowiek, który w krótkim czasie przeżył kilka traum, i nie do końca sobie z tym radzi. Ale będzie milczał.

Kruk tylko skinął głową.

- Na dzisiaj kończymy - dodała pośpiesznie, jakby rozmowa zaczęła ją męczyć. - Jutro nie znajdę czasu, ale specjalnie dla ciebie przyjdę w sobotę.

Wstał. Zdał sobie sprawę, że to była dziwna rozmowa. Nie miał doświadczenia w takich sprawach i zastanawiał się, czy tak wygląda standardowa wizyta u psychologa.

Wyszedł, zamknął za sobą drzwi i głęboko kilkakrotnie odetchnął.

Przed pokojem Moniki czekał facet. Uniósł głowę i spojrzał na komisarza ciekawie.

Kruk zmieszał się.

Przywitali się.

- Konsultujesz jakiś przypadek? - spytał tamten.

Był młodszy, wyższy, podobno przystojniejszy, dochodziły sygnały, że może też zdolniejszy, a na pewno lepiej ubrany i cholernie z tego wszystkiego zadowolony. Kruk poznał go jakiś rok temu, bo facet był podkomisarzem w komendzie miejskiej, i od tamtej pory serdecznie go nie znosił bez żadnego powodu.

- Spytaj żony.

Facet roześmiał się.

- Nic mi nie mówi o pracy. Musiałbym zaaplikować jej przesłuchanie w twoim stylu, żeby coś z niej wyciągnąć.

Kruk uśmiechnął się uprzejmie na ten doskonały żart i zostawił faceta.

Poszedł korytarzem, ale usłyszał jeszcze, jak do tamtego wychodzi Monika, a podkomisarz mówi do niej „kochanie”, czule, ale odrobinę za głośno, jakby chciał dać do zrozumienia Krukowi, że Monika należy do niego. Albo zwyczajnie go wkurwić.

Kruk się nie wkurwił. Akurat nie miał na to sił.

Nie chciał tego przed sobą przyznać, ale czuł się rozczarowany. Naprawdę nie chciał tego przed sobą przyznać, bo gdzieś w głębi siebie liczył na to, że ta rozmowa, przed którą się wzbraniał, coś mu da. Że Monika mu pomoże.

Że magiczną siłą wyszkolonego znawcy umysłów odgadnie jego myśli, aby nie musiał ich wypowiadać na głos. I zrozumie go. I sprawi, że Kruk poczuje się lepiej. Że zacznie dłużej spać i sen przyniesie odpoczynek, a nie koszmary.

Nic takiego się nie zdarzyło.

Na nic takiego się nie zanosilo.

Nic z tego, pomyślał.

28

Kruk przyglądał się, jak podnośnik unosi ustawione na nim czarne mitsubishi. Stary mechanik w firmowym kombinezonie też się temu przyglądał, szykując się do wejścia do kanału.

- Pan komisarz?

Kruk odwrócił się. Stał przed nim wysoki ciemnowłosego mężczyzna, wycierając dłonie w szmatę, która kiedyś była czysta, ale dawno zdążyła o tym zapomnieć. Mężczyzna rzucił szmatę na stalową beczkę i wyciągnął rękę.

- Aspirant Leszek Kalicki? - spytał Kruk, ściskając tę rękę.

- Już nie aspirant. Dziwnie się poczułem, jak mi powiedziano, że policja mnie szuka.

- Jak?

- Jakby przeszłość za mną przyszła.

- Bo przyszła.

W oczach Kalickiego pojawił się nieokreślony wyraz, który szybko zniknął.

- Chodź pan - powiedział.

Przeszli obok trzech zajętych stanowisk obsługi pojazdów i podeszli do ogrodzenia.

- Nie zaproszę cię do biura, bo tam pełno klientów - rzekł były aspirant, który płynnie i bez ostrzeżenia przeszedł z Krukiem na ty. - Tu możemy pogadać. Jak mnie znalazłeś?

- Nie było trudno. Koledzy wiedzą, gdzie pracujesz.

- Pewnie, że wiedzą. Przyprawiają tu trupy, w które wyposaża ich firma. Czasem coś naprawiamy na boku, żeby te auta w ogóle się toczyły. Starym kolegom robię też prywatne kolubryny po dobrej

cenie.

- Mam do pogadania o sprawie, przez którą cię wylali.

- Nikt mnie nie wylał. Zaproponowali mi, żebym sam się zwolnił. Zrobili mi tylko przysługę: zarabiam więcej i mniej pracuję. Policja w naszym pieprzonym kraju to nie miejsce dla porządnych ludzi. Ty nie tęsknisz, żeby to rzucić?

- Ja nie jestem porządny.

Kalicki uśmiechnął się bez wesołości, zacisnął palce na pręcie ogrodzenia i popatrzył przed siebie.

- Ta sprawa była tylko pretekstem. Musiałem odejść, bo Zero Jeden mnie nie lubił. Za dużo myślałem.

- Może rzeczywiście za dużo.

Palce ze smarem pod paznokciami tak mocno ścisnęły ogrodzenie, jakby chciały je zmiążdżyć. Kalicki całkiem spoważniał.

- Pewnie powinienem wtedy przyjąć zawiadomienie tej kobiety.

- Czemu nie przyjąłeś?

- Zasugerowałem się. Na człowieka łatwo można wpłynąć. Byłem pewien, że kłamie.

- Dlaczego?

Kalicki zastanowił się.

- Przyszła donieść na męża. Babka po czterdziestce, ubrana jak milion dolarów, mini takie, że pół dupy widać, a grała pokrzywdzoną. Opowiadała, że się pokłócili, on zaciągnął ją do samochodu, wywiózł, nie wiedziała gdzie, uwięził, nie wiedziała gdzie, i odjechał. Najlepsze było to, jak ją uwięził. Rozebrał do naga i zamknął na klucz w stalowej szafie. Tkwiła tam, krzyczała, ale nikt jej nie słyszał. Przed świtem mąż wrócił i zabrał ją do domu jakby nigdy nic.

- Co dalej?

- Twierdziła, że nikt nie widział, jak ją wywoził, nikt nie słyszał nawet ich kłótni, bo mieli zwyczaj kłócić się szeptem.

- Szeptem?

Kalicki popatrzył na Kruka z wyrzutem.

- Widzisz? A co ja miałem o tym pomyśleć? No to pomyślałem, że coś z nią nie w porządku. Siedziała spokojna, mówiła, jakby recytowała książkę telefoniczną, żadnych uczuć, strachu, hysterii. Przeszło mi przez myśl, że łąże jak z nut, bo chce faceta wpięprzyć w jakieś gówno.

- A nie przyszło ci na myśl, że w takim wypadku udawałaby uczucia, strach, histerię?

Kalicki wzruszył ramionami.

- Dziwne to było, tyle ci powiem. Zacząłem ostrożnie podpytywać, czy ma coś na poparcie doniesienia, bo na razie będzie jej słowo przeciwko słowu męża. To wcale nie było tak, że nie chciałem przyjąć zawiadomienia. Po prostu uświadomiłem jej, że jak je złoży, a nie będzie miała czym podeprzeć, różnie to może się potoczyć, a tylko męża rozzłości. Zapytała, zupełnie bez gniewu, dlaczego podaję w wątpliwość jej słowa. Powiedziałem, żeby robiła, co chce, ale takie same wątpliwości będzie miał prokurator.

- Przekonujący jesteś, skoro odpuściła.

- Trochę pogadałem, dla jej dobra. No bo sam powiedz: to był początek maja, temperatury w nocy niskie, a ona naprawdę świetnie wyglądała. Na pewno nie jak ktoś, kto spędził noc w takich warunkach, jak chciała mi wmówić. I tylko gapiała się na mnie, słuchała, a potem siedziała bez ruchu. Wreszcie wstała, powiedziała, że chce iść, i poszła.

- Zapytałeś, dlaczego mieli zwyczaj kłócić się szeptem?

- Nietrudno było się domyślić.

- Zapytałeś?

- Żadnych rewelacji. Nie chcieli, żeby sąsiedzi słyszeli. Uchodzili za zgodne małżeństwo. Jak się tak bardzo udaje, ludzie się nabierają, no nie?

Niedaleko zaparkował opel corsa. Stał chwilę z włączonym silnikiem.

- Tłumik do zrobienia - mruknął Kalicki. - Aż w uszach przykro.

- Ta kobieta zniknęła - rzekł Kruk.

- Jakbym nie wiedział. Przez to musiałem odejść, bo zrobił się smród. Zniknęła nie pierwszy raz.

- Ale pierwszy raz się nie znalazła.

Twarz Kalickiego pozostała bez wyrazu. Zapatrzył się na maskę opła i nie odrywał od niej wzroku.

- Wciąż się nie znalazła... - powtórzył cicho.

Bardzo cicho.

29

Dzień minął Krukowi na pracy z dokumentacją. Sporo czasu zajęło mu spotkanie z technikiem. Koło siedemnastej do pokoju Kruka wtoczył się Maszyński. Wyglądał jak pijany, ale taki nie był. Był tylko zmęczony.

- Pochodziłem wokół śmierci pana Malewskiego. Rzeczywiście, tajemnicza sprawa.

- Tak? - spytał Kruk.

- Facet się zaćpał.

Maszyński czekał na reakcję. Wykorzystał ten czas, żeby usiąść i przymknąć oczy.

- Świetna robota. Gratulacje.

- Trzydziesty maja dwa tysiące piętnaście, dla faceta z początku dzień jak co dzień. Sobota, ale nie słodkie lenistwo, tylko praca, późny obiad w domu, narkotyki, czy też, jeśli wolisz wersję dla żony, znowu praca, tym razem w gabinecie na Migowskiej. Facet miał zwyczaj tam często nocować, wracał do domu na śniadanie spracowany, ale z uśmiechem na twarzy, lub nie wracał w ogóle, tylko dalej pędził do pracy, tym razem do prawdziwego biura.

- Tak było w aktach?

- Uśmiech i pędzenie dodałem od siebie.

- Radek, kurwa, trzymaj się akt, żebym nie musiał sam ich czytać.

- Ciało znaleziono na terenie dawnej stoczni w odległości kilkuset metrów od dzisiejszej Krypty 66. Toksykologia wykazała we krwi pełną tablicę Mendelejewa, brakowało tylko uranu.

- Znowu dodajesz od siebie?

Maszyński z wysiłkiem wyprostował się, usiłował otworzyć oczy na

całą szerokość.

- Ubarwiam, bo ledwo przebrnąłem przez te wszystkie papiery.

- A co pan Malewski robił na terenie stoczni?

- Komenda miejska uznała, że pracował, a że po godzinach, wspomagacze nikogo nie zdziwiły.

- Co to za praca?

- Jego szef, pan Jerzy Stompur, którego poznałeś, miał zlecenie od pana, którego również poznałeś, Łozowskiego, na remont i modernizację wnętrza hali postoczniowej, gdzie wspomniany pan Łozowski wraz z synem Antonim, osobą także ci nieobcą, zamierzali otworzyć knajpę, co jak już wiemy, powiodło im się mimo przeszkód.

- Maszyński ciężko odetchnął, bo prawdopodobnie wypowiedział najdłuższe zdanie w życiu. - Na kupę znajomych nazwisk natrafiłem w trakcie czytania.

- Ale i tak ledwo brnąłeś przez akta?

- Ledwo żyję. Wszystkiego mam dosyć. W nocy wstawałem do dzieciaka jedenaście razy. Dziś ja miałem dyżur.

- Macie dyżury do dziecka?

- Wiele par tak robi, jak oboje rodzice pracują. Za to przy śmierci pana Malewskiego się nie napracowano, bo nie znaleziono śladów wskazujących na udział osób trzecich w zdarzeniu, które uznano za wypadek. Przedawkowanie.

- Przyczyna śmierci?

- Pomieszał dragi z alkoholem i tabletkami na sen, co spowodowało niewydolność oddechową. Nic niezwykłego, ten sposób testowały największe sławy.

- Ale nie podczas pracy na terenie stoczni.

- Jego szef twierdził, że to drobne zlecenie i Malewski nie miał tam wieczorem nic do roboty. Nie chciał się przyznać, że ludzie robili u niego po godzinach.

- To znowu twoje?

- Nie, powtarzam wnioski, do jakich doszła miejska. Stompur w dodatku zeznał, że był z Malewskim umówiony tego wieczora i na niego czekał w restauracji Zachodnia, ale się nie doczekał, bo Malewski akurat zajęty był zadławianiem się na śmierć własnymi rzygowinami.

- Po co mieli się spotkać?

- Tego, zdaje się, nie sprawdzono. Nikogo to nie interesowało, bo nie miało nic wspólnego z wypadkiem.

Trzydziesty maja dwa tysiące piętnastego. Od śmierci Malewskiego minął ponad rok.

Ponad rok. Kruk uniósł wzrok.

- No, co jest? - spytał Maszyński.

- Kiedy zniknęła Kamila Zdrojewska? To też było jakoś przed rokiem.

Maszyński przewrócił kilka stron w notesie. Wkrótce z jego ust wyrwał się smętny gwizd.

- Przez to zmęczenie nie kojarzę faktów. Stompur zgłosił zaginięcie żony pierwszego czerwca dwa tysiące piętnastego. W tym czasie Kamili Zdrojewskiej nie było w domu już od dwóch dni.

30

- Podobało się? - spytał Jerzy Stompur ze szczytu swojego ganku. Miał na sobie taki sam T-shirt, jak podczas poprzedniej wizyty Kruka. Może był to ten sam T-shirt.

Komisarz zrozumiał, o co facet go pyta, ale to zignorował.

- Już pan zaczął pić czy jeszcze za wcześnie?

Tym razem nie musiał skakać przez płot. Bramka była uchylona.

- Na picie nigdy nie jest za wcześnie. Leona nie ma.

- Wspomniał mu pan, że o niego pytałem?

- Może. Może wspomniałem. Proszę zamknąć za sobą furtkę. Leon zawsze robi mi na złość i zostawia ją otwartą.

- Z której strony furtki mam się znaleźć?

- Mówiłem, że go nie ma.

- Chcę pogadać o pańskiej żonie.

Na nieogoloną twarz Stompura wypłynął nieprzyjemny uśmiech.

- A jednak się podobało. - Rozejrzał się, wypatrując czegoś na ulicy. - Nie widzę mundurowych.

- Jeszcze nie będę pana zamykał.

- To zamknij pan chociaż furtkę i chodź na kawę.

Stompur posiadał wielki nowoczesny ekspres stojący dumnie na szafce pod oknem, ale ten ekspres nic go nie obchodził. Zagrzał wody w garnku, choć na wyciągnięcie ręki miał też czajnik elektryczny. Nasypał kawy do kubków łyżką do zupy i zalał wrzątkiem.

Kruk zastanawiał się, czy robi to specjalnie.

Siedli w salonie, w którym nic się nie zmieniło od ostatniego razu, i pili tak przygotowaną zalewajkę.

Nie była najlepsza, ale i nie najgorsza.

- Nie podobało mi się - odezwał się Kruk.

- Pewnie, że nie. - W głosie Stompura pojawiła się gorycz. -
Policja zrobiła ze mnie potwora.

- Bez przesady, przecież nie policja to zrobiła.

- Zamiast szukać Kamili, skupili się na mnie. Dlaczego?

- Bo małżonkowie bywają dla siebie nawzajem najbardziej
niebezpieczni.

Stompur na chwilę schował się za kubkiem z kawą.

- Wiem.

- Ludzie, gdy są ze sobą zbyt blisko, łatwo skaczą sobie do gardeł.
Na przykład pan wpadł na pomysł zamknięcia żony w ciemnym
miejscu, choć miała klaustrofobię. A może zrobił pan to właśnie
z tego powodu, co każe mi sądzić, że jest pan okrutnym
człowiekiem.

- Potworem?

- Pan cały czas tak mówi. Chyba wezmę to na poważnie.

Jerzy Stompur zapatrzył się w zdjęcia zmieniające się w ramce na
regale. Gdy pojawiała się tam twarz Kamili Stompur, jego własna
zdawała się rozjaśniać.

Kruk uważał, że sporo z tych zdjęć było kiepskich, i nie rozumiał,
czemu zostały wgrane do albumu.

- Pana żona była spokojną osobą. Podobno rzadko podnosiła głos.

- Tak.

- Bo wiedziała, że gdyby go podniosła, pan mógłby ją ukarać?

- Kocham ją.

- To, że ktoś kogoś kocha, jeszcze nie znaczy, że nie robi mu
krzywdy.

Nagle rozwścieczony Stompur wyprostował się, chciał coś
powiedzieć, ale otworzył tylko usta i na tym się skończyło. Musiał
sobie uświadomić, że gdy wyrzuci Kruka, do czego wyraźnie się

zabierał, nie będzie miał z kim rozmawiać o żonie.

Znowu zapatrzył się na zdjęcia. Kruk poszedł w jego ślady.

Wydało mu się, że zaczyna dostrzegać pewien wzór.

- Nieudane te fotografie - stwierdził. - Wiele z nich.

- Czemu?

- Pańska żona nie patrzy w obiektyw. Ale to chyba cecha tych nowszych zdjęć, na starszych chętnie pozuje.

- Nie wiedziała, że ją fotografowałem. Nigdy by się na to nie zgodziła, więc musiałem to robić ukradkiem. Miała czterdzieści trzy lata i uważała, że dla kobiety to starość. Nienawidziła na siebie patrzeć, zaczęła mieć na tym tle obsesję. Miała o to pretensję do całego świata, ale świat nie miał jej na ten temat nic do powiedzenia i jedynie na mnie mogła się za to mścić. Uznała, że za karę powie mi prawdę.

- Jaką prawdę?

- Prawdę o nas. Byliśmy szczęśliwą rodziną, w każdym razie tak mi się zawsze wydawało. Nawet gdy się kłóciliśmy, to były tylko ciche przepychanki, w których ja ustępowałem. Kamila zmieniła się jednego dnia. Kiedyś, gdy wróciłem z biura, oświadczyła, że ma dosyć. Była bardzo pobudzona, gestykulowała, zalała mnie potokiem słów. Nie poznawałem jej, twarz miała zaczerwienioną, źrenice rozszerzone, a ja nie rozumiałem, o co jej chodzi. Powtarzała, że ją zawiodłem, że zmarnowała przeze mnie życie.

Urwał, bo na ekranie ramki pojawiło się zdjęcie z ich młodości. Kamila Stompur zdecydowanie nie uległa jeszcze swojej obsesji, bo patrzyła przed siebie, choć się nie uśmiechała. Za to obok niej uśmiechał się dumnie Jerzy Stompur, obejmując żonę ramieniem.

- Byliśmy zdrowi, w pełni sił, mieliśmy dziecko, firmę, pieniądze, przyjaciół. Ale nie chciała o tym słuchać. Nagle stała się zimna i obca, jakbym był jej najgorszym wrogiem. Mówiła, że nasze życie jest nudne i jałowe, jak życie wszystkich innych, a mogliśmy zająć od

nich znacznie dalej. Że była piękną kobietą, mogła mieć świat u stóp, a związała się z kimś takim jak ja. Z nikim. Tak powiedziała, że jestem nikim.

Głos Stompura stał się chrapliwy. Rozejrzał się po pokoju, jego wzrok padł na stojącą przy telewizorze butelkę whisky. Zastygł tam, ale butelka była pusta i śmiała się z niego.

- Nie zna pan konkretnego powodu tej zmiany?

- Nie było konkretnego powodu.

- Zawsze jakiś jest. Rzeczy, które dzieją się nagle, nie dzieją się same z siebie.

- Mam czas i myślę o tym, odkąd zniknęła. Ona zawsze była taka, ale mówiła, że jest inna, a ja jej wierzyłem.

- To znaczy jaka była zawsze?

- Powiem coś panu o jej charakterze. Gdy była dziewczyną, zakochał się w niej kolega, który marzył, żeby pracować w teatrze. Kochał ją i Szekspira, wie pan, typ marzyciela. Chwilę się nim bawiła, ale doszła do wniosku, że chłopak nie ma perspektyw. Rzuciła go, a on zagroził, że się zabije. Odparła, że chętnie popatrzy. On spełnił swą groźbę. - Stompur uniósł wzrok. - Rozumie pan? Powiedziała, że chętnie popatrzy. A gdy mi o tym opowiadała na początku naszej znajomości, ja myślałem o tamtym jak o głupku, który sam sobie był winien. A potem też w jej oczach okazałem się głupkiem. Dwadzieścia lat życia w fałszu... Tęsknię za dawnymi czasami, za kobietą, którą w niej widziałem. Jaką nigdy nie była. - Potrząsnął głową. Kruk miał nadzieję, że nie zacznie szlochać. - Nigdy nie była.

- Niech pan nie przesadza. Nie można udawać przez dwadzieścia lat.

Oczy mu zapłonęły.

- Też jej to powiedziałem, a ona spojrzała na mnie z pogardą, jakbym palnął największe głupstwo świata. Stwierdziła, że ludzie

w małżeństwach udają dużo dłużej, niektórzy do śmierci. Wyznała, że nigdy mnie nie kochała.

- Miała kogoś?

Kruk zadał mu to pytanie podczas poprzedniej wizyty, ale chciał sprawdzić, czy na to samo pytanie dostanie tę samą odpowiedź.

- Mam teraz dużo czasu. - Stompur zaczął się powtarzać. - Analizuję nasze życie. Niektóre wspomnienia studiuje klatka po klatce, jakbym oglądał film na zwolnionych obrotach. Widzę sygnały, których wcześniej nie zauważałem. Mój Boże, jakże było ich wiele... Spóźnione uśmiechy, twarz zapatrzona w okno, dziwna obcość, gdy mówiła o miłości...

- Pan na siłę próbuje coś udowodnić.

- Powinien mnie zastanowić jej stosunek do Leona, chłód, w jakim go wychowywała. Lecz myślałem, że ją w taki sam sposób wychowywano, więc nie umie inaczej, choć bardzo się stara.

- Miała kogoś? - powtórzył Kruk niczym Mały Książę, który nigdy nie porzuca raz postawionego pytania.

- Zapytałem... pytanie samo się narzucało. Odparła, że nie. Że jeszcze nie, ale to kwestia czasu. - Twarz Stompura przybrała dziwny wyraz. Pojawiła się na niej odrobina szaleństwa. - Świat jest pustką, a tę pustkę może wypełnić mężczyźnie jedynie serce kobiety - powiedział cicho. - Ale co, gdy kobieta tylko udaje, że ma serce?

Gwałtownie podniósł się z miejsca i ruszył w stronę barku. Otworzył go i zaczął pobrzękiwać butelkami, jednak znieruchomiał, gdy dotarło do niego pytanie Kruka:

- Zastanawiam się, kiedy pan zrozumiał, że woli ją zabić, niż pozwolić jej odejść.

31

Antoni Łozowski nie miał tego wieczoru wielu powodów do radości. Dariusz Konieczny wyszedł na wolność. Facet był nieprzewidywalny, ale nie to martwiło Antoniego. Zgoda sądu na zwolnienie z aresztu oznaczała, że prawdopodobieństwo długiego wyroku dla Koniecznego nie było już tak oczywiste. A to z kolei znaczyło, że sąd może zakwestionować prawdziwość zeznań Antego i Leona, uznać ich wejście do domu Koniecznego za wtargnięcie i na przykład próbę rabunku z bronią w rękę.

To było znacznie groźniejsze niż sam Konieczny, który miał w dodatku na głowie śmierć siostrzenicy.

Ante starał się o niej nie myśleć. Znał ją krótko. Nikt nie ma prawa łączyć z nim jej śmierci, ale i to go martwiło.

W dodatku mecenas Brunon Kant okazał się bystrym skurwielem. Wykiwał ich. Łozowski przygryzał wargi za każdym razem, gdy o tym myślał. Upokorzenie paliło jak płomień.

Rzekomi świadkowie zniknęli. Gdy Ante i Leon przyjechali do Krypty 66 po rozprawie, tamtych nie było. Rozpłynęli się, co mogło mieć związek z ochroniarzem Kanta, który na rozprawie nie został.

Antoni Łozowski po raz pierwszy pożałował, że nie zainstalował w Krypcie monitoringu, choć zrobił to właśnie dlatego, że był przewidujący. Żeby mógł przyprowadzać tu kogo chciał i kiedy chciał, i żeby nie robić z tego filmów.

Łozowski nie miał wielu powodów do radości, ale jeden miał. Leon tak bardzo potrzebował pieniędzy, że w końcu uległ. Przyprowadzi dziś do Krypty Natalię.

Antoni od dawna na to czekał, a Stompur bronił się przed tym, jak

mógł. Chciał trzymać dziewczynę z daleka od tego miejsca i od Antego. Łozowski uśmiechnął się do siebie, gdy o tym pomyślał. Leon tak bronił Natalii przed nim, jakby to Ante stanowił zagrożenie. Jakoś nigdy nie wpadł na pomysł, żeby chronić dziewczynę przed samym sobą, a to miałyby więcej sensu.

Zastanawiał się, jak z nią rozmawiać. Układał sobie w myśli plan. Mogło być interesująco. Był ciekawy, jak dziewczyna zacznie reagować.

Liczył na dobrą rozrywkę, która oderwie go od przykrych myśli. Przynajmniej na to mógł liczyć.

Gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi, nie podniósł głowy. Rozległy się ciche, przepaszające kroki. Kroki pojedynczego człowieka.

A więc dziś też nic z tego, pomyślał. W gruncie rzeczy powinien był się tego spodziewać.

- Sam? - mruknął. - Zabrakło ci jaj, by ją przyprowadzić?

W odpowiedzi usłyszał:

- Dobry wieczór.

Łozowski wyprostował się w fotelu.

- Kurwa mać - wyrwało mu się. - Jak pan tu wszedł?

Nowo przybyły mężczyzna nieśpiesznie usiadł.

- Drzwiami.

- Kto pana wpuścił?

- Kupiłem wejściówkę, jak wszyscy.

Łozowski w myślach rzucał przekleństwa na ochronę lokalu. Dziś dyżur pełnił Targo. Antoni dawno chciał go zwolnić, bo nie nadawał się do tej roboty. Bramkarz nie powinien wpuszczać tego faceta do Krypty. Powinien wiedzieć bez słów, że Ante nie życzy sobie go oglądać.

Mężczyzna siedział naprzeciw przygarbiony, jakby nie mógł udźwignąć toczącego go znużenia. Ante odetchnął, w końcu zjawił się ten drugi brat, ten lekarz.

Nie był groźny. Musiał się zachowywać. Miał wysoką pozycję w jednym z krakowskich szpitali, pracował na nią całe życie, tacy mają wiele do stracenia.

Do tej pory rozmawiali ze sobą dwa razy i zawsze krótko, a facet starał się być uprzejmy. Wkrótce po wydarzeniach w domu Dariusza Koniecznego starszy brat usiłował porozumieć się z Antem i Leo, wpłynąć na nich. Tak było do czasu, gdy interwencja prokuratora ucięła kres jego podchodom.

- Pan sobie idzie do domu.

Grzegorz Konieczny pokiwał głową ze smutkiem.

- Nie unikniemy rozmowy.

- Już to przerabialiśmy.

- Sprawy się skomplikowały. Zadajemy sobie różne pytania i oczekujemy odpowiedzi.

- My?

- Nasza rodzina. Obawiam się, że masz wiele wspólnego ze śmiercią Basi, synku.

Łozowski poczuł mrówki wędrujące mu po plecach. Jeszcze i to. Nie tylko ten gliniarz, ale jeszcze Konieczni będą go wypytywać.

- Grozi mi pan?

Smutek nie zniknął z twarzy lekarza.

- Niestety.

- Dowie się o tym mój ojciec, będzie pan miał przeciw sobie jego prawnika.

- Prawnik cię nie ochroni. Wszystko się zmieniło. Nikt cię nie ochroni po tym, co stało się Basi.

- Nie mam z tym nic wspólnego.

- To dobrze. Dobrze dla ciebie. Proszę, otwórz przede mną serce albo sam zajrzę ci pod skórę.

Ante zatopił wzrok w jego oczach, po czym zniecierpliwiał się i sięgnął po telefon.

- Wiesz, że jestem chirurgiem? - powiedział Grzegorz Konieczny tym samym cichym, monotonnym głosem.

Coś było w tym głosie, bo ręka Antego zastygła w pół ruchu wbrew jego woli.

- No i co?

- Przerażająca profesja. Kroję ludzi jak połcie mięsa. Przecinam skórę, tłuszcz, mięśnie, nerwy, do kości mam specjalne piły. Ludzie, których dostaję na stół, są bezbronni i zdani na moją łaskę. Czasami myślę o tym, gdy zakładam fartuch przez niektórych nazywany rzeźnickim. I gdy naciągam maskę, zwaną dla niepoznaki chirurgiczną, ale nie zmienia to faktu, że zakrywa mi twarz i mogę się za nią ukryć. I że ta maska mnie odczłowiecza.

- Pan jest psychiczny.

- Nie, bo gdy staję za stołem, mam czyste intencje. Ludzie przychodzą do mnie z własnej woli, a moje ręce ratują im życie. Operacji dokonuję w szpitalu, świątyni, której procedury sprawiają, że przyjmuję odpowiedzialność za każde przecięcie skóry, za każdą kroplę krwi, jaką wytaczam. I jest ze mną anestezjolog, dobry anioł, który zabiera pacjentom ból.

Grzegorz Konieczny uniósł głowę i się uśmiechnął.

- Ale ty, synku, nie jesteś moim pacjentem, anioły ode mnie uciekły, a to miejsce nie jest szpitalem, tylko czymś, co nazwałeś Kryptą 66. Porozmawiajmy szczerze, dla wspólnego dobra.

Łozowski sięgnął po telefon i wezwał ochronę.

Konieczny nieśpiesznie się podniósł.

- Sam wyjdę.

- Po co pan przyszedł? - spytał Ante. - Wiedział pan, że nie pogadamy.

- Chyba masz rację. Chyba wiedziałem.

- Po co to było?

- Nie wiem. Może chodzi o wyrzuty sumienia. Żebym miał

pewność, że nie było innej drogi.

- Jakiej drogi?
- Sam wiesz, jak umarła Basia.
- Uduszono ją. Przykro mi.
- Nie o tym mówię. Nie tylko o tym.
- Więc o czym?

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Targo. Jego widok jeszcze bardziej podziałał Łozowskiemu na nerwy.

- Wypierdol go na zbity pysk - powiedział, wskazując Koniecznego.

32

Stompur znowu siedział. Butelki pozostały w barku.

- W dniu, kiedy zniknęła, pan groził żonie, że ją zabije. Pan nie krył się ze swymi groźbami, zrelacjonował pan je policji.

- W gniewie mówi się rzeczy, które groźnie brzmią, ale tak naprawdę są wyrazem bezsilności. Dlatego niczego nie ukrywałem. Chciałem, żeby policja знаła całą prawdę, by mogła znaleźć Kamilę.

- Czyli przyznaje pan, że zagroził żonie, że jeśli spróbuje odejść, pan ją zabije?

- Wiele się od tego czasu nauczyłem. Nawet gdyby tak było, nigdy bym się do tego po raz drugi nie przyznał policji.

Kruk uśmiechnął się łagodnie.

- A przyjacielowi?

- Pan ma być moim przyjacielem?

- Udajmy, że jestem. Dzięki temu będziemy mogli rozmawiać szczerze.

- Wciąż jest pan policjantem.

- Udajmy, że nie jestem.

Stompur pokręcił głową.

- Niczego nie udawajmy. Tak będzie lepiej.

- Dla kogo?

- Dla mnie.

- Dla mnie może też. - Kruk westchnął. - Gdybym uznał pana za przyjaciela, mógłbym zacząć się zwierzać i dowiedziałby się pan, że dziś w nocy miałem wszystkiego dość.

Stompur uśmiechnął się.

- Sam pan widzi. Nie warto się zwierzać. Pan sądzi, że

skrzywdziłem żonę.

- Skoro tak sędzę, na tym się skoncentrujemy. Z kim miała romans?

- Romans?

- Uprośćmy skomplikowane sprawy, panie Jerzy. Gdy kobieta uważa, że za mało dostała od życia, najczęściej oznacza to, że ma innego mężczyznę i fruwa wysoko nad chmurami.

- Nie wierzę, że mogła kogoś mieć.

- To nie jest kwestia wiary. Czy się wierzy, czy nie wierzy, dama właśnie pod kimś leży.

Stompur spojrział ponuro.

- Pan jest największym policyjnym poetą?

- A więc żona nikogo nie miała?

- Nie.

- I nic jej nie łączyło z Waldemarem Malewskim?

Zdziwienia, jakie rozlało się na twarzy Stompura, nie powstydzilyby się Al Pacino. Świetnie zagrane. Albo - Kruk też musiał się z tym liczyć - było prawdziwe.

- Dlaczego z nim?

- A czemu nie? Jednocześnie zniknęli z pańskiego życia.

Zdziwienie wciąż trwało, a nawet narastało.

- Tak, to działo się jakoś w tym samym czasie. Pamiętam, pomyślałem, że nieszczęścia chodzą parami. Nie widzę związku.

- Dlatego jest policja. Żeby widzieć związku.

- Policja też niczego nie widziała.

- To była tamta policja, ja jestem ta, która widzi. Bo to nie działo się „jakoś” w tym samym czasie, tylko pańska żona zniknęła, a Malewski umarł dokładnie tego samego dnia.

Jerzy Stompur utkwił wzrok w kącie pokoju. Dłonie zaczęły mu się trząść i usiłował to ukryć, kładąc je na kolanach.

- Czy pan prowadzi sprawę zniknięcia mojej żony czy śmierci mojego pracownika?

- Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Barbary Malewskiej. I mam silne przekonanie, że jak pójdę śladem zostawionym przez jej ojca, pana, pańską żonę, pańskiego syna i jego kolegów, w końcu dotrę i do Basi.

Jerzy Stompur pokręcił głową.

- Nie mogę z panem dłużej rozmawiać. Przykro mi.

- Ależ będzie pan ze mną rozmawiał. Pomoże mi pan z całych sił.

- Tak pan uważa?

- Pomoże mi pan dostać zabójcę Basi, nawet jeśli jest nim pan albo pański syn, albo nawet pańska matka.

- Pan oszalał.

- Wuj Barbary Malewskiej wyszedł z więzienia. Spędził w areszcie dziesięć miesięcy i nie pała sympatią do pańskiej rodziny. Jeśli obarczy kogoś z was winą za zabójstwo Basi, obstawiam, że zatłucze go gołymi rękami.

Jerzy Stompur zbladł, nerwowo poruszył rękami.

- Na przykład Leona - wyszeptał.

- Na przykład - zgodził się Kruk. - Konieczny już udowodnił, że nie zna się na żartach.

- Pan próbuje mnie zastraszyć?

- Niech pan da się zastraszyć, proszę.

Zapadła cisza.

- Sam się tym zajmę - powiedział Stompur, ledwo poruszając ustami.

- Czym?

- Wyjaśnię wszystko z Koniecznym.

- Niech pan nie będzie śmieszny. W tym celu trzeba wyjść z domu, a wcześniej chociaż zmienić podkoszulek. I co mu pan powie?

Stompur bezradnie rozłożył ręce.

- Czego pan chce?

- Informacji.

- A w zamian?
- Czego pan chce w zamian?
- Leon... ma niewłaściwych kolegów, ale to dobry, nieszczęśliwy dzieciak.
- Mężczyzna. Leon to młody mężczyzna, od dawna nie jest dzieckiem, choć wciąż z panem mieszka, więc pan nie zauważył.
- Chcę powiedzieć, że Leon nie zrobiłby krzywdy żadnej dziewczynie. Gdy matka zniknęła, przeżył to strasznie, nie potrafił sobie z tym poradzić. Zaczął nawet chodzić na grupę wsparcia. Poznał tam młodą kobietę, która też została sama. Zaprzyjaźnili się, Leon opiekuje się nią i jej synkiem. Ma dobre serce, panie komisarzu, choć matka wychowała go tak, aby bardzo trudno było to zauważyć innym ludziom.
- Nie wiem, jaki jest. Jeszcze z nim nie rozmawiałem.
- Muszę o niego walczyć.
- I? - powiedział Kruk.
- Porozmawiam z panem szczerze o wszystkim, jeśli mi pan obieca, że zaopiekuje się Leonem.
- Na czym, pana zdaniem, ma polegać ta opieka?
- Źle się wyraziłem. Chodzi mi o to, żeby się pan do niego nie uprzedzał, a chłopak zachowuje się tak, że będzie pan miał ochotę strzelić go w gębę na wejściu.
- Jeśli zrobił coś złego, nic nie poradzę. Poniesie konsekwencje.
- Nie o to proszę - warknął Stompur. - Chcę, żeby okazał mu pan cierpliwość. I żeby pan nie zakładał, że jest zły tylko dlatego, że się fatalnie zachowuje. I żeby pan go ochronił przed tym kryminalistą Koniecznym.

Kruk skinął głową.

- Zrobię, co w mojej mocy.
- Dziękuję.

Kruk obserwował go sobie spod półprzymkniętych powiek, po

czym spytał:

- Wierzy mi pan?
- Tak - odparł Stompur.
- Dlaczego?
- Zrobił pan na mnie dobre wrażenie.

Kruk potrząsnął głową, bo rozbawiło go to, co usłyszał, a Stompur mówił dalej:

- Pan sprawia wrażenie, że panu zależy na prawdzie. Może to tylko wrażenie, ale zachowuje się pan inaczej niż policja, z którą miałem do czynienia po zniknięciu Kamili.

- Jak inaczej?

Wzruszył ramionami.

- Może będę tego żałował... Na pewno będę tego żałował. Ale odpowiem na każde pytanie, jakie mi pan zada. Powiem prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. A pan zrobi dla mojego syna to, co pan obiecał.

Zrobił krótką pauzę i dodał z naciskiem:

- Czyli wszystko, co w pańskiej mocy.

33

- Jestem Ante.

Natalia uśmiechnęła się i podała mu rękę. Uścisnął ją i przechylił głowę z lewa na prawo i z powrotem jak bardzo wesoły chłopak.

Leon patrzył na to z napięciem. Przez ostatnie dni bił się z myślami, a w końcu zdecydował się przyprowadzić Natalię do klubu. Ante uparł się, że chce ją poznać. Wracał do tematu kilka razy. Zaoferował te pieniądze, których tak potrzebowali.

Ale chciał się zabawić. Pieprzony pojeb.

On i ta jego zabawa.

Natalia i Leon znaleźli opiekunkę, starszą kobietę, tak otyłą, że dyszała przy każdym słowie, ale przy dziecku szło jej zadziwiająco sprawnie. Mruczała, że dzieci to jej żywioł. I miała referencje. Zgodziła się przychodzić dwa razy w tygodniu na kilka godzin, a czasem na noc, aby mogli gdzieś wyjść.

I gdy Leon z Natalią pojawili się w lokalu, Ante przyssał się do niej jak pijawka. W ogóle jej nie odstępował.

- Chodź, pokażemy ci klub - zaproponował. - Wnętrze to nasze dzieło. Sami wylewaliśmy posadzki, stawialiśmy ścianki, tynkowaliśmy, malowaliśmy. Robiliśmy to tymi rękami. - Wyciągnął do niej rękę, wiotkie jak odnóża owada.

Odruchowo zrobiła krok w tył.

Leon poczuł ukłucie satysfakcji. Ante i tak nie był do końca sobą. Mieli problemy, a dzisiejsza wizyta Grzegorza Koniecznego, o której powiedział Leonowi, gdy ten tylko się pojawił, skutecznie popsuka mu humor.

Leon miał ochotę wysłać Koniecznemu mejla z podziękowaniem.

Natalia starała się uśmiechać, ale nie była zachwycona ani Antem, ani tym miejscem. Leon widział, że czuje się nieswojo. Może odbierała szóstym zmysłem, że ten budynek jest przeklęty, jego ściany wołają, a demony na ścianach tańczą, gdy ludzie odwracają wzrok.

Halę rozgrodzono ceglanyimi ściankami, które miały dwa i pół metra wysokości, na trzy duże części. Jedynie pomieszczenia biurowe miały ściany do samego sufitu.

Rozgrodzenie pomieszczeń klubu miało charakter umowny i nie służyło niczemu innemu niż stworzeniu klimatu. Jedna z części zabudowana była niskim na metr dwadzieścia labiryntem ścianek, między którymi stało trochę klasycznych stolików i kanap, ale najwięcej europalet zbitych jedna nad drugą po trzy, cztery, na których też można było usiąść albo postawić drinka. Usadowieni tam goście klubu mogli czuć pewnego rodzaju prywatność, odgrodzeni od bezpośredniego kontaktu z innymi. Trzeba było wstać, aby ogarnąć wzrokiem większą przestrzeń i samemu stać się bardziej widocznym.

Labirynt pozbawiony był ślepych ścianek ze względu na przepisy przeciwpożarowe, ale i tak bywalcy klubu chwalili pomysł. Choć może gadali byle co. Lokal nigdy nie cieszył się specjalną popularnością. Ludzie woleli chodzić do innych klubów w okolicy.

Centrum Krypty stanowił podświetlony na niebiesko bar. Dalej znajdowało się miejsce do tańca, które od biedy można by nazwać parkietem.

Ze względu na młodą porę gości było niewielu, z głośników płynęła muzyka jeszcze w trybie pubowym, ale w miarę jak upływać będzie czas, goście pubowi wykruszą się i pojawi się choć szczątkowa klientela spragniona tańca, wtedy muzyka zmieni się w tryb dyskotekowy.

Ante prowadził Natalię wzdłuż ceglanych ścian budynku

obmywanych przez kolorowe światło. Pokazywał jej graffiti na ścianach, jakby oprowadzał ją po muzeum. Leon snuł się za nimi, usiłując stłumić uczucia.

Ante zatrzymał się przed malunkiem przedstawiającym stos czaszek. Białe nagie czaszki wykrzywiały się, patrząc ze ściany pustymi oczodołami i szczerząc zęby pozbawione dziąseł. Były olbrzymie, niektóre wielkości dziecka.

Poszli dalej, mijając kolejny malunek: twarz kobiety o pełnych ustach. Powyżej kości policzkowych ta regularna twarz przeistaczała się w splot mięśni i ścięgien pozbawionych skóry. Oczy były równie puste, jak oczodoły mijanych wcześniej czaszek.

- Dlaczego właśnie makabra? - spytała Natalia.

- Przeznaczenie - odparł Ante. - Najpierw chcieliśmy uderzyć w stoczniove klimaty, oddać atmosferę PRL-u. Wiesz, socrealizm, przodownicy pracy, czerwone sztandary, kobiety na traktorach, choć traktory średnio pasują do stoczni. Ale potem diabły nas odnalazły i nie chciały odejść.

- Co to znaczy, że odnalazły was diabły?

Ante nachylił się do niej.

- Poznaliśmy sekret tego miejsca.

- Naprawdę? Jaki?

- Sekretów nie zdradza się tak po prostu, zwłaszcza przerażających sekretów.

Natalia obejrzała się na Leona. Wzruszył ramionami.

- To miejsce jest złe - rzekł Ante. - Nie powinniśmy byli tu nigdy przychodzić, ale kiedy to zrozumieliśmy, było już za późno. Złe miejsca biorą cię na zakładnika i nie pozwalają odejść. Prawda, Leon?

Skinął głową w odpowiedzi. Wiedział, że będzie musiał przez to przejść, ale nie wiedział, jak daleko zamierza posunąć się Ante.

Na kolejnym kawałku ściany pomniejszy demon siedział na

piersiach młodej kobiety i dusił ją, zamykając nieproporcjonalnie wielkie dłonie na jej szyi. Leon drgnął, jakby zobaczył to malowidło pierwszy raz. Bo poniekąd tak było: zapomniał o nim.

Przemknęło mu przez głowę, że należy je zamalować.

Ante jednak zatrzymał się tam i nakazał Natalii, aby podziwiała. Objął ją przy tym ramieniem. Natalia usztywniła się, ale pozwoliła, by jego dłoń została, gdzie jest.

Leon zagryzł zęby.

Poszli do baru i Ante zamówił im wszystkim po drinku. Stamtąd, ze szklankami w dłoniach, przeszli do biura.

Ante wszedł pierwszy. Biuro jak biuro: biurko, obrotowe krzesło, niewielki stół i kilka klasycznych krzeseł wokół.

Tyle. Ale oczy Antego błyszczały.

- Wszystkie obrazy w Krypcie, łącznie z tym tutaj, malowała znana gdańska artystka - rzekł.

Leon posadził Natalię przy stole. Usiadł przy niej.

Ante zarechotał.

- Bzdura! Żadna artystka. Dziewczyna, która latała tu z pędzlem i sprayem, jest szalona. Dla niej to, co maluje, to rzeczywistość. Nie wiem, czy ma talent, chyba ma, ale ja i tak wolę szaleństwo od talentu. Spójrz tutaj.

Malunek zajmował całą ścianę. Trzy diabły pochylone nad leżącym na wznak skrwawionym grzesznikiem. W tle stojące na sztorc trumny, wielkie jak pomniki. Nad nimi, przebijające przez szarość chmur, oczy kobiety.

- Ten kawałek muru jest szczególny.

Natalia przyglądała się demonom.

- Dlaczego?

- Gapię się często na ten obraz i zastanawiam się, do kogo należą oczy w tle. - Ante usiadł przy swoim biurku. Demony rozpościerały za nim ramiona. - Brrr - wzdrygnął się teatralnie. - Zawsze jak tu

siedzę, czuję te diabły za plecami. Czasem jestem pewny, że są prawdziwe. Co czujesz, gdy na to patrzysz?

- Zaczynam myśleć o tym, że warto być dobrym człowiekiem, żeby nie skończyć jak ten grzesznik.

Ante uśmiechnął się koniuszkami ust. Oczy mu lśniły, za to reszta twarzy pozostała nieruchoma.

- Myślisz, że ten nieszczęśnik jest grzesznikiem?

- Gdyby nie był, diabły nie miałyby do niego dostępu.

- Ciekawa teoria. Sprawdzałaś ją kiedyś w praktyce?

Jego głos stał się zimny. Natalia niespokojnie poruszyła się na krześle.

- No więc co przedstawia ta scena? - spytała. - Kim jest ofiara diabłów?

- Frajerem. - Ante wybuchnął śmiechem. Przesiadł się do nich do stołu. - Natalia, zrobisz coś, jeśli cię poproszę?

- Co takiego?

- Wstań, dobrze?

Spojrzała na Leona, który przewrócił oczami i niedbale poruszył ręką. Musiał ją ośmielić, żeby ten pojeb mógł dostać to, czego chciał. To, co uważał za zabawę.

Wstała.

- Podejdiesz do malunku?

- Czemu?

- Proszę, zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Podeszła i odwróciła się w ich stronę.

- Nie odwracaj się! - krzyknął Ante. - Nie stawaj do nich plecami.

Natalia, przestraszona jego wybuchem, obróciła się do ściany, jakby spodziewała się stamtąd ataku. Jednak ściana nie zamierzała na nią runąć, a diabły nie poruszyły się nawet o milimetr.

Leon czuł, że jego złość rośnie.

- Proszę, całkiem obróć się do ściany - powiedział Ante tym razem

łagodniej. – Stań twarzą do demonów. To ważne.

Znowu popatrzyła na Leona, szukając u niego pomocy. On zaś przymrużył oczy i lekko skinął głową. Posłuchała.

– Wyciągnij rękę – mówił dalej Ante. – Dotknij któregoś z nich.

– Czemu?

– Proszę, zaufaj mi. Chyba nie jesteś aż tak sztywna, żeby nie potrafić się bawić?

Wahała się chwilę, po czym wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia diabła z kluczem.

– Dobrze. Zostań tak. Co czujesz? Uspokojenie, spokojną bliskość dobrego ducha, który zapewnia, że wszystko będzie dobrze? Czy niepokój, który każe ci uciekać stąd jak najszybciej, bo otaczają cię demony?

– Nic nie czuję.

– Naprawdę? Wsłuchaj się w siebie.

Opuściła rękę i odwróciła się do nich. Ante patrzył na nią tak intensywnie, że przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– No, co czujesz?

– Czuję się dziwnie, ale to dlatego, że dziwnie się zachowujesz.

– Dobra, jedna drobna rzecz i dam ci spokój. Ale obiecaj, że mnie posłuchasz.

– Wolę nie.

– To nic takiego. Prawda, Leon, że to drobna prośba? Jest drobna, ale może wydać ci się trochę dziwna. Obiecaj, że ją spełnisz.

Westchnęła.

– Jaka to prośba?

– Pocałuj diabła, a pozwoli ci otworzyć te drzwi.

Wskazał wewnętrzne drzwi, które prowadziły do wydzielonego pomieszczenia.

– Żartujesz sobie.

– Proszę. To rodzaj rytuału przejścia. Zawiedziesz mnie, jeśli

odmówisz. Nie staniesz się jedną z nas. Leon też bardzo tego chce, choć nie odważy się poprosić.

Natalia spojrzała na Leona z powątpiewaniem. Leon wiedział, że nadeszła chwila, od której wszystko zależy. Jeśli Natalia odmówi, Ante nie da mu pieniędzy.

- Pocałuj diabła - mruknął. - To tylko zabawa.

Zaskoczył ją. I rozczarował. Widział to w jej twarzy, która nagle zgasła. Natalia odwróciła się do ściany i pocałowała diabła w usta.

Odwróciła się do nich poważna i znużona.

Ante zaklaskał.

- Tajemnica jest za tymi drzwiami. Zajrzyj.

Pokręciła głową.

- Nie chcę.

- Zajrzyj. Musisz tam zajrzeć.

- Zrobiłam już, co chciałeś. Wróćmy na salę, usiądźmy przy barze.

- Zajrzyj!

Na twarzy Antego pojawiły się czerwone plamy.

- Zajrzyj, Nati, bo się nie odczepi - powiedział Leon.

Otworzyła drzwi. Nieśmiało zajrzała do środka. Zamknęła je z powrotem. Na jej twarzy malowało się jeszcze większe znużenie.

- Świetny żart - powiedziała cicho.

- Mogłabyś się chociaż roześmiać - powiedział Ante.

- Leo, pójdziemy do baru? - Powiedziała to tak, jakby Ante całkiem ją przestał obchodzić. - Albo w ogóle możemy już wracać.

- Nie gniewaj się - rzekł pojednawczo Ante. - Już nie będę się czepiał. Idźcie do baru, pijcie, tańczcie, i nie gniewaj się na mnie, Natalia. Fajnie, że przyszłaś. Dla was wszystko na koszt firmy.

Sprawił wrażenie skruszonego, ale Leon znał go zbyt dobrze, aby dać się nabrać. Wyprowadził Natalię, usiedli przy barze. Zamówił jej drugiego drinka i powiedział, że za chwilę wraca.

Poszedł z powrotem do biura.

Ante rozpierał się przy stole. Był zadowolony z siebie, jakby osiągnął nie wiadomo co.

- Widziałeś? - roześmiał się głośno. Oczy mu błyszcząły. - Zrobiła to.

Leon usiadł naprzeciwko.

- Naprawdę cię to bawi?

- Cholernie.

- Co w tym zabawnego?

- Ona niczego nie podejrzewa. Przyszła tu, posiedziała, porobiła głupie miny - i nic.

- Masz coś z głową, wiesz?

Ante popatrzył ze złością.

- Nie uważasz, że powinna coś poczuć? A nie poczuła.

- Nie uważam.

- Nic nie czuje, niczego nie wie. - Nagle spojrzął na Leona. - Może więc jej powiem?

Leon pochylił głowę. Nie odpowiedział.

- Twoja dziewczyna to głupia cipa - roześmiał się Ante.

Leon wciąż siedział z pochyloną głową, aby kolega nie widział zmian zachodzących na jego twarzy. Chciał to opanować, przeczekać i wrócić do Natalii.

- Jesteśmy diabłami - roześmiał się Ante.

Nie, nie uda mu się opanować.

Wstał. Nieśpiesznie się zbliżył.

- Ty jesteś jedynie pajacem, któremu ojciec sypie kasą - rzekł powoli.

- No co ty - zaczął Ante, ale urwał, bo wreszcie dostrzegł wyraz twarzy Leona. Poderwał się i cofnął.

Leon poszedł krok za nim. Niedbale trzepnął go otwartą ręką w twarz. Ante zbladł, cofnął się znowu i cofał się nadal, aż jego plecy napotkały ścianę. Leon szedł za nim.

- Nie oddasz mi, szatanie?

Ante milczał. Bez powodzenia usiłował przełknąć ślinę.

- Diabłem był Romek, a czasem bywam ja - rzekł Leon cicho. -
Wiesz o tym, bo to widziałeś. Powiedz, Antosiu, widziałeś to?

- Uspokój się - odparł niepewnie Łozowski, usiłując odzyskać kontrolę.

Leon ponownie trzepnął go w twarz.

- Widziałeś?

Chwila ciszy, potem zdławiony głos:

- Widziałem.

- Nie mów brzydkich wyrazów na moją dziewczynę, bo tobie też
zrobię krzywdę.

- Nie traktuj mnie tak, pomogłem ci.

- Ratowałeś swoją dupę, szmaciarzu.

Patrzyli na siebie. Ante odwrócił wzrok.

- Zawarliśmy układ - rzekł Leon. - Ja ją przyprowadzę, ty się
zabawisz i dasz mi pieniądze dla niej. Zabawiłeś się. No to dawaj.

34

- Zrobiłem dobry interes - powiedział Jerzy Stompur. - Powiem panu to, co już powiedziałem policji albo co bym im powiedział, gdyby nie zaczęli traktować mnie jak podejrzanego.

- Skąd pewność, że ja pana tak nie traktuję?

- W tej chwili nie ma to znaczenia. Stawką jest mój syn.

Kruk odetchnął, nabrał powietrza w płuca i powiedział:

- Dobra, to jak z tym Malewskim i pana żoną? Co pan wiedział?

- O tym, że coś by miało ich łączyć? Nic. Przyznaję, zatrudniłem Malewskiego na jej prośbę. Sam z siebie pewnie bym tego nie zrobił, podzwoniłem i Malewski nie miał zbyt dobrej opinii. Oboje chodzili do tego samego liceum w Warszawie, trzy lata temu spotkali się na zjeździe klasowym i zgadali, że oboje mieszkają w Gdańsku, a on jest architektem i planuje zmienić pracę. Poprosiła, bym dał mu szansę.

- Urwał. Zastanawiał się chwilę. - Kamila chodziła do najlepszego liceum w kraju, zrobiła magisterkę z ekonomii na UW, ale nie przepracowała w życiu jednego dnia poza domem. Strasznie mi się to w niej podobało.

- Zatrudnił pan Malewskiego?

- Tak. Kamila podziękowała mi, ale właściwie niewiele ją to obeszło. Wyznała mi nawet, że nigdy go nie lubiła, ale w szkole trochę mu dokuczała, czuła się winna i chciała mu pomóc.

Kruk miał w tej kwestii inne zdanie.

- Nie spotykali się potem?

- Gdy wpadała do biura, wymieniali tylko grzeczności. Z Malewskim łączyły mnie układy czysto zawodowe, był zdystansowany, też za nim nie przepadałem. Kiedyś zapytałem go

o tego chłopaka z ich klasy, który popełnił samobójstwo. Bardzo się zmieszał, coś bąknął, że to stara historia, do której nie należy wracać. Niewiele wiedziałem o jego rodzinie, tak samo jak on o mojej.

- Jakim był pracownikiem?

- Żaden wybitny umysł. Dużo pracował po godzinach, kiedy już wszyscy wychodzili do domów. Nie musiał, sam chciał. Jakby nie miał gdzie wracać, choć miał przecież rodzinę.

- Miał w biurze dobre warunki, żeby przyćpać?

- Mogło tak być, jeśli spojrzeć w ten sposób.

- A ta robota na terenach postoczniovych? Co to było?

Stompur zmarszczył się i chyba nieświadomie pokazał zęby.

- Taka bzdura, którą wziąłem ze względu na moją długoletnią znajomość z Heńkiem Łozowskim. Adaptował starą halę na klub taneczny, dużo biurokracji, potrzebne też były projekty. Heniek szykował tę knajpę dla swojego Antosia, żeby młody pasożyt wreszcie zaczął na siebie zarabiać. Śmiechu warte. Kazał chłopakowi własnoręcznie wykonać część budowlanki, tych najprostszych robót murarskich, żeby go nauczyć pracy. Przedsiębiorczy Antoś zaciągnął tam kolegów, żeby mu pomagali. Obiecał im, że później będą razem zarządzać lokalem. Gówno prawda, on został szefem, a oni jego giermkami.

- Leon?

Stompur niechętnie skinął głową.

- I Pruszyński, który potem marnie skończył.

- Malewski też marnie skończył, zresztą blisko tej inwestycji.

- Ja go tam nie ciągnąłem. Nalegałem, żeby zostawił to młodszemu architektom, a sam zajął się innym projektem, na którym bardziej mi zależało. W tamtym były większe pieniądze, także dla niego, ale nie chciał.

- Czemu?

- A bo ja wiem? Uparł się, że jak już zaczął, to dokończy. Bez sensu. Wiele razy inni kończyli za niego rozpoczętą robotę, gdy mógł przerzucić się na intratniejsze zlecenie. Mieliśmy o tym porozmawiać tego wieczora, gdy zginął. Umówiliśmy się na dwudziestą drugą w Zachodniej. Nie wiem, czy pan zna. To taka mała restauracja na uboczu.

- Widywaliście się w pracy i jeszcze musieliście się umawiać po nocach?

- Malewski strasznie nalegał. Też tego nie rozumiałem, ale się zgodziłem. Była jeszcze kwestia azbestowych okładzin starych kanałów wentylacyjnych. Demontaż i utylizacja azbestu to formalności i koszta, a młody Łozowski chciał to zdjąć niezgodnie z prawem i gdzieś upchnąć. W każdym razie Malewski nie przyjechał do restauracji.

- Pan przyjechał?

- Czekałem dwadzieścia minut, zadzwoniłem, ale już nie odebrał.

- Wcześniej tego wieczora zdążył się pan pokłócić z żoną...

- Owszem.

- Gdy żona wybiegła z domu, pojechał pan za nią.

- Nie znalazłem jej.

- I co pan wtedy zrobił?

- Pokręciłem się po mieście i pojechałem na miejsce spotkania.

- Mimo że właśnie żona od pana odeszła?

- Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że odeszła. Sądziłem, że się uspokoi i wróci. Kłótnie w domu to kłótnie w domu, a praca to praca.

- O co się pokłóciliście?

- Sprowokowała mnie. Ubrała się wyzywająco, udawała, że ma ochotę na miłość. Obudziła się we mnie nadzieja, że może wszystko da się jeszcze naprawić. A gdy byłem gotowy, ona zaczęła się śmiać i krzyczeć, że nigdy więcej tego ze mną nie zrobi i że ode mnie

odejdzie.

- To bardzo brzydko z jej strony - powiedział Kruk.

Stompur jakby tego nie usłyszał.

- Prowokowała mnie jak tania dziwka. A gdy mówiła, że jednak nie, miała w oczach taką satysfakcję, że miałem ochotę ją udusić.

- Trzeba było jej chociaż przyłożyć - podpowiedział Kruk.

- Aż się o to prosiła.

- Gdy się baby nie bije, to jej wątroba gnije - uprzejmie zgodził się Kruk.

- Niech pan nie będzie taki mądry. Mówię panu, że nawet święty by nie wytrzymał.

- A pan wytrzymał. Często ją pan bił?

Stompur uniósł wzrok i spojrzał ze zgrozą.

- W życiu jej nie uderzyłem.

- To pech, bo żona odwiedziła pewnego razu policję, żeby się na pana poskarżyć.

Stompur skinął głową i lekko się skurczył. Był teraz małym i zalęknionym facetem, tylko brzuch miał wciąż wielki.

- Dowiedziałem się o tym dopiero przy okazji poszukiwań, kiedy już jej nie było.

- A więc jednak ją pan uderzył.

- Nie! Raz tylko zrobiłem coś złego, usiłowałem dać jej nauczkę, ale nie uderzyłem jej ani razu.

- Co pan zrobił?

- Miałem klucze do tej hali stoczniowej, nad którą pracowaliśmy. To był wtedy pustostan, chłopcy ledwie zaczęli stawiać ścianki działowe. Wywiozłem ją tam.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Bo bała się zamkniętych przestrzeni. Chciałem ją ukarać, chciałem, by poczuła przerażenie, które ja czułem, gdy myślałem o życiu bez niej. Nigdy bym jej nie uderzył, nie byłbym w stanie, ale

potrafiłem wywlec ją z domu, zawieźć do stoczni, zedrzyć z niej ubrania i zagrozić, że wsadzę ją do jednej z walających się tam stalowych szaf i zostawię. Może dlatego zdołałem to zrobić, że ona nie potrafiła krzyczeć.

Zapadła cisza. Kruk miał nadzieję, że Kamila Zdrojewska-Stompur ma się dobrze, uciekła od tego faceta i czeka spokojnie, aż jego życie całkiem obróci się w ruinę.

- Była półżywa z przerażenia. Szlochała, błagała, żebym ją zabrał do domu. - Stompur mówił wolno, chrapliwie, każde słowo sprawiało mu ból, a on brnął w ten ból, jakby chciał siebie za to ukarać. - Uległem. Zacząłem przeproszać. Pomogłem jej się ubrać i wróciliśmy do samochodu. Ale gdy dojeżdżaliśmy do domu, przestała płakać, przestała się odzywać, w jej oczach lśniła czysta nienawiść, i wtedy to już ja się bałem.

- Czyli jednak nie wsadził jej pan do szafy i nie zostawił samej na noc, żeby skruszała?

- Nie.

- Jest pan pewien? Może pan o tym zapomniał, w końcu to stare dzieje.

- Nie zrobiłem tego. To była pusta groźba.

- Oczywiście. A tego ostatniego wieczora, gdy zniknęła po kłótni i nie wracała, nie pomyślał pan, że pana zostawiła?

- Nie uciekłyby ode mnie.

- Już raz uciekła, konkretnie w czerwcu dwa tysiące czternastego. Gdzie wtedy była?

- Nie wiem. Myślę, że zaniósł ją daleko, bo po powrocie zaczęła słuchać francuskich piosenek, przypadkiem wtrącać francuskie słowa. Nie powiedziała mi nic, a ja bałem się naciskać. Tak się cieszyłem, że wróciła.

- I pan nie wierzy, że za drugim razem w końcu pana zostawiła na dobre?

- Nie wystąpiła o rozwód, nie przysłała prawnika po swoją część majątku. - Pokręcił głową, jakby chciał sam siebie przekonać. - Drugi raz by nie uciekła bez pieniędzy.

Kruk nie chciał patrzeć na tego faceta. Wolał fotografie zmieniające się regularnie w cyfrowej ramce. Zapatrzył się na jedną, z parkingu przed hipermarketem, na którym Kamila Zdrojewska stała bokiem, a obok niej stał koszyk z zakupami. Zdjęcie zostało zrobione latem, miała na sobie lekką sukienkę, o której guziki zaplątał się łańcuszek z księżycem i czymś jeszcze, który nosiła na szyi. Całkowicie pochłaniała ją próba odplątania łańcuszka.

Jerzy Stompur wykorzystywał różne okazje, chwile jej nieuwagi, aby potajemnie robić zdjęcia, przed którymi się tak wzbraniała.

Może wzbraniała się nie bez powodu. Na tej fotografii pani Zdrojewska wyglądała dużo starszej niż na czterdzieści lat z kawałkiem. Musiała mieć wtedy kiepski dzień. Kruk wciąż się na nią gapił, a zdjęcie nadal się wyświetlało, jakby tajemnicza siła zatrzymała cyfrowy mechanizm ramki, aby dać komisarzowi czas na zrozumienie.

Zrozumienie czego?

Miał wrażenie, że Kamila Zdrojewska-Stompur odwróciła się celowo, by nie mógł spojrzeć jej w oczy.

Zdjęcie w końcu się zmieniło i pojawiło się kolejne, tym razem z odleglejszej przeszłości, cała rodzina Stompurów w lepszych czasach. Potem jeszcze jedno. I jeszcze...

- Możliwe, że jednak mieli romans - powiedział Kruk. - Pańska żona i Malewski. Dała mu swoje zdjęcie z młodych lat.

35

Radek wpakował się do toyoty Kruka zaparkowanej pod blokiem na Bora-Komorowskiego i auto aż sapnęło pod jego ciężarem. Pochylił się i przez przednią szybę popatrzył tęsknie w okno swojego mieszkania na czwartym piętrze. Pomachał komuś, kto i tak nie miał szans tego dostrzec. Kruk poszedł za jego wzrokiem i zobaczył w oknie niewyraźną postać kobiecą z dzieckiem na ręku. Zapadł już zmrok, powietrze pochłodziło, i Kruk zasunął boczną szybę.

- Wracam od Stompura - rzekł. - Gadaliśmy o jego małżeństwie i zaginięciu żony.

- Znalazłeś powiązania?

Komisarz wzruszył ramionami. Szukał słów, którymi mógłby precyzyjnie wyrazić, co znalazł, ale Radek tak długo nie zamierzał czekać:

- Świetnie. Jak tak dalej pójdzie, rozwiążesz jakąś sprawę, ale niekoniecznie naszą. - Usiadł wygodnie, westchnął. - Czemu tu jestem?

- Jedziemy do knajpy.

- Żona na mnie jeby wiesz, że będę pracował po nocach, a ty mnie wyciągasz na picie?

- Do Krypty 66, knajpy Łozowskich.

- Po co my tam w nocy?

- Bo w dzień jest zamknięta. Barbara Malewska, dziewczyna, która nie lubiła imprez, pokochała tę miejscówkę w trakcie żałoby po ojcu i zaczęła bywać tylko i wyłącznie tam. Wcześniej jej ojciec tam pracował, a choć robota była mało intratna, nie dał się stamtąd odciągnąć końmi. I coś na dokładkę: gdy knajpa była jeszcze

w budowie, w pewną ciemną noc wpadła tam z mężem Kamila Zdrojewska i prawdopodobnie została do rana. Mów, co chcesz, Radek, ale ja jestem ciekawy tego miejsca.

Maszyński spojrział na Kruka spode łba, ale i z ciekawością.

- Stompur otworzył przed tobą swoje serce?

- Trochę.

- To miejsce ma potencjał reklamowy.

- Może spotkamy w końcu Leona Stompura. Chętnie z nim pogadam, na początek o jego matce.

- A nie o Barbarze Malewskiej?

- To się łączy.

Maszyński chrząknął i potrząsnął głową. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zmienił zdanie, po czym znowu potrząsnął głową i jednak powiedział:

- Na moje oko, zafiksowałeś się na Kamili Zdrojewskiej, a ja nie mam pojęcia dlaczego.

- Zdjęcie, które znalazła Basia... to mogło być zdjęcie Kamili Zdrojewskiej-Stompur.

Zapadła cisza.

- Posłuchaj - powiedział Maszyński. - Zainteresowała cię ta rodzina, dużo się o niej dowiedziałeś. Może za dużo, bo zaczynasz widzieć powiązania tam, gdzie ich nie ma. Słabe to.

- A jednak podejrzewam, że Basia znalazła w rzeczach ojca zdjęcie Kamili. Dlatego zainteresowała się rodziną Stompurów.

- Kamila Stompur była po czterdziestce. Basia znalazła zdjęcie dziewczyny w swoim wieku.

- Bo Zdrojewska nie mogła się pogodzić z tym, że przestała być młodą laską, i dała mu zdjęcie z młodości. Nie miała innych. A nawet gdyby miała, nie dałaby takiego zdjęcia mężczyźnie.

Maszyński zasłonił oczy dłonią. Przetarł je powoli.

- Kurwa, dawno nie słyszałem większych bredni. Kto dał ci

komisarza?

- Gdybyś nasłuchał się o niej tyle, co ja...

- W tym problem. Za dużo się o niej nasłuchałeś. O nich wszystkich.

Radek mógł mieć rację, podejrzenia Kruka były z gatunku tych delikatnych, które łatwo stłuc, jeśli będzie się o nich mówić nieodpowiednim ludziom. W tym wypadku Radek był nieodpowiedni.

- To tylko hipoteza robocza. Potwierdzimy ją albo obalimy.

- Jak dla mnie, za wcześnie stawiasz hipotezy.

- Na hipotezy jest zawsze za wcześnie. Oboje uważali, że życie nie spełniło obietnic i dostali od niego zbyt mało. Tacy ludzie łatwo się dogadują, karmią nawzajem swoje żale, biorą się za ręce i wspólnie idą na zatracenie, niszcząc wszystkich wokół. Przynajmniej raz Kamila Zdrojewska mogła być naćpana, tak to wygląda z opisu męża, choć on nie potrafił tego rozpoznać.

- Za to ty, wieki później, nie widząc jej na oczy, potrafiłeś zrobić jej test na narkotyki. Czekał, nie mów więcej. Ja to powiem. - Obrócił się do Kruka. - Te narkotyki miała od Malewskiego.

- Dobrze kombinujesz - odparł komisarz, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Kurwa mać - mruknął Maszyński.

Postać w oknie zniknęła im z oczu.

W mieszkaniu zgasło światło.

36

Z ronda Ofiar Katynia zjechali w Popiełuszki, wiaduktem nad torami przedostając się na tereny postoczniowe, strzeżone przez dźwigi, których gigantyczne sylwetki majaczyły na horyzoncie. To był świat pustych hal, ceglanych budynków pokrytych graffiti, hałd gruzu i piasku, świat błota, stali i mroku.

Maszyński milczał, gapiąc się przed siebie w noc. Kruk powoli prowadził samochód po spękanej nawierzchni prowizorycznych ulic, mijając pojedyncze postaci, a czasem grupki młodych ludzi palących papierosy i nie papierosy, przed stalowymi drzwiami zrujnowanych pawilonów. Gdzieś tam, w środku, dudniła muzyka, mieniły się światła, ale grube mury nie pozwalały, by cokolwiek wydostało się na zewnątrz.

Kruk poczuł się stary, zmęczony i opanowała go gwałtowna chęć, żeby dać sobie dzisiaj ze wszystkim spokój. Miał ochotę się napić.

Myślał o tym, gdy zatrzymali się przed nieotynkowanym budynkiem, miejscami ochlapanym farbą, a gdzie indziej straszącym zaczernieniami jak po pożarze. Nawietrzaki ze stali nierdzewnej stanowiły jedyny nowy element elewacji. Drzwi zasprejowano na pomarańczowo, a jak podeszło się bliżej, można było dostrzec coś na kształt wizerunku prymitywnych płomieni.

Witajcie w piekle, pomyślał Kruk, patrząc na maźnięty byle jak na ścianie napis: „Krypta 66”.

Tylko co to za piekło.

Dwóch młodych ludzi weszło do budynku i przez moment Kruk usłyszał rytm dobiegającej ze środka muzyki, który zgasł, gdy zamknęły się za nimi drzwi.

- Idziemy?

Muzyka ponownie w nich uderzyła, tym razem znacznie silniejsza. Znaleźli się w przedsionku lokalu, który wyglądał jak mała kamienna grotka. Przejścia do dalszej części strzegły nasmarowane na ścianach diabły, mierzące w kolejne drzwi długimi widłami.

W tych drugich drzwiach zamiast skrzydła wisiała krwiście czerwona kotara, a przed nią stał facet.

Nie był tak wielki jak Maszyński, ale swoje ważył. Błyskawicznie zmierzył ich wzrokiem, nabrał powietrza i nieznacznie się zakołysał. W bladym świetle okratowanej jarzeniówki jego twarz nabierała niezdrowej barwy.

Maszyński machnął mu przed oczami odznaką.

- Panowie z policji? - spytał bramkarz.

- Jak na to wpadłeś?

Przyjął to z godnością.

- Coś się wydarzyło?

- Z wizytą do szefa.

- Trzyma leniwą dupę przy służbowym stoliku przy barze.

Przesunął się i uchylił kotarę. Weszli, a Maszyński trącił Kruka w ramię.

- Pogadam z nim.

Kruk poszedł dalej sam. Wszedł w niski labirynt ścianek, między którymi siedzieli goście lokalu. Raz po raz zatrzymywał się, bo ze ścian wysuwały łby demony, które namalowano tak, że powstawało złudzenie trójwymiarowości. Kruk zapatrzył się w twarz jednego, czarno-białego, wyłaniającą się z dymu. Twarz była ogromna, każdy z licznych kłów demona miał wielkość przedramienia.

Na ścianach dominowały głęboka czerń, czerwień krwi i kolory ognia. Kontrasty budowały iluzje, iluzje budowały emocje. Ktoś, kto to wszystko namalował, godny był bardziej wymagającego audytorium niż zjarani i pijani bywalcy Krypty.

Ten styl malowania wydał się Krukowi znajomy. Widział już coś takiego.

Dotarł do baru.

Obudowany cegłą z odzysku, świecił bladoniebieskim światłem jak wyspa błękitu w morzu ognistych świateł. Był jak oaza nadziei, do której chętnie zawita spragniony wędrowiec. Kruk czuł się takim wędrowcem, ale szybko poczuł się tylko stary, bo wokół baru tłoczyło się stanowczo zbyt wielu młodych ludzi.

Nieco z tyłu, w samym rogu, znajdował się niewielki stolik, a przy nim dwie pary. W jednym z młodych mężczyzn rozpoznał Antoniego Łozowskiego, drugiego znał tylko ze zdjęć w cyfrowej ramce. Żadna z dziewcząt nie wydała mu się znajoma.

Podszedł tam. Wzrok Łozowskiego leniwie przesunął się po postaci Kruka, popłynął w kierunku baru, a potem gwałtownie zawrócił. Chłopak poderwał się z miejsca.

- Pan komisarz! - wykrzyknął.

Łozowski patrzył rozpromieniony, jakby się go nie mógł doczekać, dziewczyny popatrywały ciekawie, chłopak z cyfrowej ramki, Leon Stompur, całkowicie zignorował policjanta.

- Dobry wieczór - powiedział Kruk przede wszystkim do młodych kobiet. - Komisarz Sławomir Kruk z komendy wojewódzkiej.

Były całkiem od siebie różne. Ta siedząca przy Łozowskim miała mocny makijaż i była dość wulgarna. Wygięta krwiście czerwone usta w czymś, co od biedy można by nazwać wymuszonym uśmiechem. Łozowski, widząc zainteresowanie Kruka, przedstawił ją jako Nikolę i zrobił to w taki sposób, jakby licytował klacz na targu. Nie pofatygował się, aby wymienić jej nazwisko.

Makijaż drugiej dziewczyny był bardziej dyskretny, a ubranie skromne. Była ładna w spokojny, klasyczny sposób. Nie uśmiechała się, ale brak uśmiechu wynagradzała łagodność rysów.

Łozowski miał do niej inny stosunek, choć Kruk nabrał

wątpliwości, czy zdaje sobie z tego sprawę. Przedstawił ją jako Natalię Damaro. Ona dostała nazwisko.

- Usiądzie pan z nami? - zaproponował Łozowski. - Bar jest do pańskiej dyspozycji.

Muzyka na chwilę ucichła, lepiej dał się słyszeć gwar rozmów, brzęczenie szklanek, przesuwanie się ciał na parkiecie, które pod wpływem różnych substancji przesuwały się także bez muzyki. Potem muzyka wróciła. Stompur wciąż usiłował sprawiać wrażenie, że komisarz jest powietrzem.

Kruk pochylił się nad stolikiem, oparł dłońmi o blat i uśmiechnął do niego.

- To tak nie działa - powiedział. - Jak pan nie będzie na mnie patrzył, to nie sprawi, że zniknę.

- Czego pan chce? - Gwałtownie się wyprostował i spojrzał Krukowi prosto w oczy. Miał nieprzyjemne spojrzenie. Jego ojciec miał rację. Kruk go nie polubił od pierwszego wejrzenia.

Teraz i Kruk się wyprostował. Zwrócił się do Łozowskiego:

- Gdzie moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Łozowski zawahał się, po czym powiedział:

- Zapraszam do magazynku przy wejściu.

- W magazynku to pan może sobie trzymać kalosze.

Łozowski minę miał niewyraźną, ale szybko się uśmiechnął.

- Mój błąd - powiedział. - Chodźmy do mojego biura.

- Nie z panem chcę rozmawiać, tylko z panem Stompurem. No to gdzie jest to pańskie biuro?

37

Usiedli naprzeciw siebie w biurze. Pomieszczenie było stosunkowo niewielkie, co Kruka zdziwiło. Taka skromność nie pasowała do menedżera Łozowskiego. Leon zajął miejsce za biurkiem, a Kruk na krześle przed. Było wyraźnie niższe, więc Stompur gapił się na komisarza z góry.

Kruk wstał, odstawił krzesło i częściowo usiadł, częściowo oparł się o biurko. Teraz on gapił się z góry, a Stompurowi się to nie spodobało.

- Gdzie pan spędził sobotni wieczór?

- W domu.

- Ktoś to może potwierdzić?

- Ojciec. Pan wie, bo pan go o to pytał.

- I co pan robił w domu?

- Leżałem na łóżku i słuchałem muzyki. Raz chyba zszedłem na dół i zrobiłem sobie kanapkę.

- Z czym?

- Co?

- Z czym pan zrobił?

- Z różnymi rzeczami, które były w lodówce.

- Ile kromek?

- Nie pamiętam. Kilka. Byłem głodny.

Kruk uśmiechnął się.

- Pański ojciec też tak powiedział. Że pan zszedł i zrobił sobie kanapkę. Użył niemal tych samych słów.

- Bo tak było.

- Obaj mówicie o kanapce, a przecież pan zrobił kilka.

- Co z tego?

Kruk wzruszył ramionami.

- Właściwie nic.

Młody Stompur poruszył się nerwowo na fotelu. Utkwił wzrok w namalowanych na ścianie demonach, torturujących człowieka pod ciężkim spojrzeniem patrzącej z góry kobiety. Za plecami demonów wymalowano zamknięte trumny, ustawione na sztorc, stłoczone.

Jeden z tych demonów w szponiastej dłoni trzymał złoty klucz, a drugą ręką sięgał umiejscowionych w ścianie drzwi, jakby demon ich strzegł, a klucz mógłby do nich pasować. Drzwi były prawdziwe, choć także osrane sprayem, i Kruk wstał z biurka, aby je otworzyć.

Za nimi znajdowała się toaleta.

Ktoś tutaj miał wspaniałe poczucie humoru.

- Pewnie ciężko pan przeżył śmierć Barbary Malewskiej - powiedział Kruk, wracając do biurka. - Kiedyś byliście razem.

- Można tak powiedzieć.

Kruk utkwił w nim wzrok.

- Co można powiedzieć?

- Że chodziliśmy ze sobą.

- A nie chodziliście?

Gęba chłopaka wykrzywiła się w pogardliwym grymasie.

- Baśka trzymała mnie na dystans. Za to od razu rozkraczyła się przed Antem.

Kruk pomyślał, że to ciekawe.

- Mów ładnie, bo pomyślę, że jesteś wulgarny.

- Wie pan, o co mi chodzi.

- Antoni ci się zwierzył?

- On ma więcej szczęścia do dziewczyn.

- Dlaczego się przyjaźnicie?

- Lubimy się.

Wzrok Kruka wciąż przyciągały demony na ścianie.

Obraz, który miał przed oczami, różnił się od pozostałych malunków w Krypcie, jakie do tej pory widział. Miał jakiś wyraz, przedstawiał coś więcej niż tylko kawał makabry czy grozy. Od biedy można by się tu nawet dopatrzeć jakiegoś zamysłu artystycznego.

I Kruk zdecydowanie rozpoznawał ten styl.

- Kto malował te ładne diabełki?

- Taka tam zdzira.

- Nie masz dobrego zdania o kobietach artystkach, Leosiu. - Stompur wzruszył ramionami, a Kruk zapytał: - Co za zdzira?

- Ante chciał, żeby był klimat, ale brakło kasy. Romek znalazł nawiedzoną, co odwaliała robotę za darmo, bo się w nim zabujała.

- Jak się nazywa?

- Jakoś. Kogo to obchodzi.

- Wygląda, jakby była zjarana, gdy to robiła.

- Może i była.

Kruk westchnął. Na ścianie w domu Niemickiej, masażystki obdarzonej talentem artystycznym, też widział diabły. Bardzo podobne.

- A więc lubi pan Antoniego Łozowskiego?

- No.

- Tego typu w ogóle da się lubić?

Leon uniósł wzrok.

- Wszyscy go uwielbiają. Pan nie?

- Jest tak słodki, że aż się boję, że poprowadzi mnie do ołtarza. Kto by pomyślał, że taki ugrzeczniiony typ potrafi zrobić wjazd do czyjegoś domu.

Leon zeszywniał.

- To miał być żart.

- Słyszałem. Żartownisie z was. Kominiarka na ryj, pałka w łapę...

- Kruk pokręcił głową. - Macie fantazję, chłopaki.

- To nieprawda. Konieczny to wymyślił, żeby się wykpić.

- Więc on ma fantazję. Po co właściwie tam poleżliście?

- Zeznawałem w sądzie. Nie będę o tym gadał.

Kruk skinął głową.

- To o czym pogadamy? Co robiłeś w sobotę wieczorem, gdy umierała Barbara Malewska?

- Mówiłem już, byłem w domu.

- Nie pomagałeś jej w umieraniu?

Zacisnął zęby. Nie odpowiedział. Kruk postanowił go zmiękczyć.

- Zdradzę ci sekret - rzekł. - Basia odesłała z kwitkiem nie tylko ciebie, twój przyjaciel Antoni też nic nie działał.

- Skąd pan wie?

Kruk nie mógł mieć pewności, ale wyznanie Leona o tym, że Basia zachowała wobec niego dystans, sprawiło, że skłonny był większe znaczenie przywiązać do przysięg Basi przed najbliższą przyjaciółką i do słów jej matki.

- Po prostu wiem. Obaj gadacie, że była łatwa, zrzygać się od tego można. Ale ona powiedziała wam obu: „nie”, a wy grzecznie posłuchaliście, i właśnie dlatego, choć macie swoje wady, to jednak trochę was lubię.

Leon pokręcił głową, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Głupi pajac - mruknął. - Potrafi się tylko nadymać. Może też kłamać, że posuwa zdziury z baru.

- Masz niewyparzony język, Leosiu. Takie gadanie może zostawić rysę na waszej męskiej przyjaźni. Kiedy widziałeś Basię ostatni raz?

- Dawno. Po tej historii z jej wujem przestaliśmy utrzymywać kontakt.

- Znałeś jej ojca?

Stompur spojrział na swoje ręce. Skrzywił się.

- Już nie żył, gdy ją poznałem.

- Pracował u twojego.

- Dla grubasa pracują różne łajzy. Nie wiem, czy znam

kogokolwiek.

- Nie przepadasz za ojcem?

Brak odpowiedzi.

- Ale za mamą tęsknisz?

Znowu cisza. Stompur patrzył tylko na Kruka z ukosa.

- Jak myślisz, co się z nią stało?

- Nie wiem.

- Na pewno wiele razy o tym myślałeś. Masz jakieś podejrzenia?

- Nie.

Starał się zachować kamienną twarz, ale ostatnie słowo było chrapliwe, wydostawało się ze ściśniętego gardła.

Kruk uznał, że naciśnie mocniej:

- Nigdy nie pomyślałeś, że ojciec mógł się jej pozbyć? Zdaje się, że niespecjalnie im się układało.

Leon nie potrafił się powstrzymać:

- Grubas nie byłby do tego zdolny. Robiła z nim, co chciała. Nie potrafił być taki, żeby go kochała.

- I nie potrafił sprawić, by matka kochała ciebie?

Wzrok Leona stał się zamglony. Zakołysał się na krześle. Kruk zrobił się czujny.

- Może pomożemy sobie nawzajem? - zaproponował. - Ty pomożesz mi w sprawie Basi, ja się upewnię, czy czegoś nie przeoczono w sprawie twojej mamy.

- Mama nigdy nie wróci - wyszeptał.

- Dlaczego?

- Nie zostawiłaby mnie.

Przez ułamek sekundy nie był stawiającym się młodym człowiekiem. Wylazł z niego zagubiony dzieciak.

- Mogę ci pomóc dowiedzieć się, co się z nią stało.

Zagubione dziecko zniknęło, wrócił młody człowiek. Raczej odpychający typ.

- C-H-W-D-P - wycedził bardzo powoli.

Kruk westchnął. Potrząsnął głową.

- Nie mówmy brzydko do siebie. Basia wypytywała cię o matkę?

Stompur spojrział na Kruka spode łba, ale opanował się i gapił na swoje ręce. Nie odpowiedział.

- Przypomnij sobie. Nie była zainteresowana jej losem?

Milczenie. Kruk nie lubił gadać do siebie.

- Mama już raz cię zostawiła. Nie pamiętasz?

Dalej milczenie. Stompur tylko zagryzł wargi.

- Wracając do pana dziewczyn, panie Leonie - rzekł Kruk, uznając, że trzeba spróbować z jeszcze innej strony. - Ta zdzira, z którą pan teraz chodzi... Fajna jest?

Metamorfoza była natychmiastowa i raczej przerażająca. Leon poderwał się z miejsca, jego oczy rzucały gromy, ostatkiem sił nad sobą panował.

Kruk uniósł ręce.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem urazić.

Stali tak obaj, Kruk z rękami w górze, aż Leon się uspokoił. Komisarz powoli opuścił ręce.

- Chciałem tylko porozmawiać o kobietach twoim językiem. W czym Natalia Damaro jest lepsza od Basi, barmanek albo tej artystki od diabłów na ścianach?

Leon już odzyskał nad sobą kontrolę, ale wciąż patrzył na Kruka z nienawiścią w oczach.

- Ma dobre serce.

- A Basia nie miała?

- Była fałszywa. Udawała, baby zawsze udają, ale chodziło jej tylko o Antego. - Urwał, wyraźnie zwątpił we własne słowa, jakby zdając sobie sprawę, że to nie pasowało do tego, o czym powiedział mu Kruk. - A może po prostu chciała imprezować za frajer.

- Natalia nie udaje?

- Jest święta.

Wypowiedział to uroczystym tonem i śmiertelnie poważnie.

Dla Kruka to było trochę za dużo. Przez chwilę jedyne, co zdołał z siebie wykrztusić, to krótkie:

- Aha.

- Życie ją skrzywdziło: rodzice wcześniej zmarli, a chłopak ją zostawił z malutkim dzieckiem. Jest strasznie samotna i zagubiona.

Macie ze sobą sporo wspólnego, pomyślał Kruk.

- Natalia jest bardzo dzielna. Staram się jej pomagać. Musi pan przeprosić za to, co pan powiedział.

Kruk nie spuszczał go z oczu.

- Już to zrobiłem.

- Musi pan przeprosić jeszcze raz.

Ojciec Leona wspomniał, że poznali się na jakiejś grupie dla ludzi, którzy nie mogli wrócić do życia po rozstaniu. No i proszę, nawet taki gacek uczęszcza na grupę.

Kruk pomyślał o sobie, że on sam odbywa tylko niezobowiązujące rozmowy z policyjnym psychologiem. Nie czuł, że jest ze sobą całkiem szczery, i zirytowało go to.

- Nie przeginaj, bo mnie wkurwisz.

- Nic już nie powiem.

- A co do tej pory powiedziałaś? Nic z sensem. Moja oferta pozostaje aktualna, w razie gdybyś się namyślił. - Kruk uśmiechnął się z sympatią. - A póki co, spieprzaj.

38

Jakaś młoda para całowała się przy samochodzie Kruka. Maszyński przepędził ich, a oni odfrunęli jak nocne motyle całować się gdzie indziej.

Policjanci zajęli miejsca w toyocie.

- Niezły ten lokal - stwierdził Maszyński. - Ma klimat.

- Bramkarz był rozmowny?

- Bartłomiej Targiewicz, w skrócie Targo, nie jest tu szczęśliwy. Wypytywał o warunki zatrudnienia w policji. Jak mu powiedziałem, uznał, że zostaje, choć pewno nie na długo, bo knajpa nie jest rentowna i nie wiadomo, ile przetrwa.

- Czemu nie lubi szefa?

- Łozowski przypieprzył się do niego, że wpuścił dziś jednego faceta.

- Kogo?

- Naszego znajomego, Grzegorza Koniecznego.

Kruk zastanowił się, po czym wyciągnął telefon i zadzwonił. Rozmawiał przez chwilę, a gdy skończył, potrząsnął głową ze złością.

- Założyłem Dariuszowi Koniecznemu ogon. Trzy godziny temu stracili go z oczu. Czekają teraz pod jego domem. Jak raczy wrócić, na nowo podejmą obserwację.

- Zorientował się?

- A bo ja wiem? Grzegorz węszy tutaj, ciekawe, gdzie jest Dariusz. Ten bramkarz mówił coś o Malewskiej?

- Słyszał, że nie żyje. Szkoda mu, bo ją polubił, choć gdy przyszła do klubu po raz pierwszy, pomyślał, że to jeszcze jedna tania

szmata.

Kruk uniósł brwi i spojrzał na Radka, który wzruszył ramionami.

- Tylko powtarzam.

- Zapamiętał? To było w zeszłe wakacje.

- Zapamiętał więcej. Mówi, że miała na sobie obcisłe białe spodnie, za duże czerwone szpilki, w których chodziła jak kaczką, i oczojebną bluzkę z dekoltem. A wiesz, dlaczego zapamiętał?

- No?

- Bo miał z niej niezłą bekę, za to w Stompura jakby piorun strzelił, gdy ją zobaczył. Zaczęli się razem prowadzić, ale ona potem już zawsze nosiła się skromnie.

- Spostrzegawczy ten bramkarz. Może go jednak zatrudnimy u nas?

- Mówi też, że była puszczańska, szybko wymieniła Leona na Antka.

- Jednak go nie zatrudnimy. Ta oczojebna bluzka to znaczy czerwona?

Maszyński pokręcił głową.

- Wiem, o co ci chodzi, ale to nie musi nic znaczyć. Moja Pati często chodzi w czerwonej bluzce i białych spodniach, i co z tego?

Kruk wzruszył ramionami. Maszyński mówił dalej:

- No i była wścibska, ale jemu to nie przeszkadzało. W zeszłym roku, jakoś pod koniec sierpnia, Łozowski rzucił się na nią i chciał przyłożyć, bo przetrząsnęła mu biuro. Targo musiał odciągać Łozowskiego i od tej pory ma przejebane. Młody chciał go wyłać, ale stary Łozowski się nie zgodził. Stary ma tu więcej do powiedzenia, niż młody chciałby przyznać.

- Wie, czego Malewska szukała?

- Latała z miarką po Krypcie, podpytywała o projekty lokalu. Targo mówi, że jakoś się pogodzili.

- Jeśli dzień albo dwa później chłopaki przyłapali ją

w samochodzie, gdy przetrząsała portfel Leona, to mamy wiarygodny powód, czemu aż tak się wściekli. Nie pierwszy raz mieli z nią kłopot.

- Jej ojciec pracował przy projektach Krypty, chciała je sobie pooglądać. My też tego chcemy?

- Przede wszystkim chcemy wiedzieć, czego tu szukał Konieczny. Telefon w dłoni Kruka zawibrował.

- Maciąg - usłyszał w aparacie. - Odszyfrowaliśmy ten folder ze zdjęciami z telefonu Barbary Malewskiej.

- Co znaleźliście?

- Zdjęcie. Tylko jedno.

- Zdjęcie młodej dziewczyny?

W aparacie usłyszał westchnienie.

- Niepotrzebnie ślęczę po nocach?

- Przeciwnie. To bardzo ważne. Co pan może powiedzieć o tym zdjęciu?

- Czy ja wiem... Nie widzę w nim nic szczególnego. Chyba tylko to, że to zdjęcie zdjęcia. Szczytałem z metadanych, że wykonano je dwudziestego dziewiątego sierpnia dwa tysiące piętnastego. Aparatem w telefonie zrobiono fotkę zdjęcia w postaci papierowej.

Kruk poczuł podekscytowanie.

- Prześle mi je pan na komórkę?

- Komisarzu...

- Wiem, ale jest noc i wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Chwila wahania, po czym kolejne westchnienie.

- Za moment.

Rozłączyli się.

Maszyński słyszał rozmowę. Pokiwał głową.

- Myślisz, że to zdjęcie Zdrojewskiej?

- W świetle zeznań Barbary Malewskiej złożonych w sądzie, dwudziestego dziewiątego sierpnia dwa tysiące piętnastego roku

dobrała się do portfela Leona Stompura, aby obejrzeć zdjęcie jego nowej dziewczyny, które przed nią ukrywał. Tylko że mamy mocne przesłanki, aby sądzić, że wcale nie była zainteresowana Leonem. Po co miałyby więc to robić?

- Podejrzewała, że to jakieś inne zdjęcie?

- Ukrywał je przed nią, nie chciał pokazać. Musiała być ciekawa. Może pomyślała, że to zdjęcie matki Leona, takie samo, które znalazła ona. Obstawiam, że to, co zaraz zobaczymy, to zdjęcie zdjęcia, które znalazła w portfelu Leona.

Przyszedł MMS. Kruk otworzył wiadomość i zgrał plik JPG do galerii, żeby móc go swobodnie powiększać. Otworzył zdjęcie i przesunął telefon tak, aby Radek też mógł widzieć.

Przez kilka chwil gapili się na uśmiechniętą twarz młodej dziewczyny.

- I co? - spytał Maszyński. - To młoda Kamila Zdrojewska-Stompur?

Uśmiechnięta wyglądała jeszcze ładniej. Kruk potrząsnął głową.

- Tę dziewczynę widziałeś tylko z daleka.

- Czyli nie Zdrojewska, bo jej nie widziałem w ogóle.

- W knajpie mówiłem jej „dzień dobry”. Natalia Damaro, dziewczyna Leona.

Maszyński rzucił mu współczujące spojrzenie.

- Rozczarowany?

- Basia też musiała się rozczarować. Po jaką cholere gnojek robił z tego tajemnicę?

- Może nie chciał ranić uczuć Malewskiej? - Radek zawahał się i powiedział łagodnie: - Pomyliłeś się. Może też mylisz się co do zdjęcia, które Malewska znalazła w rzeczach ojca?

- Może - mruknął Kruk.

Lekko podniszczona papierowa fotografia, której zrobiono zdjęcie komórką, leżała na tapicerce samochodowej. Przynajmniej w tym

Kruk się nie pomylił.

- Wracamy do domów? - spytał Maszyński.

- Ty wracaj. Jutro pochodź za tymi projektami, to może być jakiś trop, tłumaczy zainteresowanie Basi lokalem. Jej ojcu zależało, by właśnie tu pracować, nie pozwolił się stąd odciągnąć. Może projekty zawierają wskazówkę.

- Ty zostajesz?

- Cofnę się do Krypty. Będę potrzebował samochodu, weź taksówkę, komenda pokryje wydatek.

- Akurat, pokryje. Mogę cofnąć się z tobą.

- Nie. Nie będę wracał sam. Tym razem tylko byś mi przeszkadzał.

39

Grzegorz Konieczny patrzył z oddalenia, jak komisarz Kruk wraca do Krypty 66, a ten drugi, ogromny policjant piechotą idzie w stronę SKM-ki.

- Może dziś nie jest najlepszy moment? - spytał.

Jego brat opierał się plecami o ścianę ceglanego budynku. W czasach, gdy ten budynek czemuś służył, był to pewnie magazyn. Na całej długości ściany nie było okien.

- Bo psy węszą? - rzekł cicho Dariusz. - Przyszli, to pójdą. Ten Kruk może jest coś wart...

Grzegorz szczerzej postawił kołnierz kurtki. Noc nie była wcale taka ciepła. Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do drugiej i zapowiadało się jeszcze co najmniej półtorej godziny czekania.

- Tak kochasz policję?

Denerwował się. Czuł zmęczenie, chciał stąd iść.

Niedaleko przechodził chłopak z dziewczyną. Dziewczyna była pijana i się zataczała. Grzegorz cofnął się głębiej w mrok, stając obok brata. Mocniej ścisnął rączkę małej walizki pełnej chirurgicznych narzędzi.

Powietrze drżało od wilgoci, czuło się bliskość morza. Popatrzył w niebo, szukając gwiazd. Gwiazd nie było. Gdzieś daleko w górze migwały bezgłośnie czerwone światełka stoczniovych dźwigów.

40

Ponownie podchodząc do stolika, Kruk rozejrzał się, usiłując zidentyfikować położenie kamer w lokalu. Nie zobaczył żadnej. Ten klub naprawdę nie posiadał monitoringu.

Na jego widok szczeka Łozowskiego opadła, a Stompur tym razem nie uciekał wzrokiem. Patrzył jak na wroga.

Kruk podszedł prosto do niego i pokazał policyjną legitymację.

- Proszę o dowód osobisty.

Leon Stompur siorbnął drinka. Uśmiechnął się do Natalii i wrócił wzrokiem do Kruka.

- O co znowu chodzi?

- Chodzi o to, że proszę o dokument tożsamości - powtórzył Kruk.

- Przez ostatnie kilka minut zrobiłem coś nielegalnego?

- Właśnie pan robi, nie wykonując polecenia oficera policji.

Stompur odstawił drinka, z teatralnym westchnieniem sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął portfel. Odnalazł dowód osobisty, chwycił go w dwa palce i nie zadając sobie trudu, żeby unieść rękę, wykonał niedbały gest w kierunku Kruka, który musiałby się nachylić, żeby wyjąć dokument spomiędzy palców.

No to Kruk się nachylił. Szybkim, krótkim ruchem wyszarpnął mu z drugiej ręki portfel. Stompur został z dowodem osobistym w dłoni i głupią miną.

- Co jest? - warknął, jakby to, co się stało, dotarło do niego z opóźnieniem. Wtedy przyspieszył, w ułamku sekundy wstał z krzesła, a jego ręka już szybowała w powietrzu, aby odzyskać portfel.

Kruk zbił mu tę rękę i lekko pchnął na siedzenie.

- Siadaj.

- Oddaj! - Twarz Stompura wykrzywiła się z wściekłością, dłonie zwinęły się w pięści.

- Leoś, proszę... - Przerazona Natalia Damaro chwyciła go za rękaw.

Wyszarpnął jej rękę, a Natalia odchyliła się gwałtownie i zadygotała. To go otrzeźwiło.

- Przepraszam - szepnął. Patrzył na nią, jakby się bał, że zrobił coś nieodwracalnego. - Przepraszam.

Usiadł, nie zwracając uwagi na komisarza. Interesowała go już tylko ona.

Kruk przejrzał zawartość portfela. Plik setek, karty płatnicze, zdjęcie. Wyciągnął je.

Po raz kolejny tego wieczora z fotografii spojrzała na niego ta sama dziewczyna. Trochę młodsza i bardziej beztroska od tej, która pozwalała przeproszać się Stompurowi. To samo lekko podniszczone zdjęcie, które znaleziono w komórce Basi Malewskiej.

Ale zdjęcie było tylko zdjęciem. Nic niezwykłego. Twarz dziewczyny, a w tle niewyraźny żuraw gdański, co zdradzało, że fotkę zrobiono nad Motławą.

- Ładne ujęcie - odezwał się do Natalii.

Niepewnie skinęła głową.

Kruk włożył fotografię z powrotem do portfela, a portfel rzucił na stół.

- I po zabiegu - rzekł do Leona. - Było się tak denerwować?

- O co chodzi, panie komisarzu? - Antoni Łozowski nie stracił nic ze swojej układnej grzeczności. - Czy zrobiliśmy coś złego?

- Tak, i pan dobrze o tym wie.

- Co takiego?

- Ja, niestety, jeszcze tego nie wiem. Ale to tylko kwestia czasu, więc na waszym miejscu srałbym w gacie.

- Oczywiście zrobimy, jak pan radzi.

Kruk nie dostrzegł w jego twarzy ani cienia drwiny, jakby mówił to śmiertelnie poważnie. Chłopak był niezły. Całkowicie nad sobą panował.

Zupełnie inaczej niż jego kolega.

- Fajny lokal - rzucił Kruk, rozglądając się. - Podoba mi się.

- Może pan jednak zostanie? - Łozowski wykonał zapraszający gest.

- Może.

Kruk wpakował się na wolne miejsce pomiędzy dziewczyny. Stompur i Łozowski wymienili osłupiałe spojrzenia. Tak to bywa, pomyślał komisarz. Prosił, prosił i wyprosił.

- Coś do picia? - zaproponował Łozowski.

Kruk pokręcił głową. Zapatrzył się na parkiet, który tętnił muzyką i pulsował światłami. Siedział, nic nie mówił, nikt nic do niego nie mówił.

Zrobiło się niezręcznie.

- Bardzo się cieszymy, że zgodził się pan z nami posiedzieć - odezwał się w końcu Łozowski.

- Pomyślałem, że zepsuję wam zabawę. - Kruk odwrócił się do Natalii. - Pani dobrze się bawi?

Nieśmiało skinęła głową.

- Chłopaki mieli koleżankę - powiedział komisarz. - Barbara Malewska. Znała ją pani?

- Chodzi o twoją dawną dziewczynę? - spytała Leona.

- Uwielbiała tu przychodzić - rzekł Kruk. - Pani też uwielbia?

- Jestem tu pierwszy raz.

- Zna pani losy tej dziewczyny Leona? Wie pani, że ktoś ją udusił?

- Panie komisarzu - oburzył się Łozowski. - Jak pan może?

- Co mogę?

- Straszyć Natalię.

- To przecież nic takiego. Niech pan pomyśli, jak musiała bać się Basia Malewska.

Kruk kątem oka obserwował Damaro, która zeszywniała. Stompur oczy miał przymrużone, wolno kręcił głową z prawa na lewo i zaciskał zęby. Chciał położyć dłoń na dłoni Natalii, ale cofnęła swoją.

- Żałuję, że pana zaprosiłem - powiedział Łozowski.

- E tam. Tyle tu wszędzie czaszek i demonów... Myślałem, że tylko o takich rzeczach gadacie.

Damaro i Stompur wymienili kilka zdań cichymi głosami, które nie wzbijały się na tyle ponad gwar lokalu, aby dało się zrozumieć słowa. Damaro mówiła szybko, kręciła głową. On usiłował coś jej tłumaczyć.

Podniosła się z miejsca.

- Wracam do domu - powiedziała.

- Odwiozę cię. - Leon także wstał.

- Piłeś. Wezmę taksówkę.

Kruk podniósł się jako trzeci i zrobił to raczej leniwie.

- Może ja panią odwiozę.

Spojrzała na niego czujnie jak wypatrujący zagrożenia ptak.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Nalegam.

Pokręciła głową.

- Nie znam pana.

Po raz drugi tego wieczora wyciągnął legitymację służbową.

- Komisarz Sławomir Kruk z gdańskiej policji. Jeśli pozwoli się pani odwieźć, będziemy mogli porozmawiać po drodze i nie będę musiał jutro odwiedzać pani w pracy czy w domu albo wysyłać pani wezwań.

- Grozi mi pan?

- Próbuję ułatwić życie nam wszystkim.

Zawahała się. Popatrzyła na Leona, który stał pochylony z ponurą miną, jakby przygotowywał się do skoku w przepaść.

Coś w jego twarzy musiało ją przestraszyć, bo się wzdrygnęła.

- Zgoda.

W spojrzeniu Leona, którym obdarzył Kruka, była czysta nienawiść.

Kruk go zignorował i zwrócił się do Antka Łozowskiego:

- Dziękuję za zaproszenie. Było super.

41

- Nie wiedziała pani?

Siedziała na siedzeniu pasażera lekko skulona, odchylając się od Kruka, usiłując zachować bezpieczną przestrzeń.

- Nie.

Jechał bez pośpiechu, wyprowadzając samochód z postoczniowych uliczek na aleję Grunwaldzką. Głęboko odetchnął, bo poczuł się, jakby wydostał się ze studni na świeże powietrze.

- Poznaliście się na jakiejś grupie wsparcia?

- Dlaczego się pan mną interesuje?

- Nie panią. Pani chłopakiem.

- Nie nazwałabym Leona moim chłopakiem. Raczej bliskim przyjacielem. Czy mógłby się pan gdzieś zatrzymać? Chciałabym zapalić.

Kruk zaparkował w pobliżu opery. Natalia Damaro wysiadła i wyjęła paczkę papierosów. Zaproponowała Krukowi. Pokręcił głową, choć w sumie miał ochotę. Patrzył na jej profil, gdy zaciąga się dymem. Bardzo interesująca młoda kobieta, myśląca twarz, spokojne spojrzenie.

- Poznaliśmy się na terapii dla osób, które nie radzą sobie z odejściem bliskich. Mnie zostawił chłopak, gdy byłam w ciąży. Matka Leona zniknęła. Spotykaliśmy się często na grupie, polubiliśmy się, z czasem zaczęliśmy się widywać również poza grupą. Zbliżyliśmy się do siebie.

- Wiedziała pani, że kogoś ma?

- Tak, ale mówił, że to pomyłka.

- Dlaczego?

- Zauroczyła go, gdy przyszła pewnego wieczora do klubu. Sam nie wiedział, czemu zwrócił na nią uwagę. Mówił, że to ona się go uczepliła, ale szybko zerwali.

- Nigdy jej pani nie poznała?

- Nie.

- Ona nie próbowała się z panią kontaktować?

- Nie. Dlaczego miałyby się kontaktować? I dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?

Wydawała się przestraszona, że dziewczyna, którą ktoś udusił, mogła czegoś od niej chcieć. I że wokół pada cień Leona.

- Ale tej historii z wtargnięciem do cudzego domu Leon przed panią nie ukrył?

- Tragedia wydarzyła się, gdy dopiero zaczynaliśmy się poznawać. Leon był wstrząśnięty tym, co się stało. Staralam się mu pomóc, bardzo nas to zbliżyło. Ten straszny człowiek wziął żart za napaść i zabił jego przyjaciela. Leon boi się tego człowieka i ma nadzieję, że sąd go skaże.

- Nigdy nie miała pani wątpliwości, że wersja Leona jest prawdziwa?

- Nie, nigdy.

Skończyła palić, zdeptała niedopałek butem, podniosła go i rozejrzała się, szukając kosza na śmieci. Kruk wyjął kiepa z jej dłoni i wrzucił do popielniczki w samochodzie.

Natalia Damaro stała odwrócona do niego plecami, ręce schowała do kieszeni kurtki i patrzyła przed siebie. Wcale jej się nie śpieszyło, żeby jechać dalej.

- A gdybym powiedział, że jednak ma pani wątpliwości?

Nie odpowiedziała.

- Powiedzmy, że je pani ma i że są stosunkowo świeże. Skąd mogłyby się wziąć? Chodzi o to, co powiedziałem o Basi Malewskiej?

- Dzisiaj poznałam jego przyjaciela, Antego. Jest w nim coś

takiego... Boję się go.

- Dopiero dzisiaj go pani poznała?

- Leon nie chciał, żebyśmy się spotkali. Nie chciał mnie zabrać do Krypty, choć prosiłam. Teraz rozumiem dlaczego.

- Chodzi tylko o Antego?

Przez chwilę nad tym myślała.

- O wpływ, jak ma na Leona. Do tej pory nie widziałam, żeby Leon się tak zachowywał.

- Jak?

- Jak zniewolony. Ante ma nad nim jakąś dziwną władzę.

- Nie zauważyłem. W rozmowie ze mną Leon nie szczędził Antemu gorzkich słów.

- Właśnie. Z jego opowieści nabrałam innego wyobrażenia o Antem. Ale gdy obserwowałam ich obu... - Nabrała powietrza w płuca, spojrzała na Kruka ze zdumieniem. - Mój Boże, co ja panu mówię?

- Rozmawia pani ze mną szczerze, bo jestem z policji, a pani jest uczciwą dziewczyną. Dla mnie też to trudne, bo jestem przyzwyczajony do kłamstw.

Potrząsnęła długimi włosami.

- Ludzie mogą kłamać wcale nie dlatego, że są źli i pragną pana oszukać. Leon jest mi bliski i mam wrażenie, że nie jestem wobec niego lojalna.

- Pani nic złego nie powiedziała. Tylko przestraszyła się pani swoich myśli. Proszę się nie martwić, ja ich nie słyszę.

Przechyliła leciutko głowę, żeby móc na niego spojrzeć.

- Leon jest dobrym człowiekiem. Bywa trudny, ale proszę go nie oceniać przez pryzmat jego zachowania.

- Już ktoś mnie o to prosił.

- Kto?

- Jego ojciec.

Pokiwała głową ze smutkiem.

- Nie dogadują się. Ale rozmawiał pan z jego ojcem, rozmawia pan ze mną. Jesteśmy dwiema najbliższymi Leonowi osobami i oboje mówimy o nim to samo. Proszę o tym pamiętać.

- Jest jeszcze jego matka. Jest... albo już nie ma. Co o niej mówi?

- Nic. Trochę mówił na spotkaniach grupy, ale niechętnie, i przestał.

- Nie wspominał, że gdy pierwszy raz zobaczył Barbarę Malewską w klubie, zwrócił na nią uwagę, bo przypominała mu matkę?

Natalia Damaro zamrugła i bezwiednie uniosła palec do rozchylonych nagle ust, muskając nim górną wargę.

- Wspomniał. Że była ubrana podobnie do jego matki, gdy zniknęła. Że miała jej beznadziejny styl. Że potem zabronił jej się tak ubierać. I że uwielbia mnie, bo jestem krańcowo inna. - Leciutkie wykrzywienie rysów sugerowało, że komplement Leona mimo wszystko nie przypadł jej do gustu. - Skąd pan wie?

- Poznała pani jego ojca?

- Od niego też mnie trzyma z daleka. Czasem mam wrażenie, że byłby najszczęśliwszy, gdyby mnie wywiózł na bezludną wyspę i miał tylko dla siebie.

Zamyśliła się.

Kruk też się zamyślił. Jego podejrzenia układały się w całość, ale wciąż były to tylko podejrzenia.

Hipoteza robocza.

Możliwa była również inna hipoteza, którą powinien był brać pod uwagę, czy mu się to podobało, czy nie.

- A skoro jesteśmy przy ojcach - powiedział z ociąganiem. - Jak długo trwał pani romans z Waldemarem Malewskim?

- Słucham?

Obserwował ją, aby nie zgubić żadnego drgnięcia mięśni mimicznych i zmiany wielkości źrenic.

Powtórzył ostatnie zdanie.

- O czym pan mówi?

- O pani związku z ojcem Barbary Malewskiej.

Jedyne, co dostrzegął na jej twarzy, to bezbrzeżne zdumienie. Kruk znał wielu kłamców, którzy potrafili przywołać ten wyraz na zawołanie. Zawsze były to kobiety.

- Bywała pani w domu na Migowskiej na tyle często, żeby trzymać tam trochę swoich ubrań w plecaku.

W jej oczach malowały się różne uczucia. Rozchyliła usta, bo potrzebowała więcej tlenu. Oddychała nierówno, płytko.

- O czym pan mówi?

- Proszę mi pomóc. Proszę docenić, że rozmawiamy tutaj, choć mógłbym wezwać panią na formalne przesłuchanie. Nie chcę tego, romanse nie są nielegalne.

- Nie znam żadnego Waldemara Malewskiego - powiedziała. - Nie mam i nie miałam z nim romansu. Nie mogę mieć związków z kimś, kogo nie znam.

Mówiła coraz szybciej. Kruk nie spuszczał jej z oczu.

- Dała mu pani swoje zdjęcie.

- Nie!

- Leonowi pani dała, a to przecież tylko przyjaciel.

- Nie znam Waldemara Malewskiego! Czemu mi pan nie wierzy?

Kruk milczał.

Była blada, ręce zaczęły jej się trząść.

Kruk wciąż jej się przyglądał.

- Odwiozę panią.

Jechali przez Gdańsk w ciszy. Z rzadka wyprzedzały ich lub mijały inne samochody. Przez większą część drogi słyszeli jedynie szum opon na asfalcie i niski pomruk silnika.

Kruk raz po raz spoglądał na Damaro.

Siedziała wyprostowana i spokojna, patrząc przed siebie. Po

policzkach spływały jej łzy.

Poczuł niechęć do siebie.

- Mam paskudną pracę - mruknął, aby się usprawiedliwić.

42

Barmanki i reszta obsługi już poszły, jeszcze tylko Targo się guzdrał. Działał Łozowskiemu na nerwy. Stał przy barze i ubierał się w kurtkę w takim tempie, jakby już spał, tylko zapomniał się położyć.

- Dziewczyny widziały, jak gadałeś z policją. Z tym wielkim psem w cywilu.

- No.

- Co no? Czego chcieli?

- Pytali o Baškę. Tę uduszoną.

- Wiem, o którą - warknął Ante. - Co im powiedziałaś?

Targo wzruszył ramionami.

Łozowski był zbyt zmęczony, żeby próbować wydostać jakieś informacje z tego tępaka. Z głośników dobiegały ciche dźwięki muzyki, którą barmanki ustawiły sobie do sprzątanania. Ante wyłączył sprzęt.

- Widziałeś Leona?

- Jest w magazynie.

- Kontaktuje?

- Położyłem mu pod głowę karton fajek.

- Potrącę ci, jak je zarzyga.

Targo ponownie wzruszył ramionami i polazł w kierunku wyjścia.

- Pamiętaj, kurwa, żeby zamknąć za sobą drzwi na klucz! - zawołał za nim Ante.

Został sam w ciszy, pośród przygaszonych świateł. To nie był dobry wieczór. Nie chodziło tylko o wizytę policji. Konieczny wyprowadził go z równowagi. Natalia Damaro nie dostarczyła mu

rozrywki, jakiej oczekiwał. A potem jeszcze Leonowi odbiło.

Łozowski miał dość.

Pieprzyć Leona. Z satysfakcją patrzył, jak Natalia zgodziła się pojechać z komisarzem. Leon wydzwaniał potem do niej, ale nie miała ochoty na rozmowę. Leon, jej wyznawca i fan, zareagował w przewidywalny sposób.

Zalał się w trupa.

Ante przeszedł się do magazynu i zajrzał do środka.

Leon leżał na boku z kartonem papierosów pod głową. Gdy Ante lekko kopnął go w żebra, otworzył jedno oko i kazał mu spierdalać. Łozowski wyszedł bez słowa, gasząc za sobą światło.

Wrócił do biura. Usiadł przy biurku, boleśnie czując obecność krwawych diabłów za plecami.

Zwykle lubił ten moment, gdy klub jest już pusty, wszyscy poszli, miejsce ogłuszającej muzyki zajmuje ogłuszająca cisza, jest tu tylko on i szelest banknotów.

Czasami przedłużał te ostatnie chwile, słuchając ciszy, która wydawała się niesamowita. Bywało, że czuł ciarki wędrujące po kręgosłupie, ale przez to tylko bardziej mu się tu podobało. Napawał się atmosferą.

To złe miejsce, powtarzał sobie. A ty lubisz złe miejsca. Takie myślenie dawało mu poczucie mocy.

Zwykle to lubił, ale nie dzisiaj. Dziś zepsuto mu humor.

Ante podliczył utarg i włożył pieniądze do sejfu. Żałośnie mało. Za mało. Ojciec zaczynał marudzić, że może klub to jednak nie jest najlepszy pomysł i trzeba zacząć ograniczać straty. W jego języku oznaczało to zamknięcie knajpy. Będąc jeszcze zwrócony w kierunku sejfu, wpuścił klucz do kieszeni...

Usłyszał za sobą szelest.

Gdy się odwrócił, kilka kroków przed nim zamajaczyła czyjaś twarz.

Cofnął się, wciąż jeszcze zaskoczony, a po chwili już przerażony.

Poznał tę twarz. Twarz Dariusza Koniecznego.

Potężna pięść pędziła w jego stronę jak rozpędzona lokomotywa. Ante nie zdołał się przed nią uchylić. Poczul uderzenie, ale nie poczul bólu, był na to zbyt zaskoczony. Poleciał na ścianę, osunął się na podłogę.

Usłyszał jak przez mgłę, że Konieczny mówi do kogoś:

- Posadźmy go wygodnie i pójdę szukać tego drugiego.

43

Młody mężczyzna wpatrywał się w Grzegorza Koniecznego rozszerzonymi ze strachu oczami. Liczyły się tylko oczy i mimiczne skurcze mięśni wokół nich, bo usta miał zalepione szarą taśmą do pakowania.

Szybko przestał się wyrywać. Kostki nóg miał przywiązane do nóg krzesła. Dwa, trzy razy szarpnął się, przekonując się, że nie oswobodzi też przywiązanych do oparcia rąk o opalonych przedramionach bez śladów zadrapań.

Grzegorz był ciekawy, czy jego kolega ma równie nieskazitelne ręce.

Opór, jaki stawiało krzesło, wystarczył, żeby Antoni Łozowski się poddał.

Jest niewiele starszy od mojego syna, pomyślał Grzegorz Konieczny. To była okropna myśl. Potrząsnął głową, usiłując wyrzucić ją z umysłu.

Położył na stole niewielką walizkę.

- Przykro mi - powiedział, bo taka była prawda. Było mu przykro. - Przykro mi, że zmusiłeś mnie do tego, chłopcze.

Wyjął z walizki niewielki metalowy przedmiot w aluminiowym opakowaniu. Popatrzył na Łozowskiego, którego wzrok zawiesił się na tym przedmiocie, a oczy rozszerzyły się mocniej.

- To tylko skalpel - szepnął Grzegorz i odłożył opakowanie na stół.
- Nie chcę cię tym zanudzać. Skalpel zna każdy ćwok, nawet ty. Pewnie liczyłeś na coś ciekawszego.

Miał przez chwilę wrażenie, że ściany napierają na niego, chcąc go zmiążdżyć. Diabły wyciągały ręce.

Co ja tu robię? – pomyślał.

Jeszcze rok temu był cenionym chirurgiem w Krakowskim Szpitalu Specjalistycznym im. Jana Pawła II. Miał żonę, syna na uniwersytecie za granicą, dom, dobry samochód, grono znajomych. Nie jeździł po stoczniowych budynkach z walizką pełną narzędzi, aby torturować ludzi.

Chciałeś czegoś więcej, no to masz, przemknęło mu przez głowę.

Bo tamte dni były do siebie bliźniaczo podobne. Budził się rano, szedł pod prysznic i stojąc w strugach wody, myślał o tym, że oto znów tu jest, pod tym samym prysznicem, wykonując te same czynności, że zaraz wyjdzie do szpitala, odhaczy kolejny dzień, mniej lub bardziej podobny do poprzednich, a następnego dnia wszystko się powtórzy.

I to tyle? – zadawał sobie pytanie, słuchając głosu żony przy śniadaniu i nieciekawych opowieści o klientach jej biura tłumaczeń. Czy już tak zawsze będzie? Nic mnie już w życiu nie czeka?

Gdy na jego oddział trafiła Anna, nowa pielęgniarka z lekką nadwagą i promiennym uśmiechem, on był gotowy na ten uśmiech.

Grzegorz wyciągnął z walizki dłuto do kości i uśmiechnął się na tamto wspomnienie. Młody mężczyzna na krześle nie zareagował dobrze ani na nowe narzędzie, ani na ten uśmiech. Zaczął szamotać się i podrygiwać, w dramatycznej próbie oswobodzenia się z więzów.

Grzegorz odłożył dłuto, a przy nim położył chirurgiczny młotek do kompletu.

Pół roku po spotkaniu Anny nic nie było takie samo. Grzegorz nie mieszkał już w domu, który zostawił żonie, a ona sprzedała przed wyemigrowaniem do Wielkiej Brytanii, podobnie jak i samochód. Syn wziął stronę matki, zerwał kontakt z ojcem i nie chciał go znać. Grzegorz zostawił sobie jedynie małe mieszkanie w kamienicy nad Wisłą, które darzył sentymentem.

Anna opuściła szpital i podjęła pracę w innym mieście.

Najbliższą przyjaciółką Grzegorza została klonidyna, lek na nadciśnienie.

Wszystko to po prostu się stało, jednak Grzegorz nie uważał tego za katastrofę. Czuł się winny wobec rodziny, ale tylko trochę. W głębi duszy czuł ulgę.

I ciekawość, co teraz przyniesie mu życie.

Katastrofa była dopiero przed nim i wydarzyła się na raty.

Siostrę dotknęła tragedia: jej mąż okazał się nałogowcem i przedawkował. Grzegorz Konieczny pomyślał o rozmowie z komisarzem Krukiem sprzed trzech dni. I o niechęci, z jaką mówił wtedy o szwagrze.

Nie mogłem znieść Waldka, bo w głębi duszy jestem taki sam, pomyślał. Tak samo zniszczyłem rodzinę, z tych samych powodów. Wiedziałem, że ma inną kobietę, bo w jego oczach widziałem to samo co w swoich, kiedy patrzyłem w lustro.

- To - Grzegorz z całej siły zacisnął dłoń na kolejnym narzędziu, które przypominało wkrętak - raspator. *Raspare* pochodzi z łaciny. Oznacza skrobać, oskrobywać i oczywiście służy do oskrobywania kości. Postanowiłem skupić się na twoich kościach, chłopcze.

Po napaści na dom brata, podczas którego jego brat zabił człowieka i trafił do więzienia, a w końcu po strasznej śmierci Basi, Grzegorz przestał czuć ulgę. Zgasła w nim ciekawość. Teraz nastąpiło coś innego. Przepelniało go poczucie tymczasowości, jakby pożyczył czyjeś życie i patrzył na nie z dystansu.

- To może ci się spodobać. - Uniósł coś, co dla laika mogło wyglądać jak kawałek drutu, ale on widział w nim precyzyjne narzędzie. - Piła Gigli. Bardzo przydatna, nam też może się przydać jako ostateczny argument. Wybrałem ją, bo nie zajmuje wiele miejsca i jest lekka. Mam też piłę oscylacyjną przeznaczoną do zabiegów na dużych kościach. To moje ulubione narzędzie do

amputacji. Mam kleszcze, haki do ran i całą masę innych narzędzi. Użyję każdego z nich, jeśli okażą się potrzebne.

Ante usiłował coś powiedzieć, ale taśma skutecznie mu to uniemożliwiała. Dało się słyszeć jedynie jęki, sapania i piski. Człowiek jest w gruncie rzeczy szczurem, pomyślał Grzegorz. Przyciśnięty zachowuje się jak szczur. Przynajmniej ten człowiek, którego tutaj mam.

- Ciii. - Położył palec na ustach. - Spokojnie.

Z leżących na stole narzędzi wybrał dłuto i młotek.

Łozowski szarpnął się na krześle w spazmie, który był spazmem bólu, jaki sobie wyobraził. Którego, jak zaczynał wierzyć, nie uniknie.

Konieczny poczuł odrazę do siebie. Czy to na pewno ja robię to wszystko? Powinien wyjść stąd, odczekać, pozwolić, aby świat znów się ułożył. Aby powrócił ład i porządek, aby życie znów odzyskało znaczenie. Zostawić policji odnalezienie zabójcy Basi, okazać pomoc i obywatelską postawę. Bo to, za co się zabierał, było drogą w otchłań, spiralą, która porywa i nie wypuści, póki nie zdarzy się kolejna tragedia, i kolejna... i kolejna...

Łozowski szalał na krześle. Usiłował nawiązać kontakt wzrokowy, generował dźwięki, które wydawały się obiecujące.

Ale drażniły Grzegorza.

I Grzegorz Konieczny się zawahał.

Nie wiedział, jak daleko jest gotowy się posunąć.

Ale podejrzewał, że daleko.

Jeśli gnojek zacznie kłamać, on, normalny człowiek, może nieszczęśliwy, ale nieróżniący się zbyt od innych, może zrobić coś bardzo złego.

I stanie się tym, kim mogą stać się wszyscy, jeśli dostatecznie mocno spieprzą sobie życie.

Potworem.

44

- Myślę o swojej siostrze - powiedział Grzegorz Konieczny. - Jest w strasznym stanie. Nawet ty byłbyś wstrząśnięty. Choć może ty akurat nie.

Stał, trzymając w rękach narzędzia, głowa mu opadła.

- Wiesz, dlaczego jest w takim stanie? Ktoś zabił jej córkę. Udusił ją, ale na tym nie skończył. To był dopiero początek.

Konieczny zrobił krok przed siebie. Łozowski szalał na krześle, które zaczęło się chwiać.

- Gdy siostra ją znalazła, Basia wyglądała, jakby spała. Ręce miała złożone pod głową. A prawa dłoń została odcięta.

Łozowski znieruchomiał. Znieruchomiała jego twarz. Znieruchomiał wzrok, który zawisł na postaci Grzegorza.

- Gdy usłyszałem to wszystko, pomyślałem o tobie, panie Łozowski. Ze wszystkich ludzi na świecie na myśl przyszedłeś mi ty. A właśnie ty nie zaszczycasz mnie rozmową.

Antoni usiłował coś powiedzieć. Spod taśmy dochodziły nieokreślone dźwięki, piski. Tylko tyle. Grzegorz Konieczny wsłuchiwał się w te odgłosy z wielką uwagą, z całych sił próbując zrozumieć słowa. Jakby to nie on zakleił taśmą usta Łozowskiego.

- Naprawdę szkoda, że nie chciałeś rozmawiać, synku. Szkoda, że nie chcesz teraz.

Nachylił się i przytknął dłuto do lewego kolana, starannie wybierając miejsce. Wziął zamach młotkiem. Obserwował swoje ręce, ciekawy, czy uderzą.

Łozowski usiłował odchylić kolano, wydawane przez niego dźwięki stały się krótsze, bardziej urywane i gwałtowne. Ale wciąż nie dało

się nic zrozumieć.

Drzwi otworzyły się i na progu stanął Dariusz. Grzegorz opuścił uzbrojone w narzędzia ręce i wyprostował się.

- Powiedział coś? - padło pytanie.

Grzegorz potrząsnął głową. Dariusz spojrział na Łozowskiego, na jego zaklejone taśmą usta. Zaskoczony zbliżył się i zerwał taśmę z ust Antego.

- Może tak będzie łatwiej - szepnął.

- Jezu Chryste, czego ode mnie chcecie? - wykrzyknął Antoni Łozowski. Zdrętwiałe wargi nie układały się tak, jak powinny, i słowa brzmiały niewyraźnie. - Nie mam nic wspólnego z tym, co się stało. Przecież ja nic nie wiem. Rozumiecie? Nic nie wiem.

- No właśnie. - Grzegorz podniósł wzrok na brata. - Za wcześnie zerwałeś taśmę.

- Nie mogę znaleźć drugiego.

- Może poszedł do domu?

- Nie. Widzieliśmy, jak wchodzi, ale nie wyszedł. - Dariusz Konieczny zwrócił się do Antego: - Gdzie twój kumpel?

Odpowiedź nastąpiła natychmiast:

- Śpi w magazynie, w przeciwległej części budynku, blisko wejścia.

- Sprawdzalem tam - odparł Dariusz. Stał pochylony, zacięty, zły.

- Musi tam być. Upił się. Może poszedł do łazienki. Może poszedł do domu i pan go nie widział... Zostawcie mnie, ja nic nie wiem o Baśce... Basi...

- Sprawdzę jeszcze raz - powiedział Dariusz Konieczny. Zawahał się, chciał coś powiedzieć. Nie powiedział nic i wyszedł.

Zapadła martwa cisza.

Przedłużała się.

Przerwał ją Grzegorz, biorąc do ręki taśmę. Z trzaskiem odkleił duży kawał z rolki.

Łozowski rzucił się na krzesło kolejny raz, usiłując zrzucić krępujące go więzy.

- Nie, niech pan mi wierzy. Wszystko powiem. To Leon, on jest pieprznięty, powiem panu, co zrobił. Powiem panu, żeby pan wiedział, że mówię prawdę. Nie moja wina. Ja mu tylko pomagałem, kiedy było za późno...

Grzegorz Konieczny zbliżył się i nachylił nad chłopakiem.

- Gadaj.

Drzwi znowu się otworzyły. Konieczny nie odwrócił się, tylko wyciągnął rękę, tę, w której trzymał dłuto, dając znak Dariuszowi, żeby się cofnął. Chłopakowi nie trzeba było przerywać.

- Gadaj.

Wzrok Łozowskiego ześliznął się z twarzy Grzegorza i utknął gdzieś za jego plecami.

Konieczny w tej chwili zrozumiał, ale zrozumiał za późno.

Odwrócił się. Nie zobaczył brata. Mężczyzna stojący za nim był wyższy i młodszy.

Leon Stompur runął na Grzegorza. Uderzył go głową w twarz. Grzegorz zachwiał się, a gdy tamten poprawił, upadł na kolana i opuścił głowę. Narzędzia wypadły mu z rąk i z hałasem spadły na posadzkę. Kątem oka zauważył, że Stompur wziął rozmach, aby go kopnąć. Nie znalazł w sobie sił, aby się obronić.

- Nie - usłyszał krzyk Łozowskiego. - Nie w głowę.

O dziwo, ten krzyk powstrzymał Stompura, który stanął nad Grzegorzem.

- Kogo my tu mamy - powiedział, łapiąc oddech. - Braciszek chirurg chce bawić się w oprawcę.

Grzegorz oparł się na rękach, aby nie paść na twarz. W głowie mu się kręciło.

- Bracie, źle wykorzystujesz swoje talenty - usłyszał, a Stompur podniósł z posadzki jego młotek. Ręka z młotkiem była żylasta,

a przedramię w krwawych szramach. Te szramy... - I właśnie zakończyłeś karierę.

Uderzenie młotkiem w prawą dłoń było tak silne, że Grzegorzowi rozbłysło pod powiekami. Miał wrażenie, że palce zostały zmiażdżone i bije od nich prąd. Stompur poprawił w to samo miejsce i chirurg usłyszał, że z jego własnego gardła wydobywa się krzyk

- Nie, nie w głowę - powtórzył Łozowski.

Trzeci cios nie został zadany młotkiem, kopnięcie poszło jednak na głowę i Grzegorz Konieczny stracił przytomność.

45

Zdyszany Stompur stanął nad Antem, który skulił się pod ciężarem jego spojrzenia.

- Nic im nie powiedziałem - rzekł cicho.

Leon był wściekły i miał ochotę potraktować Antego młotkiem.

- Słyszałem twoje nic. Wysłałeś tego drugiego do magazynu, bo wiedziałeś, że mnie tam nie ma. Prawda, że wiedziałeś?

Rozwiązał kolegę, czując, jak tamten drży. Nie wiedział, czy już boi się jego, czy jeszcze tamtych.

- Coś ty znowu zrobił? - spytał Ante. Gapił się na nieprzytomnego Koniecznego szeroko otwartymi oczami.

- Spieprzamy, zanim wróci drugi.

- To mój lokal... Mam to tak zostawić?

Stompur chwycił go za koszulę. Przybliżył twarz, patrząc mu w oczy.

- Mało ci?

Puścił Antego i ostrożnie otworzył drzwi. Słyszał odległy hałas, Dariusz Konieczny przetrząsał składzik.

- To mój lokal - powtórzył za jego plecami Ante.

Stompur nie potrafił zrozumieć tego palanta. Przed chwilą srał ze strachu i chciał wszystko wygadać chirurgowi, a teraz jakby o tym nie pamiętał.

- To zostań z nimi.

Ante jednak nie został.

Przeszli obok tonącego w półmroku baru i wśliznęli się w labirynt ścianek osłaniających stoliki i palety. Stompur miał do tej pory wiele szczęścia, wywłókł się z magazynu na chwilę przed tym, gdy bracia

Konieczni się pojawili.

On ich dostrzegł, oni jego nie.

Obserwował Koniecznego, jak łązi po Krypcie. Leon czuł mdłości, miał zawroty głowy, wciąż był pijany, i zajęło mu stanowczo zbyt dużo czasu, by zorientować się, co się dzieje. Ale gdy już się zorientował, zaczął szukać szansy, a gdy ją znalazł, od razu wykorzystał.

Zabrał ze sobą młotek do obrony. Poczował pokusę, by zacząć się na Koniecznego i jemu także zgasić światło.

Ten facet to była jednak inna liga niż chirurg. W obliczu zagrożenia zabił Pruszyńskiego. Stanowił śmiertelne zagrożenie, a Leon miał dla kogo żyć.

Myśl o Natalii i o wydarzeniach wieczoru spowodowała bolesny skurcz żołądka.

Przyczaili się pod ścianą korytarza. Fakt, że lokal był urządzone jak labirynt, działał na ich korzyść. Czekali, aż Dariusz Konieczny opuści magazyn. Słyszeli jego kroki, gdy zmierzał w stronę biura.

Cicho kierowali się do wyjścia, podczas gdy on zmierzał w przeciwnym kierunku.

Bez przeszkód prześlizgnęli się za kotarę odgradzającą klub od przedsionka. Tam leżał Targo. Nieruchomy. Leon nachylił się nad nim i usłyszał słaby oddech. Jakieś doktorskie sztuczki, pomyślał.

Drzwi były zamknięte. Bracia pewnie zamknęli je kluczem Targo i zabrali ze sobą, ale Leon miał swój.

Ante i Leon nie zaprzęтали sobie głowy ochroniarzem. Wybiegli z Krypty, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

46

W pokoju naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego, który wpadł tylko na chwilę, oprócz Marcina Zycha był jeszcze zbierający się do wyjścia Radek Maszyński. Umówił się w Krypcie 66 ze starym Łozowskim, aby dostać do wglądu projekty lokalu.

- Miło, że współpracuje - powiedział Kruk.

- Zareagował nerwowo. Dopytywał, po co nam projekty.

- Jak go przekonałeś?

- Zapytałem, czy z tymi projektami jest coś nie tak. Zagroziłem, że zwrócimy się do urzędu miasta i wyciągniemy ich egzemplarze. Zaczynam być ciekawy tych dokumentów.

- Podziałało?

- Podziałało. Przy okazji, w gabinecie Malewskiego na Migowskiej jest cała sarta papierów. Jakies wstępne wydruki, fragmenty dokumentacji, taki tam roboczy śmietnik, pewnie znajdzie się coś i o Krypcie. Tyle że przekopanie tego wszystkiego to gruba robota.

- Na razie zdobądź zatwierdzone projekty.

Kruk zatrzymał Radka i zrelacjonował im rozmowę z Damaro. Zych pokręcił głową.

- Nie rozumiem - powiedział. - Jeszcze raz: co twoim zdaniem zrobiła Malewska?

- Ubrana w rzeczy Kamili Zdrojewskiej, znalezione u ojca w gabinecie, wyobrażam też sobie, że w makijażu wzorowanym na znalezionym zdjęciu, przyszła do Krypty.

- Ten znowu swoje. - Maszyński trzasnął łapą w kolano. - Może, panie naczelniku, mnie pan powierzy śledztwo, a Sławek będzie od papierów?

- I po co to zrobiła? - spytał Zych.

- Coś jej się tam wydawało. Na przykład że zwróci w ten sposób uwagę Leona Stompura, który do tej pory ją ignorował. Jeśli tego właśnie chciała, osiągnęła cel. Bramkarz powiedział Radkowi, że na jej widok w Leona jakby piorun strzelił.

- Powiedział też, że Malewska była wtedy ubrana jak tania szmata - mruknął Maszyński.

Zych pokręcił głową i powiedział ostrożnie:

- Leona Stompura zainteresowała kobieta zrobiona jak tania szmata, bo przypominała mu matkę?

- Nie każda matka to matka Polka - mruknął Kruk. - Bywają mniej powściągliwe matki, a dzieci i tak je kochają.

- Przebrać się za zaginioną matkę chłopaka... - Zych utkwiał w Kruku zatroskane spojrzenie. - Kto mógłby wpaść na taki pomysł?

- Na przykład dziewczyna, która straciła ojca i którą coś w związku z jego śmiercią gnębiło. Leon raczej nie podejrzewał, że to celowe przebranie.

- Może dziewczyna była trochę psychiczna? - zasugerował Zych, ani trochę nieusatisfakcjonowany słowami Kruka.

Kruk zdusił niezbyt miłą odpowiedź, skupiając się na tym, aby słowa nie opuściły jego ust. W gruncie rzeczy jednak Marcin miał rację. To było dziwne. Kruk nie chciał, aby było, ale było.

Maszyński z hałasem wypuścił powietrze z płuc.

- Kurwa, Sławek, sam przyznałeś, że możesz się mylić z tym zdjęciem. Nie masz żadnych dowodów, że Malewska znalazła zdjęcie Zdrojewskiej.

- Ale jeśli mam rację, to Malewski miał w domu ubrania Zdrojewskiej, które nosiła w dniu zaginięcia. Wiele na to wskazuje.

- Możesz się mylić. Sam przyznałeś.

- Czasem mówię różne rzeczy dla świętego spokoju.

- To mogło być zdjęcie jakiegokolwiek kobiety. Może nawet zdjęcie

Damaro.

Kruk skrzywił się. Rano długo przyglądał się zdjęciu znalezionemu w komórce Basi i dopadło go niejasne poczucie, że coś jednak różni to zdjęcie od tego, które nosił w portfelu Stompur. Zdjęcia był podniszczone, ale każde chyba trochę inaczej. Pożałował, że nie zabrał Leonowi fotografii albo przynajmniej jej nie sfotografował.

- Wtedy Natalia musiałaby znać Malewskiego. Wypaliłem to z grubej rury, żeby zobaczyć jej reakcję. Pudło. Nie wierzę, że go znała. To porządna dziewczyna, nie wikłałaby się w romans ze starszym żonatym facetem, a poza tym Malewski był ostry ćpun. Nie spojrzalaby na takiego.

Maszyński chrząkaniem dał znać, co o tym myśli.

Marcin wybił palcami na biurku krótki rytm.

- Tak dobrze ją znasz? - mruknął, unikając wzroku Kruka. - Czy może była smutna i płakała przy tobie?

- Przyjrę się dla ciebie tej Damaro - odezwał się Maszyński.

- Po co? Ona nie ma ze sprawą nic wspólnego. Miałeś się przyjrzeć Niemickiej.

- I co teraz? - spytał Marcin Zych.

Kruk popatrzył na nich, na ich powątpiewające twarze, i poczuł złość.

Podniósł się z krzesła.

- Teraz, to ja, kurwa, mam spotkanie z psychologiem.

- W sobotę?

- Pani psycholog przychodzi specjalnie dla mnie.

Marcin Zych uniósł brwi.

- I to mi się podoba - powiedział bez przekonania.

47

- Co myślisz? - Kruk skończył mówić i popatrzył na Monikę.

Twarz miała skupioną. Gdy relacjonował jej temat, ani razu mu nie przerwała. Opowiedział jej o spotkaniach z Jerzym Stompurem w ponurym domu na Zakosach. Podzielił się wątpliwościami.

- Myślę, że mówisz mi o tym, żeby nie mówić o sobie.

Była to prawda, ale tylko częściowo. Naprawdę nie wiedział, co sądzić o tym facecie.

- Co myślisz o nim? - powtórzył.

Jej usta ułożyły się w lekko kpiący wyraz. Westchnęła i pokręciła głową, usiłując zebrać myśli. Dzień był gorący, a ona, zamiast założyć sukienkę do połowy tyłka, który prezentował się nad wyraz zachęcająco, jak zwykle gotowała się w spodniach.

- Jest taki typ mężczyzn. Dręczy kobietę, z którą żyje, gwałci, upokarza ją, bije, a wszystko po to, żeby ukryć fakt, że jest całkowicie od niej zależny i nie jest w stanie bez niej żyć. Robi to pchany wizją największego koszmaru: że ona odchodzi i zostaje bez niej. A bez niej dla niego wszystko traci sens.

- Jak na razie mniej więcej się zgadza - mruknął Kruk.

- Znajomi, przyjaciele niczego nie dostrzegają. Wszystko rozgrywa się w domowym zaciszu. Ale gdyby ktoś z zewnątrz mógł zajrzeć za kurtynę, pomyślałby, że taki mężczyzna robi wszystko co możliwe, żeby kobietę od siebie odstraszyć. Oprawca tak na to nie patrzy. On robi wszystko, aby uniemożliwić jej odejście. Jest jednak zasadnicza różnica między takim typem a twoim człowiekiem.

- Jaka różnica?

Zawahała się.

- Ten typ faceta nigdy by się nie przyznał, że to wokół niej kręci się jego świat. Byłoby to dla niego ostateczne upokorzenie.

Kruk zastanowił się i doszedł do jedyne­go możliwego wniosku:

- Może więc to nie jest ten typ.

- Chodzi mi o to - powiedziała pośpiesznie Monika - że jest w zachowaniu Jerzego Stompura pewna zasadnicza sprzeczność.

- On twierdzi, że nigdy jej nie uderzył.

- Za to gdy raz się za nią zabrał, zafundował jej atrakcje z największych koszmarów.

- Myślisz, że kłamie i wcześniej ją tłu­kł?

Jej oczy pociemniały.

- Nie wiem. Ale załóżmy, że nie, a rozebranie żony do naga i zamknięcie jej w stalowej szafie w opuszczonym stocznio­wym budynku było pierwszym incydentem. Skoro zaczął od tak wymyślnego aktu przemocy, co mogłoby się zdarzyć, gdyby stracił nad sobą panowanie kolejny raz? Przemoc eskaluje. Gdy raz zrobił jej krzywdę, a nie osiągnął spodziewanego efektu, mógł uznać, że musi posunąć się dalej.

Zacisnęła dłonie w pięści. Kruk nie wiedział, że psychologom wolno okazywać emocje podczas spotkań z delikwentami, takimi jak skłonny do wybuchów i niepanujący nad sobą komisarz.

- Ona poszła na policję, ale nie otrzymała pomocy. Ta kobieta bardzo jej potrzebowała, a jakiś policjant o mentalności trepa po prostu odesłał ją do domu, do jej piekła, bo coś mu się tam wydawało. Stompur, gdy się dowiedział o próbie donosu, musiał się poczuć zdradzony.

- Dowiedział się o tym dopiero po jej zniknięciu. Poza tym on zaprzecza, że ją zamknął i zostawił na noc.

- Uwierzyłeś mu? - spytała.

Wzruszył ramionami, usiłując nie dać po sobie poznać, że może rzeczywiście trochę uwierzył.

Syknęła, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Mężczyźni nie potrafią zrozumieć problemu, nawet tacy jak ty. Nigdy nie doświadczyli przemocy ze strony najbliższej osoby, takiej osoby, od której należałoby oczekiwać tylko wsparcia, i wydaje im się, że to nic takiego.

- A kobiety w szczęśliwych małżeństwach potrafią?

Jej wzrok przeszywał go na wylot.

- Kobiety są fizycznie słabsze od mężczyzn, ale posiadają silniejszą empatię. Potrafią. I potrafią postawić się na miejscu tych prześladowanych. I czują gniew w ich imieniu, kiedy tamte nie mogą okazać choćby cienia gniewu, aby nie zostać ponownie skrzywdzone.

Kruk chrząknął.

- Rozumiem.

- Naprawdę? I co teraz zrobisz?

- Z czym?

- Z Jerzym Stompurem.

- Na razie nie ma nic do zrobienia.

- Ujdzie mu to na sucho?

- Uwierz, Monika, facet od dawna nie korzysta z uroków życia, gdybym go posadził, pewnie nie poczułby różnicy. Nie mam na niego nic, a on zbudował sobie prywatne więzienie bez krat.

Cofnęła się, nie kryjąc rozczarowania. Wyprostowała się na krześle, obciągnęła bluzkę, aby się nie marszczyła.

- Czy nie przyszedłem tu po to - powiedział delikatnie Kruk - żebyś nauczyła mnie powstrzymywać się od gwałtownych i nieprzemyślanych działań?

Spojrzała na niego ze smutkiem, który przemienił się w pogardę, a potem odwróciła wzrok.

Kruk zmieszał się.

Na szczęście kończył im się czas.

48

Na korytarzu spotkał Paczulskiego, zmierzającego do gabinetu żony. Kruk wybierał się w poniedziałek do komendy miejskiej, aby tam zebrać pewne informacje, ale obecność podkomisarza mogła mu oszczędzić spaceru.

- Masz chwilę? - spytał.

Patrząc w twarz sympatycznemu skądinąd facetowi, Kruk zastanawiał się, czemu go tak bardzo nie znosi. Doszedł do wniosku, że tylko się oszukuje, że nie ma po temu powodu. Powód był, w dodatku brudny powód.

Trudno lubić kogoś, kto zabierał sobie ze świata to co najlepsze, a ty mogłeś tylko patrzeć i żałować, że nie jesteś na jego miejscu.

Choć może Monika wcale nie była taka słodka, jak się Krukowi do tej pory wydawało.

- Musisz być ciężkim przypadkiem, skoro w sobotę przychodzi przez ciebie do pracy - powiedział Paczulski.

- Pamiętasz sprawę sprzed dwóch lat? Architekt zaćpał się na terenach postoczniowych. Wy to robiliście.

- Pamiętam. - Uwagi Kruka nie uszło lekkie skrzywienie ust. - Nazywał się Malewski i słyszałem o jego córce.

- Nie mieliście żadnych wątpliwości?

- Jakich?

- Że to przedawkowanie.

- Wyszło na to, że było.

- A mogło nie wyjść?

Podkomisarz Damian Paczulski wzruszył ramionami. Nie był w nastroju do zwierzeń. Przyglądał się Krukowi wzrokiem człowieka,

który nie lubi, gdy się go pyta o takie rzeczy.

- Nie skojarzyliście, że facet przedawkował w tym samym czasie, kiedy zniknęła jego flama?

Odpowiedź przyszła po chwili:

- No nie.

- Kurwa.

- Tak, właśnie, kurwa. Żonaty facet miał flamę? No to co? Skąd w ogóle mieliśmy o tym wiedzieć?

- Z dobrze przeprowadzonych czynności śledczych.

Paczulski nachylił się w stronę Kruka, który poczuł od niego drogie perfumy. Może prezent od Moniki.

- Nie było podejrzenia udziału osób trzecich. Nikt się w tej sprawie nie przemęczał. Co z tą flamą? Czemu ona taka ważna?

- Przeszukaliście jego mieszkanie?

- I nawet miejsce pracy.

- A gabinet w domu szwagra?

Paczulski nic nie powiedział.

Kruk też nic nie powiedział, tylko na niego patrzył.

- Nie gap się tak - mruknął podkomisarz. - Znaleźliśmy parę skitranych działek w mieszkaniu faceta, parę w pracy. Gość był ćpun i prok dał kwalifikację, że to wypadek.

- Był jakiś punkt zaczepienia?

- Gdyby mnie kto pytał, nabrzeże to ciekawe miejsce, a wieczór to ciekawy czas na zaćpanie dla takiego faceta.

- Ale nikt cię nie pytał?

- On tam w pobliżu pracował. Naczelnik odhaczył sprawę i nawet jak jeden bufon przylazł, żeby się dalej w tym babrać, to naczelnik bufona pogonił. Ja mu się zresztą nie dziwię.

- Co za bufon?

- Taki tam, kantujący adwokacina, jak samo nazwisko wskazuje.

- Brunon Kant?

- Ten sam. Do usług.
- No i co?
- I nic. Znasz typa? Widziałeś jego kolubrynę?
- Kolubrynę?
- Samochód. Wielki i piękny samochód.
- Słyszałem o Kancie.
- Zawsze chodzi mu o własny interes. Chciał namieszać, coś ugrać od naczelnika, ale dostał eleganckiego kopa w dupę. Aż miło było popatrzeć. Muszę iść.

- Jasne.

Kruk patrzył za nim. Zanim nacisnął klamkę pokoju żony, Paczulski jeszcze raz spojrział na Kruka.

Był poważny, w oczach miał coś dziwnego.

- Zaczekaj na korytarzu. - Kruk usłyszał zniecierpliwiony głos Moniki. - Zrobiłeś zakupy?

Nie była w najlepszym humorze i nie wahała się tego okazać mężowi, ale akurat to ostatnie poprawiło humor Krukowi.

W swoim pokoju włączył komputer i wpisał nazwisko Kanta do wyszukiwarki. Znalazł numer kancelarii, zadzwonił. Uprzejma asystentka głośno powtórzyła nazwisko Kruka.

- Kto? - usłyszał męski głos w tle.

Asystentka ponownie powtórzyła nazwisko komisarza.

- Tak właśnie się nazywam - potwierdził Kruk.

Asystentka, jeszcze bardziej uprzejma, poinformowała, że jest sobota i mecenasa nie ma. Kruk spytał, czy dobrze się rozejrzała i jest pewna, że Kant nie siedzi obok niej.

Była tego całkowicie pewna.

Zapewniła, że przekaze informację i mecenas skontaktuje się z komisarzem, ale nie powiedziała kiedy i nie poprosiła o numer. Prawdopodobnie wyświetlił się jej na telefonie.

Lekko zirytowany Kruk odparł, że to bardzo miłe z jej i z jego

strony.

49

Brunon Kant oddzwonił po dwóch godzinach i wyraził chęć spotkania. Kruk był głodny, wychodził właśnie coś zjeść. Odparł, że przyjedzie do kancelarii po obiedzie.

Postawił tacę z pierogami na stoliku w barze mlecznym na gdańskiej Starówce. Wybrał miejsce blisko okna, skąd mógł patrzeć na ludzi na ulicy. Nie zdążył zacząć jeść, gdy ktoś stanął obok.

- Można?

Wokół było sporo wolnych stolików. Kruk chciał zwrócić tamtemu na to uwagę, ale on już stawiał swoją tacę. Wymuskany facet w koszulce polo, z chyba modną chustką pod czarną brodą i z obowiązkowym złotym zegarkiem.

Usiadł i uśmiechnął się szeroko. Wyciągnął rękę na przywitanie.

- Brunon Kant.

Kruk przyglądał mu się spode łba, po czym uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Słyszałem, że pan często tu jada, pomyślałem, że i ja mogę. Przecież się nie otruję.

Kruk nigdy nie spotkał go osobiście. Na talerzu adwokat dźwigał tradycyjny polski zestaw: schabowy z ziemniakami i zasmażaną kapustą.

- Przyszedł pan spróbować tutejszej kuchni?

- Owszem. - Kant złapał sztucce i zabrał się za kotleta. Posmakował, skrzywił się. W jego twarzy było coś groteskowego. Odłożył sztucce, sięgnął po serwetkę. - Ale gdybym przyszedł tylko po to, byłaby to strata czasu. Czego pan chce ode mnie?

- Kiedyś chodził pan do naczelnika komendy miejskiej w sprawie

śmierci Waldemara Malewskiego.

- Odgrzebuje pan stare śmieci?

- Może.

Kant spojrział z żalem na porzucony kotlet i chwilę toczył wewnętrzną walkę godną lepszej sprawy. Ostatecznie dał mu drugą szansę.

- Miał pan jakieś informacje w tej sprawie? - spytał Kruk.

Kant jadł. Zdawał się niczego nie słyszeć.

- Panie mecenasie...

- Zadałem grzeczne, konkretne pytanie - powiedział prawnik. - Dostałem niezbyt grzeczną, niekonkretną odpowiedź. Tak nie będziemy rozmawiać.

- A jak będziemy?

Kant nie odpowiedział. Był zbyt zajęty jedzeniem.

- A czego pan chce? - powiedział Kruk.

- No dobrze - westchnął adwokat, ponownie odkładając sztucce. - Dobrze, że pan pyta. Bracia Petersowie, dwóch ciężko pracujących, bogobojnych mieszkańców Gdańska.

- A, ci. No i co?

- Bardzo pan wobec nich zawzięty.

- Czy ich nie reprezentuje inny pełnomocnik?

- Po pańskim telefonie zrobiłem szybkie rozeznanie i dowiedziałem się, komu pan siedzi na karku. Gdańsk to małe miasto, znam Petersów. Przed chwilą ustaliliśmy, że gonią swojego prawnika i zatrudniają mnie.

Kruk zastygł z widelcem przy ustach.

- Ciekawe.

- Zapewniłem braci, że od dziś przewlekłe kłopoty z komisarzem Krukiem stają się zamierzchną historią.

Kruk podjął przerwane jedzenie. Widelec w górę i w dół. Pełny - pusty. Rutyna, którą znał.

- Dobrze zrobiłem? - spytał Kant.

Kruk wciąż machał widelcem, ale i nóż nie próżnował.

Smakowało mu.

- Moi klienci ciężko pracowali i chcą w spokoju cieszyć się owocami tej pracy. Tymczasem zmagają się z absurdalnymi oskarżeniami. Sposób, w jaki potraktowała ich policja, woła o pomstę do nieba i mógłbym rozpętać burzę, ale oni nie chcą, żeby robić panu problemy. Polubili pana. Mówią, że z pana niezły śmieszek. - Kant chrząknął, udając zakłopotanie. - Jeśli pan o nich zapomni, machnę ręką na pański bezprawny sposób przesłuchiwania. I odpowiem na pańskie pytania.

- A jeśli nie zapomnę?

- Skończę kotleta i kapustkę. Ziemniaczki zostawiam dla świnek i wychodzę. Stracę klientów. Nie szkodzi, znajdę innych.

- Pan chce zasłaniać się tajemnicą adwokacką i utrudniać śledztwo?

- Które? Pan pytał o Malewskiego, a jego śmierć nie jest przedmiotem żadnego śledztwa.

- Ten pobity cieć z portu... Dostał grupę inwalidzką.

Kant machnął ręką.

- Bracia Petersowie czasem udzielają się charytatywnie.

- Poważnie?

- Myślą o tym. Wesprą pana podopiecznego.

Kruk czekał, czy Kant nie wspomni, że wesprą i Kruka, ale on tylko się uśmiechał. Był na to zbyt inteligentny.

- Ta sprawa pójdzie do umorzenia - mruknął Kruk. - Nie ma dowodów, prokuratura nie zechce jej długo ciągnąć.

- A co pan na to?

- Będę ich ścigał do upadłego.

Zmiany zachodzące na twarzy Kanta sprawiły Krukowi przyjemność. Adwokat znajdzie nowych klientów, ale jego duma

i reputacja ucierpią. A Petersowie mogą mieć pretensje.

- Barbara Malewska - rzekł Kant. - Czy to nie w jej sprawie chciał się pan ze mną spotkać?

Kruk zawahał się.

- No i co?

- Przyszła do mojej kancelarii po śmierci ojca. Nie wie pan, jak zostałem adwokatem jej wuja?

Komisarz włożył do ust ostatniego pieroga i z pełnymi ustami odpowiedział:

- No to chrzanić Petersów.

Szeroki uśmiech rozpromienił połowę brodatej twarzy adwokata. Druga połowa uśmiechała się mniej szeroko. Facet miał częściowy niedowład mięśni mimicznych.

Kruk znał jego historię, a nawet kilka jej wersji. Adwokat, zanim przed kilkoma laty przyjechał z Krakowa do Gdańska, przy okazji jakiejś sprawy wpadł w łapy ponurych typów. Chcieli wydostać z niego, gdzie ukrywa się jego klient. Według innej wersji chodziło o jakieś dane finansowe. Kant nie ujawnił żadnych informacji, nikt też nie wiedział, jak odzyskał wolność, ale pamiątką po torturach było kalectwo.

Pytany milczał albo zaprzeczał, co podsycalo plotki.

Po tamtych wydarzeniach otoczył się zgrają ochroniarzy, w większości zaufanych ludzi, których przy różnych okazjach uchronił od wyroków. Czas leczy rany i obecnie wystarczał mu jeden ochroniarz.

- No i załatwione - rzekł Kant. - Świetnie. To znaczy szkoda, że nie udało się złapać sprawców napadu, ale dobrze, że niewinni nie będą niepokojeni.

Wstał i skierował się do drzwi.

Po chwili już go nie było.

50

Kruk bez pośpiechu dopijał wodę mineralną.

Kant pojawił się znowu.

- Wiedziałem, że pan wróci. - Komisarz ruchem brody wskazał talerz z niedokończonym schabowym. - Nie odniósł pan tacy.

- Musiałem zatelefonować. Trzeba szybko przekazywać wieści, aby w powietrzu zaczęły fruwać pieniądze.

Był z siebie zadowolony, jakby fizycznie słyszał już szelest banknotów ze skrzydełkami.

- Waldemar Malewski, zacznijmy od niego - rzekł Kruk. - Co pan wie?

- Na miejscu policji zadałbym sobie więcej trudu w jego sprawie.

- Był pana kolegą, klientem?

- Nie mam takich kolegów. I nie był moim klientem, ale też nie mógłby nim zostać. Moją klientką była przez chwilę pewna kobieta, więc w grę wchodziłby konflikt interesów.

- Niech pan wyraża się jaśniej.

- Kobieta miała problem, a raczej dwa problemy. Jeden to znajomy, z którym nieopatrznie wdała się w romans, a który nie chciał się odstawić od cyca. Stawał się uciążliwy, zaczynała się go bać.

- Malewski?

- A jak się panu wydaje? Drugi problem to mąż, który zaczynał się tego domyślać i również stawał się agresywny. Kobieta chciała uwolnić się od obu panów. Szukała pomocy na policji, ale odprawiono ją z kwitkiem, więc znalazła adwokata, który bywa skuteczny nie tylko na sali sądowej.

Kruk spojrział za okno, na ulicę, stojące na światłach samochody i przechodzących chodnikiem ludzi. Wyglądali tak zwyczajnie, jak tylko mogą wyglądać ludzie na chodniku. Zmieniły się światła i samochody ruszyły. W nich też siedzieli zwyczajni ludzie i przytulali do serc swoje sekrety.

- Co dalej?

- Dalej było dużo smutku, bo dobre usługi prawnicze kosztują. Podjąłem pewne działania, gdy okazało się, że wpłacona zaliczka to były całe jej oszczędności. Ona nie pracowała i to jej mąż trzymał łapę na pieniądzach. Zapewniłem, że jestem do dyspozycji, ale musi znowu trochę uciuć albo niech mnie poleci mężowi. Póki co, życzyłem przyjemnego życia.

- Wciąż nie wiem, czy pan znał Malewskiego.

- Mówiłem, że podjąłem pewne działania. Poszedłem do jego mieszkania. Zapytałem grzecznie, czy nie zechciałby się odpiardolić od mojej klientki dla własnego dobra. Wyjaśniłem mu, jak się sprawy mają: pomacał, poruchał, zostaną mu wspomnienia, a klientce już się znudziło i czas wyjąć łapę z jej majtek.

Kruk siedział w milczeniu. W końcu pokręcił głową.

- Ależ pan uroczy. Ja dałbym się przekonać.

- Byłem przejęty, bo bałem się, że dowie się żona Malewskiego.

- Skąd mogła się dowiedzieć?

- Nie mogłem się doczekać, kiedy jej o tym opowiem. Malewski zaproponował mi pieniądze, żebym zostawił go w spokoju.

- Wziął pan?

Kant przymrużył oczy.

- Niektórzy mówią, że nie mam zasad.

- Sam słyszałem - zgodził się Kruk.

- Ale jedną mam.

- Tylko jedną?

- Biorę pieniądze wyłącznie od jednej strony. Za to wtedy się nie

ograniczam.

- Pańska klientka nie miała czym płacić.

- Pan nie rozumie, komisarzu. Gdy raz przyjmuję czyjąś stronę, nigdy jej nie zmieniam. Klienci wiedzą, że gdy przyjmę od nich pierwszą złotówkę, nie odsprzedam się stronie przeciwnej. To dla nich kojące uczucie.

- Ale stanął pan po stronie Koniecznego przeciw Leonowi Stompurowi, a to syn pana klientki.

- Różne sprawy, różny czas, różni ludzie, choć spokrewnieni.

- Może wcale nie takie różne te sprawy.

Spojrzenie Kanta się wyostrzyło.

- Chętnie o tym posłucham.

- Nie, to ja słucham. Śmierć Malewskiego, wciąż do niej nie dotarliśmy.

- Tak, Malewski umarł. Byłem niespokojny.

- Jak się pan dowiedział?

- Od jego córki, która odwiedziła mnie w kancelarii. Bardzo subtelna młoda osoba, która zasypała mnie pytaniami o ojca, czy byłem jego wrogiem. I czy coś wiem o tym, że miał bliską przyjaciółkę.

- Jak Basia do pana trafiła?

- Basia? - Kant spojrział na komisarza z zaciekawionym.

Kruk poczuł na sobie złość, miał wrażenie, że wzrok adwokata przenika go na wylot.

- Barbara Malewska, córka Waldemara Malewskiego, panie mecenasie Kant.

- Tak ładnie pan o niej powiedział. Tak intymnie.

- Niech pan odpowie na pytanie.

- Krótco przed śmiercią ojca usłyszała rozmowę telefoniczną, w której groził jakiejś kobiecie. Padło moje nazwisko. Malewski był zły, że poszła do prawnika. Właśnie z tego powodu byłem

niespokojny, nie lubię, gdy ludzie gadają o mnie, a potem im się umiera.

Wyglądało na to, że Barbara Malewska miała więcej powodów, by podejrzewać, że ojciec kogoś miał, niż Kruk myślał.

- Co pan jej powiedział?

- Przecież nie prawdę. Spławiłem ją, za to próbowałem się skontaktować z inną kobietą, która była ze zmarłym w zażyłych stosunkach. Okazało się, że zaginęła.

- Zacznie pan posługiwać się nazwiskami?

- Kamila Zdrojewska-Stompur. Trochę mnie to nurtowało. Poszedłem na komendę miejską, posiadałem pewne informacje i pod tym pretekstem chciałem się czegoś więcej dowiedzieć.

Kruk pokiwał głową. Słuchał uważnie.

- Zawsze robię wywiad, zanim się za kogoś zabiorę. Wiedziałem, że Malewski był nałogowcem i często ćpał w domu szwagra na Migowskiej. Policja nie przeszukała akurat tego gabinetu, a pewnie były tam narkotyki. Szykował się murowany sukces policji.

- I co?

- Sprawę śmierci Malewskiego prowadził podinspektor Paczulski. To rozsądny człowiek, który tak jak i pan rozumie, że informacje kosztują, a ja chciałem drobnego ustępstwa komendy w innej sprawie. Niestety, Paczulski był nieobecny i wylądowałem u naczelnika.

Wzmianka o podkomisarzu zirytowała Kruka.

- Zna pan Paczulskiego?

- Bystry człowiek, choć za mną nie przepada. Chciałem wymienić przysługi i się zaprzyjaźnić. Takie przyjaźnie się przydają, ale może kiedyś znowu nadarzy się okazja...

- Naczelnik nie chciał wymieniać przysług?

- Niestety, zamierzał dostać coś za nic, zrobiło się nieprzyjemnie, i sukces policji diabli wzięli. Może i dobrze.

- Dobrze?

- Po zabójstwie Pruszyńskiego policja przetrząsnęła dom. Nic nie znaleziono. Konieczni i Malewska twierdzili, gdy ich pytałem, że wcześniej też na nic nie natrafili. Może więc Waldemar Malewski chciał mieć gabinet czysty.

- Pomylił się pan, ale się panu upiekło?

- Pan się nigdy nie myli?

- Nikt nie znalazł czegoś jeszcze?

- Czego?

- Czegoś interesującego.

- Byłoby mi łatwiej, gdyby wyjaśnił pan, o co chodzi.

Kruk nie miał zamiaru niczego Kantowi ułatwiać. Facet był adwokatem, stali po przeciwnych stronach.

Gdyby tamten coś wiedział o znalezieniu rzeczy Zdrojewskiej i gdyby chciał się tą wiedzą podzielić, nie potrzebowałby pytań pomocniczych.

Zastanowił się, czy Basia Malewska nie wyniosła tych rzeczy do siebie. Może przydałoby się ponowne, tym razem ukierunkowane, przeszukanie mieszkania jej matki.

- Jak pan myśli, co się stało Malewskiemu?

Brunon Kant podniósł widelec i zaczął dłubać nim w resztkę wystygłych ziemniaków.

- Facet był bardzo ostrożny ze swoim nałogiem, przez lata skutecznie go ukrywał, nie wiedziała nawet najbliższa rodzina. A tu, proszę, chamsko przedawkował.

- Co w związku z tym?

- Ona go nienawidziła. Nienawidziła ich obu.

- Mówiła o tym?

- Gorzej, milczała o tym.

- To można milczeć o nienawiści, a pan i tak to wypatrzy?

- Panie komisarzu, w moim zawodzie jestem świadkiem, jak ludzie

plują nienawiścią po kilka razy dziennie. Możliwe, że stałem się od tego spaczony. Tym większe wrażenie robi, gdy ktoś nienawidzi bez słów.

- Obraca się pan wśród przyjemnych ludzi.

- Wśród takich samych jak pan. Tylko że mnie płacą grubą forszę, żeby bezkarnie odsłaniać serca. Nikt nie potrafi bardziej nienawidzić niż ci, którzy przysięgali sobie nawzajem, że póki śmierć ich nie rozłączy... w zdrowiu, w chorobie... i podobne głupstwa... Może tylko ci, którzy wierzą przysięgom, że za dzień, za miesiąc rzucają stare życie i rozpoczną nowe... razem... A to nigdy nie następuje.

- Za co Zdrojewska tak bardzo nienawidziła ich obu?

Kant uśmiechnął się lekko.

- Miałem wrażenie, że zbyt mocno ją kochali.

- Można kochać zbyt mocno?

- Kto wie? Wie pan, co mi powiedział Malewski o pani Zdrojewskiej? Że czułość, nie zaś piękno kobiet, zasługuje na naszą miłość.

Kruk drgnął.

- Czy to nie z Szekspira?

- Tak? Czytuje pan klasyków?

- Szukałem kiedyś fajnego cytatu na kartkę dla dziewczyny. Przy jakiej okazji Malewski to panu powiedział?

- Wtedy, gdy go odwiedziłem. Chciał mnie wziąć na litość, że nie może bez niej żyć. Gadał mnóstwo bzdur o tym, że uzależniła go od siebie udawaną czułością, a potem mu to zabrała. Był w rozpacz. Kto wie, co mogło się między nimi wydarzyć, gdy całkiem stracił nadzieję.

- Na przykład co?

- Może odeszła i on nie mógł tego znieść. A może nigdzie nie odeszła... - Kant się zamyślił. - Uwierzy pan, że pewne sprawy mnie

gnębią?

- Chce mi pan wmówić, że ma pan sumienie?
- Sumienie to za dużo powiedziane, może mam... jakąś resztkę.
- I do czego pan używa tej resztki?

Kant odłożył widelec i już nim nie majtał w talerzu.

- Wiem, co się mówi o moich metodach. - W jego spojrzeniu była gorycz. - Ale niech mi pan pokaże dobrego człowieka, którego skrzywdziłem.

- Pokażę dwóch złych ludzi, którzy dzięki panu będą spać spokojnie - odparł Kruk. - Widywał pan potem Barbarę Malewską?

Adwokat zniecierpliwił się.

- Niech się pan tak nie pilnuje - rzekł. - Niech pan mówi o niej tak, jak pan o niej myśli: Basia.

Odłonił w uśmiechu zęby, białe jak śnieg, który świeżo napadał na wzgórza. Komisarz chętnie by strzelił go w ten wyszczerzony pysk, ale zęby wyglądały na drogie. Kruk usiłował ostatnio trochę oszczędzać, mimo to na pewne rzeczy wciąż nie było go stać.

- Pewnie, że ją widziałem - odparł Kant. - Przecież zostałem obrońcą Koniecznego. - Na moment na jego twarzy pojawił się wyraz niechęci. - Podczas jej pierwszej wizyty rzuciłem na odchodnym, że gdyby potrzebowała pomocy prawnej, może się do mnie zwrócić. Jakoś mi się żal jej zrobiło.

- Nie wierzę...

- Ja też nie. Bo zdawkową uprzejmość potraktowała poważnie i powiedziała o mnie swojej rodzinie. Naczytała się o mnie w internecie. Tylko że jej rodzina mnie nie chciała. Oni też się naczytali, że jestem nieuczciwy, dali mi odczuć, że mną gardzą.

- A kiedy zechcieli?

- Gdy zrozumieli, że przegrają. Myślałem, że panu o tym wspomnieli. Przyszedł do mnie zrozpaczony Grzegorz Konieczny, błagał, żebym ratował mu brata od wyroku. Przyjrzałem się, jak

wygląda sytuacja. Ich adwokat był nic niewart, a mała Malewska zdążyła się skompromitować. Kłamała w sądzie.

- Dla kogoś takiego jak pan to musiał być szok.

- Kłamała i dała się przyłapać. Bardzo głupie zagranie. Gdy mam do czynienia z głupcami, zawsze robię to samo: winduję honorarium w kosmos i nie daję gwarancji.

- Pan uważa, że Malewska kłamała na rozprawie?

- Nie mówiła całej prawdy ani w sądzie, ani rodzinie. Pan tak nie uważa?

- Wyciągnął pan z niej tę prawdę?

- A co mnie obchodzi prawda? Zadała się z łachudrami. To się musiało źle skończyć.

- Jeden z tych, z którymi się zadała, to syn Zdrojewskiej.

- I męt bez wartości. Jeśli to się panu do czegoś przyda, Leon wraz z kolegami lubili się kiedyś włamywać do mieszkań w blokach. Takie mieszkania to mały zysk, dlatego zmienili branżę i teraz to młodzi biznesmeni. Niedawno zastanawiałem się, jak sprowokować ich do pokazowego włamania, żeby to udokumentować i mieć ich w garści.

- O czym pan mówi?

- Dzielę się z panem najskrytszymi myślami. Myślę też, że w sierpniu poszli na tył domu, aby się włamać. A tu proszę, Konieczny ułatwił im sprawę, zostawiając otwarte drzwi. - Pokręcił głową. - Zaś wracając do małej Malewskiej, to kazałem Koniecznym trzymać ją z daleka od sprawy. Znalazłem bardziej wiarygodnych świadków, jak pan świetnie wie od szpiega, którego przysłał pan na rozprawę.

- Myśli pan, że może istnieć związek między śmiercią Malewskiego, zniknięciem Kamili Zdrojewskiej i uduszeniem Barbary Malewskiej?

- Uduszona... - Kant pokręcił głową. - Taka dziewczyna... Strasznie smutna sprawa. - Wciągnął powietrze, wypuścił je i dodał:

- Ale widziałem smutniejsze.

- Tak?

- Dla pana i dla mnie to zwykła rzecz. Gwałty, rozboje, zabójstwa... Nie możemy się za każdym razem rozczulać.

- Nie rozczulajmy się więc.

- Nie wiem, czy istnieje związek. Takie rzeczy to pańska działka. - Kant rzucił na stół wizytówkę. - Gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc...

- Zdawkowa uprzejmość?

Adwokat wyszczerzył zęby.

Wstał. Sięgnął po tacę.

- Niech pan skłoni Dariusza Koniecznego do szczerzej rozmowy ze mną - rzekł Kruk.

Kant spojrział na komisarza spode łba. Chwilę tak się gapił.

Ostatecznie wyszedł, zostawiając tacę na stole.

51

Maszyński zostawił na biurku Kruka uzyskane od Łozowskiego projekty Krypty 66 i komisarz pobieżnie je przejrzał, ale niewiele mu to dało. Zupełnie się na tym nie znał. Jako osoba opracowująca widniał Malewski, zatwierdzał Jerzy Stompur. Kruk umówił się, że przekaze dokumenty biegłemu z zakresu budownictwa. Sam mu je zawiózł i wymógł, aby facet od razu rzucił na nie okiem.

Po krótkiej analizie biegły wzruszył ramionami.

- Nic nie rzuca mi się w oczy. Czego mam szukać?

- Nie mam pojęcia.

- Mało skomplikowany projekt. Właściwie mógłbym oddać go panu od razu, taki banał. Oczywiście przestudiuję go jeszcze dokładnie, ale nie widzę tu nic niezwykłego.

Kruk wyszedł od biegłego i stanął na ulicy. Wiatr był ciepły, przyjemny, dobrze było go czuć na twarzy.

Wrócił na komendę, gdzie wciąż był Maszyński, który jeszcze nie rozpoczął weekendu. Właśnie odkładał telefon i przyglądał mu się podejrzliwie.

- Dzwonił Targo, ten ochroniarz z Krypty - powiedział.

- Szybko się zaprzyjaźniasz.

- Przestraszony jak diabli. Wczoraj w nocy, gdy wychodził z pracy, ktoś go ogłuszył i coś mu wstrzyknął. Ma ślad po ukłuciu. Stracił przytomność i ocknął się rano w przedsionku lokalu. Krypta była pusta. Zadzwonił do Antka Łozowskiego. Chłopak kazał mu pozamykać klub, zapomnieć o wszystkim, obiecał pieniądze i kazał przyjść dziś normalnie do pracy.

Kruk nawet się specjalnie nie zdziwił.

- Targo wie, kto go załatwił?

- Nie. Był cholernie zdenerwowany. Myślisz, że to Konieczni? Był cynk od twojej ekipy, że wznowili obserwację Dariusza. Obaj bracia nad ranem wrócili do mieszkania siostry.

Kruk zamyślił się.

Maszyński potrząsnął trzymaną w ręce papierową teczką. Bardzo cienką.

- Co to?

- Analitycy przejrzeni Facebooka Niemickiej i prześwietlili jej nieruchomość - odparł Radek. - Powiedziała ci, że kupiła dom ze spadku trzy lata temu. Fakt, spadek dostała trzy lata temu, ale dom kupiła dopiero po tym, gdy zginął jej chłopak. Facebook nie kłamie, a jego zdaniem jej chłopakiem był Romek Pruszyński.

Kruk pamiętał, że Leon też coś o tym wspominał.

- Może Pruszyński tęskni i dlatego przychodzi pod jej dom.

- Odwiedziłem jej miejsce pracy.

- Czy ona nie ma gabinetu w domu?

- Poprzednie miejsce pracy. Niemicka pracowała w placówce banku PBG w galerii handlowej we Wrzeszczu. W kwietniu zeszłego roku rzuciła bank i została masażystką.

- Ucieczka od korpo i sen o własnej firmie?

- Na to wygląda.

- Dlaczego masaż? - zastanowił się Kruk. - Jaką miała opinię w banku?

- Znali ją tam jako wzorową pracownicę. Podpytałem dyrektorki, czy nie przeszkadzał im wygląd Niemickiej, ale nie wiedziała, o co mi chodzi. Niemicka jest dla niej przyjemną i zadbaną dziewczyną, której zawsze zazdrościła pięknych włosów.

Kruk uniósł brwi.

- Od dawna jej nie widziała, co?

- Dowiedziałem się, że Niemicka to ateistka twardo stąpająca po

ziemi, typ analityczny, bez żadnych ciągów religijnych i spirytualistycznych.

- Diabły i duchy to nie jej styl?

- Ani trochę.

- A podobno ludzie się nie zmieniają - powiedział Kruk. - W jakich warunkach ktoś taki zaczyna gadać o diabłach?

- Gdy któregoś spotka.

- Albo odkryje go w sobie.

Maszyński odwrócił wzrok i powiedział cicho:

- No nie wiem. Nie tak łatwo przyznać przed sobą, że mieszka w nas diabeł. Chętniej wmówimy sobie, że to Chrystus.

Kruk potrząsnął głową.

- Wprowadźmy trochę chronologii. Niemicka i Pruszyński byli parą. Pruszyński złożył wizytę w domu Dariusza Koniecznego, gdzie został śmiertelnie postrzelony. Potem jego była dziewczyna kupuje dom tuż obok nieruchomości, w której zginął.

- Lepiej bym tego nie ujął.

- Nikt by tego lepiej nie ujął. Tylko po co to zrobiła?

- Bo ten dom nawiedza jego duch?

- Następnie ginie Barbara Malewska.

Zadzwoił telefon Maszyńskiego. Chwilę rozmawiał.

- To znowu szef ekipy, która obserwuje Dariusza Koniecznego.

- Czemu właściwie dzwoni do ciebie?

- Bo do ciebie się boi.

Kruk się skrzywił.

- Mów, co spieprzyli.

- Figurant przed godziną opuścił dom i pojechał do kancelarii adwokackiej Brunona Kanta. Teraz wlaźł do restauracji na Starówce, siedzi przy stole i na kogoś czeka.

- W czym problem? Niech dadzą znać, z kim Konieczny się spotka.

- Sytuacja się skomplikowała.

- To znaczy?

- Aktualny obserwator poinformował, że kelnerka przyniosła mu na ulicę pizzę od Koniecznego. Jaja jak w filmie.

Kruk przymknął oczy. Miał ochotę się roześmiać.

- Dobra chociaż ta pizza?

- Co robimy?

- Odwołaj obserwację, to bez sensu.

Kruk zastanowił się.

- Jaka to restauracja?

52

Dariusz Konieczny siedział samotnie przy czteroosobowym stoliku pod wysokim oknem wychodzącym na Starówkę. Mimo jasnej pory dnia wewnątrz było zacienione i rozświetlały je kinkiety na ścianach. Za półokrągłym barem uśmiechała się blada dziewczyna. W oddzielonej części, na podwyższeniu, szeptała do siebie nie tak znowu młoda para.

Konieczny siedział twarzą do wejścia, obudowanego wiatrołapem przypominającym szafę gdańską. Dostrzegł Kruka i nie zrobiło to nim wrażenia. W dalszym ciągu nie robiło, gdy Kruk przy nim stanął.

- Nie przeszkadzam?

Brak odpowiedzi. Kruk usiadł naprzeciwko. Na stole stała nieotwarta połówka wyborowej i dwa kieliszki z grubym dnem.

- Nie zajmę dużo czasu. Czeka pan na kogoś?

Wzrok Koniecznego przesunął się na twarz Kruka i tam został. Oczy patrzyły ponuro.

- Na ciebie.

- Serio?

- Gamoń, którego za mną wysłałeś, za bardzo rzuca się w oczy.

- Wyślę za tobą innego. Klient nasz pan.

Dariusz Konieczny miał szarą cerę i żylaste ręce. Jedna z tych rąk przesunęła się, biorąc butelkę. Wódka była schłodzona, szron skraplał się na szkle między palcami Koniecznego. Napełnił kieliszki, przesunął jeden w stronę Kruka, a drugi uniósł nad stół.

- Gościnnie jesteś - powiedział Kruk.

- Za kogo pijemy?

- Ty lepiej nie pij. Pijany łatwo zabijasz.

- Wiesz, za kogo pijemy.

Kruk otworzył usta, żeby się odezwać, ale wróciło do niego wspomnienie martwej dziewczyny, tamto poranne słońce i dziwny stan, w jaki wprowadziło go miejsce zabójstwa.

Konieczny czekał z kieliszkiem w dłoni. Poważny, o ostrych rysach człowieka, który - jeśli nawet kiedyś spodziewał się czegoś po życiu - dawno z tym skończył.

Kruk sięgnął po kieliszek i wypili.

Konieczny ponownie napełnił szkło.

- Nie przyszedłem tu pić - powiedział komisarz.

- Ale pijesz.

- Chcę pogadać.

- Dlatego pijemy. Tak łatwiej się gada.

- Co zamierzasz?

- Z czym?

- Obaj z bratem kombinujecie. Jak wyjdzie, że utrudniasz śledztwo, na to jest paragraf.

- Niby jak utrudniam?

- Co robiliście w nocy w Krypcie?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie potrzebujesz kolejnego paragrafu, masz dosyć kłopotów.

- O nie. - Konieczny uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Też tak myślałem, kiedy sąd uwierzył tym gnojom i mnie zamknęli. Że mam dosyć kłopotów. Użalałem się nad sobą. Wiesz, jak zamykają cię za niewinność, zaczynasz się nad sobą użalać.

- Jasne, jesteś niewinny.

- Żebyś, kurwa, wiedział. Byłem niewinny i nadąsany, myślałem tylko o sobie. A teraz nie żyje córka mojej siostry, którą kochałem jak własną. Bo wiesz co? Okazało się, że wcale nie miałem dosyć kłopotów.

Kruk popatrzył za okno, na zabytkową ulicę Długą, którą

nieśpiesznie płynął potok spacerowiczów.

- Opowiedz, jak było - rzekł Kruk. - Wyżal się koledze.

- Wolałbym kolegować się z karaluchem.

- Rozumiem. Byłeś w lochu, może wkrótce tam wrócisz. Musisz czekać jak wszyscy.

- Nie wrócę - rzekł Konieczny głosem, w którym pojawił się nowy ton.

- Kant to spryciarz, ale nie cudotwórca. A ty utrudniasz mi sprawę, nie współpracując ze mną.

Było to jedno z dyżurnych policyjnych kłamstw, do których Kruk czasem się uciekał. Współpracuj, bo to stawia cię w lepszym świetle.

Dariusz Konieczny pokręcił głową, jakby czemuś zaprzeczał.

- Myślisz, że jestem dumny, że musiałem go wynająć? Działałem w obronie własnej, jestem niewinny - powtórzył z uporem. - Ale po kilku miesiącach za kratą dotarło do mnie, że sama niewinność to za mało. - Nagle uniósł głowę. - Wiesz, czemu tu siedzimy?

- Kant ci poradził, żebyś ze mną pogadał.

- Moja siostra wierzy, że zależy ci na złapaniu zabójcy Basi.

- Siedzimy tu, bo ty też w to wierzysz.

- Nic do ciebie nie mam, ale już widziałem, jak wygląda policyjne śledztwo. Koń by się uśmieł.

- Są dobrzy i źli policjanci. Może ja jestem ten dobry.

- Siedzimy tu, bo mam nadzieję, że jesteś ten zły.

- Słuchaj, mądralo - zniecierpliwił się Kruk, który miał dość tej smutnej gadki. - Będzie lepiej, jeśli to ja, nie ty, dostanę zabójcę twojej siostrzenicy. Zwłaszcza dla ciebie.

W oczach Koniecznego błysnęło.

- I dla niego. Albo dla nich.

- Sądzisz, że zabójca nie działał sam?

- Działał sam albo nie sam.

- Uważasz, że to ci sami, przez których siedziałeś?

- Skądże. Sąd uważa, że to miłe chłopaki.
- A ty jednego takiego zabiłeś.
- Zaatakował mnie.
- Byłeś pijany i miałeś broń.
- Tak. Siedziałem we własnym domu i piłem, a kiedy miałem dość, położyłem się spać. Nie wolno?

- Pechowo być na bani, gdy obcy wchodzą z wizytą.
- Żebyś wiedział. Prokurator nie lubi pijanych.
- Zwłaszcza pijanych z giwerą, którzy walą do ludzi jak do wróbli.
- Mogłem dać się zajebać tym gnojom. Wszyscy by mnie wtedy lubili.

Nagle stał się wściekły. Nalał do kieliszków, rozlewając wódkę. Wypił, a Kruk razem z nim. Nalał znowu. Znowu wypili.

Konieczny nachylił się nad stołem.

- Weszli do mojego domu i zaczęli wołać Basię. Nie było jej u mnie, ale myśleli, że jest. Ja byłem, ale myśleli, że mnie nie ma. Życie spędzam w delegacjach. A ostatnio w więzieniu.

- Skoro ją wołali, może nie mieli złych zamiarów?

- Zamaskowani łazili po domu i wydzierali się, że wiedzą, że ona tu jest, że ją znajdą, zgwałcą, zajebią, że wyłupią jej oczy, odetną cycki i wykończą powoli, po trochu. - Wściekłość wciąż w nim narastała. Kruk poczuł chłód w żołądku. - Kazali jej się pokazać i przywitać ich na kolanach. Basia ich nie przywitała. Ja to zrobiłem.

Zapadła cisza. Kruk sam sięgnął po butelkę i nalał. Kątem oka zauważył, że dziewczyna przy barze stoi wyprostowana, wpatruje się w drewniany blat i zaciska drobne pięści.

Wypili.

- O co chodziło z tym zdjęciem z portfela Leona Stompura? - spytał Kruk, przyciszając głos.

Konieczny głęboko odetchnął. Jeśli nadal był wściekły, schował uczucia głęboko.

- Basia mówiła Iwonie, że Stompur miał obsesję na punkcie tego zdjęcia. Nosił je w portfelu, nikomu nie pokazywał, tylko się na nie gapił w ukryciu. Wiesz, jakie są dziewczęta, Basia była ciekawa tego zdjęcia.

- I co na nim było?

Kruk czuł, że serce bije mu odrobinę szybciej. Nie rozumiał siebie. Dlaczego z takim napięciem czekał na odpowiedź, którą znał?

- Dziewczyna tego całego Leona. Natalia czy jakoś tak. Zwykle zdjęcie, nic szczególnego. Chłopak się zakochał.

Kruk był rozczarowany. Jakby oczekiwał, że Dariusz Konieczny zaprzeczy temu, co Basia mówiła w sądzie, i zmieni zawartość ukrytego folderu w jej komórce.

Bezsenne noce, zmęczenie, koszmary w tych chwilach, gdy jednak Krukowi udawało się zasnąć... To wszystko wpływało na sposób jego myślenia.

- Zwyczajnie się zakochał - powtórzył Konieczny.

- Dlaczego tak się na nią wściekli?

- Bo to pojeby. Jeden z nich rzucił się na mnie, choć miałem broń. Żadnej refleksji, czysta agresja, jakby był naćpany. Zareagowałem automatycznie, zwykły odruch obronny. Z bronią jestem otrzaskany od dziecka...

Kruk wzruszył ramionami.

- Może był naćpany?

- Wasi spece od toksykologii twierdzą, że nie.

- Nigdy nie miałeś wątpliwości, że Basia mówiła prawdę? Jej kłamstwa o kluczykach...

W oczach Koniecznego błysnęła nienawiść.

- Wiedziałem. Jesteś jak inne psy.

- Jestem. Nikt nas nie lubi, bo nie dajemy sobie sprzedawać gówna.

Spojrzeli sobie w oczy. Pierwszy spuścił wzrok Dariusz.

- Nie wiem, dlaczego tak zareagowali. I Basia też nie wiedziała. Upierała się, że te kluczyki zabrała z domu Stompura.

To było ciekawe kłamstwo, Kruk nie wiedział tylko czyje.

Dariusz gapił się ponuro w stół i Kruk widział, że bije się z myślami. Czekał. Podejrzewał, że facet potrzebuje czasu, aby podjąć jakąś decyzję.

- Gdy gnoje wlażyły do mojego domu i wygadywały te wszystkie rzeczy... Głównie Pruszyński i ten Stompur, który mnie potem zaszedł od tyłu, bo jak człowiek jest pijany, zapomina liczyć do trzech.

Kruk skinął głową. Słyszac napięty nagle ton głosu Koniecznego, powziął podejrzenie, że to, co teraz usłyszy, stanowi prawdziwy powód ich spotkania.

- Ale i Łozowski trochę gadał. Nie był w takiej furii jak tamci, był żaloszny w tym, jak próbował im dorównać na siłę. Jego groźby pominąłem, gdy składałem wyjaśnienia. Może nawet nie pamiętałem ich bezpośrednio po zdarzeniu, wydawały się wydumane. Ale to właśnie on powiedział... - Urwał, głos mu zadrzał. - On groził...

Że ją uduszą, pomyślał Kruk.

- ...że ją uduszą - powiedział Dariusz. - Martwą ułożą do snu. Odetną jej dłoń, bo tak trzeba karać złodziei. Włożą tę odciętą dłoń pod głowę, żeby jej się wygodnie spało. - Zapadła cisza. - Nikt o tym nie wiedział - podjął po chwili. - Tylko ja i oni. A ja nikomu nie powiedziałem...

- Więc myślisz, że to oni zrobili.

- Maczali w tym łapy. Taka jest prawda.

Kruk czuł, że wypity alkohol przytępia mu zmysły. Nagle spłynął na niego spokój, jakby siedział w tym lokalu z dobrym znajomym i plotkowali jak stare baby na błahe tematy. Poddał się temu uczuciu, a potem zdusił je i powiedział:

- Dla mnie prawda nie istnieje. Są tylko hipotezy robocze i wersje

śledcze.

Kruk nie mógł spać.

Wciąż czując wódkę w żyłach, otworzył laptopa i wprowadził w Google Maps nazwę ulicy. Na ekranie wyświetliła się szaro-błękitno-zielona mapa z nazwami ulic, a także klubów. Kliknął niebieski dymek z ikonką dwóch masek scenicznych, obok którego widniał napis: „Krypta 66”. Natychmiast w okienku po lewej stronie ukazały się dane lokalu.

Krypta miała punktację jeden przecinek cztery gwiazdki na pięć możliwych. Dorobiła się sześciuset dwudziestu trzech opinii. Niektóre były nieprzyzwoicie entuzjastyczne, inne skrajnie negatywne. Te negatywne głównie skupiały się na chamstwie prowadzących.

Kruk obejrzał załączone zdjęcia klubu i przyległości. Wybrał się w wirtualną wycieczkę po ulicy, na której znajdował się lokal, ale Street View miał datę z maja 2013 roku, kiedy klub jeszcze nie istniał, a budynek był zrujnowaną halą straszącą wybitymi szybami.

Wrócił do współczesnych zdjęć klubu. Oglądał je, aż zaczął ziewać. Wyłączył komputer.

Jaką tajemnicę mogła kryć rudera na postoczniovych terenach? Dlaczego Malewski uparł się pracować właśnie nad tym budynkiem, choć miał lepsze możliwości?

Myślał o tym, biorąc prysznic. Strugi gorącej wody spadały na jego ciało, przynosząc ulgę. Gdy wyszedł z kabiny prysznicowej do chłodnej łazienki, poczuł, że jest senny. Może uda mu się tej nocy wyspać.

Hala była jedną z wielu podobnych hal, może tylko znacznie

mniejszą od innych. Projekt jej odnowy nie krył tajemnic. Może tajemnica kryła się w przeszłości budynku, zanim dostał się w łapy starego Łozowskiego?

Zamiast rzucić się na łóżko, ponownie włączył komputer i wszedł w Street View. Przyglądał się budynkowi w całej jego okazałości z 2013 roku. Do czego służyła taka hala? Co tam robiono w czasach, gdy Stocznia Gdańska na tych terenach tętniła życiem, a nie była trupem trochę tylko reanimowanym przez nocne kluby?

Może nadszedł czas, żeby przeczesać tę stertę papierów w gabinecie Malewskiego? Wygodniej byłoby jednak wiedzieć, czego się szuka.

Znowu miał wyłączyć komputer, ale jego ręka zastygła nad klawiaturą, a potem lekko opadła na blat biurka.

Basia biegała po Krypcie z miarką, przypomniał sobie słowa Maszyńskiego. Opowiedział o furii, w jaką wpadł Łozowski.

Spojrzał na zegarek. Pierwsza w nocy. Nastąpiła niedziela, ale Krypta mogła być jeszcze otwarta.

Zadzwoił do biegłego. Zadzwoił po raz drugi i trzeci. Bez rezultatu. Spryciarz chyba wyciszał na noc telefon.

Zadzwoił do Maszyńskiego.

Radek odebrał, nie był tak sprytny jak biegły.

- Młoda dziewczyna bez wykształcenia kierunkowego biegała po Krypcie z miarką - powiedział Kruk. - Po małym fragmencie Krypty.

- Jesteś napity?

- Interesowały ją projekty, a jej wścibstwo wywołało furie szefostwa lokalu.

- Jesteś napity, słyszę to w twoim głosie.

- Słuchaj, niech po tym samym miejscu pobiega sobie biegły z zakresu budownictwa wyposażony w projekt i pod naszą ochroną.

Co myślisz?

- Kiedy?

- Zaraz.
- Mamy nakaz?
- Po co nakaz? Kupimy wejściówki. Tylko musisz ściągnąć biegłego, a potem po mnie przyjechać, bo jestem... - Kruk niechętnie czknął do aparatu.

Głos Radka zmienił się, teraz był to głos starego i zmęczonego życia człowieka:

- Napity, wiem.

54

Biegły nie był tak niezadowolony, jak Kruk sądził, że będzie. Nikt go nigdy nie wyciągał z domu w środku nocy i był tym zaintrygowany. Za to Maszyński patrzył ponuro, jego wzrok oskarżał.

- Czy to rzeczywiście tak pilne, że nie może poczekać do rana? - spytał biegły.

- Rano ta buda będzie zamknięta na głucho. - Kruk wskazał dłonią ciemny budynek Krypty. - To miejsce żyje tylko nocą.

- Wziąłem projekty, jak pan chciał.

- Dziękuję. Chciałbym, aby zweryfikował pan zgodność projektu ze stanem faktycznym. - Biegły zamierzał zaprotestować, ale Kruk wykonał uspokajający gest. - Chodzi o jedno niewielkie pomieszczenie.

Ruszyli w stronę wejścia. Na progu powitał ich Targo. Tak samo wielki, ale całkiem bez humoru. Maszyński położył mu rękę na ramieniu.

- Wiesz co? - Spojrzał na niego smutno. - Chyba złożysz u nas papiery.

- Dlaczego?

- A co będziesz miał do roboty, jak zamkniemy budę? Szef jest?

- Jest Stompur. Łozowskiego nie ma.

- No i dobrze.

Weszli w rozedrgane światła, obłoki suchej pary, w muzykę pulsującą równym rytmem. Kruk poczuł, że bicie jego serca zaczyna dostosowywać się do tego rytmu. Krypta go osaczała, wnikała w jego umysł, sączyła do wnętrza jad. Wszyscy ci ludzie na parkiecie, przy barze, koczujący na europaletach, wydali mu się

stworami, przed którymi musiał się mieć na baczności.

Stanęli przed biurem Antego. Kruk wyciągnął z kieszeni kurtki zwijaną pięciometrową miarkę i wsadził ją do ręki biegłego.

- To tu - powiedział nieco głośniejszym głosem, aby przekrzyczeć muzykę.

- Po co mi to?

- Nie wiem. Miałem nadzieję, że pan będzie wiedział.

Maszyński otworzył drzwi biura, nawet nie udając, że puka. W środku był tylko Leon Stompur. Siedział przy biurku na krześle, paląc coś, co przypominało papierosa, ale papierosem nie było.

- Posiadanie - wyszczerzył zęby Maszyński.

Stompur rzucił się w kierunku toalety i zniknął za drzwiami. Nikt go nie gonił. Dał się słyszeć odgłos spuszczonej wody, potem to ucichło i Leon Stompur wyłonił się ponownie, łypiąc wokół oczami.

- Co to za najście? Czego chcecie?

Nie zwracali na niego uwagi. Biegły rozłożył projekt na stole, obok położył otrzymaną od Kruka miarkę, rozejrzał się po pomieszczeniu. Ominął Stompura i zajrzał do toalety. Znowu spojrzął w projekt, potem wyszedł na korytarz.

Kruk zajął miejsce za biurkiem, westchnął i zagapił się na sufit. Maszyński usiadł na drugim krześle, wyjął komórkę i zaczął pisać SMS-a. Kruk spojrzął mu przez ramię. SMS do żony w środku nocy.

- Czego chcecie? - powtórzył ogłupiały Stompur. Wciąż stał przy drzwiach toalety, nie mając na siebie pomysłu. Brał głębokie oddechy, po których następowały długie wydechy, jakby usiłował przefiltrować w płucach powietrze, nadal gęste od marihuanowego dymu.

Wrócił biegły. Wziął miarkę ze stołu i znowu wyszedł.

- Czego chcecie?

Maszyński uniósł wzrok znad komórki.

- Zacięła ci się płyta? Przycisz się i czekaj.

Minęły długie milczące minuty, podczas których nic się nie

wydarzyło. Jediną atrakcją był powrót biegłego, który pochylił się nad projektem, niczym generał nad planem bitwy. Potem zaczął mierzyć ściany w biurze, zapisując długości na pogniecionym kawałku papieru wyciągniętym z kieszeni. W końcu zniknął w toalecie, zabierając ze sobą miarkę.

Kruk przyglądał się Stompurowi spode łba. Chłopak był blady, z każdą chwilą bledszy. Już nic nie mówił, tylko jego wzrok przeskakiwał w różnych kierunkach, za każdym razem wracając do leżącego na biurku projektu. Gdy biegły wyłonił się z toalety, Stompur miał taką minę, jakby namalowane diabły zlazły ze ściany, a biegły był jednym z nich.

- Nie zgadza się - powiedział biegły.

- Oczywiście, że się nie zgadza - odparł Kruk.

- Toaleta jest za krótka. Wedle projektu powinna być głębsza o dwa metry.

- Dwa metry - powtórzył za nim Kruk, nie spuszczając wzroku ze Stompura. - Dwa metry.

- Dokładnie metr dziewięćdziesiąt pięć na dwa metry osiemdziesiąt trzy. Pięć przecinek pięćdziesiąt dwa metra kwadratowego. Takiej powierzchni mi brakuje.

- Szczegółarz z pana - pogroził mu palcem Kruk, ale wciąż nie odrywał wzroku od Leona.

Maszyński skończył pisać i schował komórkę. Chciał się odezwać, ale Kruk go uprzedził:

- I co ty na to? - spytał Stompura.

- Na co?

- Że ktoś zajeł wam metraż.

- Nie rozumiem, o co chodzi.

Kruk przymrużył oczy, kąciki jego ust zadrgały.

- Rozumiesz - powiedział tak cicho, że jego słowa niemal zlały się z przytłumioną muzyką dobiegającą z innej części klubu. - I bardzo

się boisz.

- Dzwonię do pana Łozowskiego. - Stompur nagle odzyskał zdolność poruszania się. Wyjął z kieszeni komórkę. - Musi wiedzieć, co tu się dzieje.

- Teraz mówisz do Antka na pan?

- Dzwonię do jego ojca.

Maszyński dźwignął się, aby zabrać mu telefon, ale Kruk go powstrzymał. Potężny policjant z westchnieniem opadł na krzesło.

Stompur mruczał już coś do telefonu, usiłując dłonią osłonić usta. Zbędny wysiłek. Krukowi nie chciało się go słuchać. Rozsiadł się wygodniej i czekał.

- Pan Łozowski chce z panem rozmawiać - powiedział Stompur, wskazując aparat. Ponieważ Kruk nie zareagował, chłopak wyciągnął do niego rękę z aparatem. Znowu brak reakcji. Stompur nieufnie zbliżył się i przysunął aparat Krukowi niemal pod sam nos.

Komisarz wreszcie po niego sięgnął. Głupio byłoby nie skorzystać, skoro chłopak był taki usłużny.

- Czego pan szuka w biurze mojego lokalu? - Głos w głośniku był co najmniej wzburzony. - Czy ma pan nakaz? Staralem się być pomocny, udostępniłem projekty. Co pan tam w ogóle robi?

- Myślę.

To na chwilę Łozowskiego wstrzymało. Ale tylko na chwilę.

- Dokonał pan nieprawomocnego wtargnięcia. Za chwilę będzie tam mój prawnik. Złożymy na pana doniesienie. Zadbam, żeby media...

- Ale się pan rozkręcił.

- Wydaje się panu, że stoi pan ponad prawem?

- Chodzi tylko o tego pana parobka, co tu nade mną wisi. Jest tak zjarany, że dym wylatuje mu uszami. Zawijam go i znikam. W tym pańskim biurze można się naćpać powietrzem, niech pan uprzedzi prawnika, by zabrał maskę gazową.

- Nie ma pan prawa...

- Może i nie, chłopak spuścił zioło w kiblu. A skoro już rozmawiamy... Wie pan o drobnej niezgodności między projektem lokalu a stanem faktycznym? Chodzi o pięć i pół metra kwadratowego powierzchni za toaletą.

Cisza. W końcu znowu rozległ się głos, troszkę bardziej ostrożny.

- Może i wiem. Co z tego?

- Czemu skrócono toaletę? Jest teraz bardzo malutka.

- A co to pana obchodzi?

- Upchnęliście tam coś za ścianą? Nie wiem... Na przykład azbest? Kruk usłyszał coś, jakby sapnięcie, potem nastąpiła chwila ciszy, a wreszcie wrócił głos, ale bardziej gardłowy, nerwowy:

- To absurd.

- Panie Łozowski, jeśli znajdziemy tam tylko azbest, będzie pan mógł odetchnąć z ulgą.

- Znajdziemy? - Głos dostał zadyszki. - Co pan zamierza? I skąd ten pomysł z azbestem?

- Pański przyjaciel, architekt Jerzy Stompur, którego firma robiła tu projekty, coś o tym wspomniał.

- Skurwysyn... Już ja mu podziękuję za te kłamstwa. Nie znajdzie roboty na całym Pomorzu.

- Nie sądzę, żeby się tym przejął. Chciałbym, aby pozwolił mi pan rozwalić ścianę w toalecie.

Biegły podrapał się po głowie. Maszyński uniósł brwi, a Leon Stompur zakołysał się i półprzytomnie spojrział na drzwi biura, walcząc z pragnieniem ucieczki.

- Pan oszalał.

- Skądże. Jeśli znajdę tam tylko azbest, pozwolę panu zutylizować go zgodnie z prawem. Nie obchodzi mnie azbest.

Po drugiej stronie ktoś przełknął z wysiłkiem ślinę.

- To co pana obchodzi?

Tym razem to Kruk zwlekał z odpowiedzią. Zapatrzył się w malunki diabłów, szczególnie tego, który trzymał klucz. Co czekało za drzwiami, które otwierał ten klucz? Krzyk, który nie przebrzmiał, bo wciąż czekał na wysłuchanie?

- Jestem oficerem śledczym Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. Zajmuję się ciężkimi przestępstwami, głównie zabójstwami. No więc jak pan myśli?

55

Stali przed Kryptą, czekając na bieglego, który zapragnął wypić drinka. Maszyński ręce miał w kieszeniach i gapił się na Kruka spode łba.

- No co? - mruknął Kruk.

- Naprawdę liczyłeś, że stary Łozowski się zgodzi?

- Boi się o synalka. Chłopak jest umoczony po czubek głowy i on albo o tym wie od dawna, albo właśnie zaczął podejrzewać.

Maszyński z trudem tłumiał rozdrażnienie.

- W czym umoczony? Czemu nic mi nie mówisz? O co chodzi z tym azbestem?

- Mniejsza o azbest. Malewski był zainteresowany tym miejscem.

- Co jest w biurze Łozowskiego? - spytał Maszyński. - Malewski coś tam znalazł?

Kruk popatrzył na jego zmęczoną twarz.

- Powinieneś odpocząć.

- Ty to potrafisz ładnie komuś powiedzieć, że uważasz go za głąba. Więc co jest za ścianą?

- Raczej: kto.

Twarz Radka stała się jeszcze bardziej zmęczona.

- Tego się obawiałem. Tego rodzaju rewelacji.

- Myślę, że za tą ścianą jest grób. Myślę, że nasi dzielni chłopcy, Leoś i Antoś, wiedzą, że ten grób tam jest, bo tak ładnie nazwali i przyozdobili lokal. Łozowski omal Basi nie pobił, gdy zobaczył ją tam z miarką.

- Czyj grób?

- Pewnie kogoś, kto zaginął i nie dało się go znaleźć.

Radek gwałtownie potrząsnął głową. Stał się cholernie poważny.

- Uważasz, że za tą ścianą jest...

- Malewski koniecznie chciał pracować nad tym miejscem, dzięki temu miał tu dostęp w dzień i w nocy. To była zwykła postoczniowa buda, naprawdę nic szczególnego. Dopiero on zaplanował tu coś szczególnego. Basia, gdy zaczęła węszyć, musiała zorientować się, że ta nieruchomość ma związek z jej ojcem i Zdrojewską, której zdjęcie znalazła. Podejrzewała, że jej ojciec zrobił coś strasznego. Wyznała to przyjaciółce.

- Jak się zorientowała?

- Tego nie wiemy. Jakoś się zorientowała. A co do zdjęcia, to może tego zdjęcia Zdrojewska nie dała Malewskiemu w ostatnich czasach, może je miał od młodych lat, bo znała go dłużej niż swego męża. Basi było wszystko jedno, czy uchodzi za dziewczynę Leona, czy Antego. Zależało jej tylko na dostępie do biura Krypty. Szukała tam...

- Rany, Sławek...

- Myślę, że za tą ścianą znajdziemy zwłoki Zdrojewskiej.

- A motyw?

- Miała dość nie tylko męża, ale i przydupasa, no i któryś z nich ją załatwił. Bardzo podoba mi się ten motyw. Ponieważ to przydupas uczepił się tego miejsca i to jego spotkała kara, druga opcja wygrywa. Pytanie, kto go ukarał? Być może odpowiedź mamy wymalowaną na ścianie w biurze Łozowskiego.

Maszyński potrząsnął głową.

- Nie kupuję tego. Jak dla mnie, to wszystko twoja bujna wyobraźnia. To się nie trzyma kupy, wygłupisz się. Za daleko popłynąłeś, Sławek.

- Ona tu jest. Czeka. Od trzydziestego maja zeszłego roku. Nie krzyczy, bo to kobieta, która nie podnosi głosu.

- Jezus Maria...

- Musimy rozwalić tę ścianę.
 - Słuchaj - powiedział Maszyński. - To słabe. Za tą ścianą może nic nie być.
 - W tej chwili obchodzi mnie tylko jedno. Chcę rozpiardolić tę ścianę. Czy za nią coś jest, czy nie ma, będziemy się martwić, jak ją rozpiardolimy. To tylko jedna pieprzona ściana w kiblu, Radek.
 - Chciałbym zobaczyć prokuratora, który da ci na to papier.
- Maszyński miał rację. Dlatego trzeba było znaleźć prokuratora, który wiele Krukowi zawdzięcza.
- Na przykład młodą panią prokurator, która na pewno się zgodzi.

56

- Nie - powiedziała prokurator Marta Krynicka.

Dochodziła jedenasta przed południem. Kruk siedział w jej mieszkaniu, elegancki, bez śladów po wczorajszym picciu.

- Jak to nie?

- Nie widzę podstaw.

Patrzyła mu spokojnie w oczy, w ogóle nie czując się winna.

- Myślałem, że mi pomożesz - warknął. - Że mogę na ciebie liczyć.

- Zawsze i w każdej sytuacji. Także teraz. Odmawiając ci, pozwalam nam obojgu zachować pracę. Przecież na tym zależy ci najbardziej, na pracy, prawda?

Kruk rozejrzał się po pokoju. Było jasno od niedzielного słońca, przyjemnie. Mieszkanie było wygodnie urządzone, Marta miała dobry gust. Dobrze się tu czuła.

I zrozumiała jego spojrzenie.

- Oczywiście pamiętam, że odzyskałam swoje życie dzięki tobie. Zawdzięczam ci strasznie dużo. Ale chyba nie oczekiwałeś, że będę teraz i zawsze robić, co mi każesz?

- Fajnie by było.

Pokręciła głową.

- Tam są zwłoki - powtórzył Kruk, choć już wiedział, że robi to na próżno. - Za ścianą znajdziemy trupa.

- A jeśli nie?

- Znajdziemy.

- Słyszałam za pierwszym razem. Pytałam, a co, jeśli jednak nie? Czy zdajesz sobie sprawę, jak urządzi nas stary Łozowski, jeśli rozwalimy mu nieruchomość? Złożysz się na odszkodowanie czy

niech płacą podatnicy?

- Sam mu postawię tę ścianę na nowo.
- Doprawdy?
- W czym problem? To tylko parę cegieł.
- Twoja opowieść mnie nie przekonała. Ale dobrze. Dam ci zgodę.
- To dasz czy nie?
- Dam. Przekonaj tylko kogoś oprócz siebie samego. Wystarczy jedna osoba. Powiedzmy naczelnik dochodzeniówki, będzie łatwo, to twój kolega. Rozmawiałeś z nim?

Kruk rozmawiał z Marcinem Zychem z samego rana. Odmowa była krótka, stanowcza i niepozostawiająca wątpliwości.

- Albo zastępca komendanta wojewódzkiej - kontynuowała Marta.
- Może być i komendant. Przekonaj choć jednego z nich, a sama poniosę ci kilof.

Kruk wstał, z wściekłością odstawiając krzesło.

- Dziękuję za pomoc, Marta.
- Do usług. Zawsze możesz na mnie liczyć, Sławku.

Zanim wyszedł, Kruk spojrział w okno. Słońce prażyło, ale i tak miał wrażenie, że zbiera się na deszcz.

Kruk siedział na piasku i nie przeszkadzało mu, że zaczynało padać. Było gorąco, deszcz był przyjemny, a morze szumiało uspokajająco.

Ludzie, którzy wyszli spacerować, a niektórzy nawet rozebrali się i rozłożyli na ręcznikach, teraz zbierali się i kierowali do wyjścia z plaży.

Deszcz to przecież deszcz. Trzeba się przed nim schować.

Kruk uniósł twarz i pozwolił, aby spadały na nią delikatne krople. Nagle opuściła go pewność siebie. Niektóre rzeczy składały się w jaką taką całość, inne ani trochę. Zaczynało padać coraz mocniej i on też się podniósł. Zszedł z plaży, przeszedł przez park Reagana i znalazł się przy samochodzie.

Gdy wsiadał, deszcz oczywiście ustał i wyszło słońce. Pożałował, że nie został dłużej. Spojrzał na temperaturę na desce rozdzielczej. Było dwadzieścia osiem stopni.

Zjadł obiad w barze blisko domu, ale tym razem nie dosiadł się do niego żaden prawnik. Wychodząc z baru, Kruk wyciągnął otrzymaną od Kanta wizytówkę, na której widniał także adres domowy adwokata. Sopot. Blisko plaży. Piękna okolica.

Nie zadzwonił, bo uznał, że to będzie taka gra. Albo Kant będzie w domu, albo go nie będzie. Jeśli go nie będzie, Kruk wróci do siebie do mieszkania. Przeczeka tam resztę niedzieli i tyle. Jutro pójdzie do pracy i podejdzie do sprawy z innej strony.

Jeśli zastanie Kanta...

Dom wyglądał imponująco, biały pośród zieleni. A na podjeździe stał jeszcze bielszy jaguar, idealny samochód na niedzielę.

No to chyba jednak facet był w domu.

Kruk zadzwonił domofonem, przedstawił się jakiemuś mężczyźnie i został wpuszczony za bramkę. Drzwi otworzył mu tenże mężczyzna, i Kruk przypomniał sobie, że Kant ma własnego ochroniarza. Nie wiadomo dlaczego wydało mu się to zabawne.

Przeszli przez hol, w którym podłoga była z kamienia, i weszli do wielkiego salonu, w którym podłoga była również z kamienia, meble wyglądały na zabytkowe, a kominek rzeźbiony był w wymyślne ornamenty.

- Pan komisarz. A ja właśnie wybierałem się do kościoła.

Kant ubrany był w biały garnitur kontrastujący z czarną brodą. Kolor brody harmonizował za to z kolorem butów.

Kruk usiadł na skórzanej kanapie, którą przywieziono tu pewnie TIR-em.

- Nie zajmę dużo czasu.

- Jakieś postępy w śledztwie?

- Chyba odnalazłem zaginioną Kamilę Zdrojewską-Stompur.

Kant ostrożnie usiadł przy mahoniowym stole i stamtąd przypatrywał się komisarzowi.

- Chyba? No to odnalazł ją pan czy nie?

- Tak myślę. Żeby zyskać całkowitą pewność, musiałbym zburzyć jedną ze ścian w lokalu zwanym Krypta 66. Sądzę, że za tą ścianą są zwłoki.

Kant nachylił się. Jego nozdrza się rozszerzyły, oczy zabłyśły.

- Co pana powstrzymuje?

- Nie dostanę zgody prokuratury.

- Dlaczego?

- Zbyt nikłe przesłanki. Nie podzielają mojego punktu widzenia.

- Oczywiście. Lubią mieć dobrą podstawę, zanim wyślą buldożery.

Jak bardzo jest pan pewny swego?

- Tak bardzo, jak tylko można, nie mając twardych dowodów.

- Czyli nic pan dla nich nie ma. No to nie dziwię się, że panu odmówiono. - Kruk milczał. Kant wciąż się na niego gapił. - Właściwie po co pan przyszedł?

- Przechodziłem i wstąpiłem, żeby się przywitać.

Adwokat wyprostował się, szeroko rozłożył ręce.

- To bardzo miłe z pana strony. I z mojej, że pana wpuściłem. A tak z ciekawości, która to ściana?

- W biurze Łozowskiego jest toaleta, to ściana w toalecie, przeciwległa do wejścia. Siostrzenicę pańskiego klienta też niepokoiło to miejsce, szukała tam czegoś.

- Cóż, życzę powodzenia. Może ich pan jeszcze przekona.

Kruk podniósł się.

- Może.

Wsiadł do samochodu, wrócił do mieszkania. Przez resztę niedzieli oglądał telewizję. Gdy zaczął zapadać zmrok, pojechał na komendę.

Tam usiadł w swoim pokoju i czekał.

58

Kruk ocknął się i spojrzął na zegarek w telefonie. Dochodziła trzecia w nocy. Było cicho. Zdjął nogi z biurka, wstał, żeby je rozprostować. Krzesło na komendzie kiepsko nadawało się do snu.

Uznał, że wystarczy tego siedzenia. Zgasił światło, zszedł na dół, skinął głową funkcjonariuszowi na dyżurce. Pół godziny później był w swoim mieszkaniu, w łóżku, i znowu zasypiał.

Miał wrażenie, że spał ledwie sekundę, gdy zadzwonił telefon.

Dzwonił Zych, słyhać było jego ciężki oddech.

- To ty? - wrzasnął tak głośno, że Kruk musiał oddalić aparat od ucha.

- Co, ja?

- Kurwa, jeśli to twoja robota, przysięgam, że cię wyleję. Wypierdolę na zбитy pysk.

- Marcin, o co chodzi?

- Kurwa, nie wmawiaj mi, że nie wiesz. Tylko, kurwa, nie udawaj.

- Powiesz mi w końcu?

- Gdzie byłeś cały wieczór?

- Na komendzie. Pracowałem nad sprawą.

Zych potrzebował chwili, aby się uspokoić.

- Ktoś włamał się do lokalu Łozowskiego i rozwalił ścianę w ubikacji.

Kruk był przygotowany na tę informację, ale i tak serce zabiło mu szybciej.

- Wiemy o tym, bo zadzwoniła IVONA - mówił dalej Marcin. - Na komendę wojewódzką. Może wiesz, kurwa, dlaczego właśnie na wojewódzką?

- Iwona Malewska?

- Nie, kurwa. Syntetyzator mowy, który wyrecytował do telefonu tekst.

- I co?

- Gówno. - Długa chwila ciszy, w trakcie której głos szefa stracił moc. - Za ścianą są zwłoki kobiety w zaawansowanym stanie rozkładu. Dyskoteka się rozpoczęła. Zbieraj dupę i do roboty. - Zych zawahał się i dodał: - Masz jakieś ubranie, które chcesz wyrzucić?

59

Gdy Kruk wyszedł z mieszkania, dopadło go poczucie nierzeczywistości. Zmrok już ustępował, siąpiło, drobinki wilgoci osiadały na twarzy, lepiąc się do niej. Na parkingu przed blokiem stały rzędem samochody, te nowsze i te wyglądające jak wraki, wszystkie jednakowo nieruchome, jednakowo niepotrzebne. Zanim wsiadł do swojej toyoty, Kruk powiódł wzrokiem po pustych ulicach, po pustych chodnikach...

Nigdzie żywej duszy. Spojrzał na wyświetlacz komórki. Czwarta trzydzieści rano. Pomyślał, że powinien gdzieś zapisać, że dwudziestego siódmego czerwca o czwartej trzydzieści świat się zatrzymał bez powodu.

Nie włączył radia w samochodzie. Bał się, że gdy naciśnie przycisk, z głośników nie dobiedzie się dźwięk i wtedy zrozumie, że został sam na świecie. Toyota bezszelestnie toczyła się martwymi ulicami, z których zniknęli ludzie. Asfalt lśnił, rzędzące światła latarni próbowało się od niego odbijać, ale było zbyt słabe w zetknięciu z budzącym się do śmierci dniem.

Kruk jechał powoli, bo nie było się do czego śpieszyć. Obserwował miasto wokół siebie, miasto, które kochał, dziwiąc się, że nie minął go żaden samochód i żaden go nie wyprzedził. Świat jednak się skończył, a ja nie zauważyłem, pomyślał, mijając jedno za drugim pulsujące na żółto światła drogowe, które ktoś ustawił w ten tryb, bo wiedział, że już nigdy nie będą potrzebne.

Nie zauważyłem, bo byłem zbyt zajęty innymi sprawami. Widocznie bywają ważniejsze sprawy niż koniec świata.

Przejechał przez wiadukt i znalazł się na terenach

postoczniowych. Jeszcze zwolnił, ale to nic nie dało. Wkrótce wjechał w małą ulicę zatarasowaną przez porzucone radiowozy, w milczeniu połyskujące na niebiesko, przez dwa wozy straży pożarnej, także pulsujące światłem, i inne auta zaparkowane bezładnie jak zabawki.

Tu też nie zobaczył ludzi.

Stanął przy otwartych drzwiach toyoty i wziął kilka mocnych, głębokich oddechów, które napełniły jego płuca wilgotnym powietrzem poranka.

Musisz przez to przejść, pomyślał, albo znowu powiedzą, że odpłynąłeś. To tylko jeszcze jedna śmierć, widziałeś już ich wiele i przestało to robić na tobie wrażenie. Nie znałeś tej kobiety i jest ci wszystko jedno.

Wszystko jedno.

Musisz iść do pracy.

Powoli zaczynał dostrzegać ludzi, rozróżniać pojedyncze sylwetki. Strażacy stojący przy swoich wozach w ubraniach ochronnych, funkcjonariusze usiłujący ochronić się przed zimną wilgocią.

Tak, było zimno. Kruk powinien to poczuć wcześniej, ubrany był tylko w wytarte dżinsy, starą koszulkę 4F, którą dawno powinien wyrzucić, i sportowe buty, które powinien wyrzucić jeszcze dawniej. Było zimno, wreszcie to poczuł.

Pod ścianą Krypty 66 pochylał się umundurowany policjant i wymiotował. Kruk minął go, myśląc o tym, że nie pojawili się gapie, dziennikarze ani nikt poza wyznaczonymi służbami. A może tu byli, tylko Kruk ich nie widział, ale zaraz zobaczy?

Nie chciał ich zobaczyć. Nikt go nie zatrzymał, nikt go o nic nie zapytał.

Wszedł do lokalu.

Minął kotarę i uderzył go słodkawy zapach, który od razu rozpoznał. Wstrzymał oddech, aby nie pozwolić zapachowi

przedostać się przez nozdrza. Przeszedł tak kilka kroków. W rozświetlonym wnętrzu Krypty, pośród diabłów wyglądających ze ścian, przesuwały się milczące postaci. Jedna z nich wyciągnęła do Kruka dłoń i podała mu materiałową maskę na twarz.

Kruk ją założył i stał się jedną z tych postaci. Znowu oddychał. Maską niewiele pomagała, może wcale, a z każdym krokiem zapach narastał, stawał się bardziej intensywny i mdłący. Ale maska stanowiła symboliczną barierę między człowiekiem a tym, co kiedyś nim było i dawno powinno zostać pochowane.

Kiedy wszedł do biura Antoniego Łozowskiego, zapach uderzył w niego z pełną mocą. Smród, najgorszy z możliwych, najbardziej odrażający dla ludzkiego powonienia, rozlewał się w powietrzu, niemal gęsty, parujący, nie do zniesienia. Wnikał we włosy, w ubrania, w pory skóry. Kruk wiedział, że będzie go czuł na sobie przez wiele dni, niezależnie od tego, jak długo będzie usiłował zderzyć go z siebie pod gorącą wodą i jakiegokolwiek chemii użyje.

Może smród wnikał nie tylko w ciało, ale i w duszę, i nigdy nie da się go pozbyć tak naprawdę.

Technicy już pracowali. Ich kombinezony odcinały się od mundurów pozostałych funkcjonariuszy. Nikt się nie odzywał. Przepuścili Kruka, który wszedł przez otwarte drzwi toalety. Dalej była rozbita ściana, gruz pokrywający posadzkę i oświetlone reflektorami pomieszczenie za ścianą.

Najpierw pomyślał, że widzi stojące trumny. Ale to nie były trumny, tylko stalowe szafy. Upchnięte w małym pomieszczeniu szafy na dokumenty, na ubrania, stare, zdezelowane, odrapane z farby. Niektóre stojące prosto, niektóre przechylone.

I ta jedna otwarta szafa, z której buchał smród.

W środku kuliła się bezkształtna postać, która kiedyś była może człowiekiem, ale lepiej dla niej, aby nim nigdy nie była.

Bo ludzie umierają.

A patrząc na otwarte drzwi tej jednej szafy i widząc ślady po wewnętrznej stronie drzwi, Kruk wyobraził sobie, jaka to mogła być śmierć.

Podszedł bliżej, zdając sobie sprawę, że nie ma odruchu wymiotnego. Przestał czuć wszechobecny odór, choć był tak gęsty, że Kruk miał wrażenie, że brnie przez niego jak przez wodę.

Starał się niczego nie dotykać, niczego nie zdeptać, nachylił się, a stojący obok technik nie zamierzał go powstrzymać. Wychylając się poza wyrąbany bez litości otwór w ścianie, spojrział w oczy skulonej w szafie postaci. Oczy dawno wypłynęły. Za to włosy pozostały. Ciemne, długie, potargane.

Ktoś ją powinien uczesać, pomyślał Kruk.

Między włosami połyskiwał zaplątany złoty łańcuszek, a na nim miniaturowy księżyc, z którego spływała złota łza.

Wycofał się z toalety, a potem z biura. Minął ciemny bar, siedł z powrotem przez salę pośród stolików, krzeseł i palet. Z naprzeciwka kroczył niepewnie jakiś mężczyzna w cywilu, walcząc z mdłościami i usiłując przytrzymać przy ustach maskę. Kruk znał go z widzenia: jakiś prokurator, który miał dzisiaj pecha pełnić dyżur.

Prokurator też poznał Kruka, usiłował go zatrzymać, ale komisarz wyminął go bez słowa.

Na dworze zagadnął jednego z funkcjonariuszy. Zamienili kilka słów. Funkcjonariusz krzyknął na kolegę i Kruk drgnął. Miał nadzieję, że ten krzyk przywróci do życia świat, choć nie przywróci życia tej kobiecie.

Władował się do policyjnego busa, funkcjonariusz zajął miejsce za kierownicą, wsiadł też ten kolega, na którego wołał.

Radiowóz ruszył. Ominął policjanta, który usiłował dać sobie radę z trzema mężczyznami w cywilu wykrzykującymi pytania i usiłującymi go obejść. Dziennikarze też docierali na miejsce.

W samochodzie obaj mundurowi usiłowali odchylić się od Kruka

jak najdalej, przyciskali do ust i nosa nasączone jakimś środkiem chusteczki.

Kruk śmierdzał trupem.

Tych kilka chwil wystarczyło, by przesiąkł nim cały. Jego ubranie nadawało się do wyrzucenia.

60

Radiowóz zatrzymał się przy chodniku i Kruk wysiadł. Pchnął furtkę, o dziwo otwartą. Wszedł na ganek, kilkakrotnie uderzył w drzwi. Może powinien poczekać do szóstej rano, zostawić te czynności mundurowym, ale nie zostawił.

Jerzy Stompur stanął w drzwiach niespodziewanie szybko. Zaskoczony cofnął się, kazał Krukowi wejść i zamknąć za sobą drzwi. Miał na sobie ciemny szlafrok, twarz zdradzała, że został wyrwany ze snu, choć niezbyt głębokiego.

Stanęli w przedpokoju, Stompur zapalił światło.

- Co się... - Urwał, odkaszlnął, patrzył osłupiały. - Jasna cholera, co to za smród? Gdzie pan łąził?

Kruk zbliżył się i czule objął Stompura. Facet był niższy i niczego się nie spodziewał. Komisarz bez trudu przycisnął jego twarz do swojej koszulki.

Stompur odepchnął Kruka, dostał ataku kaszlu i krztusząc się, cofnął gwałtownie, uderzając plecami o ścianę. Oczy miał szeroko otwarte, na ich dnie panikę.

- Przyniosłem ci jej zapach - powiedział Kruk. - Żebyś już się, kurwa, nie czuł taki samotny.

- Jasna cholera, o co panu chodzi?

- Znaleźliśmy ją zamurowaną w ścianie. Wiesz coś o tym? Skończyła jej się data ważności, więc jest trochę zepsuta.

- Kogo znaleźliście?

- Kobietę twojego życia. Ale rzuciłem dziś na nią okiem... i nie mogę zrozumieć, co ty w niej widziałeś. Babka ostatnio się zaniedbała.

Stompur zachwiał się, pokręcił głową.

- Znaleźliście Kamilę?

- To jeszcze nie Kamila. Prokuratura powie, że zanim damy temu czemuś imię i nazwisko, trzeba dokonać identyfikacji.

- Gdzie ona jest?

- Tkwiła za kibelem. Szczali przy niej, srali, a ona siedziała tam miesiąc po miesiącu, bo nie miała jak uciec.

- Pan jest nienormalny.

- Tylko trochę. Mam ochotę tłuc czymś łbem o kamienie. Dasz mi swój?

Stompur zaczął się trząść. Zaczęło się od warg, potem dołączyły dłonie, ramiona...

A potem się uspokoił. Podniósł wzrok, spojrzął Krukowi w oczy.

- Znaleźliście ją... Gdzie?

- Tam, gdzie akurat była.

- Chcę do niej jechać.

- Gdzieś pojedziesz. Limuzyna czeka przed domem.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Aresztujecie mnie?

- Zatrzymujemy do wyjaśnienia. Będziemy gadać, tylko już nie tutaj.

- Muszę ją zobaczyć.

- A co, chcesz się przytulić?

Zatrząśł się jeszcze raz. Ostatni. Przymknął oczy, zrobił krok w przód, wciągnął powietrze głęboko do płuc.

- Tak.

Kruk też przymknął oczy. Pomyślał, że wcale nie nadaje się do tej roboty. Nie chciał tego robić, wydobywać zwłok ze ścian, rozmawiać z ludźmi, którzy je tam wsadzili albo nie.

Przypomniał sobie końcówkę jakiegoś podrzędnego filmu sensacyjnego, który oglądał jako chłopak. To były czasy początków

VHS, czasy kaset wideo, pirackich kopii przegrywanych po kilkadziesiąt razy z jednej taśmy na drugą, za każdym razem ze stratą jakości. Niektórych kopii niemal nie dało się oglądać, postaci były tak niewyraźne, że zlewały się z tłem.

Myślał właśnie o jednym z takich filmów z kasety wideo, którego bohater, jakiś policjant albo gangster, gdy już rozwiązał zagadkę zbrodni albo oszukał policję, w tym wypadku pamięć zawodziła Kruka, siedział nad brzegiem oceanu i skąpany w słońcu popijał drinka z palemką.

Zapragnął być jak on. Jak ten policjant lub gangster pod błękitnym niebem.

Chciał zostawić Stompura samemu sobie i wyjść na słońce.

Zamiast tego założył mu kajdanki i otworzył drzwi wejściowe.

Uderzyła go szarość poranka, słońce nie przebijało się przez warstwę ciężkich chmur.

- Wypierdalaj do suki. - Kruk przesunął się, robiąc miejsce, aby facet mógł przejść. - Leon w domu?

- Nie.

- Sprawdzimy.

Na ulicy migały na błękitno światła radiowozu. Dyskoteka się rozpoczęła, zabrzmiały Krukowi w uszach słowa Marcina.

Błękitne niebo było w tej chwili jedynie marzeniem.

Błękit policyjnych świateł musiał Krukowi wystarczyć.

61

Grzegorz Konieczny przyglądał się olbrzymowi, który rozmawiał z jego siostrą w salonie. Facet był po cywilnemu, w odróżnieniu od tamtej dwójki, policjantki i jej partnera, która wciąż stała w drzwiach, milcząca, umundurowana, bezduszna. Olbrzym starał się być delikatny, choć dokument, który trzymał w ręce, był nakazem przeszukania mieszkania.

- Przecież już tu byliście - powiedziała Iwona głosem sennym od leków na uspokojenie.

Zachwiała się, a on ostrożnie otoczył ją ramieniem. Nie zareagowała gwałtownie, podziękowała nawet czymś, co było desperacką próbą uśmiechu. Olbrzym cofnął rękę.

- Wtedy to było rutynowe przeszukanie. Teraz wiemy, czego szukać.

- Czego?

- Chcemy przejrzeć garderobę pani córki.

- Ach tak... - Iwona przymknęła oczy, aby ukryć łzy. - Przepraszam, zapomniałam, jak pan się nazywa.

- Aspirant Radosław Maszyński.

- Panie aspirancie, czego będziecie szukać w jej rzeczach?

- Pokażę, jeśli znajdziemy. Wtedy będzie nam potrzebna pani pomoc.

Iwona usiadła przy stole. Ostrożnie położyła dłonie na blacie.

- Nie wybrałam jeszcze dla niej ubrania do trumny. Nie nabałagańcie, proszę. Dlaczego wciąż nie wydano nam ciała?

Grzegorz widział, jak policjant z wysiłkiem przełyka ślinę.

- Porozmawiam o tym z panią prokurator.

- Obiecuje pan?

Skinął głową.

Policjanci przy drzwiach założyli lateksowe rękawiczki i na znak Maszyńskiego weszli do pokoju Basi.

Grzegorz zwrócił się do olbrzyma:

- Napije się pan kawy?

Maszyński miał zmęczoną twarz i ożywił się na propozycję, ale jego wzrok padł na zabandażowaną rękę Grzegorza.

- Dziękuję, nie trzeba.

- To nie kłopot.

Grzegorz wszedł do kuchni, włączył ekspres. Pod oknem, oparty o parapet, stał Dariusz. Bratu nie paliło się do spotkania z policjantami, ledwie się przywitał. Wejście policji przerwało im rozmowę i Grzegorz nachylił się do Dariusza.

- To niepotrzebne ryzyko.

Brat potrząsnął głową.

- Podejmę je. W pudle nawiązałem znajomości.

- Przecież ja też mam...

- Cicho. Chyba straciłeś rozum. I módl się, żeby psom wystarczyło przeszukanie mieszkania, żeby nie zabrały się za ciebie.

Grzegorz poczuł irytację. Wyjął z kieszeni marynarki lek na nadciśnienie. Zapił go wodą i schował z powrotem do kieszeni.

- Nic mi nie zrobią.

Zaniósł kawę policjantowi, który stanął z filiżanką na progu pokoju Barbary Malewskiej i obserwował poczynania mundurowych. Wkrótce stało się jasne, że niczego nie znajdą.

Aspirant Maszyński nakazał przeszukanie reszty mieszkania.

- Nie powie mi pan, czego szukacie? - spytała Iwona.

- Kompletu ubrań. Czerwona bluzka z mocnym dekoltem, białe płócienne spodnie, czerwone szpilki, może coś jeszcze w rozmiarze raczej większym od tego, co córka nosiła. Widziała pani u niej takie

rzeczy?

Grzegorz z niepokojem obserwował Iwonę. Przygarbiła się, oddech jej przyspieszył.

- Jak ona jest ubrana...

- Słucham? - Maszyński uniósł brwi.

- Basia tak powiedziała: „Jak ona jest ubrana”.

Maszyński usiadł obok Iwony.

- Nie rozumiem.

- Siedziała przy tym stole. Jadła śniadanie i przeglądała internet na laptopie. Miała w zwyczaju robić tyle rzeczy, których chciałam ją nauczyć, ale to było krótko po śmierci jej ojca... - Iwona Malewska przygryzła paznokieć i tak już wygryziony do mięsa. - Nagle krzyknęła: „Jak ona jest ubrana!”. Spojrzałam. Basia czytała ogłoszenie policji o zaginięciu Kamili Zdrojewskiej-Stompur na jednym z trójmiejskich portali. To ta kobieta, którą dziś znaleźliście. Była żoną właściciela firmy, w której pracował mój mąż. Pamiętam, że gdy widziano ją ostatni raz, ubrana była w sposób, o który pan pyta.

Grzegorz zauważył drgnięcie na twarzy Maszyńskiego. Niedobrze. Policjant powoli powiódł wzrokiem po pokoju, zatrzymał go na chwilę na twarzy Grzegorza, ale nic nie powiedział.

- Kamila odeszła od męża albo zaginęła, różnie się wtedy o tym mówiło. Zapytałam Basię, o co chodzi. Coś mi odpowiedziała. Nie pamiętam co. Nie pamiętam, bo wiedziałam, że kłamie. Byłam wtedy słaba. Nie czułam się na siłach, by wydobyć z niej prawdę. Nie sądziłam, że to ważne.

Iwona ze strachem podniosła wzrok na policjanta, jakby odkryła w nim wroga i mógł zrobić jej krzywdę.

- Znaleźliście dziś zwłoki i szukacie tych ubrań w moim mieszkaniu? - spytała.

Mundurowi kontynuowali przeszukanie.

Radosław Maszyński wyszedł do przedpokoju, wyciągając po drodze z kieszeni telefon.

- Chyba nic nie znajdziemy - usłyszał Grzegorz. - Ale i tak jest ciekawie.

62

Jerzy Stompur garbił się na krześle w pokoju przesłuchań. Skute ręce opierał na udach. Twarz miał nieruchomą, wpatrzoną w wielkie lustro na ścianie.

Człowiek, który widzi siebie w lustrze, ma większe opory, by kłamać. Tak twierdzili amerykańscy specjaliści.

- Nie miała serca i nie mógł pan tego znieść - powiedział Kruk. - Ale myślałem, że zakopał ją pan w ogrodzie, żeby zakwitła jak kwiatki.

Stompur uniósł głowę, spojrział na Kruka z wyrzutem.

Nie powiedział nic.

Marcin Zych wszedł do pokoju.

- Nie musi pan składać wyjaśnień - powiedział. - W każdej chwili może pan zażądać adwokata.

- I co wtedy? - spytał Stompur. Głos miał chropowaty, ciężki, zmęczony.

- Na razie wróci pan do celi.

Stompur drgnął.

- Nie chcę. Nie chcę zostać sam.

Zych dał znak Krukowi i wyszli na korytarz.

- Młody Łozowski jest w drodze z ojcem i radcą prawnym.

- Dobra - odparł Kruk.

- Tylko bez numerów. Cały czas cię obserwuję.

Marcin odwrócił się, żeby odejść.

- Zaraz, po co mnie wyciągnąłeś?

- Żeby ci o tym przypomnieć.

Lustro na ścianie było lustrem weneckim, a Marcin Zych zmusił

Kruka, by właśnie w pokoju z takim lustrem rozmawiał ze Stompurem. Sam siedział w pomieszczeniu obok, słysząc każde słowo, widząc każdy gest przesłuchującego i przesłuchiwanego.

Kruk wrócił do pokoju. Stompur jakby się przebudził.

- Gdzie jest Leon? - spytał.

- Szukamy.

- Szukacie... Chce go pan aresztować?

- Nie, kurwa. Chcę się z nim umówić na bierki.

- Na co on wam potrzebny?

- To Bob Budowniczy, stawiał z kolegami ścianki w Krypcie, a za jedną z nich siedziała, co za przypadek, jego matka.

Stompur podniósł się z krzesła, potrząsnął głową.

- Zostawcie go w spokoju.

- On stawiał ścianki, pan podpisywał projekty, a Malewski je przygotowywał.

Stompur opadł na krzesło.

- Podpisywałem w ciemno. Popełnia pan straszny błąd.

- Popełnię ich więcej. W sprawie Malewskiego wznowię śledztwo.

- Pamiętam. Zginął tego samego dnia, którego zniknęła Kamila.

- Zniknęła i została zamurowana. A ścianki w budynku, powtarzam, stawiał pański syn z kolegami, o czym z dumą opowiada ojciec jego serdecznego przyjaciela Antka.

- Niech go pan przycisnie. - Stompur podniósł błagalny wzrok. - Tego Antka. Nie wolno wierzyć w to, co mówi ojcu. Trzeba wycisnąć z niego prawdę.

- Jak wycisnąć prawdę, to z innych, co? Was lepiej zostawić w spokoju. Trzy zabójstwa pośród was, a wy nie wiecie nic.

- Trzy?

- Znalazłem Kamilę Zdrojewską, pańską zmarłą żonę, podążając za zmarłą Basią Malewską, koleżanką Leona, a ona szła śladem zmarłego ojca, pańskiego pracownika. Nadejdzie moment, gdy

powiążemy te trzy sprawy jednym sznurkiem. O martwym Pruszyńskim nie wspomnę. Niech pan mi powie, jak to może być... Zamknął pan kiedyś żonę w szafie w tym samym budynku, w którym ją teraz znaleźliśmy. Zbieg okoliczności czy znowu coś przeszkrobała?

Stompur przygarbił się, skulił.

- Nie skrzywdziłbym jej.

- Już raz ją pan skrzywdził. Zresztą, jak kiedyś mówiłem, nie oceniam, możliwe, że jej się należało.

Kruk chciał odwrócić się do okna, aby spojrzeć na wschodzące słońce. Gdy dojeżdżali do komendy, poranne chmury zaczynały się rozpląwać. Tylko że w pokoju przesłuchań nie było okna i mógł gapić się na ścianę.

Spojrzenie Stompura, które wychwycił kątem oka, było pełne żalu.

- Za murami wschodzi słońce - powiedział Kruk. - Ale tylko dla niektórych. Myśli pan, że wschodzi dla pana?

Milczenie.

- Jeśli to nie pan - Kruk przeciągał słowa - oznaczałoby to, że padł pan ofiarą przestępstwa.

- Nie rozumiem.

- Ktoś ukradł pański pomysł.

- W takich okolicznościach pana trzymają się żarty.

- To nie żarty.

Stompur siedział, zwieszając głowę.

- Nie zamknąłem jej. Przecież mówiłem, że tylko ją nastraszyłem.

- No proszę, Leon z kolegami chciał z kolei tylko nastraszyć Basię Malewską. Jaki ojciec, taki syn.

Stompur nie odezwał się. Uniósł lekko głowę, niewiele, dokładnie na tyle, by móc gapić się na komisarza.

- Przecież nie wierzymy w przypadki - kontynuował Kruk. - Owszem, przypadki się zdarzają, ale nie takie, że najpierw ładuje

pan na próbę kobietę do szafy, a rok później znajdujemy ją w takiej szafie martwą.

- Malewski to zrobił? - zaproponował nieśmiało Stompur.

- Bardzo możliwe. Pytanie: z pańską pomocą czy bez.

- Nie zabiłbym żony! Kochałem ją.

- Ale Malewskiemu też się zmarło, a pan mógł być zazdrosny. Ja bym na pana miejscu był.

- Przecież nie wiedziałem, że coś ich łączy. I nie zabiłbym go z zazdrości. Nie z takiego powodu.

Kruk chwilę nic nie mówił, potem szepnął:

- A jaki powód był dobry?

- Żaden. - Stompur pokręcił głową.

- Brzydko zabijać bez powodu. Niech mi pan da jakiś powód, nawet taki mały, malutki.

- Może mógłbym go zabić, gdybym wiedział, że zrobił jej krzywdę.

- Dziękuję. Pan jest bardzo miły. Policja prosi, obywatel kooperuje.

- Kruk chwilę siedział w bezruchu, zbierał myśli. - Żona miała pana dość, to wiemy. Ale skądinąd wiemy też, że zadała się z Malewskim, i jego również miała dość. Ten wielbiciel z dawnych lat, o którym panu opowiadała, to chyba się jednak nie zabił. To znaczy nie zabił się wtedy, przed laty.

Stompur lekko drgnął, ale nie powiedział nic.

- Pańska żona podjęła kroki, aby uwolnić się od was obu. Chciała nawet wynająć w tym celu bardzo nieprzyjemnego człowieka. Odrzucenie to straszne uczucie. Podobno bywa gorsze niż fizyczny ból. Zwłaszcza gdy kocha się tak mocno...

Stompur zacisnął zęby i dalej nic nie mówił.

- Albo gdy jest się na prochach i świat dostaje wzmocnienia. Kamilę zamknięto w szafie nagą, a Malewski miał w gabinecie ubrania, w których wybiegła od was z domu. Niech będzie, że ją zabił, ale dlaczego zabrał ubrania, zawiózł do siebie, a potem wrócił

do stoczni, by umrzeć?

Szeroko otwarte, wręcz wytrzeszczone oczy Stompura wgapiały się w Kruka.

- Niech pan tak na mnie nie patrzy. Gdybym potrafił zgadywać takie rzeczy, byłbym sławny, bogaty i robiłbym sztuczki w telewizji. A to nie jest jedyne pytanie, na które nie znam odpowiedzi. - Wstał, przespacerował się i zatrzymał, oparty o ścianę. - Nie wiem nawet, czy Malewski zaćpał się sam, czy ktoś mu podał felernego skręta. Nie wiem, po co umówił się z panem w restauracji i dlaczego pan się zgodził na spotkanie. I gdzie pan pojechał, gdy Malewski się nie pojawił.

- Mówiłem, że zgodziłem się dla świętego spokoju. Potem pojechałem do domu.

- Ale mógł pan również pojechać do stoczni. Choćby po to, żeby sprawdzić osobiście, czy Malewski się spisał.

- Pan myśli, że mogliśmy być w zмовie? - Stompur wyprostował się, na jego twarzy malowało się zaciekawienie.

- Gdyby to było takie proste. Bo to nie pan, ale pański syn z kolegami postawił ściankę, aby ukryć zbrodnię.

- Niedorzeczność.

- Fakt. Może wcale nie on ją postawił. Może jednak postawił ją pan, a on tylko się do tego przyznał... później...

Stompur potrząsnął głową.

- Dlaczego miałby się przyznawać, skoro nic nie wiedział?

- Może jednak coś wiedział. Czemu pyta mnie pan o takie rzeczy? Mnie tam nie było.

- Ani mnie.

- W takim razie Leon był na pewno. Ściana nie zbudowała się sama.

- Leon nie ma z tym nic wspólnego!

- Z czym?

Zapadła cisza.

- Kochał matkę - powiedział cicho Stompur.

- I to jest kolejna rzecz, która mnie gnębi. Dlaczego zostawił ją za ścianą kibla, a na ścianie obok powstał imponujący fresk, na którym on i jego koledzy mordują Malewskiego pod czujnym wzrokiem jego matki? Co to miało być? Uwiecznienie aktu zemsty? Jest w tym fresku pewna artystyczna przesada, Malewski nie został rozerwany na strzępy, ale może to metafora?

Stompur nie mógł wykrztusić słowa. Kręcił tylko głową.

- To szaleństwo - wydusił z siebie wreszcie.

- O, i tu mógłbym gdzieś pana umieścić. Bo nigdzie mi pan nie pasuje, a bardzo chciałbym znaleźć dla pana godne miejsce w tym wszystkim.

- To jakiś obłąd.

- Zgadza się, bardzo to chaotyczne. Dlatego nie mogę się doczekać, żeby pogadać z wesołym Leosiem. Liczę, że wprowadzi trochę porządku w ten bajzel.

- Niech pan tak o nim nie mówi.

- Będę tak mówił, żeby pana rozerwać. Smutny pan jakiś. Stało się coś?

Znowu zapadła cisza. Obaj zdawali sobie sprawę, że Kruk przekroczył granicę.

Otworzyły się drzwi i ponownie pojawił się Marcin. Wziął Kruka za ramię i wyprowadził z pokoju.

- Kurwa - powiedział na korytarzu. - Co to ma być?

- Co?

- To ma być przesłuchanie?

- Gadamy sobie.

- Co chcesz osiągnąć?

- Nie wiem. Nic mi tu nie pasuje.

- Znalazłeś zwłoki, więc coś ci musi pasować. Stompur to

podejrzany w sprawie o zabójstwo. Bierz na papier wyjaśnienia, zamiast się zabawiać.

Kruk machnął ręką.

- Jaki tam podejrzany.

Marcin uniósł brwi i tak został.

- Nie podejrzewasz go?

- Nie zabił żony. W każdym razie ja nic o tym nie wiem.

- A Malewskiego?

- Jego też nie zabił. Stompur nikogo nie zabił.

- To po co go zatrzymałeś?

Kruk zawahał się. Zebrał myśli.

- Nie jestem Bogiem, mogę się mylić.

- Zatrzymałeś go, żeby się upewnić, że jest niewinny?

- Tak - skłamał Kruk. - Za to podejrzewam, że synalek ma sporo za uszami.

- Jak skończysz torturować Jerzego Stompura, wypuść go do domu.

- Niech siedzi czterdzieści osiem. Nie po to jeździłem po niego osobiście.

Marcin utkwiał w nim wzrok.

- To po co? Po co naprawdę go zatrzymałeś?

Na korytarzu pojawił się Maszyński, w dłoni trzymał kopertę A4. Zobaczył minę naczelnika i zawahał się.

- Chodź, chodź - mruknął Marcin. - Sławek, nie mam czasu pilnować cię cały dzień, ale w pokoju jest monitoring. To nowoczesny monitoring i działa.

- Wiem.

- Wolę się upewnić, że wiesz. - Utkwił wzrok w Maszyńskim. - Pilnuj Sławka, żeby mu nie odbiło.

Zniknął na schodach.

Maszyński dorzucił kilka szczegółów z przeszukania mieszkania Iwony Malewskiej. Większość informacji przekazał wcześniej Krukowi przez telefon.

Potrząsnął trzymaną w ręce kopertą.

- Norbert prosił, żeby ci przekazać.

W kopercie było kilka zdjęć wydrukowanych z komputera. Przedstawiały szafę, w której znaleziono Kamilę Stompur. Szczątki kobiety były jeszcze w środku, gdy robiono fotografie.

- Norbert chce, żebyś zwrócił na to uwagę. - Radek wskazał obręb drzwi szafy. - Ten, kto zamknął tam Zdrojewską, uszczelnił potem drzwi pianką uszczelniającą. Kobieta prawdopodobnie się udusiła.

- Mamy już identyfikację?

- Jeszcze nie.

Kruk zastanowił się, czy sekcja da potwierdzenie przyczyny zgonu. Czy sekcja zwłok w takim stanie rozkładu potwierdzi w ogóle cokolwiek.

- Jak długo mogła jeszcze żyć?

- Norbert szacuje, że powietrza starczyło na pół godziny, może mniej.

- Potworna śmierć.

- Jest jeszcze coś. Technik mówi, że ta szafa różni się od innych, które tam znaleźliśmy. Od tych, do których napakowano azbestu. Pozostałe szafy mają zwyczajne, proste zamki. Tę wyposażono w samozatraskujący się zamek nowszego typu.

Kruk wpatrywał się w zdjęcie. Zabójca miał piankę uszczelniającą. Umieścił Kamilę w szafie z nowoczesnym zamkiem.

A więc wcześniej wymienił zamek. Azbest nie będzie próbował się uwolnić, ale człowiek tak. Chciał mieć pewność, że wytrzyma.

Musiał mieć raczej swobodny dostęp do budynku w trakcie remontu. Ale to żadna nowość.

- Iwona Malewska już wiedziała, że znaleźliśmy zwłoki i do kogo należały - powiedział Radek.

Kruk uniósł wzrok znad zdjęć i w twarzy Maszyńskiego przeczytał wyrzut.

- Co jest?

- Pracujemy razem, a ty mnie odstawiłeś. Kto rozwalił ścianę?

- Po co ci ta wiedza?

- Kto?

Kruk schował zdjęcia do koperty. Nie śpieszył się.

- Konieczni. Obstawiam, że osobiście Dariusz Konieczny.

- Jak się dowiedzieli?

- Może od Kanta.

- A Kant? - Maszyński zawiesił głos, spojrzał na Kruka i machnął ręką. - Dobra. Nieważne.

- Radek - powiedział Kruk. - Ze Stompurem prawie skończyłem. Interesuje mnie Niemicka. Malowała diabły w Krypcie. W biurze Łozowskiego namalowała trumny stojące na sztorc, dokładnie tak, jak ustawiono szafy za ścianą kibla.

- Ściągnę ją na komendę.

- Ściągniemy ją do Krypty. Albo nie, pojedziemy do niej do domu. Chcę z nią porozmawiać w otoczeniu jej malunków.

- Naczelnik kazał cię pilnować.

- Odwal się.

Oddał Radkowi kopertę.

Maszyński znowu nią potrząsnął.

- Nie pokażesz Stompurowi zdjęć żony?

- Nie - odparł Kruk i wrócił do pokoju przesłuchań.

64

Stompur uniósł głowę.

- Pilnują pana - powiedział. Uśmiechnął się smutno do lustra i pomachał.

Marcina już nie było za szkłem i Kruk pomyślał, że facet uśmiecha się w pustkę.

- Nie będę pana dłużej męczył. Jeszcze tylko jedno pytanie. Gdzie pan trzyma zapasowe kluczyki do nissana?

- Już nie rozmawiamy o Kamili?

- To łatwe pytanie. Niech pan po prostu odpowie.

- W szufladzie biurka. W pokoju, który kiedyś był moim gabinetem. Chce pan zabrać mój samochód?

- Zawsze je pan tam trzymał?

- Zawsze.

- Kto miał tam dostęp?

- Rodzina.

- Leon?

- Oczywiście, że tak. Leon, Kamila. Ich właśnie nazywam rodziną.

- Ładnie ich pan nazywa. A po zniknięciu Kamili kto miał tam dostęp?

Milczenie, więc Kruk odpowiedział sobie sam:

- Zostaje Leon. Kiedy ostatni raz widział pan klucze w tej szufladzie?

- Nigdy nie były mi potrzebne. Ale gdy zaglądałem ostatnio, były tam.

- Więc nie wie pan, kiedy zniknęły?

- Zniknęły?

- Zniknęły, a potem znowu się pojawiły. Myśli pan, że mogła je sobie zabrać jakaś dziewczyna Leona?

- O czym pan mówi?

- O kradzieży.

- Nic o tym nie wiem. Nic nie wiem o tym, żeby Leon przyprowadzał do domu jakąś dziewczynę.

- O tym rodzice zwykle nie wiedzą.

Tylko że ty pewnego dnia wrosłeś w ten dom, pomyślał Kruk. A sąsiadka widziała, że gdy przychodziła Basia, czekała na Leona przed ogrodzeniem. Nawet nie wchodziła za bramkę.

- Za to wiem, do czego pan zmierza - rzekł Stompur. - Przebieg procesu, w którym uczestniczy mój syn, jest mi znany. Pan usiłuje udowodnić, że Malewska mówiła w sądzie prawdę.

- Obawiam się, że oboje kłamali - powiedział Kruk.

A jednak Basia miała klucze do nissana. Dostała się do samochodu. Uruchomiła go, gdy zrobiło się gorąco. Potem, gdy uciekała, zostawiła kluczyki w samochodzie, a Leon, gdy odzyskał samochód, oczywiście ukrył je przed policją, a potem odłożył na miejsce.

Kruk dość dobrze potrafił wyobrazić sobie powrotną podróż kluczyków do szuflady. Nie wiedział jedynie, jak wyruszyły w tę podróż. Szkoda, bo to interesowało go bardziej.

- Tylko co to ma wspólnego ze śmiercią mojej żony? - spytał Stompur.

- A bo ja wiem... Ale śmierć pańskiej żony może już z tym czymś mieć. Basia Malewska też już nie żyje.

- Nie rozumiem.

- To nic. - Kruk przetarł twarz ręką. - Nie mogę się pozbyć uczucia, że tracę tu z panem czas.

- Poddaje się pan? Niech się pan trochę postara, może się przyznam do winy.

- Tego się właśnie obawiam. Że się pan przyzna. Zwłaszcza gdy sprowadzę synalka.

- Ma pan go chronić. Obiecał pan.

- Tak - odparł Kruk. - Obiecałem.

65

Kruk przechylił głowę, żeby spojrzeć pod innym kątem na malunki na ścianie. Niemicka zaplotła ręce na piersi, przestała pytać, czemu władowali się do jej domu o pierwszej w południe, kiedy ona jeszcze śpi, i nic nie mówią. Stała w prześwitującym biustonoszu i skąpych majtkach. Na znak protestu nie zamierzała się ubierać, ale oni nie byli zainteresowani jej wdziękami.

Byli zainteresowani jej sztuką.

Salon wyglądał równie pięknie jak podczas pierwszej wizyty Kruka. Maszyński uznał, że może zapalić papierosa bez pytania, a popiół strząsał na betonową posadzkę.

- Demony na ścianach w Krypcie 66 - powiedział Kruk, mając przed oczami postać z tej samej serii. - Skąd pomysł?

Przymknęła oczy. Potrząsnęła głową.

- Znaleźliście mamę Leona?

Kruk wymienił spojrzenie z Maszyńskim. Wziął Niemicką pod łokieć, poszli na bok. Kruk ściszył głos, gdy spytał:

- Skąd pani wie?

Zawahała się.

- Z wiadomości w internecie.

Zastanowił się, ile media mogły do tej pory dowiedzieć się o zdarzeniu. I kto im nadał, do kogo należały znalezione zwłoki. Powinien przejrzeć portale.

- Nie przyszła do pani pod dom?

- Ona? Dlaczego miałyby przychodzić?

- Basia i Romek raz przyszli. - Gdy spojrzała na niego zaskoczona, spytał: - Pamięta pani? Opowiedziała mi pani o tym ostatnio.

- Och, nie. - Na twarzy Niemickiej rozlał się wyraz ulgi. Jeszcze bardziej ściszyła głos. - Ona nie przychodzi, nie znałam jej.

Spojrzała na Kruka, zobaczyła wyraz jego twarzy, wyrwała łokieć, odbiegła kilka kroków. Na jej twarz wpływały na zmianę złość i strach.

- Pan mnie podpuszcza. Pan robi ze mnie nienormalną.

Kruk nie podjął wyzwania. Odwrócił się, zapatrzył na ściany i widniejące tam malunki. Maszyński bezszelestnie stanął obok niego i też gapił się na ścianę. Dwóch wielkich facetów, którzy udają, że są bardzo zajęci patrzeniem.

- Podziwiałem pani prace w Krypcie 66. Bardzo sugestywne.

Nie odpowiedziała.

- Jak to się stało, że zajęła się pani dekoracją Krypty?

Kruk kątem oka wychwycił lekkie wzruszenie ramion.

- Nie ułatwia nam pani pracy. - Westchnął. - No to cofnijmy się w czasie. Kiedy pani i Romek Pruszyński zaczęliście się spotykać?

Przestał się gapić na ścianę. Gapił się na nią w taki sposób, że nagle zdała sobie sprawę, że jest prawie naga. Wybiegła z pokoju. Wróciła szczelnie okryta ciemnym płaszczem kąpielowym.

Przez ten czas zdołała obmyślić odpowiedź:

- A co to pana obchodzi?

- Chciałbym wiedzieć, kim był dla pani. Po jego śmierci kupiła pani ten dom, w sąsiedztwie miejsca, gdzie zginął.

Jej twarz zrobiła się trupio blada.

- Sprawdzaliście mnie?

- Dlaczego pani kupiła ten dom?

- Szukałam domu do kupienia. Ten był na sprzedaż.

- Dlaczego właśnie tu?

- Impuls. Krótkotrwałe zamroczenie, trwało akurat tyle, ile formalności zakupowe. Kupiłam dom, wprowadziłam się i poczułam, że nie chcę w nim mieszkać. Od razu wystawiłam dom na sprzedaż.

Do tej pory nie trafił się kupiec.

- Może z powodu wystroju wnętrza - mruknął Maszyński, ale nie wychwyciła sarkazmu. - Chyba bardziej przez tę historię z włamaniem. Ludzie dowiadują się, co stało się u sąsiada, i robią się podejrzliwi. Jak długo pani tu mieszka? Tak krótko i już pani sprzedaje? Dlaczego naprawdę pani sprzedaje?

- Dlaczego pani w ogóle kupiła ten dom? - spytał Kruk.

Zapatrzyła się w jedną z kolorowych plam na ścianie.

- Bo on tam zginął.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Teraz już nie. Ale wtedy, gdy to robiłam, uważałam, że robię coś, co każdy by zrobił na moim miejscu.

Justyna Niemicka powiedziała to w dość oschły sposób. Zaszła w niej jakaś zmiana.

- Pytał pan, kiedy zaczęliśmy się spotykać. Romek przyszedł kiedyś do oddziału banku, gdzie pracowałam. Z miejsca straciłam dla niego głowę.

Mówiła w taki sposób, że Kruk odniósł wrażenie, że przemieniła się nagle w racjonalną, trzeźwo myślącą i rzeczowo wypowiadającą się kobietę.

Nie z taką kobietą przyszedł rozmawiać.

- Z jego powodu zmieniła pani pracę?

Dolna warga Niemickiej zatrzęsała się. Usiłowała to zamaskować uśmiechem.

- Chciałam mieć nienormowany czas pracy, żeby móc się z nim częściej spotykać. Zrobiłam kurs masażu, ale to chyba nie moje powołanie.

Kruk może uwierzyłby, gdyby mówiła mu o tym ta druga Justyna Niemicka. Ta irracjonalna, widująca duchy.

- A gdy pani chłopak z kolegami remontowali knajpę, pani im pomogła innym swoim talentem? Artystycznym.

- Mam wiele talentów.
- Dlaczego diabły?

Z jej oczu przez moment wyjrzała ta druga strona jej osobowości. Wyjrzała i milczała.

- W biurze Łozowskiego namalowała pani stojące trumny, jak stalowe szafy w pomieszczeniu za ścianą. Skąd pani wiedziała?

- O czym? - spytała nieprzytomnie. Wreszcie tamta dziewczyna wróciła.

- Co jest za ścianą.
- Nie wiedziałam.
- No to kto pani polecił namalować właśnie to?
- Nie wiem, chyba sama wymyśliłam.
- Łozowski? Stompur? Pruszyński?
- Nie pamiętam.

- To przypadek, że pani malunek opowiada o tym, co znaleźliśmy wewnątrz?

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Tak, to przypadek.

Posłała mu promienny uśmiech, jakby załatwili tę kwestię.

Maszyński delikatnie, ale znacząco dotknął kajdanków przy pasku. Kruk pokręcił głową.

- Gdy rozmawialiśmy ostatnio, skłamała pani, że ledwo znała Barbarę Malewską. A ja myślę, że znała ją pani lepiej niż ledwo.

- Tak pan myśli? - spytała słabo.
- Wasi chłopcy się przyjaźnili. Musiałyście się widywać w Krypcie.
- Nie chodziłam tam. Rozstaliśmy się z Romkiem jakoś właśnie wtedy, gdy Leon zaczął chodzić z Baską.

- Rzuciła pani dla niego pracę i tak szybko się z nim rozstała?

Skuliła się, zdając sobie sprawę, że dała się złapać na kłamstwie.

- Miałam nadzieję, że jeszcze wrócimy do siebie.
- Jego śmierć przekreśliła te nadzieje.

- Śmierć wszystko przekreśla.
- Obwiniała pani Barbarę Malewską? W końcu to z jej powodu Romek włamał się do domu jej wuja.

Uniosła głowę.

- Nikogo nie obwiniałam.

- Dlaczego pani kupiła ten dom?

Próbowała jeszcze zapanować nad sobą, ale nie dała rady. Wybuchnęła płaczem.

- Życzyłam jej śmierci - powiedziała przez łzy. Jej wzrok poszybował w stronę innego malunku na ścianie, który przedstawiał diabła rozrywającego dziewczynę. - Przez nią zginął. A ona zginęła przeze mnie. Życzyłam jej śmierci, więc umarła.

Kruk zastanawiał się, do jakiego stopnia ten wybuch był szczery. Nie bardzo chciało mu się wierzyć, że Niemicka naprawdę wierzy we własne słowa. Nie doznał objawienia i mógł tylko dalej się zastanawiać.

- Ma pani jakąś moc czy coś w tym rodzaju?

- Ludzie, którym życzę śmierci, umierają.

- Pruszyńskiego zabił Dariusz Konieczny, nie Basia. Jemu powinna pani przesłać swoje życzenia.

- Czasem życzenie śmierci nie trafia we właściwą osobę, tylko odbija się rykoszetem - szepnęła. - Może to Romek ją zabił, może to ja go wezwałam.

- Częściej bywa tak, że niektórzy ludzie przypisują sobie moce, których nie posiadają.

- Chciałabym ich nie posiadać. - Otarła łzy. W jej oczach błysnęło, a potem stały się mgliste. - Pan zostanie moim posłańcem.

- Słucham?

- Pan zanieś wiadomość.

- Jaką?

- Moje życzenie śmierci.

Kruk wymienił spojrzenia z Maszyńskim, który przewrócił oczami.

- Komu? - spytał delikatnie Kruk.

- Mordercy. Mordercom.

Kruk zrobił się czujny i jeszcze bardziej delikatny.

- Czyli komu?

Pokręciła głową.

Jej reakcje pełne były sprzeczności. Kruk zastanowił się chwilę i postanowił zaryzykować.

- Jeśli mi pani nie powie, jak mam zanieść wiadomość?

- Niech pan nie traktuje mnie jak umysłowo chorej. - Spięta się cała. - I niech mnie pan nie podpuszcza.

- Dość beztrosko szafuje pani swoimi mocami. Kiedy jeszcze pani życzenie śmierci się spełniło?

- Skąd pan wie, że się spełniło?

- Od pani.

Wzdrygnęła się i jej oczy znowu wypełniły się łzami. I znowu powędrowały na ścianę, ku malunkom. Tym razem tam, gdzie diabeł rozrywał niedźwiedzimi pazurami leżącego mężczyznę.

Kruk wreszcie zaczął dostrzegać wzorzec.

Późno, ale lepiej tak niż wcale.

- Czy pani depresja, oszpecanie ciała, zaniedbywanie pracy, mazanie po ścianach domu, marihuana, opowieści o zmarłych, którzy podchodzą pod dom, to tylko poczucie winy za to, że życzy pani ludziom śmierci, a oni umierają? Czy kryje się za tym coś więcej?

Jej oczy zrobiły się okrągłe, przerażone.

- Życzyła pani śmierci swojemu chłopakowi, bo się rozstaliście, a pani wcale nie chciała się rozstawać?

Zamknęła te swoje wielkie oczy. Stała, zaciskając powieki z całych sił, aż zniknęły między policzkami a brwiami.

- Miałam dziwne sny tej nocy, gdy zabito Basię.

- Co pani widziała?

- Nic, przysięgam.

Ta przysięga wydała się Krukowi co najmniej niepotrzebna.

- A jednak pani coś widziała.

- Niczego nie widziałam, naprawdę.

Kruk stanął przy oknie i patrzył na mały zaniedbany ogród. Nie dostrzegł żadnych latarenek ani innego oświetlenia. Jeśli ktokolwiek wybrał tamtej nocy drogę przez jej ogród, jednym z powodów mógł być fakt, że było tu dość ciemno.

Kruk odwrócił się do dziewczyny.

- A co pani słyszała?

Drgnęła.

Za jej plecami Radek z uznaniem pokiwał głową.

- Wierzę w pani przysięgi - rzekł Kruk. - Nic pani nie widziała, za to coś pani słyszała. Co?

- Ktoś przechodził tamtej nocy pod moim domem. Nie wiem, która to była godzina. - Zawahała się. - A może nikt nie przechodził. Może to tylko nocne głosy, które słyszę. Widuję zmarłych, panie komisarzu. Czasem słyszę, jak chodzą po moim ogrodzie. Jestem chora psychicznie. Jestem wariatką. Nie potrafię odróżnić jawy od snu.

Kruk widział w życiu paru wariatów. Żaden z nich nigdy by nie przyznał, że jest wariatem. Jeśli ona była, to pewnie takim innego rodzaju.

- Co pani słyszała we śnie?

- Głos.

- Poznała pani ten głos?

- Był przytłumiony. Nie rozróżniałam słów. Potem głos się oddalił.

- Ten głos przemawiał do kogoś?

- Nie wiem. Możliwe, że tak.

- Do kogo przemawiał?

- Nie wiem. Słyszałam tylko ten głos. Nawet nie wstałam z łóżka, sądziłam, że to głos z mojego snu.

- Czy to był męski głos?

Na jej twarzy pojawił się wyraz udręki.

- Nie wiem.

- Kobięcy?

- Nie wiem.

- Czy to był pani głos?

Znowu drgnęła.

- Może. Nie wiem.

Ukryła twarz w swoich silnych dłoniach masażystki, którymi dawała ludziom odprężenie i ulgę w bólu.

Kruk przeniósł wzrok na obrazy na ścianie. Oboje milczeli, z ulicy dobiegł ich szum przejeżdżającego samochodu.

- Nie słyszała pani wtedy innych odgłosów? Nie słyszała pani odjeżdżającego samochodu?

- Nie, tylko ten przytłumiony głos.

- I nic pani nie zrozumiała?

- Nie.

- Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć prawdy? Przecież jednak coś pani zrozumiała.

Jej twarz wyłoniła się spomiędzy palców. Malował się na niej badawczy wyraz.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Ja to wiem.

- Nic pan nie wie. Tak tylko pan sobie gada, żeby mnie podpuścić.

- Pani coś usłyszała i namalowała to pani.

Gwałtownie wstała. Podeszła do Kruka i stanęła obok niego. Oboje patrzyli na różnobarwną niepokojącą spiralę, która pokrywała znaczną część ściany. Niemicka stworzyła ją, jak sama przyznała Krukowi podczas jego pierwszej wizyty, gdy dowiedziała się

o śmierci Basi.

- Namalowałam? - spytała podejrzliwie.

- Widzę to tutaj.

- Co pan widzi?

- Przerażenie.

Wzdrygnęła się.

- Tak, boję się - powiedziała.

- Czego?

- Co jeszcze pan widzi?

Kruk wgapiał się w barwy na ścianie, mrużył oczy, usiłując dostrzec w nich cokolwiek. Nie dostrzegł niczego.

- Zabójcę. - Zawahał się, bo coś mu przyszło do głowy.

Zaryzykował: - Zabójców.

- Gdzie pan to widzi? W którym miejscu?

- Trudno mi wskazać. Widzę dwa cienie rzucane przez dwie postaci. Mówią coś do siebie, ale nie rozumiem słów.

Zapadła cisza. Kruk bał się popatrzeć na Niemicką, żeby nie spojrzała mu w oczy. Wciąż wpatrywał się w spiralę i właśnie teraz wzrok zaczął mu płatać figle. Obraz zaczął się rozmywać, a jednocześnie ożył. Spirala zaczęła wirować i przyzywać go, usiłując wciągnąć do środka.

W ciemność. W pustkę.

Niemicka odezwała się w chwili, gdy zaczynał mieć wrażenie, że spada w dół.

- Głos zapytał: „Skąd ta krew na ręce, podrapała cię?” - wyszeptała.

- Jaka była odpowiedź?

- Nie było odpowiedzi. Tylko tamte słowa.

- Co było dalej?

- Słyszałam, jak odchodzą.

- W którą stronę?

- Z powrotem. Tam, skąd przyszli.

- Do domu pani sąsiada?

- Tak. Wrócili do tego domu.

- Czyli pod pani domem było dwóch ludzi?

- Nie wiem, czy był ktokolwiek. Czy sobie tego nie wymyśliłam.

Czasem wymyślam sobie, że Romek wraca do tego domu, aby go znowu zabito. Słyszę, jak idzie przez ogród. A gdy odważę się wyjrzeć, widzę jego postać pod tamtym domem. Zawsze milczy. Nigdy nie powiedział słowa.

- Z wyjątkiem nocy zabójstwa?

Wzdrygnęła się, zebrała się w sobie.

- Byłam wtedy na marihuanie.

- Czasem też mam ochotę zapalić - odparł Kruk.

Spirala barw znów była tylko zlepkiem plam na ścianie.

- Doceniam, że pani opowiedziała mi to wszystko. Ale niech nie próbuje mnie pani tym zbyć.

- Nie rozumiem - szepnęła.

- Nic z tego nie tłumaczy, dlaczego przeżywa pani piekło na jawie.

Wciąż ukrywa pani przede mną przyczynę swojego koszmaru.

- Nie rozumiem - powtórzyła.

- Pora chyba odpowiedzieć na moje wcześniejsze pytanie.

Kruk zawiesił głos. Zrobiło się bardzo cicho.

- No, skąd pani wiedziała, co jest za ścianą w biurze Łozowskiego?

Niech pani oczyści sumienie, zanim to panią wykończy.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparła cicho. - Nie jest pan pierwszym, któremu mówię o tym, co słyszałam.

- Z kim jeszcze pani rozmawiała?

- Przyszedł tu pewnej nocy po śmierci Basi. Łomotał do drzwi.

Pomyślał, że z jej strony to tylko wybieg. Oferowała mu tę informację, aby przestał ją dręczyć. Ale lepiej dostać coś niż nic.

- Kto?

- Krewny Basi, Grzegorz Konieczny.

66

Myjnia znajdowała się blisko centrum, ale sprawiała wrażenie, jakby pochodziła z innej epoki. Mimo obskurnego wyglądu oba stanowiska do mycia ręcznego były zajęte, a na parkingu czekało kilka samochodów. Dariusz Konieczny postawił bmw przy białej astrze starszego typu i skierował się do małej kanciapy, gdzie mieściła się niewielka poczekalnia i lada, za którą nudził się rozparty na obrotowym krześle i wygolony na łyso młody człowiek.

Kilka osób przeglądało stare magazyny samochodowe, czekając na umycie swoich aut. Na ścianie migał telewizor prezentujący wiadomości. Konieczny podszedł do lady, ale wygolony mężczyzna wpatrywał się w ekran i miał go w nosie.

- Chcę umyć samochód.

- Co pan powiesz - mruknął łyso, nie odwracając wzroku od telewizji. - Grafik na dzisiaj pełen.

- To zwolnij pan coś dla mnie.

Łyso przyjrzał mu się uważnie. Z westchnieniem wyjrzał zza lady i przez brudne szerokie okno pełniące rolę ściany zlustrował wzrokiem parking. Miał dziwnie pokancerowane ręce, twarde, zniekształcone.

- Czym pan przyjechał?

- Tym bmw.

Łyso z uznaniem skinął głową.

- Niezła fura. Dobra, zobaczymy, co da się zrobić. A co interesuje? Komplet z praniem tapicerki i efektami zapachowymi, żeby pachniało jak na łące?

- Ochlapcie go z wierzchu i wytrzyjcie kurz z kokpitu. Śpieszy mi

się.

Łysy otworzył stary kajet mniej więcej pośrodku. Zajrzał tam, krzywiąc twarz.

- Nie dasz pan zarobić. Dobra, wywalimy tę astrę. Wstyd, żeby na naszej pięknej myjni myć takiego rżęcha.

Za plecami Dariusza dał się słyszeć szelest odkładanego magazynu, a potem szybkie kroki. Bardzo wysoki i bardzo chudy mężczyzna w okularach, o czaszce zdobionej wielkimi zakolami niczym dwie Zatoki Gdańskie, stanął przy ladzie.

- To moja astra - powiedział zdenerwowany. - Umawiałem się telefonicznie. Czekam już pół godziny.

- No to się pan nie doczeka - odparł łysy z uśmiechem. Pogrzebał pod ladą i rzucił na blat kluczyki z logo opla. - Spróbuj pan innym razem, może się uda.

- Ale... - Chudzielec dalej chciał protestować, jednak łysy właśnie przestał się uśmiechać i spojrzał na niego w taki sposób, że facet przełknął tylko ślinę, mruknął, że wystawi myjni negatywną opinię w Google'u, i wyszedł z poczekalni.

- Mamy same negatywne opinie. - Facet za ladą wzruszył ramionami i popatrzył na pozostałą trójkę czekających, jakby chciał się upewnić, że tam panuje spokój.

Wskazał Koniecznemu miejsce między nimi. Zabrał pozostawione przez Dariusza kluczyki i gdzieś z nimi poszedł.

Konieczny usiadł i unikając spojrzeń pozostałych klientów, wziął do ręki magazyn. Kątem oka obserwował, jak z jednego ze stanowisk wyjeżdża lśniący czarny lexus i parkuje pod poczekalnią. Wsiadł z niego ubrany w szare ogrodniczki pracownik myjni, wsiadł do bmw Koniecznego i z piskiem opon wycofał, a potem paląc opony wjechał na zwolnione przez lexusa stanowisko, hamując niemal w ostatniej chwili, aby nie uderzyć w palącego tam papierosa innego pracownika.

Ten nawet się nie odwrócił.

Konieczny spojrział spode łba na łysego, który już zdążył wrócić za ladę. Łysy wyszczerzył zęby. Wyglądało, że wrócił wyłącznie po to, żeby je wyszczerzyć, bo znowu zniknął w pracowniczych drzwiach myjni. Wkrótce pojawił się z kluczykami od lexusa i uprzejmie zaprosił jego właściciela, aby uregulował rachunek.

Dziesięć minut później bmw Koniecznego powróciło na miejsce parkingowe. Tym razem odbyło się to spokojnie, bo prowadził inny pracownik.

Konieczny zapłacił dwadzieścia dziewięć złotych i wyszedł. Wsiadł do samochodu umytego niezbyt dokładnie. Kurz z kokpitu też wytarto pobieżnie, pod słońce widać było smugi po szmacie. Konieczny wycofał i wjechał na ulicę. Wkrótce znalazł się na Grunwaldzkiej.

Dopiero gdy odjechał kilka kilometrów, otworzył schowek przed fotelem pasażera. Podjeżdżając na myjnię, zostawił w nim kopertę z grubym plikiem setek. Koperta zniknęła.

Przed operą musiał zatrzymać się na czerwonym świetle. Wykorzystał to, aby sięgnąć ręką pod fotel kierowcy. Wymacał płaskie kartonowe pudełko. Było ciężkie.

Nie miał jak tego sprawdzić, ale był pewien, że w pudełku znajduje się glock 17, niezawodny pistolet produkcji austriackiej, z usuniętymi numerami.

Dokładnie taki, jaki zamówił.

Kruk przejrzał trójmiejskie portale, zerknął na ogólnokrajowe. Przeczytał wszystkie informacje o znalezieniu zwłok, o ich stanie, nawet o łańcuszku z księżycem, ale nigdzie nie podawano tożsamości ofiary.

Zaczął się nad tym zastanawiać.

Nie dane mu było długo się zastanawiać. Marcin Zych wezwał do gabinetu jego oraz Radka. Potrzebował raportu o stanie śledztwa. Miał za godzinę spotkanie z komendantem i jego zastępcą.

Kruk skorzystał z okazji.

- Niech nam załatwią ekspresową usługę w Warszawie. Malewski i Zdrojewska chodzili razem do liceum i niedawno spotkali się na zjeździe klasowym. Chcę, żeby o nich popytać. Malewski prawdopodobnie próbował kiedyś popełnić samobójstwo z jej powodu, chcę poznać szczegóły.

- Które to liceum?

- Chyba Staszica.

Marcin mruknął, że da się zrobić, a Kruk zrelacjonował mu spotkanie z Niemicką. Zych pokręcił głową.

- Ty to masz podejście. Zginęła Malewska, nie można cię było odciągnąć od zaginięcia Zdrojewskiej. A gdy znalazłeś zwłoki Zdrojewskiej, rzucasz to i zajmujesz się Malewską.

- Te sprawy są ściśle powiązane, tylko nie wiem jak.

- Na pewno się dowiesz - warknął Marcin. - W taki lub inny sposób. Po prostu coś rozwalisz.

Kruk udał, że usłyszał pochwałę.

- Według Niemickiej, w noc zabójstwa Malewską odwiedziło

dwóch ludzi. Słyszała, jak ktoś przechodzi przez jej ogród. Nie zdziwiło jej to, zmarły Romek często tamtędy wracał do domu, gdzie zginął, a ona czasem miała odwagę, aby wyjrzeć w noc, a czasem nie. Zdaje się, że Basia Malewska zamieszkała z daleka od mamy nie bez powodu. Spotykała się z kimś w tajemnicy.

- Z trupem? - spytał Zych tak poważnie, jak poważnie można zadać tego typu pytanie.

- Niemicka opowiada o świecie, w który odpływa, ale to wciąż w jakiejś części nasz świat. Gdy maluje trumny, znajdujemy szafy, a w jednej z nich zwłoki. Gdy przedstawia diabły, to ludzie, którzy chcą być diabłami. Gdy widzi żywego trupa, kogoś widzi, choć mam nadzieję, że nie jest to trup.

- Chodzący trup trochę by skomplikował rzeczywistość - powiedział Marcin.

- Noc zabójstwa jest wyjątkowa. Ktoś przechodzi przez jej ogród, ale tym razem Niemicka słyszy fragment rozmowy. To na moment wybija ją z urojeń. Nie rozpoznaje głosu, a głos Romka pewnie by rozpoznała. Potem dowiaduje się o zbrodni w sąsiedztwie. Jest dezorientowana i przerażona, gryzmoli po ścianie...

Kruk urwał, gdy spojrzał na Radka, który powiedział powoli:

- Gada, że widziała dwójkę zmarłych przy furtce.

- Może widziała kogoś innego. Może widziała kogoś wcześniej. Może to sobie wyobraziła, bo jest kreatywna, a coś ją zżera od środka. Wiem, że w większości bredzi, że jej nie wierzysz, ale przyjmijmy, że Niemicka choć czasem trochę wie, co mówi, bo udowodniła, że wie. I sprawdźmy, gdzie nas to zaprowadzi.

- Po namyśle jej uwierzyłem.

Kruk trochę się zdziwił, ale kontynuował:

- Według niej dwóch ludzi wyszło nocą z domu Koniecznego. Wiemy, że zostawili za sobą krwawą łaźnię, a Niemicka słyszy, jak jeden pyta drugiego: skąd ta krew na ręce. Ja na jego miejscu

wiedziałbym skąd. A on nie. W dodatku dodał: „Podrapała cię?”. Ja bym pomyślał, że tamten drugi pobrudził się krwią ofiary, to się samo narzucało. Było ciemno, prawdopodobnie nie mógł dobrze widzieć tej krwi. Dlaczego zapytał o podrapanie, a nie o ubrudzenie? Potem obaj zawrócili.

Kruk nie zapytał, jaki był tego sens, ale i tak to pytanie zawisło między nimi. Wisiało tak kilka chwil.

- Może się mylisz - odezwał się Radek. - To dlatego jej uwierzyłem.

- W czym się mylę?

- Może gdy wychodzili z domu, jeszcze nie było tam krwi. Ofiara jeszcze nie ostygła i wciąż miała prawą dłoń.

Kruk lekko przymknął powieki i popatrzył na Radka.

- Ciekawe - powiedział. - Czemu ją straciła?

- Gdy byłem u Iwony Malewskiej, obiecałem, że pomogę jej w formalnościach. Nadal nie wydano jej ciała córki. Przed chwilą dzwoniłem w tej sprawie do chłodni. Skończyli badać odciętą dłoń i nawet ją przyszyją do ręki.

- To miłe z ich strony. - Kruk nie przestawał się gapić.

- Dowiedziałem się, co mają. Sprawca nie tylko startł lakier i obciął paznokcie. Nie tylko umył dłoń w umywalce. Starannie przetał zmywaczem całą dłoń, łącznie z powierzchniami pod paznokciami, które dokładnie wyskrobano. Dłoń została zdezynfekowana.

- Podrapała go? Myślisz, że usuwał swoje ślady biologiczne?

- Ustalenia sekcyjne wskazują, że siedział na niej, gdy ją dusił. Unieruchomił kolanami jej ręce. Może udało jej się wyrwać jedną. Jeśli próbowała rozerwać jego uścisk, mogła go podrapać, a on nie poczuł, bo był naćpany adrenaliną, może prochami. Ale ma teraz ślady na rękach.

To mogło mieć sens.

Kruk wstał, podszedł do okna. Zagapił się na ulicę.

- A więc zorientowali się w drodze powrotnej i wrócili zatrzeć ślady - powiedział. - Jeśli mocno go podrapała, przestraszyli się, że krew gdzieś skapnęła i policja ją znajdzie. Może znaleźli kroplę lub dwie, usunęli je, ale nie mieli pewności, że nie przeoczyli trzeciej. Ze strachu stali się rzeźnikami. Wzięli nóż kuchenny, obcięli dziewczynie dłoń, chlapiąc jej krwią, gdzie się dało. Policja zbierze próbki, ale nie zbierze wszystkich, a do laboratorium trafi kilka wybranych. W tysiącach kropli jej krwi ukryje się jego jedna. Sprawca miał na dłoniach rękawiczki, bo przyszedł dokonać zabójstwa i wiedział, jak go dokona. Ale musiał skorzystać z kuchennego noża, bo nie wiedział, że będzie kroił ofiarę.

Zapadła cisza. Kruk niemal całkiem przymknął oczy, zadowolony jak kot przy piecu, bo bardzo spodobało mu się takie rozumowanie.

Nagle uświadomił sobie, z czego jest taki zadowolony.

Odbija mi, pomyślał.

- W takim wypadku nie mamy do czynienia ze świrem, tylko z zimnym, racjonalnym skurwielem - odezwał się Marcin Zych.

- Z dwoma skurwielami - rzekł Kruk. - I w ogóle nie są racjonalni. Kiedy odcięli dłoń i pochlapali pokój krwią, prościej, szybciej i bezpieczniej było zabrać dłoń ze sobą, zamiast bawić się w kosmetyczkę.

Kruk pomyślał o groźbach Łozowskiego, które rzucał podczas wtargnięcia. W świetle opowieści Dariusza Koniecznego, odcięcie dłoni jawiło się jako realizacja tych gróźb. Ale do ustaleń sekcyjnych bardziej pasowała próba zatarcia śladów.

Kruk usiłował jakoś to połączyć.

Wyobraził sobie Antka Łozowskiego, jak dociera do niego, że ofiara ma pod paznokciami prawej dłoni jego DNA. Jest w panice, nie wie, co robić. Przychodzą mu na myśl groźby, które rzucał kiedyś w tym domu. W ogromnym stresie te słowa stają się wszystkim. One i strach wypełniają cały jego umysł. Nie do końca

zdając sobie sprawę, co robi, idzie do kuchni po nóż.

Kruk ustawił tę scenę w wyobraźni, a potem, wciąż w wyobraźni, starannie wytarł twarz Antka i rozmył jego postać. Obejrzał sobie, jak ta nieokreślona postać, cień, którym się stała, robi te wszystkie rzeczy, które naprawdę zrobiono.

A w tle przesuwa się druga postać, równie nieokreślona i bezkształtna.

Westchnął.

Musi zmusić Antka i Leona do szczerzej rozmowy. Takiej w cztery oczy, bez lustra weneckiego. Ale od Łozowskiego odgradzały go prawnicze uniki, a Leon Stompur zniknął.

Znowu przyszedł mu na myśl Konieczny. Tym razem drugi brat. Rozmawiał z Niemicką.

- Grzegorz Konieczny też może podejrzewać, że sprawca ma zadrapania na rękach. Niepokoi mnie, co robi Dariusz, gdy kogoś takiego spotkają.

- Młody Łozowski ręce ma w porządku - rzekł Maszyński. - Gdy przyszedł dziś na komendę, miał krótki rękaw.

Ante przyszedł i poszedł. Nie powiedział nic wartościowego. Wytresowany przez prawnika zasłaniał się niepamięcią albo uchylał od odpowiedzi na pytania, recytując formułkę o tym, że odpowiedź mogłaby go narazić na odpowiedzialność karną.

Kruk wstał.

- Trzeba znaleźć Leona Stompura. Porozmawiam z kimś, kto może wiedzieć, gdzie jest.

Marcin wycelował w niego palec.

- Później - rzekł.

- Czemu?

- Teraz będziesz zajęty. Dochodzi piąta.

Kruk pokręcił głową.

- Nie odpuścisz, co?

- Po tym numerze ze ścianą w Krypcie? Myślisz, że jestem idiotą?
- Nie jesteś. Za to ja znalazłem ciało.

Marcin Zych westchnął.

- Tak. Znalazłeś.

Pokój Moniki wydał mu się jeszcze mniejszy niż zwykle. Usiadł na swoim zwykłym miejscu. Monika zajęta była wypełnianiem formularzy. Przerwała, odłożyła segregator na półkę.

- Monika - powiedział Kruk - mam strasznie mało czasu, a Marcin nie daje mi żyć. Może ty mi odpuścisz?

Podniosła na niego znużone oczy.

- Dobrze.

Pomyślał, że się przesłyszał. Ale Monika już sięgała po jego akta. Usiadła i zaczęła czegoś w nich szukać.

- Dam ci pozytywną opinię. Możesz pracować, nie jesteś gorszy niż cała reszta. Ani gorszy, ani lepszy. Pasujesz tutaj.

W jej głosie wyczuł rozczarowanie.

- Chodzi o Stompura? Facet siedzi, chciałaś tego.

Nie odpowiedziała. Gdy milczenie się przedłużało, uniosła głowę znad dokumentacji.

- Bądź spokojny, zajmę się papierami i przekażę naczelnikowi laurkę na twój temat. Podobno masz strasznie mało czasu. Co jeszcze tu robisz?

- To znowu jakaś gierka?

- Nie rozumiem.

- Tak jak na pierwszym naszym spotkaniu.

- Nigdy nie grałam z tobą w żadne gierki.

Rozczarowanie wyzierało teraz z całej jej postaci, wyrazu twarzy, odbijało się w oczach. Kruk czuł się głupio, choć nie rozumiał dlaczego.

Nic go tu nie trzymało, więc wstał i wyszedł.

69

Pojechał do mieszkania Natalii Damaro na ulicę Karpacką, ale nie było jej w domu. Nie miał szczęścia. Usiadł na ławce pod blokiem, pośród zieleni, i usiłował opanować myśli.

Szybko okazało się, że jednak ma szczęście. Zobaczył ją niedaleko, jak spaceruje z wózkiem. Oczy miała nieobecne. Pewnie dlatego nie od razu go zobaczyła, a potem nie od razu poznała, choć zastąpił jej drogę.

- Policja przeszukała już moje mieszkanie - powiedziała. - Nie wiem, gdzie jest Leon.

- Szkoda - odparł Kruk.

Chciała odejść, ale zawahała się.

- W Krypcie znaleziono zwłoki jakiejś kobiety - oznajmiła, choć tak naprawdę było to pytanie.

- Nie wie pani czyje? - Gdy pokręciła głową, wyjął: - Jego matki.

- On nic nie zrobił swojej mamie! - wykrzyknęła. - Nie byłby do tego zdolny.

Tknięta nagłym impulsem wyminęła go, pozwolił jej na to, ale nie pozwolił się zostawić. Szedł obok niej.

- Proszę odejść.

Jej głos był nadspodziewanie mocny. Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. Dzięki temu on mógł przyjrzeć się jej oczom. Zobaczył to, czego się spodziewał.

Strach. Przerażenie tym, co się wokół niej działo.

- Dlaczego pani z nim jest?

- Jest dla mnie dobry. Opiekuje się mną, choć dla młodego mężczyzny nie jest łatwe, gdy kobieta wychowuje dziecko innego.

Dla niego jesteś świętą, pomyślał Kruk.

- A ten inny? Co z nim?

- Zostawił mnie.

Jej głos zmienił brzmienie. W tej subtelnej zmianie kryło się wszystko, co przeżyła w związku z odejściem tamtego. Smutek, samotność, rozpacz.

- To panią się zostawia? Był głupi i sobie poszedł?

- Dlaczego interesuje się pan moim życiem osobistym?

- Już raz to pani tłumaczyłem. Interesuje mnie Leon Stompur, a tak się składa, że to pani życie osobiste.

- A jeśli odmówię rozmowy?

- Mało rozsądne. Wokół Leona za dużo jest śmierci, a pani ma dziecko.

Drgnęła.

- Nie rozumiem.

- Nie ma nic do rozumienia. Dziecku jest pani winna najwięcej. Także bezpieczeństwo od takich typów jak Leon. I utrzymanie sympatii policji, która chodzi z panią i dzieckiem na spacer, zamiast targać panią na komendę.

Uniosła brodę, po czym wbiła wzrok w rączkę wózka.

- Pójdźmy chodnikiem w dół - powiedziała. - Jeśli będziemy za długo stali, mały się obudzi.

No to poszli. Najpierw tym chodnikiem, wkrótce skręcili i szli wzdłuż rozciągającego się po drugiej stronie ulicy cmentarza. Nie było to najlepsze miejsce na spacer z dzieckiem. Przedwieczorne słońce jeszcze migotało między liśćmi i wciąż musieli mrużyć oczy.

- Przez trzy lata byłem w związku ze wspaniałym chłopakiem, Marcelem Dalmanem - odezwała się w końcu. - Chciałam, żebyśmy się pobrali, lecz on uważał, że na to za wcześnie. Kłóciliśmy się o to.

Kruka nic to nie obchodziło. Chciał rozmawiać o Leonie. Dostrzegła wyraz jego twarzy i błędnie go zinterpretowała:

- Pan nie rozumie. Założenie rodziny było jego marzeniem. Wcześniej stracił rodziców, nie miał krewnych. Liczyła się tylko ja, chciał mi zapewnić jak najlepsze życie, a nie mógł znaleźć pracy. Pracował dorywczo na budowach, trudno mu było zagrzać gdzieś miejsce. Zameldowałam go w swoim mieszkaniu, które odziedziczyłam po babci, a on przysiągł, że zrobi generalny remont. Nie mogłam mu tego wyperswadować, uważał to za sprawę honoru.

Nie chciał jej spłoszyć i uznał, że przez chwilę pociągnie temat:

- Dokładał się do utrzymania?

- Oczywiście, jeśli tylko miał pieniądze.

- A często miał?

Zatrzymała się i nachyliła, żeby poprawić dziecku czapeczkę. Kruk wiedział, że grała na czas, żeby wydusić z siebie odpowiedź:

- Rzadko.

- Alkohol? Narkotyki?

- Czasem alkohol.

- Przez to tracił pracę?

Zadał to pytanie i pożałował. Prowadził tę rozmowę jak przesłuchanie. W ten sposób jej nie otworzy.

- Przez ostatnie pół roku naszego wspólnego życia przestał pić. Znalazł stałe zatrudnienie, usiłował uzyskać kredyt na ten remont, który sobie wymyślił. Nie mógł go dostać i zaczął przebąkiwać o wyjeździe na Wyspy Brytyjskie, bo tam lepiej płacą. Bardzo mnie to zdenerwowało. Nie chciałam remontu, chciałam małżeństwa, bo zaszłam w ciążę.

Urwała, na jej twarzy wyszły rumieńce.

Nagle temat Marcela Dalmana zaczął interesować Kruka. W budownictwie pracowała ogromna rzesza ludzi, wielu z nich wyjeżdżało na Wyspy, ale tylko niektórzy znali Natalię Damaro.

- Powiedziała mu pani o dziecku? - spytał.

- Tak.

Szli w milczeniu. Gdy to się przedłużało, Kruk odezwał się:

- Nie ucieszył się?

- To był marzec zeszłego roku. Trochę się wahałam. Zawsze był skryty, niewiele opowiadał o sobie, nie znałam jego znajomych, często nie wiedziałam, co naprawdę myśli. Myślałam, że to przez to, że nie był taki, jakim chciał być dla mnie. Dlatego się wahałam. Tamtego dnia wrócił z pracy uskrzydłony, miałam wrażenie, że wreszcie coś mu się powiodło, że zbiera się, żeby się czymś ze mną podzielić. Ja wiedziałam o ciąży od kilku dni, uznałam, że w takim razie powiem mu pierwsza. Tylko że Marcel się przeraził. Zaczął się trząść. Czasem, gdy się czymś bardzo denerwował, tracił nad sobą panowanie. Nie mógł usiedzieć w miejscu, zdarzało mu się wybiegać z domu i wracać po kilku godzinach...

- ...i po kilku piwach?

Skinęła głową.

- Wszyscy mamy swoje słabości - wyszeptała.

- Na czym właściwie polegała wspaniałość tego chłopaka?

Spojrzała mu w twarz.

- Na tym, że go kochałam i byłam pewna, że on kocha mnie.

Kruk pomyślał, że miłość jest ślepa. Że rodzi się w oczach patrzącego. Przyszło mu do głowy jeszcze kilka banałów, ale nie wypowiedział na głos żadnego.

- Tego dnia też wybiegł z domu?

- I nie wrócił na noc. Nie odbierał ode mnie telefonu. Wiedziałam, że poszedł się upić, to znaczy tak pomyślałam. Rano dostałam SMS-a, że przeprasza, ale się nie spodziewał, nie jest jeszcze gotowy, nie wróci, wyjeżdża, przeprasza... bardzo przeprasza...

Damaro zawróciła, a Kruk wraz z nią.

- Co pani zrobiła?

- Byłam zszokowana. Płakałam. Gdy się nie odezwał przez kilka dni i wciąż nie odbierał telefonu, zaczęłam go szukać. Okazało się,

że nie pojawił się w pracy. Jego szef był wściekły. Paru innych też ostatnio rzuciło robotę i jeszcze go zwyzywali, gdy do nich dzwonił. Mówił, że teraz ludzie tak robią, jak trafi się im coś lepszego. Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

- Pomyślała pani, żeby to gdzieś zgłosić?

- A gdzie należy zgłosić, gdy odchodzi facet? - spytała z wyzwaniem w głosie. - Strasznie to przeżywałam. Niekiedy byłam pewna, że nigdy by mnie nie zostawił, coś mu się stało i dlatego zniknął. Kiedy indziej mówiłam do siebie: głupia, dałaś się wykorzystać. Niańczyłaś chłopaka, który znudził się tobą, zrobił ci dziecko i uciekł. Miałam nadzieję, że wróci po rzeczy, ale było ich tak mało... Chyba po miesiącu na mój adres przyszło do niego pismo z banku.

Kruk stawał się coraz bardziej zainteresowany.

- Z jakiego banku?

- PBG. Przeczytałam je. Marcel mnie okłamał. Dostał kredyt, ale nie przeznaczył go na remont mieszkania. Całą kwotę wyciągnął z bankomatów w Wielkiej Brytanii, ogołocił konto do zera. Bank nie miał z czego pobrać odsetek. - Jej twarz zmieniła się w maskę, gdy o tym mówiła. - Po trzech miesiącach nie wytrzymałam i poszłam na grupę wsparcia. Po jakimś czasie do tej grupy dołączył Leon. Strasznie długo nam zajęło, aby się zaprzyjaźnić. Zdążyłam urodzić dziecko. - Uśmiechnęła się przez łzy, które spłynęły jej po policzkach. Starła je wierzchem dłoni. - Zadowolony pan? - rzuciła zaczepnie.

- Owszem. Zwłaszcza tą opowieścią o długim dojrzewaniu uczucia między panią a Leonem. To w ogóle chyba nieśmiały facet.

- Znowu nie rozumiem. - Zatrzymała się, lekko wydeła usta. - O co panu chodzi?

- Skoro tak długo zabieraliście się do rzeczy, kiedy dała mu pani swoje zdjęcie?

- Jakieś dwa miesiące temu. Czemu pan pyta?

Kruk zaczął liczyć w pamięci. Liczenie było łatwe i coś mu tam wyszło, ale i tak przeliczył wszystko ponownie.

- To niezwykle zdjęcie, prawda? - powiedział.

Przechyliła głowę jak mały ptak i po raz pierwszy spojrzała na niego ze śladem rozbawienia.

- Całkiem zwykle - odparła, ale jej głos stał się odrobinę swobodniejszy.

- Wcale nie. Chciałbym to usłyszeć z pani ust... zrozumieć lepiej, na czym polega jego niezwykłość. Niby potrafię to odczuć, ale sam nie ubiorę tego w słowa.

Patrzył na nią, on, uroczy policjant, którym próbował się stać, aby nie dostrzegła pająka zastawiającego pułapkę, którym był naprawdę.

- Sama nie wiem.

- Na pewno pani wie.

- Pan też uważa, że jest niezwykle? - W jej głosie wciąż jeszcze kryła się niepewność.

- Jest.

Wreszcie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Roześmiała się dźwięcznie wbrew wszystkim ponurym myślom, które nią targały. Jak młoda, spragniona komplementów kobieta, którą przecież była.

- Zrobiła mi je któregoś razu koleżanka i przesłała mejlem. Umieściłam je w komputerze między innymi zdjęciami. Marcel, gdy je kiedyś zobaczył, poprosił, żeby je wydrukować i żeby mógł je nosić przy sercu. - Pokręciła głową. - Leon tak samo, gdy tylko zobaczył je w albumie. Tak mu się spodobało, że od razu przesłał je do fotokiosku i zrobił papierową odbitkę. Nie wyjmuję tego zdjęcia z portfela. I teraz pan, trzeci mężczyzna, który zwraca uwagę na tę samą fotografię... - Umilkła, bo spojrzała na twarz Kruka. - Coś się stało? - spytała.

Kruk uniósł głowę i spojrzał w słońce, które częściowo kryło się za blokami i powoli traciło moc. Tym razem nie zmrużył oczu i poczuł bolesne rozbłyski na siatkówce.

Pomyślał, że Basia Malewska nie zrobiła fotografii zdjęcia, które Leon nosił obecnie w portfelu. Sfotografowana przez nią odbitka była inaczej zniszczona. To były takie same zdjęcia, ale nie te same. W czerwcu 2015 roku, kiedy do portfela Leona dobrała się Basia, Leon nie miał prawa posiadać zdjęcia Natalii Damaro.

Zwrócił na nią wzrok, ale wcale jej nie widział.

- Niech pani zapomni o Leonie.

Odwrócił się, zostawiając ją zadziwioną, kurczowo ściskającą rączkę wózka.

Dowlóknął się do samochodu, wsiadł do środka i czekał, aż całkiem wróci mu wzrok.

Wybrał kontakt i połączył się z Marcinem Zychem, naczelnikiem wydziału. Nie myślał teraz o nim jako o koledze, ale właśnie jako o przełożonym, który jest w stanie zorganizować konieczne działania.

- Wracamy do Krypty - powiedział Kruk. - Postaw na nogi wszystkie ekipy.

- Co się stało?

- Chcę psa do znajdowania zwłok, georadar, szamana, jasnowidza z Człuchowa, wszystko, co dasz radę ściągnąć. Przeoczyliśmy jeszcze jednego trupa.

Odnalezienie i wydobywanie zwłok zajęło policji i straży prawie dwadzieścia godzin. Z wnęki za toaletą już wcześniej, zaraz po znalezieniu włók Kamili Zdrojewskiej-Stompur, usunięto stalowe szafy i azbestowy złom.

Teraz zwrócono uwagę na fakt, który może powinien być zwrócić uwagę policji wcześniej. A może wcale nie powinien.

Posadzka w zamurowanej wnęcie była podniesiona.

Zwłoki znaleziono w podłodze. Aby je wydobyć z betonu, trzeba było ściągnąć specjalistyczny sprzęt, a strażacy klęli podczas pracy, bo tłoczyli się w ciasnej przestrzeni.

Przez Kryptę znowu przewijali się ludzie w mundurach różnych służb i tacy po cywilnemu. Jedni twarze mieli poważne, inni myślami byli poza tym miejscem, śmiali się i żartowali, rozmawiając przez telefony. Śmierć i życie mieszały się ze sobą, jak zwykle. A diabły w Krypcie wyglądały ze ścian, podziwiając swoje dzieło.

Późnym popołudniem wyciągnięto wreszcie zwłoki mężczyzny. Wraz z dyżurnym prokuratorem przyjechał Marcin Zych. Był w kiepskim humorze.

- To Marcel Dalman? - spytał, patrząc na szczątki w plastikowym worku.

Kruk był tu przez większość tego całego czasu. Skinął głową.

- Ona myślała, że ją rzucił i wyjechał na Wyspy.

- Nie wyjechał?

Kruk popatrzył na worek.

- Nigdzie już nie wyjedzie. To jego historię opowiada ten malunek.

Marcin spojrzał na ściany: diabły pochylone nad zakrwawionym

człowiekiem.

- Mówiłeś, że historię Malewskiego.

- Już tak nie mówię.

Marcin westchnął.

- Co to za miejsce? Chcesz stąd wydobyć jeszcze jakieś zwłoki?

- Mam nadzieję, że nie.

- Kogo zwijamy?

- Antoniego Łozowskiego. I Leona Stompura, jak go w końcu znajdziemy. I Justynę Niemicką, ale po nią sam pojedę. Zanim ją wsadzimy na lata, chcę z nią pogadać.

Niedaleko zrobiło się poruszenie. Dwóch mundurowych szarpało się z jakimś mężczyzną po cywilnemu. Naczelnik podszedł tam, chwilę rozmawiał. Mundurowi wyprowadzili faceta z budynku.

- Pismak się wśliznął - mruknął Zych.

- Świetnie. Miasto będzie huczeć.

Kruk wyszedł za mundurowymi, którzy wyprowadzili dziennikarza poza teren otoczony taśmami. Dziennikarz coś do nich wykrzykiwał i Kruk uważał, że za bardzo się z facetem cackali. Miał ochotę kazać im wsadzić go do suki.

Dopiero by było.

W gęstniejącym tłumie gapiów Kruk dostrzegł znajomą twarz.

Był zmęczony. Dopiero po chwili rozpoznał tę twarz.

Należała do Dariusza Koniecznego i szybko zniknęła.

71

Zadzwoił zrozpaczony i błagał, żeby przysła.

Natalia Damaro zrozumiała, że jest w strasznym stanie. Nie chodziło tylko o to, co mówił i jak mówił o strasznej śmierci matki, ale o sam fakt, że w ogóle zadzwonił i od razu powiedział, gdzie się ukrywa. Policja go szukała, mogli założyć podsłuch na jej telefonie, mogli też obserwować jej mieszkanie i pójść za nią, gdy wyjdzie z domu.

On o tym nie myślał. Wytrzymał niemal dwa dni, dłużej nie potrafił. Chciał tylko ją zobaczyć.

On nie myślał, więc ona musiała pomyśleć za niego.

Nim niańka zdążyła zdjąć buty, Natalia już zbiegała po schodach.

Godzinę kluczyła po mieście. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy, aby zgubić kogoś, kto mógłby ją śledzić, i to musiało jej wystarczyć. Jeśli ktoś z policji za nią szedł i do tej pory go nie zgubiła, prawdopodobnie nigdy jej się to nie uda.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby nie odpowiedzieć na błaganie Leona i nie przyjechać.

Do tej pory to ona potrzebowała jego. Teraz on potrzebował jej. Zrobi wszystko, żeby mu pomóc, nawet jeśli oznaczać to będzie okłamywanie policji i złamanie prawa.

Stała pod drzwiami domu, kiedy zapadał już wieczór. Nie zdążyła zapukać, gdy drzwi się uchyliły tylko na taką szerokość, aby zdołała się wśliznąć. Natalia przemknęła obok milczącej postaci przy drzwiach i skierowała się do piwnicy. Pokonała kilka schodów w dół i znalazła się w objęciach Leona.

- To nie ja - szeptał, przytulając ją do siebie, a ona wyczuła, jak

drży. - Nie wiedziałem, że mama tam jest. Nie zrobiłem tego.

Przez kilka pierwszych minut chciał tylko przytulać się do niej. Jak wystraszone dziecko, przemknęło jej przez głowę. Jak dziecko, które zrobiło coś złego i bardzo boi się konsekwencji. Poczwała się winna, że tak myśli.

- Wiem, że to nie ty - powiedziała.

Wreszcie zdołała go od siebie odkleić. Czuła, że to ona musi zapanować nad sytuacją. Leon wydał jej się złamany i bezbronny.

Usiedli na łóżku wepchniętym między ścianę a kilka starych mebli nadających się wyłącznie do wyrzucenia. Na posadzce walało się trochę gruzu.

Nie chciał puścić jej ręki.

- Wiem, jaki jesteś naprawdę... że kochałeś mamę.

- Nic o mnie nie wiesz. Ona mnie nie kochała, może ja też nie kochałem jej.

- Nieprawda.

- Oni myślą, że ja to zrobiłem. Że ją tam zamknąłem, aby umierała.

- Cicho. - Położyła mu dłoń na ustach. - Nikt tak nie pomyśli. Ten policjant, z którym rozmawiałam, bywa nieprzyjemny, ale jest inteligentny.

- Aresztował mojego starego. Szukają mnie.

- Muszą z tobą porozmawiać. Powinieneś się zgłosić, nie możesz się ukrywać.

- Obwinia mnie za jej śmierć.

- Nikt cię o nic nie obwini. Chodź tu bliżej.

Przyciągnęła go do siebie, do piersi, aby znalazł tam ukojenie. Zaczął dygotać, a ona go przytulała, jakby był dzieckiem. Robiła to, czego nigdy nie robiła jego matka.

- Nie zasługuję na ciebie - szepnął.

- Nie mów takich rzeczy. Bardzo wiele ci zawdzięczam, tylko

dzięki tobie przetrwałam.

Było jej niewygodnie i skłoniła go, by położył głowę na jej kolanach. Pogłaskała go po włosach. Myślała o tym, jak mu pomóc. Przyjechała tu, była z nim, ale to wydawało się za mało. I nie rozwiązywało niczego.

Leon odetchnął głęboko i podniósł się. Przypadkowo musnął wierzchem dłoni jej pierś. Odruchowo się odsunęła, a on spojrzał na nią wzrokiem, w którym rozpacz mieszała się z bólem.

- Możesz im powiedzieć, gdzie jestem - rzekł, targnięty rozpaczą.
- Niech mnie zamkną, żebyś już nie musiała na mnie patrzeć.

Znowu poczuła się winna.

- Nie mów głupstw. Nigdy nikomu o tobie nie powiem, to miejsce jest nasze, nie wpuszczę tu obcych.

To miejsce... Wielka brudna piwnica, w której czuło się zapach stęchlizny.

I jakby chodziło o obcych.

Przez te wszystkie spędzone razem miesiące nie pozwoliła Leonowi zbliżyć się do siebie, a on to szanował. Ich intymne kontakty ograniczały się do pocałunków.

Stawiała zdecydowany opór, gdy próbował posunąć się dalej.

Do pewnego momentu wydawało się jej, że chodzi o Marcela. Że nie może poradzić sobie z jego odejściem i potrzebuje czasu. I zaczęła odczuwać gniew, bo ją zostawił, a ona wciąż pozostała mu wierna, więc niedawno, pewnego wieczoru, gdy trochę więcej wypła, pozwoliła Leonowi na więcej.

Ale gdy poczuła jego ręce na swoim ciele, jego usta na swoich sutkach, gdy w końcu usiłował zdjąć jej majtki, zrozumiała, że wcale nie chodziło o Marcela. Gdyby był z nią inny mężczyzna, już dawno by mu się oddała. Nie chciała kochać się z Leonem i nie miała pojęcia, dlaczego tak jest. Owszem, lubiła się z nim spotykać i rozmawiać, a także przyjmowała jego pomoc, a jednak nie czuła się

z nim bezpiecznie. Nie pragnęła go. Przeciwnie. Nie mogła znieść, gdy jej dotykał.

Tamtej nocy wybuchnęła płaczem, kiedy był gotowy w nią wejść, i szlochała długo potem, gdy już się wycofał. Okłamała go, że to ze względu na jej dawny związek i całą sytuację, ale od tamtej pory czuła się przybita.

Nie rozumiała swoich odczuć. Leon był przystojnym, mocno zbudowanym mężczyzną, i powinna go pragnąć.

Zamiast tego odstręczał ją.

Tak, czuła się bardzo winna.

A już szczególnie teraz czuła się winna, gdy on był w tak trudnej sytuacji, a ona znowu zareagowała odrzuceniem nawet na przypadkowy dotyk.

Tknięta impulsem, podjęła decyzję. Rozpięła bluzkę, zsunęła stanik i sięgnęła po jego dłoń. Przedramię miał poranione, tak jak serce. Położyła ją na swojej odsłoniętej piersi.

Myślała, że będzie delikatny, tak jak zawsze był, i że jeśli to stanie się nie do zniesienia, może znowu się wycofa. Ale on nie był delikatny.

Może przeczuwał, że tak to się może skończyć, bo potraktował jej gest jak pełną zgodę. Pchnął ją na łóżko, zaczął gwałtownie całować, ścisnął jej piersi tak mocno, że chciała prosić, żeby był uważniejszy, ale zamykał jej usta swoimi i nie mogła powiedzieć nic.

Podciągnął jej sukienkę, majtki zdarł jednym ruchem i znowu coś w niej zbudziło się, żeby zaprotestować, ale on już wchodził w nią z impetem i wściekłością, której u niego nie znała.

Nie była całkiem sucha, jego gwałtowność sprawiła, że automatycznie mu się poddała, ale i tak czuła ból przy każdym pchnięciu. Zamknęła oczy, żeby to wytrzymać.

Nie chcę tego! – krzyczała w głowie, przecież ja tego nie chcę! Ale on leżał na niej i wiedziała, że jest za późno, żeby go zatrzymać.

Skończył w niej, a potem nie śpieszył się, żeby z niej wyjść. Nagle dotarła do niej myśl, że jeśli zajdzie z nim w ciążę, to oszaleje.

Gdy położył się obok, odwróciła się do niego plecami. Nie mogła powstrzymać łez.

W drzwiach dostrzegła postać, która zamierzała wejść do pomieszczenia, ale ostatecznie nie przekroczyła progu i bezszelestnie się wycofała.

Gdzieś w oddali zawyły syreny. Na początku żadne z nich nie zwróciło na nie uwagi, ale wycie zaczęło narastać, a źródło dźwięku przybliżać. Leon zerwał się z łóżka i podbiegł do piwnicznego okienka. Zza brudnej firanki spojrział na ulicę, na której w tej samej chwili pojawił się policyjny radiowóz, a dźwięk syreny całkiem wypełnił pomieszczenie.

Natalia Damaro wróciła do mieszkania, gdy czerwcową noc zaczynała się już przejaśniać. Czowała się przybita. Żałowała tego, co się stało. Tego, na co pozwoliła Leonowi. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest brudna, i marzyła o chwili, kiedy wejdzie pod prysznic.

No i ten radiowóz, który przejeżdżał w pobliżu kryjówki Leona. Chyba dopiero słysząc dźwięk policyjnych syren i widząc jego przerażenie, do Natalii dotarła powaga sytuacji.

Matka Leona została zamordowana w makabryczny sposób. Leona w związku z tym szukała policja, a on nie wiadomo dlaczego się ukrywał. A co zrobiła Natalia? Poszła do niego, aby go pocieszyć, i przespała się z nim, nie mając na to najmniejszej ochoty.

Była zła na siebie i co chwilę chciało jej się płakać. Wracały do niej wspomnienia seksu. W mieszkaniu zsunęła buty, rzuciła na szafkę torebkę i stała w ciemnym korytarzu bez ruchu. Zaspana niania pojawiła się na progu pokoju dziecka. Wymieniły kilka słów. Niania cofnęła się w głąb mieszkania, zabrała swoje rzeczy i wyszła mimo propozycji Natalii, żeby została na całą noc.

Natalia Damaro czuła, że obecność tej otyłej dorosłej kobiety dobrze by jej dzisiaj zrobiła, ale przecież nie mogła zatrzymać jej siłą.

Zajrzała do Arturka. Oddychał spokojnie i równo. Natalia zostawiła go i pomknęła do łazienki, gdzie przez piętnaście minut stała w strumieniu gorącej wody, szorując się tak dokładnie, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Wyszła z łazienki w szlafroku, wciąż wyciskając mokre włosy.

Poszła do sypialni i zabrała z łóżka piżamę. Wróciła do łazienki, gdzie spędziła kolejne dwadzieścia minut, balsamując się, czesząc i susząc włosy, przyglądając się sobie w lustrze. Czuła ciężar, który osiadł jej na ramionach, i taka się sobie wydała, gdy przyglądała się sobie w lustrze: uginająca się pod niewidocznym ciężarem.

Walczyły w niej sprzeczne uczucia. Niechęć do Leona zrodzona z tego, co się stało, oraz poczucie winy i litość dla niego.

Myśląc o tym wszystkim, udała się do pokoju gościnnego, aby zgasić lampkę. Jeszcze nim tam weszła, uświadomiła sobie, że przecież lampka była zgaszona, gdy szła pod prysznic.

Nic więcej nie zdążyła pomyśleć, bo weszła do pokoju.

W fotelu siedział mężczyzna.

Krzyknęła. Był to cichy krzyk, bo odruchowo zakryła usta dłonią, jakby się bojąc, że hałas sprawi, że intruz uczyni jej coś złego.

- Nie zrobię pani krzywdy - rzekł mężczyzna spokojnie. - I oczekuję tego samego od pani.

Opanowała się. Nie dlatego, że ją uspokoił, ale w pokoju obok spało jej dziecko. Poczowała gwałtowny ucisk w sercu i zabrakło jej tchu.

- Nie wchodziłem do pokoju pani synka - powiedział. Doskonale zdawał sobie sprawę, o czym pomyślała. - Ale może pani do niego zajrzy, żeby się upewnić?

Zajrzała. Poczowała ulgę, widząc, że śpi i wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zaglądała tu przed kąpielą. Przez głowę przemknęła jej myśl, czy nie chwycić małego i nie wybiec na klatkę schodową z krzykiem. Porzuciła ten zamysł. Wracając do dużego pokoju, zabrała z szafki swoją komórkę i ukryła ją w kieszeni szlafroka.

Mężczyzna siedział tam, gdzie go zostawiła.

- Śpi? - spytał.

Skinęła głową.

- Proszę się mnie nie bać, przychodzę jako przyjaciel.
- Kim pan jest?
- Nazywam się Dariusz Konieczny. Pani chłopak, Leon, przyszedł kiedyś bez zaproszenia do mojego domu...

- A teraz pan wchodzi do mojego.
- Skorzystałem z tego, że nie zamknęła pani drzwi na klucz po wyjściu kobiety do dziecka. Przepraszam, ale nie chciałem rozmawiać na klatce. Potrzebuję informacji, gdzie jest Leon Stompur.

Może powinna się go bać, ale zrozumiała, że wcale się nie boi. Zamiast strachu poczuła złość.

- Tak samo jak policjanci.
- Na pewno jeszcze będą panią o niego pytać.

Wzmianka o przybyciu policji dodała jej odwagi. Wyjęła z kieszeni szlafroka telefon.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Gdzie pani chce dzwonić, do komisarza Kruka z komendy wojewódzkiej? - Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na swoją komórkę. - Niech mu pani nie przeszkadza, jest zajęty. Chce pani wiedzieć, czym jest zajęty?

Skinęła głową z obojętnością, którą naprawdę poczuła.

- Znaleźli kolejne zwłoki w pewnym lokalu w stoczni, w Krypcie.

Uniosła wzrok.

- Wydobyli je z betonu w podłodze. Okropna robota, ciało jest w strasznym stanie. Podobno tkwiło tam ponad rok.

Chciała o coś zapytać, ale z jakiegoś powodu nie mogła wykrztusić słowa.

- To młody mężczyzna. Wie pani, trochę chodzimy za naszym dzielnym komisarzem, a on zwołał swoją armię i wysłał ją do Krypty bezpośrednio po spacerze z panią.

Natalia Damaro nie miała pojęcia, o czym mówi Dariusz

Konieczny, ale i tak w ustach jej zaschło, a oddech przyspieszył. Jakby ona nie chciała wiedzieć, ale jej ciało już reagowało.

W spojrzeniu siedzącego w fotelu człowieka kryła się gorycz. Zupełnie bez powodu pomyślała o tym, że ten fotel należał do jej babci.

- Znała pani jakiegoś młodego mężczyznę, który nagle zniknął, a jego miejsce zajął Leon Stompur?

Roześmiała się histerycznie, bo co ten człowiek wygadywał. Zaczęła się trząść, palił ją każdy fragment skóry, którego dotykał Leon, i poczuła nieodpartą potrzebę powrotu pod prysznic, aby znowu się wykąpać, splukać z siebie ten dotyk, bo nie zrobiła tego dostatecznie dokładnie.

- Muszę znaleźć Leona. Kruk uważa, że wydobyty z betonu mężczyzna nazywał się Marcel Dalman.

- Nie wierzę panu - wyszeptała.

- To już powinno być w internecie. Na miejscu są dziennikarze, a przynajmniej był ktoś z „Dziennika”. Niech pani wejdzie na ich stronę.

Odblokowała ekran komórki. Posłusznie otworzyła przeglądarkę internetową i wprowadziła adres. Miała szybkie połączenie i nagłówek niemal uderzył ją w oczy. Nie potrafiła utrzymać telefonu, który wypadł jej z rąk. Zebrało ją na mdłości.

- Leon Stompur i jego koledzy to mordercy. - Dariusz Konieczny nachylił się w fotelu. - Zabili pani chłopaka, zabili matkę Stompura, omal nie zabili mnie, za to zabili moją siostrzenicę. Podrapała go, myślę o tym, jak walczyła o życie. - Głos mu się załamał. - Po śmierci odcięli jej dłoń jak złodziejowi, bo ośmieliła się spojrzeć na pani zdjęcie i zabrała ich samochód. To zwyrodnialcy, a pani się z nimi zadaje.

Natalia Damaro nie czuła swego ciała. Było to interesujące doznanie, dużo przyjemniejsze od obrzydzenia, jakie czuła jeszcze

przed chwilą. Nie czuć nic... Doskonale rozwiązanie problemu, kiedy nie można wytrzymać nic więcej. Zakręciło jej się w głowie. Głęboko westchnęła, osuwając się w nicość, ale nicość nie nadeszła. Poczwała na plecach i pod kolanami mocne ręce, te ręce ostrożnie położyły ją na kanapie.

Usłyszała nad sobą głos, ale nie widziała, kto mówi:

- Gdzie jest Leon?

To nasze miejsce, pomyślała. Nigdy o nim nie powiem.

Głos nie ustępował:

- Gdzie jest Leon?

Kruk kilka minut stał pod drzwiami, ale nikt nie otworzył. Wyszedł z bloku i odetchnął powietrzem poranka. Było po szóstej. Przyszedł tak wcześnie, żeby porozmawiać z Damaro, zanim wyjdzie do pracy, a nie wiedział, gdzie pracowała.

Miał nadzieję, że będzie z nim szczerza. Powie mu, co chce wiedzieć. Ale wcześniej on będzie musiał coś jej powiedzieć. Czuł znużenie. Nie chciał jej mówić. Może powinien przysłać kogoś innego, kto załatwi to za niego.

Tylko gdzie ona była?

Miała małe dziecko i pracę, jest środek tygodnia. Dlaczego jej nie było? Dlaczego nie odpowiadała na pukanie?

Wrócił na klatkę schodową i znowu stanął pod drzwiami mieszkania. Załomotał w nie, tym razem pięścią. Nacisnął przycisk dzwonek i nie puszczał. Dzwonek był wyjątkowo głośny i to się Krukowi podobało.

Uchyliły się drzwi mieszkania sąsiadów, a w szczelinie za sztywnym łańcuchem ukazała się spłoszona twarz.

- Policja. - Kruk machnął legitymacją. - Proszę wracać do domu.

Skrzydło zamknęło się bezszelestnie i spłoszona twarz zniknęła.

Kruk przestał dobijać się do drzwi Damaro i stał nieruchomo, czekając na efekt. Nie było żadnego efektu. To go poważnie zaniepokoiło. Trzeba wywalić te drzwi z futryn, pomyślał. Może dawno trzeba było to zrobić. Trzeba było postawić przed blokiem obserwatora. Dziewczyna była kluczem do Leona Stompura, a Kruk przecież o tym wiedział.

Coś usłyszał. Gdzieś w głębi mieszkania - dźwięk był przytłumiony

- dziecko zaczęło płakać.

Kruk ponownie załomotał, nacisnął dzwonek i robił to, aż drzwi się otworzyły. Damaro stanęła na progu, wzrok miała nieprzytomny, policzki żłobione łzami, które wyschły.

Płacz dziecka się nasilił i nie był już tak przytłumiony.

- Czemu pani nie otwiera? - powiedział Kruk i wpackował się do mieszkania, spychając ją na bok.

Spojrzała na niego z gniewem, ale niemal od razu straciła zainteresowanie. Zniknęła w dziecięcym pokoju. Kruk poszedł za nią.

Pokój był skromny, kiedyś musiał należeć do starszej osoby. Pochylała się odwrócona do Kruka plecami, podnosząc z łóżeczka malucha. Zaczęła go uspokajać, ale nie uspokoila nawet siebie. Ramiona zaczęły jej drżeć. Usłyszał, że płacze.

- Pani wie - nagle dotarło do niego.

- Przeczytałam w internecie.

Pieprzeni dziennikarze i nowoczesne technologie. Przez chwilę Kruk myślał tylko o tym, co należałoby z nimi zrobić. Ale poczuł ulgę, że nie będzie musiał sam przekazywać jej wiadomości.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Leon.

Udało jej się opanować. Całkiem skupiła się na dziecku. Powoli jego płacz też cichł. Wreszcie ucichł zupełnie, a ona kryła malucha w ramionach.

- Gdzie on jest?

Pokręciła głową. Wciąż stała odwrócona plecami i nie mógł zobaczyć jej twarzy. Może wcale nie chciał jej teraz oglądać.

- Powinna mi pani powiedzieć.

- Pan sądzi, że wiem?

- Nie rozumiem, dlaczego go pani kryje.

Była taka młoda, bezradna, z chłopcem na ręku w tym brzydkim pokoju. Zrobiło mu się jej żal.

- Muszę znaleźć Leona także dla jego dobra. Zanim znowu zrobi coś złego. Albo zanim zaczną go szukać paskudni ludzie.

- Nie są paskudni.

Kruk poczuł uderzenie adrenaliny.

- Skąd pani wie?

Cisza. Przytuliła się do dzieciaka, szukając w nim ochrony. Upłynie dużo czasu, zanim ten mały stanie się dorosły i zyska siłę, by ją chronić, ale już teraz robił, co mógł.

- Byli tu?

- Nikogo nie było.

- Kogo nie było? Kogo w szczególności?

- Nikogo.

- Niech się pani do mnie odwróci. Niech pani na mnie spojrzy.

Zrobiła, co jej kazał. W jej oczach przeczytał wyzwanie.

- Co im pani powiedziała?

Milczała. Kołysała się w przód i w tył, niemal przykrywając dziecko rękami, jakby Kruk miał zamiar je zabrać.

- Kto tu był? Dariusz Konieczny? On wie, gdzie jest Leon?

Zakołysała się mocniej. Patrzyła gdzieś w głąb siebie, a jej głos się zmienił, gdy powiedziała:

- Tamta dziewczyna podrapała Leona.

Kruk wręcz fizycznie poczuł upływ czasu. Nie powinien tu stać beczynnym. Powinien biec, dzwonić, robić coś, co zapobiegnie tragedii.

A ta kobieta, która przed nim stała, pijana rozpaczą, stanowiła przeszkodę.

- Konieczny zabije Leona - warknął Kruk. - Będzie miała go pani na sumieniu.

- A kim jest ten Leon? - Nie wytrzymała. - Zabił własną matkę. Zabił swoją dziewczynę. Zabił wrażliwego chłopaka, wdeptał go w podłogę, pieprzył mnie, choć wcale tego nie chciałam...

Wzdrygnęła się i Kruk miał przez moment wrażenie, że dziewczyna zwymiotuje.

- Niech pani nie gada bzdur. Leon nie zabił matki.

- Kłamie pan!

- Leon nie zabił matki - rzekł Kruk powoli, spokojnie, i we wzroku Damaro przeczytał zaskoczenie, bo dotarło do niej, że on rzeczywiście tak uważa. - Nie wiemy, co się naprawdę stało, i nie wie tego Dariusz Konieczny. Rozumie pani? On nic nie wie, także o śmierci swojej siostrzenicy. Ale może narobić strasznych rzeczy, gdyż sądzi, że wie.

W jej oczach błysnęło, twarz wykrzywiła się w grymasie strachu. Coś się w niej przebudziło.

Ale jeszcze spróbowała:

- Zabił Marcela...

- Może. A może nie. Nie wiem. - Tym razem miał poczucie, że kłamie, starając się, aby nie było tego po nim widać. Tak to już jest w życiu. Trzeba mówić prawdę i kłamać na zmianę. - Wciąż za mało wiem, rozumie pani? Gdzie jest Leon? Powiedziała pani Koniecznemu, gdzie on jest?

Odłożyła małego do łóżka. Dziecko zapłakało, ale było zbyt zmęczone i uznało, że nie warto. Natalia Damaro wyminęła Kruka i poszła do równie skromnego pokoju gościnnego. Kruk ruszył za nią.

Wyjęła z torebki paczkę papierosów, ale straciła ochotę na palenie i rzuciła ją na stół.

- Byłam w szoku, gdy się dowiedziałam.

- Wiem. Przyszedł, żeby panią zszokować i to wykorzystać.

- Chyba mu powiedziałam.

- Chyba?

- Nie wiem. Nie jestem pewna.

- Gdzie jest Leon? - powtórzył Kruk. - Nie mamy czasu. Gdzie on

jest?

Ale ona i tak długo patrzyła mu w oczy. Jakby zaakceptowała, że musi powiedzieć, ale starała się jak najbardziej odwlec tę chwilę.

Jakby Kruk przekonał jej umysł, ale w głębi serca pragnęła, aby Dariusz Konieczny dostał więcej czasu.

- Musimy wreszcie pogadać.

Leon poderwał się z łóżka i stanął przed nimi tylko w koszulce i bokserkach, jeszcze nieprzytomny od snu. Zobaczył Grzegorza Koniecznego, jego twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości, i sięgnął po butelkę z wódką stojącą na szafce nocnej.

To dlatego tak tu cuchnie gorzałą, pomyślał Grzegorz. Brzęk tłuczonego szkła odbił się echem od ścian piwnicy. Leon nie trzymał już w dłoni butelki, ale całkiem zgrabnego tulipana. Wyglądało na to, że lada moment rzuci się na człowieka, który go obudził.

Zza pleców Grzegorza wysunął się Dariusz Konieczny, celując do Stompura z pistoletu.

- Najpierw strzelę ci w kolano - rzekł cicho. - Podobno ból jest niewyobrażalny.

To Leona wstrzymało. Dariusz lufą glocka wskazał rozbitą butelkę w jego dłoni. Chwilę trwało, zanim Leon posłuchał i odrzucił szkło.

- No i co teraz? - warknął. Ręce opadły mu wzdłuż tułowia.

Obaj z bratem patrzyli na jego prawą rękę z trzema wyraźnymi krwawymi śladami.

- Ty mówisz, my słuchamy - odparł Dariusz.

- Co mówię?

- O tym, jak zabijałeś.

Leon Stompur roześmiał się głośno. Grzegorz Konieczny przyjrzał mu się bliżej i zrozumiał, że chłopak musiał wypić sporo wódki z tej butelki, może całą.

- Wy dalej, popierdoleńcy, myślicie, że zrobiłem coś waszej Baśce? Nic mnie nie obchodziła. Nie tknąłem jej.

- Kto ją tknął?
- Skąd mam, kurwa, wiedzieć?
- Twój koleżka przyznał, że to byłeś ty, a on ci tylko pomagał.
- Kłamał ze strachu. Nie na temat.
- Ukradła wam samochód, zdjęcie, dawno chciałeś to zrobić. Wtedy się nie udało, zrobiłeś to później, zabiłeś ją i obciąłeś jej dłoń. Ale ona cię naznaczyła.

- Odpierdoliło ci? Słyszysz siebie, co pierdolisz? Wkurwiła nas i poszliśmy ją nastraszyć. Tylko nastraszyć, rozumiesz?

- Z pałkami i w kominiarkach na młodą dziewczynę...
- No i chuj, gdybyś się nie napatoczył, nic by się nie stało. Myślisz, że czekałem całe miesiące i nagle poszedłem ją zabić?

- Może się dowiedziała, co zrobiłeś matce.

Stompur pochylił się. Zazgrzytał zębami.

- Nic nie zrobiłem mamie, ty skurwysynu jebany.
- Po co tu siedzisz i kryjesz się przed policją? Co na to twoja nowa dziewczyna? Ta Natalia ze zdjęcia?

Na dźwięk jej imienia bolesny skurcz wykrzywił twarz Leona. Szarpnął się, popatrzył z nienawiścią.

- Nie mogę iść do więzienia. Natalia mnie potrzebuje... Arturek jest mały, a ona... Ona zasługuje, żeby się nią opiekować, jest dobrą matką.

- Nie taką jak twoja? Ją trzeba było ukarać?

- Nie zabiłem mamy! Natalia... co ona robi, jeśli przestanę się o nią troszczyć?

- To ładna, mądra, młoda kobieta - powiedział Dariusz Konieczny.
- Im szybciej znikniesz z jej życia, tym dla niej lepiej.

- Nieprawda.

Grzegorz dostrzegł w twarzy chłopaka jakąś zaskakującą bezradność.

- Nie martw się, nie pójdziesz do więzienia. My nie jesteśmy

z policji.

- Myślicie, że się was boję? Niby co mi zrobicie? Zastrzelisz mnie?
Grzegorz popatrzył na brata i zaniepokoił go wyraz jego twarzy.

- Jak myślisz - rzekł Dariusz - kto nam powiedział, gdzie jesteś?

Kto oprócz ciebie wiedział?

Oczy Leona stały się płaskie. Potrząsnął głową.

- Nie wiem, jak mnie znaleźliście.

- Ona nam powiedziała.

- Kto?

Dariusz pokiwał głową.

- Ona.

Leon roześmiał się. Nie wierzył.

Tym razem Dariusz mu zawtórował. Był to bezbarwny śmiech.

- Kruk wyciągnął zwłoki jej chłopaka z podłogi. Zabiłeś go, żeby ją mieć dla siebie. Zabiłeś własną matkę, bo jesteś pojebany. Zabiłeś Basię, bo się czegoś dowiedziała o którejś z tych spraw, może o obu.

- Głos Dariusza załamał się nagle. - Dlaczego musiałeś jeszcze ją okaleczyć?

Stompur zachwiał się, zbladł. Potrząsnął głową, jakby zaprzeczając.

- Nie - powiedział.

- Co, nie?

- Natalia się dowiedziała?

- Chyba już nie będzie cię lubić.

Stompur usiadł na łóżku. Pochylił się, zaplótł ręce, zaczął kiwać się w przód i w tył. Z jego zaciśniętych ust, ze ściśniętego gardła, wydobył się cichy pisk.

- Powiedz nam, co się wydarzyło - rzekł Dariusz. Wreszcie opuścił dłoń z pistoletem. - Chcemy tylko wiedzieć. Nic ci nie zrobimy, tylko pogadamy.

Głos Dariusza był spokojny, słowa powoli płynęły jedno za drugim,

ale Grzegorz znał go zbyt dobrze. Wychwycił ton, który go zmroził.

Popatrzył na brata. Dariusz był dużo młodszy, a już przeżył piekło. I teraz był na najlepszej drodze, aby do piekła wrócić. Grzegorz uważał, że brat na to nie zasługuje.

Stompur przestał się kiwać, uniósł twarz, która straciła wszelki wyraz.

- Obiecujecie pan?

- Chcemy tylko wiedzieć.

Stompur odwrócił wzrok, skierował go w stronę piwnicznego okienka.

- Zabiłem ją - powiedział. - Basię. Zabiłem mamę. Zabiłem tamtego gościa. Zabiłem ich wszystkich.

Podniósł się z łóżka. Wyprostował. Roześmiał.

- A wy i tak mi nic nie zrobicie, pedały.

SPAP mógł przybyć na miejsce za dwadzieścia minut.

- Za późno - powiedział Kruk do aparatu. Wolałby mieć wsparcie antyterrorystów, ale trudno. Komórkę trzymał w prawej dłoni, lewa zaciśnięta była na kierownicy samochodu, który był syreną jak potępiony i spychał na boki inne samochody. Zaczynał się poranny korek. - Sami wejdziemy. Maszyński już jest.

- Uważajcie na siebie - odparł Marcin. - Wysyłam patrole.

Skręcając z Wileńskiej, Kruk wyłączył syrenę.

Na miejscu zobaczył zaledwie jeden radiowóz parkujący w miejscu, którego nie można było dojrzeć z okien domu Justyny Niemickiej.

Radek, w otoczeniu dwóch mundurowych, czekał i gapił się na dom, żując gumę.

- Ja i ty wchodzimy - powiedział Kruk.

- A wsparcie?

- Nie ma czasu. - Kruk zwrócił się do funkcjonariuszy: - Jeden do głównego wejścia, drugi na tył domu.

Był zły. Wściekły na siebie. Niemicka wiedziała, czyje ciało znaleziono w Krypcie, a on nie poszedł tym śladem. Media nie podawały tożsamości. Gdy rozmawiał z nią w jej pomazanym salonie, Leon Stompur musiał siedzieć już u niej w piwnicy. Człowiek, który osobiście zamurował zwłoki matki w Krypcie.

Może tej całej akcji dałoby się uniknąć, gdyby Kruk okazał się bystrzejszy.

Maszyński zatrzymał jednego z mundurowych i wymienił z nim kilka słów. Funkcjonariusz wyjął z kabury służbowy pistolet i podał

go Krukowi.

- Po co mi to?

- Pan aspirant powiedział, że zostawił pan swój w firmie, a przecież wchodzić.

Kruk zawahał się. Poczł gwałtowny opór przed dotknięciem broni. Chciał odmówić, ale napotkał wzrok Radka.

Wziął pistolet. Sprawdził magazynek.

Kątem oka dostrzegł, że Radek już na niego nie patrzy.

Kruk miał mocne powody, aby trzymać się z daleka od broni. Radek należał do niewielkiej grupy osób, która te powody znała, ale chyba w tej chwili niewiele go to obchodziło.

Ulica żyła. Mijały ich samochody, którymi ludzie jechali do pracy. Przechodnie przystawali, żeby się poprzyglądać policji. Ich twarze tężały, gdy dostrzegali wyciągniętą broń.

Kruk patrzył w okna domu. Były ciemne, budynek sprawiał wrażenie, jakby jeszcze nie wybudził się ze snu.

Jedno z okien na parterze było częściowo otwarte, a szyba rozbita.

- Dlaczego? - spytał Dariusz Konieczny.

Grzegorz z niepokojem spoglądał na brata, którego głos brzmiał jak z innego wymiaru. Dariusz twarz miał sztywną jak maska, zastygłą w nienaturalnym grymasie, w czymś pomiędzy grozą a nienawiścią.

Leon przestał się śmiać. Twarz wydłużyła się, oczy zapadły. Znowu usiadł na łóżku, łokcie oparł na kolanach, zwiesił głowę.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? - szepnął Stompur.

Spojrzał na Grzegorza, na jego prawą dłoń pod opatrunkiem.

- Boli? Mam nadzieję, że boli, panie doktorze. Mam nadzieję, że z pańską parszywą ręką oprawcy koniec.

To zachowanie należało zignorować, ale Grzegorz czuł, że przychodzi mu to z trudem.

- Dlaczego? - po raz trzeci zapytał Dariusz.

- Bo nie pilnowała swojego nosa. Bałem się, że coś wie.

- O czym?

- O tym, co zrobiłem mamie. I o tym chłopaku Natalii, tym Marcelu. Pomyślałem, że ją zabiję i zamknę jej usta na zawsze.

Zapadła cisza. Twarz Dariusza zbieleła. Grzegorz dostrzegł, że ręka z pistoletem drgnęła, jakby miała się unieść, ale się nie uniosła.

- Zabiłeś własną matkę? - spytał Grzegorz.

- Nie obchodziłem mamy, miała mnie gdzieś. Chciałem ją ukarać. A ten facet był chłopakiem Natalii, stał mi na drodze. Zabijam wszystkich, którzy stają mi na drodze.

- Mnie nie zabiłeś, choć mogłeś - powiedział Dariusz Konieczny.

- Żałuję. Za to zabiłem Baśkę, a potem obciąłem jej rękę. Chciałem ją wziąć na pamiątkę, ale nie miałem gdzie trzymać.

Pistolet uniósł się lekko, niewiele, ale nie wrócił do punktu wyjścia.

- Zrobiłem to dla frajdy. Nigdy czegoś takiego nie robiłem. Jak już ją udusiłem, było mi mało i chciałem się zabawić. Nie było krwi, a ja lubię krew.

Leon wstał. Zrobił krok w ich stronę.

Grzegorz dostrzegł, że chłopak płacze.

- Gdybyście wiedzieli, jak bardzo chciała żyć ta wasza Basia. Jak piszczała, błagała, żeby jej nie zabijać. Aż mi się jej zrobiło żal, serce mi się kroilo. Razem z nią płakałem nad jej losem. - Na jego twarzy malowała się rozpacz. - No i co teraz zrobicie? Zabiłem ją. Przyszliście tu z tym żelastwem w łapach, i co? Zastrzelicie mnie, pedały? Zastrzelisz mnie, wujku Darusiu? Nie tak nazywała cię Baśka? Darusiu. Cholernie cię kochała. I co zrobisz, jak już wiesz?

Zrobił kolejny krok. Łzy spływały po poszarzałych policzkach. Dariusz uniósł pistolet i wycelował mu w głowę.

Leon zatrzymał się, na moment strach zwyciężył rozpacz, wzdrygnął się. A potem powoli, z wysiłkiem, ponownie się wyprostował.

Otarł łzy. Zaśmiał się histerycznie.

- Myślałem, że jesteś twardszy, ale za bardzo boisz się pierdła, co? Mógłbym ją pociąć na mniejsze kawałki, a ty i tak nie kiwnąłbyś palcem w bucie. Wujek Daruś to tchórz i ciota. Zostaw pistolet, cioty nie bawią się bronią.

Gdzieś zza drzwi dobiegł jakiś dźwięk. Grzegorz zaniepokoił się. Dźwięk się powtórzył.

Spojrzał na twarz Dariusza i zrozumiał, że nie ma czasu. W mgnieniu oka znalazł się między nim a Leonem.

- Wystarczy, Darek.

- Nie stawaj plecami do tego zasrańca.
- On ma rację. Nie możesz tego zrobić. Zamkną cię do końca życia. Przekażemy go policji, to jego niech zamkną.
- Basia nie żyje. Musi zapłacić.
- Mówiłeś, że więzienie to piekło. Wyślijmy go tam.
- Takie piekło to dla niego za płytko. Ześlijmy go głębiej.

Dariusz przesunął się, aby brat nie znajdował się na linii strzału, ale Grzegorz przesuwał się razem z nim.

- Daj spokój, koniec. Znaleźliśmy go, niech zajmie się nim policja.
- Nie mają przeciw niemu żadnych dowodów.
- Znajdą. Albo Kant im je da.

Grzegorz nie widział, gdzie jest Leon, jedynie słyszał go za plecami. A potem przyszło uderzenie w tył głowy. Zachwiał się, usiłował jeszcze przekazać bratu to, co najważniejsze, o tych dźwiękach, które słyszał przed chwilą, że w budynku nie są sami, ale już padał na podłogę. Zobaczył Leona, który z kawałkiem cegły w ręce przesuwa się w stronę Dariusza. Stompur nie śpieszył się, rysy miał wykrzywione w dziwnym grymasie, rozkładał ręce i rzucał obelgi. Półprzytomny Grzegorz próbował jeszcze chwycić go za nogi, ale nie dał rady.

Pistolet Dariusza skierował się w głowę Leona.

- Policja! - rozległ się ryk wysokiego mężczyzny, który jak spod ziemi wyrósł za plecami Dariusza. Lufa policyjnego pistoletu oparła się na jego czaszce. - Opuść broń. Powoli.

Dariusz posłuchał. Ręka z pistoletem opadła. Policjant, w którym Grzegorz rozpoznał komisarza Kruka, przemawiał do jego brata coraz bardziej uspokajającym głosem.

Za Krukiem pojawił się jeszcze wyższy mężczyzna, Maszyński, również uzbrojony, który przemknął jak cień obok Grzegorza i błyskawicznie rozbroił Leona, który nie stawiał oporu. Nagle się stał obojętny. Policjant rzucił go na podłogę i sprawnie skuł.

Kruk usiłował zrobić to samo z Dariuszem. Zabrał mu już broń i schował sobie za pasek, kolanem naciskał mu kręgosłup i wykręcał ręce na plecach, ale ten nagle przestał być posłuszny. Zaczął się szarpać, próbując nie dopuścić, by Kruk założył mu kajdanki. Komisarz usiłował wymusić posłuszeństwo krzykiem, a gdy to nie pomogło, kolbą pistoletu uderzył go w głowę. Opór Dariusza osłabł, ale nie całkowicie.

Grzegorz, zbierając się z podłogi, obserwował Kruka, który wyraźnie miał opory, aby uderzyć drugi raz.

- Przestań, Darek - powiedział Grzegorz. - Nie pogarszaj sprawy. Nie stawiaj oporu policji.

Niewiele to pomogło. Kruk na moment uniósł głowę, spojrzał na Grzegorza i warknął do Maszyńskiego:

- Tego też skuj.

Kruk patrzył w oczy Grzegorza Koniecznego. Nie podobało mu się, co tam widział.

- Skuj go - powtórzył, bo Maszyński nie wykonał polecenia.

- Nie mam drugich obrączek. A jego ręka...

- Kurwa - powiedział Kruk.

On też nie miał drugich kajdanek. Grzegorz pokręcił głową.

- Nie stawiam oporu. Będę wykonywał polecenia, tylko proszę nie robić krzywdy mojemu bratu.

Dariusz znowu się szarpnął. Kruk wciąż nie mógł go skuć. Miał ochotę przywalić mu jeszcze raz w łeb, ale nie chciał zrobić mu poważnej krzywdy.

Szybko ocenił sytuację. Maszyński miał Leona na podłodze, Grzegorz Konieczny, z jedną ręką w bandażach, usiłował ustać po uderzeniu, jakie otrzymał.

- Zabierz ich stąd obu i przyślij mi kogoś do pomocy - zdecydował Kruk. Znowu spojrział na Grzegorza. - Miej na oku pana doktora. Do suki z nim.

- Nie sprawię kłopotów - odezwał się Grzegorz Konieczny.

Maszyński dźwignął z podłogi Leona. Dał znak Grzegorzowi, żeby szedł pierwszy. Dariusz znowu się szarpnął i Kruk zajął się nim, zdecydowany, że jak facet się nie uspokoi, rozpieprzy mu ten uparty łeb.

- Zaczynasz mnie wkurwiać - warknął.

- Wszystko spierdoliłeś - powiedział Dariusz, zaciskając zęby. - Wszystko zjebałeś.

Kruk mu w końcu przywalił. Kurwa, i jak miał nie używać

przemocy. Dariusz na moment zwiotczał i kajdanki wreszcie zacisnęły się na jego nadgarstkach.

Komisarz wstał, głośno wypuszczając powietrze.

- Teraz niech męczą się z tobą inni.

Usłyszał strzał. Potem drugi i trzeci.

Kruk wyszarpnął pistolet i rzucił się do drzwi. Przeskakiwał po trzy, cztery stopnie naraz. W kilka sekund znalazł się w holu. Panował tu półmrok, ale Kruk szybko ogarnął wzrokiem całą scenę. Maszyński klęczał, przed nim leżał Leon Stompur. Grzegorza nigdzie nie było widać.

Kruk dobiegł do nich. Leon wpatrywał się w Kruka wzrokiem, który właśnie zasnuwała mgła. Maszyński trzymał dłonie na jego sercu, usiłując zatamować krwawienie. Prawą dłoń miał przestrzeloną, obok nogi leżał jego pistolet. Uniósł wzrok.

- Trafiłem go... - Ruchem brody wskazał Krukowi schody na piętro.

- Strzelec! Ucieka! - wrzasnął Kruk najgłośniej, jak umiał, aby mogli go usłyszeć na zewnątrz. - Uwaga na okna na piętrze!

Maszyński zakrwawionymi palcami odpiął od paska krótkofalówkę. Kruk, wchodząc po schodach z pistoletem w wyciągniętych rękach, słyszał, jak mówi:

- Dawać karetkę. Mamy człowieka po postrzale. Parter czysty, można wchodzić.

Ale w jego głosie nie było ponaglenia, bo już zaczynał zdawać sobie sprawę, że najlepszy lekarz nie wskrzesi trupa.

Kruk wchodził po schodach. Poniżej jakaś umundurowana postać zaczęła wchodzić przez okno, ale dla niego przestawała istnieć. Oddychał równo, szukając w oddechu siły i spokoju, aby zrobić, co było do zrobienia.

Na ułamek sekundy umysł wyświetlił mu obraz przestrzelonej dłoni Maszyńskiego. Konieczny był świetnym strzelcem. Kruk zdał

sobie sprawę, że jest lepszym strzelcem niż on, a w dodatku miał przewagę.

Ale nie odbiło mu zupełnie. Nie strzelał do policji, żeby zabić.

Kruk wchodził coraz wyżej i jego wzrok znalazł się na poziomie podłogi piętra. Nikogo nie było w zasięgu wzroku. Zrobił kilka szybkich kroków. Grzegorz Konieczny na razie nie zabijał policji, ale to, jak zachowa się przyciśnięty do ściany, pozostawało niewiadomą.

Kruk stanął w holu na piętrze. Broń wciąż trzymał w wyciągniętych rękach. Obok miał zamknięte drzwi do jakiegoś pokoju. Pchnął je ramieniem i otworzył. Puste pomieszczenie, jakiś stary regał z kilkoma książkami. Nic więcej.

Sprawdził pokój, aby mieć pewność, że nie zostawia nikogo za sobą, i poszedł dalej. Na schodach zamajaczył cień. Kruk spostrzegł jednego z mundurowych, który wchodził za nim z odbezpieczonym gnatem. Wymienili spojrzenia. Komisarz poczuł ulgę, że nie jest sam.

Sprawdził kolejny pokój. Pusty. Wrócił na korytarz. W tym momencie z zamkniętego pokoju naprzeciwko dobiegł go jakiś hałas, krzyk, ale przytłumiony, i Kruk zdał sobie sprawę, że tam okno musi być otwarte i słyszy odgłosy z dworu.

Rozległ się strzał. Kruk wbiegł do pokoju. Był pusty, a okno otwarte, ale komisarz i tak najpierw upewnił się, że pomieszczenie rzeczywiście jest puste, zanim podbiegł.

Jakieś trzy, cztery metry niżej, w ogrodzie, stał nieruchomo młody policjant. Twarz miał bladą, wzrok wbity w płot, i jeszcze poruszające się gałęzie pobliskiego krzewu i wysokie drzewa zasłaniające widok. Między drzewami pojawiała się i nikła szybko biegnąca postać. Kruk zdał sobie sprawę, że policjant nie jest uzbrojony.

Kurwa, to był ten sam mundurowy, który mu oddał pistolet.

Kruk zabezpieczył broń, wsunął ją do kabury pod pachą, mocniej

umocował za paskiem zabrany Koniecznemu pistolet. Skoczył przez okno. Zderzenie z ziemią było potwornie silne. Czuł, jakby ważył tonę, i cały ten ciężar wbijał mu się w nogi. Zdołał przetoczyć się na bok, aby choć trochę zamortyzować uderzenie.

Poderwał się i znowu wyciągnął broń.

Podbiegł do ogrodzenia, zajęło mu to zadziwiająco dużo czasu, i zdał sobie sprawę, że utyka. Zaciskając zęby, przelazł przez płot, wszedł między drzewa, rozejrzał się. Przed nim piętrzyło się zalesione wzniesienie, uderzenie wiatru poruszyło tysiącami liści. Grzegorz Konieczny zniknął.

Kruk ruszył przed siebie. Zrobił kilkanaście kroków, usiłował iść w górę. Ruszaj, nic ci nie będzie, pomyślał. Ból kostki był do wytrzymania, jednak wchodził bardzo powoli. Zbyt powoli, aby bawić się w bohatera.

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po wzniesieniu, po drzewach, szukając śladu człowieka.

Zatrzymał się.

Utykając, wrócił do ogrodu.

Policjant wciąż stał tam, gdzie Kruk go zostawił. Był w szoku. Spojrzał na komisarza niewidzącym wzrokiem.

- Strzelił do mnie - powiedział. - Nie mogłem nic zrobić, miał broń, ja nie miałem.

Kruk obejrzał go, ale nigdzie śladu po postrzale.

Policjant był wstrząśnięty. Potrząsał głową.

- Nie miałem broni.

Kruk chwycił go za twarz, przyciągnął, spojrzał głęboko w oczy:

- Żałujesz, kurwa? Żałujesz, że nie miałeś?

Puścił go, a on dalej potrząsał głową.

Przed oczami Kruka ponownie mignął obraz dłoni Maszyńskiego.

Gdyby Grzegorz Konieczny chciał trafić tego policjanta, gość nie miałby okazji wygadywać tych wszystkich głupot.

Może fakt, że nie miał broni, uratował mu życie.

Kruk starał się mówić spokojnie, ale w spojrzeniu Radka dostrzegł niedowierzanie i lęk. Kruk go zapytał, ale Radek nie odpowiedział. Patrzyli sobie w oczy.

Radek oddalił się.

Przed domem Niemickiej roilo się od policji. Przy chodniku parkowały dwie karetki z włączoną sygnalizacją. Maszyński podszedł do jednej z nich, a ratownik zajął się jego ręką. Marcin Zych wykonał kilka telefonicznych rozmów, zamienił parę słów z prokuratorem Martą Krynicką, która właśnie przyjechała na miejsce, i podszedł do Kruka.

- Powinienem cię zawiesić - warknął. - Za coś takiego mógłbym nawet wyjechać cię z roboty.

Kruk nie powiedział nic, bo nie miał nic na swoją obronę.

- Dlaczego go nie przeszukaliście?

- Zrobił mnie na cacy. Męczyłem się z Dariuszem, a on stanął przeciw bratu, myślałem, że jest po naszej stronie. Miał zabandażowaną rękę...

- Kurwa, mógł zajebać was obu. Czemu nie nosisz służbowej broni?

- Wiesz czemu.

Zych wciągnął powietrze do płuc, pokręcił głową. Odszedł wściekły. Kruk czuł się podle. Pomysł, aby nie nosił broni, był pomysłem Zycha.

Widać zdążył już o tym zapomnieć.

Para funkcjonariuszy prowadziła do radiowozu Justynę Niemicką. Dziewczyna twarz miała otępiałą. Opowiedziała, że usłyszała hałas

tłuczonego szkła dobiegający z pokoju, a gdy tam ostrożnie weszła, poczuła ukłucie w ramię. Potem nie pamiętała już nic.

Zanim wsiadła do samochodu, obejrzała się na dom. Skinęła komuś głową, uśmiechnęła się smutno.

Kruk poszedł za jej wzrokiem.

Tam, gdzie patrzyła, nikogo nie było.

Marcin Zych półgłosem wydawał mundurowym polecenia:

- ...przeszukać dom, mieszkanie jego siostry, ustanowić obserwację. Mała szansa, że się pojawi, ale niczego nie zaniedbamy. Obstawcie też dom tego adwokata, Brunona Kanta, Konieczny może szukać u niego pomocy. Załóżcie ogon Kantowi... - Zych wrócił do Kruka. - Jak noga?

Bolało, ale kostka nie była złamana, ratownicy ją usztywnili i dało się chodzić. Kruk przez najbliższe dni będzie po prostu bardzo powolnym policjantem.

- Tym nie musisz się martwić.

- Dam prokuratorowi, żeby wystąpił o tymczasowe dla Dariusza Koniecznego.

- Po co? Facet chciał rzucić się na Stompura z pięściami, ale młody go prowokował. Gadał paskudne rzeczy.

Marcin milczał długą chwilę.

- Tak? - rzekł z ociąganiem. - Bo Radek mówi co innego.

- A pytałeś go drugi raz?

- Gdzie broń Dariusza?

- Jaka broń?

- Ta, z której mierzył do Leona Stompura.

- Nie miał broni. Nie sądziliśmy, że ktoś z nich ją ma.

Marcin utkwiał wzrok w ziemi, potem uniósł głowę.

- A jeśli każe cię przeszukać?

Jakiś funkcjonariusz podszedł do Marcina, mówił, że przy Jaśkowej Dolinie znaleziono bmw Koniecznego, ale naczelnik w ogóle go nie

słuchał i funkcjonariusz odszedł.

- Podejmujesz wielkie ryzyko - warknął Zych. - I wciągasz w to Maszyńskiego. Nie masz prawa.

- Wiem.

- Jedziemy do fabryki. Komendant chce zapoznać się z sytuacją. Ty mu ją przedstawisz.

Kruk poczuł na policzku lekkie uderzenie wiatru. Ten wiatr prześlizgnął się po jego ramieniu, a on odczuł go niczym dotknięcie.

Milczącą prośbę.

- Najpierw muszę coś załatwić.

Poszli korytarzem o zgniłych, jasnozielonych ścianach i Kruk miał wrażenie, że monotonne odgłosy kroków wybijają w jego mózgu dziurę bez dna. Stanęli przed drzwiami jednej z cel, a strażnik je otworzył. Komisarz wszedł do środka.

Jerzy Stompur siedział na pryczy, łokcie opierał na kolanach, głowę miał zwieszoną. Kruk poczuł, że w ustach ma sucho, i był za to zły na siebie.

Wszedł. Czekał na jakąś reakcję.

Żadnej reakcji nie było.

- Twój syn nie żyje.

Stompur wciąż się nie poruszył. Dopiero po chwili uniósł głowę, zapadnięte oczy mrużyły się w bladej twarzy, jakby Kruk był słońcem, a on nie mógł znieść jego blasku.

- Ty go zabiłeś?

- Nie.

- Miałeś go chronić.

- Próbowałem.

- Miałeś go chronić, nawet jeśli nie był tego wart.

Głowa ponownie opadła. Kruk czekał, chciał mu wszystko opowiedzieć, wyjaśnić, zrzucić z siebie ciężar dzisiejszych wydarzeń. Ale Stompur pozostał nieruchomy, jak skamieniały, i o nic więcej nie zapytał.

Kruk opuścił areszt. Wracając, myślał o tym, po co przyszedł.

Jeśli chciał przekazać informację, przekazał ją.

Jeśli przyszedł po rozgrzeszenie, przyszedł na próżno.

80

Gdy Kruk wszedł do pokoju Zycha, ten znowu wisiał na telefonie. Dał Sławkowi znak, żeby poczekał.

- Gdzie to spotkanie z szefostwem? - spytał Kruk, gdy Marcin skończył.

- Odłożone. Zgłosił się stary Łozowski. Jego syn, Antoni, chce złożyć wyjaśnienia.

- O - powiedział Kruk.

- Ojciec postawił warunki. Domaga się, żeby zapewnić synowi ochronę przed Grzegorzem Koniecznym.

- Nie ma sprawy. Chętnie go zamknę na czterdzieści osiem i dłużej.

- Raczej nie o to mu chodziło.

Kruk roześmiał się i zdziwił, gdy usłyszał swój śmiech. Zaczynał dziwacznie reagować.

- Jeśli Antek Łozowski będzie kłamał, niech sobie radzi sam. A jeśli powie prawdę i wyzna, w czym brał udział, nie będziemy mieli wyjścia i wystąpimy o tymczasowe aresztowanie. - Przymknął oczy, otworzył je, a ponieważ Marcin się nie odzywał, dodał: - To się nazywa tragizm sytuacji.

- Łozowscy czekają w pokoju przesłuchań.

Kruk poszedł korytarzem, powoli wszedł do pokoju. Antoni Łozowski siedział blady i zgarbiony przy stole. Jego ojciec spacerował nerwowo.

- Niech pan wyjdzie - powiedział z miejsca Kruk.

- Chcę, żeby zapewnił pan mojemu synowi ochronę... - Henryk Łozowski umilkł, gdy zobaczył twarz Kruka.

- Wypierdalaj i nie marnuj mojego czasu.

Łozowski stał jeszcze chwilę, po czym wyszedł. Kruk opadł na krzesło naprzeciw Antoniego.

- Nareszcie sami - powiedział. - Bez taty, kolegów i panienek. Ty, ja i cmentarzyk, który wokół ciebie wyrósł.

- Nikogo nie zabiłem.

- Tym lepiej dla ciebie. Miałeś dwóch kolegów, żaden z nich nie może się już bronić, więc to wszystko pewnie ich robota.

- To naprawdę ich robota...

- Ale całkiem niewinny nie jesteś, co?

Ante pokręcił głową.

- To dobrze, bo jeśli jesteś czysty jak łąza, skończymy rozmowę i wrócisz do domu. Będiesz tam siedział, czekał, nasłuchiwał szelestów za oknem, bał się jak cholera i marzył o policyjnej celi na komendzie. Gadaj.

- Co pan chce wiedzieć?

- Wszystko.

- Proszę mi zadać pytanie.

Kruk pokręcił głową. Przymknął oczy i siedział tak dłuższą chwilę.

- Gadaj. Zaczynaj od momentu, gdy to się wszystko zaczęło, a skończ na tej chwili, kiedy siedzimy tu sobie razem.

- Kiedy co się zaczęło?

- Właśnie to, co tak staraliście się ukryć. Pochwal się.

Zapadła cisza.

- Straszliwy pech, prawda? - Kruk uśmiechnął się ze współczuciem. A przynajmniej chciał, żeby tak to wyglądało.

Łozowski nie poruszył się. Siedział spięty, broda lekko mu drżała. Widać diabłom też czasem chce się płakać.

- A miało być tak pięknie - mówił dalej Kruk, jakby snuł romantyczną opowieść. - Trup w beton i niech spoczywa w pokoju. Na to dla bezpieczeństwa trochę gratów, żeby uzasadnić zabudowę.

I trochę azbestu, że jakby co, to niby o to tu chodzi, i żeby zapewnić ochronę przez skąpego, ale świadomego tylko wybranych spraw ojca. Mam nadzieję, że świadomego tylko wybranych spraw. No i sama zabudowa. Dzieło sztuki. Zmniejszyć kibel w swoim biurze, z którego korzystać będzie wyłącznie elita. Kto miałby coś zauważyć...

Łozowski nie wykonał żadnego widocznego ruchu, ale i tak kurczył się z chwili na chwilę.

- Tylko z tymi diabłami na ścianach przesada - zafrasował się Kruk. - To wyraz pychy i nadmiernej pewności siebie. Nigdy nie należy być zbyt pewnym siebie, zwłaszcza gdy jest się idiotą. - Walnął otwartą dłoń w stół, aż huknęło, na co Ante podskoczył i broda zaczęła drgać mu jeszcze szybciej. - Jak mogło przyjść wam do głowy namalować swoją zbrodnię na ścianie?

- To Justyna - powiedział pośpiesznie Łozowski, ale zabrakło mu tchu. - Dopytywała się o Marcela, pytała, co z nim się stało. Romek jej w końcu pokazał, jeszcze zanim postawiliśmy tam ścianę, żeby siedziała cicho, bo była współwinna. Wtedy zaczęła świrować. Malowała te makabryczne graffiti po wszystkich ścianach i dobrze to wyglądało. To przez nią wpadłem na pomysł, żeby zamiast klimatu PRL-u stworzyć tu Kryptę. Cały czas czułem, że on tam jest, za ścianą, w betonie... Różni ludzie przychodzili do biura, on tam leżał, a nikt o tym nie wiedział. Gdy Justyna namalowała ten obraz, chłopaki chcieli go zamazać. Ludzie wciąż przychodzili, patrzyli na obraz i nadal nie rozumieli.

Jego głos, drżący, niepewny, wzbogacił się o nową nutę. Kruk uchwycił pobrzmiwające zadowolenie, tłumioną fascynację.

- Nie pozwoliłem zamalować obrazu.
- Kim jest kobieta, która patrzy na diabły z góry?
- Justyna namalowała tam swoje oczy. Obwiniła się, uważała, że wszystko przez nią. Romek nalegał, żebyśmy się nią zajęli, bo

prędzej czy później się wygada.

Kruk z trudem wytrzymawał, gdy tego słuchał.

- I co?

- Pan Konieczny zastrzelił go kilka dni później.

- Gadaj, jaki był początek tego wszystkiego.

- To się zaczęło, bo potrzebowaliśmy pieniędzy.

Kruk wstał. Patrzył na tego gnojka i uznał, że nie da rady. Nie dzisiaj.

Wyszedł z pokoju przesłuchań. Na korytarzu siedział na ławce ojciec Antoniego, który poderwał się na widok komisarza. Kruk go zignorował. Wybrał numer Radka.

- Przyjdź gadać z Łozowskim - powiedział.

- A ty co? Zaczyna się twój serial w telewizji?

- Może mi jebnąć bezpiecznik.

Chwila ciszy, potem spokojny głos w aparacie:

- Już idę.

81

Radek Maszyński został jeszcze chwilę z Łozowskim, a Kruk zgarnął protokół przesłuchania ze stołu i wyszedł z pokoju.

- Co z nim będzie, panie komisarzu? - Henryk Łozowski zastąpił Krukowi drogę. Twarz miał wyczerpaną, oczy błędne.

- Zaopiekujemy się nim. Zostanie z nami na długo.

Kruk minął przerażonego ojca i poszedł korytarzem. Też był zmęczony. Dochodziło wpół do piątej po południu, a on nic jeszcze nie jadł. Dzień był długi, zdawało się, że się nigdy nie skończy.

Zeznania Antoniego Łozowskiego miały swój punkt kulminacyjny. Leon kopnął go w głowę, powiedział Łozowski. Dalman stracił przytomność. Nie mogliśmy go ocucić. Leżał, jego ciałem wstrząsały drgawki, trwało to strasznie długo i nie wiedzieliśmy, co robić. W końcu drgawki ustały.

Do Kruka wróciły wydarzenia z lutego, kiedy walczył o życie z pewnym bandziorem, a potem bandzior leżał nieprzytomny, na jego ustach pękały czerwone bąble, a Kruk i tak rzucił się skopać ten parszywy łeb.

To co innego, pomyślał, ale nie poczuł ulgi, więc pomyślał jeszcze raz: to co innego.

Przesłuchanie Łozowskiego przebiegło pomyślnie. Maszyński prowadził je sprawnie, ułatwiając chłopakowi przebrnięcie przez najtrudniejsze części.

Kruk siedział z boku i niemal się nie odzywał. Zapytał tylko o wtargnięcie do Koniecznego. Ante przyznał się do swoich gróźb wobec Basi. Ale przysięgał, że były bez znaczenia, wymyślał je na poczekaniu. Chciał zrobić wrażenie na kolegach, gadał byle co, byle

brzmiało ponuro. A Basia naprawdę ukradła Leonowi samochód i naprawdę miała zapasowe kluczyki. Leon mówił im, że nie wie, skąd mogła je mieć. Gdy odzyskali samochód, odłożył je na miejsce. Mężczyźni skłamaczali w sądzie, że pożyczycyli Basi samochód, aby wyszła na kłamcę.

Gdy Łozowski składał zeznania na inne tematy, Kruk tylko siedział i przez całe godziny nie mówił nic.

Historia, którą usłyszeli, była brzydka i mroczna. Marcela Dalmana trzech koledzy: Antek, Leon i Romek, poznali, gdy zatrudnili się w pewnej gdańskiej firmie budowlanej, bo chcieli zarobić pieniądze na założenie klubu. Ale nie zarabiali kokosów. Wyliczyli, że nawet jeśli będą pracować po godzinach i zaczną odkładać wszystko co do grosza, przyjdzie im pracować pół roku.

Brzmiało to jak wieczność i zamiast oszczędzać pieniądze, wydawali je na alkohol i imprezy po pracy.

Marcel ich drażnił, bo nie chciał z nimi pić. Oszczędzał i starał się o kredyt na remont mieszkania swojej dziewczyny. Młodym mężczyznom kredyt też wydał się dobrym pomysłem, poszli więc do tego samego banku. Okazało się jednak, że zbyt krótko pracowali i żaden nie miał stałej umowy o pracę. Odesłano ich z kwitkiem, mimo że Romek Pruszyński okręcił sobie wokół palca jedną z pracownic banku, Justynę Niemicką. Bardzo rzeczową i zdawałoby się, kompetentną osobę.

Wydawało się nawet, że Pruszyński naciągnie na prywatną pożyczkę tę kobietę, ale ostatecznie Niemicka zachowała resztki rozsądku.

Za to Dalman dostał kredyt i to Niemicka, aby wynagrodzić Romkowi odmowę, podpowiedziała, jak mogą dostać się do tych pieniędzy. Kredyt został przelany na konto bieżące Dalmana. Wystarczyło, by ukradli mu kartę debetową i podpatrzyli PIN, a oczyszczenie konta nie będzie żadnym problemem.

Oczywiście najlepiej by było, gdyby Dalman przez ten czas był gdzieś zajęty, żeby im nie przeszkadzał.

Oni jednak nie zamierzali niczego podpatrywać. Pewnego dnia zaczęli się na Dalmana i wywieźli do starej stoczni. Tam go torturowali, by zmusić do ujawnienia danych. Mieli zamiar wyczyścić konto z pięćdziesięciu tysięcy kredytu i pięciu tysięcy oszczędności.

Wcale nie zamierzali go zabijać. Sądziли, że szybko załatwią sprawę. Włożyli na tę okazję kominiarki, kupili pałki teleskopowe, Dalman nie wiedział, gdzie został wywieziony ani że łupią go koledzy z pracy. Gdyby dostali pieniądze, wciąż by żył. Łozowski włożył wiele wysiłku, aby przekonać o tym Maszyńskiego.

Ale Dalman nie chciał dać im pieniędzy.

Potrzebował ich dla swojej dziewczyny, pokazywał jej zdjęcie, mówił, że właśnie się dowiedział, że spodziewa się dziecka, przeraził się odpowiedzialności, ale że chce tego dziecka i chce się ożenić. Błagał, żeby go wypuścili. Zamiast tego Pruszyński zaczął go metodycznie bić. Bił go tak długo i mocno, aż się zmęczył, ale Dalman nie powiedział nic. Wtedy włączył się Stompur i zagroził, że dopadną dziewczynę Dalmana. Zaczął opowiadać, co jej zrobią. Aby nadać swoim słowom większą moc, kopnął Dalmana w głowę.

Antoni Łozowski przedstawiał wydarzenia w taki sposób, że jego udział w zbrodni jawił się jako najmniejszy, wręcz nieistniejący, ale Kruk nie sądził, by bardzo kłamał. Jego słowa zgadzały się z tym, jak Kruk widział jego charakter. Zwłoki Dalmana zabójcy umieścili w plastikowym worku i zalali betonem w budynku późniejszej Krypty.

Wyjechali na miesiąc do Wielkiej Brytanii, aby tam wybrać z konta Dalmana jego pieniądze. I żeby sprawić wrażenie, że Dalman też tam wyjechał. I żeby stworzyć wrażenie, że wzbogacili się, pracując na Wyspach.

Po powrocie dzięki pieniądзом Dalmana rozpoczął się remont i stoczniowa buda miała stać się nocnym klubem.

Bo dostali jednak jego pieniądze. Mieli jego telefon komórkowy, złamali PIN, tylko czterocyfrowy, i zajęło im to zaledwie kilka godzin. Wykorzystali aplikację mejlową w komórce, aby zmienić hasło do konta bankowego. Login jest znany pracownikom banku, podała im go Niemicka, a komórka obsługiwała hasła jednorazowe transakcji bankowych. Mogli przelać pieniądze na jakieś konto założone na pierwszego z brzegu słupa, woleli jednak bankomaty w UK. Ustalili własny PIN do karty debetowej.

Martwili się tylko o Niemicką. Opowiadała Pruszyńskiemu, że martwy Marcel Dalman przychodzi do niej do mieszkania i musi się gdzieś wyprowadzić, gdzie jej nie znajdzie.

Chyba jednak ją znalazł, choć potem przepędził go martwy Pruszyński.

Kruk usiadł w swoim gabinecie i położył nogi na biurku niczym zmęczony glina z amerykańskiego serialu. I jak amerykański glina usiłował mieć wszystko gdzieś.

Ale myślał o Leonie Stompurze, który zabrał zdjęcie, jakim Dalman usiłował wzbudzić w nich litość. Odnalazł dziewczynę ze zdjęcia, ale nie po to, by zrobić jej krzywdę. Zakochał się. Aby się do niej zbliżyć, zaczął chodzić na grupę terapeutyczną, dziewczyna go polubiła, a on starał się jej pomagać.

Zdjęcie stało się jego amuletem.

I przekleństwem.

Bo wydawało mu się, że może go zdemaskować. Posiadał je, choć nie miał prawa go posiadać. Bał się, że Natalia je zobaczy i zapyta, skąd je ma. Że natychmiast zrozumie, że zabrał go jej chłopakowi. Zabił, bał się, i wydawało mu się, że byle co wystarczy, by cały świat się dowiedział. Stał się przeczulony. Wszyscy trzej tacy się stali, choć nie mogli mu przetłumaczyć, żeby zniszczył zdjęcie.

Dlatego z taką furią zareagowali, gdy do zdjęcia dobrała się Barbara Malewska.

A Basia zobaczyła zdjęcie i niczego nie podejrzewała. Pewnie nikt, kto by je zobaczył, na nic nigdy by nie wpadł. Ostrożność Stompura i reakcja ich wszystkich była przesadna, niepotrzebna.

A może wcale nie.

Kruk się domyślił. Ale on był policjantem.

Znalazł zwłoki.

Drugie zwłoki.

Męczyło go, jaki związek mają te zwłoki ze sobą.

Łozowski przysięgał, że nie mieli pojęcia, że stawiając ściankę w toalecie, zamurują też zwłoki matki Stompura.

Stompur kochał matkę. Nigdy by na coś takiego nie pozwolił.

Kruk nie był łatwowierny.

Ale akurat w to wierzył.

Stompur ukrył się przed policją, bo w mediach wspomniano o łańcuszku z księżycem, a on wiedział, do kogo łańcuszek należał. I powiedział o tym Niemickiej, u której znalazł schronienie.

W trakcie budowy ścianki Leon opowiadał kolegom, że matka znowu uciekła od jego starego.

Był ciekawy, gdzie się podziewa.

Na murku za blokiem trzech niechlujnie ubranych facetów popijało wino z jednej butelki. Grzegorz Konieczny widywał ich tu wcześniej. Należeli do tego miejsca jak sklepy i drzewa, byli wieczni, a w tej chwili także zaniepokojeni obecnością po drugiej stronie bloku nieoznakowanego policyjnego samochodu.

Klęli mocno, choć cicho. Określenia typu „pies”, „menda” i „kurwa” powtarzały się najczęściej. Mężczyźni nawet nie byli ciekawi, co policja robi w tym miejscu. Sama jej obecność stanowiła dla nich obrazę i zagrożenie nieskrępowanej konsumpcji.

Alkohol im się kończył, zaczęły padać pomysły, skąd wziąć kolejną butelkę, i że należy udać się do miejsca wolnego od mend.

Grzegorz obserwował ich od dłuższego czasu, teraz już z bezpiecznej odległości. Czekał, aż wreszcie ruszą się z miejsca. Założył, że nie pójdą w stronę radiowozu, i miał nadzieję, że się nie pomylił.

Musiał mieć nadzieję na to i wiele innych rzeczy. Czuł się coraz gorzej, rana po postrzale krwawiła, swoje narzędzia chirurgiczne zostawił w samochodzie, który przejęła policja, ale i tak nie dałby sobie rady sam. Dostęp do rany był trudny, a on miał sprawną tylko jedną rękę, tę słabszą.

Było w Gdańsku jedynie dwoje ludzi, do których mógł zwrócić się o pomoc i którzy nie wydadzą go policji. Jedną z nich była jego siostra, w pobliżu bloku której się znajdował. Drugą taką osobą był adwokat Brunon Kant, ale co do niego nie było pewności, czy zechce udzielić Grzegorzowi pomocy po tym, co się stało.

Musiał dostać się do mieszkania siostry, nie bacząc na ryzyko.

Płynęła w niej ta sama krew, ona go nie zdradzi. Z telefonu w jej mieszkaniu będzie mógł zadzwonić do Kanta i wybadać, jaka jest sytuacja. Policja przeszukała mieszkanie Iwony, istniała duża szansa, że nie wejdą tam znowu tej nocy, a rankiem Grzegorz odejdzie.

Ale policja zostawiła obserwatorów przed budynkiem. Nie było możliwości wejść, nie będąc przez nich zauważonym. Dlatego podjął pewne kroki i swój los złożył w ręce nieświadomych niczego pijaków.

A oni wciąż siedzieli na murku, kłócili się i klęli do siebie. Grzegorz czuł, że ma gorączkę, a jeśli zbyt długo będzie stał w jednym miejscu, ktoś może zwrócić na niego uwagę.

Wreszcie się podnieśli. Mruczając i gestykułując, skierowali się w stronę przystanku autobusowego. Obserwował ich z napięciem. Widok częściowo przesłoniły mu drzewa.

Na chwilę zniknęli mu z oczu. Gdy ich znowu zobaczył, wracali na murek. Grzegorz w dłoni jednego z nich zauważył lekko tylko napoczętą butelkę wódki, którą dla nich zostawił.

Na twarzy mężczyzny malowało się niedowierzanie, ale jego oczy rozjaśniało szczęście. Odkręcił butelkę pod czujnym wzrokiem pozostałych i delikatnie posmakował. Skinął głową z uznaniem, choć jeszcze miał wątpliwości.

Nie należy wierzyć w cuda, pomyślał Grzegorz. I ty o tym wiesz.

Inny mężczyzna wyszarpnął mu butelkę z rąk i pociągnął długi haust. Zaczęli się szarpać.

Grzegorz wstał z ławeczki i powoli obszedł podwórko, chowając zabandażowaną rękę do kieszeni kurtki i licząc na to, że jeszcze nie widać coraz większej plamy krwi z boku. Stał przy narożniku budynku, skąd nie widział co prawda policyjnego samochodu, ale stąd będzie widział, gdy policjanci go opuszczą.

Minęło kilkanaście minut. Pół godziny.

Zza drugiego krańca budynku wybiegła kobieta, krzyząc i gestykułując. Jeden z policjantów już do niej podchodził. Kobieta coś z przejęciem mówiła, wskazując za siebie. Do Grzegorza dochodziły strzępy słów:

- Dwóch nieprzytomnych... agresywny... zaczepił męża...

Konieczny miał szczęście. Klonidyna, jego lek na nadciśnienie, którą rozpuścił w butelce, w połączeniu z alkoholem wyłącza człowiekowi światło, ale czasem powoduje także pomrocność jasną. Jeden z pijaków najwyraźniej tak właśnie zareagował.

Policjant krzyknął kilka słów do drugiego w samochodzie.

Drugi policjant pojawił się w zasięgu wzroku Grzegorza po krótkiej chwili. Rozmawiali, po czym ten pierwszy ruszył za blok z kobietą, a ten drugi, młodszy, wrócił i słychać było, jak przez radio wzywa pogotowie. Oparł się o samochód i stał, nerwowo potrząsając głową i gapiąc się w przestrzeń.

Grzegorz z trudem znosił napięcie. W myślach błagał tego człowieka: idź, pomóż im, nie stój tak, ratuj życie i porządek, to twój obowiązek. Najważniejszy obowiązek.

Policjant go posłuchał. Ruszył za tym pierwszym.

Zadzwoiła komórka w jego kieszeni. Odebrał i jego twarz się rozjaśniła. Stanął niemal przed samymi drzwiami na klatkę schodową i zaczął się śmiać do aparatu.

Grzegorz przygryzał usta. Było mu słabo. Po długim, bardzo długim czasie dał się słyszeć odległy dźwięk syreny pogotowia. Policjant wciąż z ożywieniem rozmawiał, popatrzył w stronę, skąd dochodził ten dźwięk, niechętnie skończył rozmowę, a potem rozejrzał się wokół.

Grzegorz się cofnął.

Gdy ponownie wyjrzał, policjant zaglądał za budynek. Zniknął z pola widzenia Koniecznego, który się zawahał. Policjant mógł w każdej chwili pojawić się znowu.

Kolejna sekunda wahania. Jeszcze jedna. Dźwięk syreny narastał. Grzegorz ruszył. Szedł spokojnie równym krokiem, ściskając w zdrowej dłoni klucz do drzwi na klatkę schodową budynku. Kątem oka dostrzegł wyjeżdżającą z za rogu karetkę. Policjant wyszedł z za bloku niemal w tej samej chwili, gdy Konieczny podchodził pod drzwi. Serce uderzyło w piersi tak mocno, że niemal sprawiło ból.

Dzieliło ich zaledwie kilka metrów.

Ale Grzegorz nie mógł już się zatrzymać.

Policjant krzyknął, jednak nie do Grzegorza. Stał do niego tyłem, uniósł rękę, dając znak kierowcy karetki i wskazując mu, gdzie ma jechać.

Grzegorz wsunął klucz do zamka. Przestał obserwować tamtego policjanta. Albo się odwróci, albo nie. Albo zauważy wchodzącego do budynku człowieka, albo nie zauważy. Wykonywał ruchy automatycznie, pewnie, spokojnie.

Bezszelestnie wśliznął się na klatkę schodową, a drzwi wyposażone w spowalniacz zamykały się za nim przerażająco wolno. Obserwował je i głęboko oddychał.

Wbiegł na piętro i tam zamarł, oczekując huku kroków, krótkiej przerwy na w bicie kodu domofonu, który policja z pewnością poznała, i znowu otwierających się drzwi. Stał i czekał.

Nic się nie wydarzyło.

Zaczął powoli wchodzić po schodach.

W krótkim momencie euforii pomyślał o tamtych pijakach. Nic im nie będzie. Klonidyna nie powinna dać większych efektów ubocznych. Jutro nie będą niczego pamiętać, to wszystko.

Euforia minęła.

Ruszył po schodach na górę.

Musiał pójść na spotkanie z szefostwem. W sali zebrań znajdował się długi stół, a za nim, pochyleni i milczący, siedzieli wysocy rangą funkcjonariusze, niektórzy w mundurach. Był komendant Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku, jego zastępca, dwóch nadkomisarzy, ktoś z CBŚP, kogo Kruk znał jedynie z widzenia, i jeszcze trzech takich nie wiadomo skąd, których nie znał w ogóle. Pomędzy nimi Marcin Zych, również pochylony i milczący jak oni wszyscy.

I prokurator Marta Krynicka ze swoim szefem.

Wszyscy poważni, skupieni, na wszelki wypadek wrodzy Krukowi, jakby to on dokonał tych wszystkich zabójstw, a w każdym razie zupełnie niepotrzebnie wyciągnął je na wierzch.

Kruk mówił o śledztwie, oni słuchali. Potem zadawali pytania. Potem zadawali pytania samym sobie i przekonywali się nawzajem.

Kruk przestał ich słuchać. Myślał o dacie czternastego czerwca 2016 roku, kiedy Kamila Zdrojewska wybiegła z domu, aby nigdy nie wrócić. Wcześniej kłóciła się z mężem i pierwszy raz sąsiadka mogła podsłuchać ich kłótnię, co zadziwiło nawet samą sąsiadkę. Tego wieczora Waldemar Malewski zaćpał się na śmierć, umówiwszy się uprzednio na spotkanie z szefem, na które nie dotarł, bo umarł. A Jerzy Stompur cierpliwie czekał na trupa w restauracji. W postoczniowej hali wszystko było już gotowe do postawienia cmentarnej ścianki.

Ścianki, którą miesiące później zainteresuje się Basia Malewska i umrze. Choć wcale nie znaczyło to, że umarła właśnie z tego powodu.

Komendant zadał Krukowi kilka kolejnych pytań, a Kruk odpowiedział byle co. To byle co spodobało się zebranym, bo podziękowali mu za dotychczasową pracę i wyrazili nadzieję na dalsze szybkie postępy w śledztwie.

Zaczęli wychodzić z sali i wkrótce pozostał w niej tylko Marcin Zych, do którego znowu ktoś dzwonił.

- Grzegorz Konieczny rozplątał się, ale jest ranny i sądzę, że się znajdzie. - Zych położył komórkę przed sobą na stole, gotowy ją odebrać, gdy tylko rozbłyśnie nowym połączeniem. - Dostałem za to informację o nim. Facet jest mistrzem strzeleckim, wygrał masę zawodów. Ma pozwolenie na broń krótką. Wiedziałaś o tym?

- Nie.

- Dlaczego nie wiedziałaś?

- Co mnie to obchodzi? Nie prowadziłem śledztwa w jego sprawie.

- No to teraz prowadzisz. Ciesz się, część roboty wykonano za ciebie.

Kruk zamyślił się.

Do sali zajrzał Radek, wszedł i usiadł wraz z nimi. Rękę miał opatrzoną.

- W pokoju przesłuchań siedzi Dariusz Konieczny. Czeka na adwokata.

- Są dwa zdjęcia, dwoje zamurowanych ludzi - powiedział Kruk. - Dwa niepowiązane zabójstwa, jedno miejsce. I to jest najbardziej niezwykle, właśnie to miejsce. Gdyby tych zabójstw nie połączyło miejsce, może nigdy nie odkrylibyśmy żadnych zwłok.

- Skąd wiesz, że zabójstwa są niepowiązane? - spytał Zych.

- Basia znalazła w rzeczach ojca zdjęcie Kamili Zdrojewskiej, przez które zaczęła swoje poszukiwania, zaprzyjaźniła się z synem Zdrojewskiej, z Antonim Łozowskim oraz z Kryptą. I było drugie zdjęcie, które Leon nosił w portfelu. Zdjęcie Natalii Damaro zabrane jej chłopakowi z portfela.

- Dwa zdjęcia.

- Właśnie. Basia chodziła z Leonem, zorientowała się, że chłopak ma zdjęcie, z którego robi tajemnicę, zaciekała się. Zauważyła raz, że Leon nie zabrał portfela z samochodu. Wykorzystała okazję. Miała zapasowe kluczyki do auta Stompura.

- Skąd?

- Nie mam pojęcia, ale miała. Weszła do samochodu i dobrała się do portfela. Niestety, Leon z kolegami nakryli ją, gdy oglądała zdjęcie. Leon dostał furii, ale pozostali dwaj też się nie ucieszyli. To zdjęcie było tropem wiodącym do wszystkich trzech, więc poczuli się zagrożeni. Zareagowali z taką wściekłością, że Basia wpadła w panikę, uciekła ich samochodem. Włamanie do domu Koniecznego, wszystko, co gnojki wygadywali podczas poszukiwań Basi w domu, było konsekwencją wściekłości, która ich rozpieierała.

Zapadła cisza.

- Co z tego?

- Basia starała się dociec, co stało się ze Zdrojewską. Jej koledzy uznali, że jest to poważne zagrożenie, bo może odkryć tajemnicę śmierci Dalmana. Najprawdopodobniej ona nie miała pojęcia o Dalmanie, a oni o Zdrojewskiej. Przynajmniej nie wszyscy z nich. Sprawcy każdej z tych zbrodni ukryli zwłoki niezależnie od siebie, ale w tym samym miejscu.

- To wszystko ma sens - powiedział Marcin Zych. - Znalazłeś dwa ciała i teraz każdą twoją, nawet najbardziej głównianą hipotezę, przyjmujemy z ciejącym zachwytem.

Kruk popatrzył za okno, bo na szybach pojawiły się drobne krople. Zaczynało padać.

- Antoni Łozowski bardzo stara się pokazać kolegów w złym świetle i papie na nich jak leci. Im oni są gorsi, tym bardziej on na ich tle lśni jak diament. Powiedział nam ciekawą rzecz.

- Jaką? - spytał Zych, bo Kruk się zawiesił.

- Przed sprawą Koniecznego Kant zakpił sobie z naszych koleżków. Podsunął im dwójkę ludzi, o których myśleli, że będą przeciw nim świadczyć w sądzie. Antoni powiedział, że Leon wpadł na pomysł, żeby uniemożliwić im zeznawanie. Zmusił Antosia do porwania i uwięzienia tych ludzi. Kobieta usiłowała uciec, Leon ją pobił. Potem, nie wiadomo dlaczego, usiłował wmówić Antosiowi, że rozorała mu paznokciami rękę. Antosia to zdziwiło, bo nie wydało mu się możliwe, żeby kobieta podczas ucieczki dała radę coś takiego zrobić Leonowi.

- Nadażam - powiedział Marcin.

- Tu pojawia się pani Niemicka i jej opowieść o przejściu sprawców przez jej podwórko, krwi na ręce i powrocie do domu ofiary. Odcięcie dłoni, jej dezynfekcję i zachłapanie części domu krwią odczytaliśmy jako próbę zatarcia śladów z powodu podrapania jednego ze sprawców. Mamy kontropowieść Dariusza Koniecznego, o tym, co krzyczał Łozowski podczas włamania, i że to, co zrobiono Basi, to ilustracja ich krzyków. Jaki mógł być cel takiej ilustracji? I jak dom we krwi pasuje do tej opowieści?

- Za dużo tych opowieści - odezwał się Radek. - Za dużo gadania. Za mało twardych danych.

Krukowi chwilami wydawało się, że to wszystko się ściśle łączy, a chwilami, że nic do niczego nie pasuje.

- Sprawa kluczyków do samochodu Stompura nie daje mi spokoju - rzekł. - Skąd Malewska je miała?

- Znalazła plecak, a w nim zdjęcie Zdrojewskiej, jej ubrania - powiedział Maszyński. - Może w spodniach były zapasowe kluczyki do auta jej męża?

- A może była tam Bursztynowa Komnata? - warknął Kruk. - Wsadzimy do tego plecaka wszystko, czego brakuje nam w śledztwie?

- Siedź cicho, Radek - powiedział Marcin Zych. - Nie znasz się.

Sławek może wymyślać najbardziej nieprawdopodobne historie, ale to on wyciągnął dwa martwe ciała z kapelusza. Jak Sławek nie wierzy, że klucze tam były, to ich tam nie było. Niedługo stanie się naszą legendą. Nawet szefostwo obeszło się z nim łaskawie, choć ich zlewał.

Kruk chciał powiedzieć Marcinowi, żeby się odwalił, ale słowa naczelnika poruszyły w nim jakąś strunę.

- A jeśli nie? - powiedział cicho. - A jeśli wiem gorzej i tylko wydaje mi się, że wiem lepiej?

Spojrzeli po sobie. Nic nie rozumieli. Nic nie powiedzieli.

84

Konieczny kruszał w pokoju przesłuchań. Po to go tam pozostawiono. Aby przebywał w samotności ze swoimi myślami. To zadziwiające, jak ludzie nie mogą znieść samych siebie i jak się zmieniają po kilku godzinach samotnego siedzenia.

Jedni wykorzystują ten czas, aby wyobrażać sobie wszystko, co najgorsze i co ich czeka, jeśli nie wywiną się spod młotka Temidy. Są potem tak przerażeni, że podskakują, gdy mucha kichnie. Inni zadręczają się, wymyślając odpowiedzi na pytania, które zostaną im zadane. Są potem tak wykończeni, jak po wielu godzinach przesłuchania.

Nielicznych to w ogóle nie wzrusza. Ale to są ci najsilniejsi, doświadczeni w strategiach stosowanych przez policję.

Albo tacy, którzy czekają na Brunona Kanta.

Gdy Kruk wszedł do pokoju, Kanta jeszcze nie było. Usiadł na krześle i po prostu tak siedział. Był zmęczony po spotkaniu z przełożonymi, po naradzie z Zychem i Maszyńskim. Było tu cicho. Konieczny siedział nieruchomy jak posąg. Nie zakłócał tej ciszy. Gapił się w lustro weneckie.

Gdy już tak sobie posiedzieli, Konieczny odezwał się:

- Kto tam jest? - Wskazał brodą lustro. Skórę miał ziemistą. Oczy przekrwione.

- Teraz nikt.

- Nie wierzę.

- To bez znaczenia, w co wierzysz. Twój brat jest skończony. Ale ty masz jeszcze szansę.

Konieczny pokręcił głową.

- Jest po mnie.

- Niekoniecznie. Twój brat ma na koncie głowę. Strzelił też do policjanta. Ciebie nie było przy żadnym z tych wydarzeń. Twój brat miał broń. Ty nie miałeś.

Konieczny znieruchomiał. Patrzył Krukowi w oczy.

- Nie miałem - powiedział i nie było to ani stwierdzenie, ani pytanie.

- Na twoje szczęście. Gdybyś miał broń, zwłaszcza trefną, też byłoby po tobie.

Konieczny powoli przejechał po czole dłońmi skutymi kajdankami, potem opuścił głowę. Siedział tak długą chwilę.

- Nie będę świadczył przeciwko bratu - powiedział.

- Nie musisz.

- A co mam zrobić?

- Nic.

- Nie miałem broni i nie muszę nic robić?

- Postaraj się z tego wyjść cało, zaopiekuj się siostrą. I nie rób nic. A jak jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, zajebię cię.

- Zrozumiałem.

Znowu zapadła cisza. Tak intensywna, że Kruk czuł szum w uszach.

- Co z moim bratem?

- Przykro mi.

- On nie chciał zabić twojego kolegi.

- Ale to mogło się zdarzyć. Nie jest Panem Bogiem i mógł źle trafić.

- On nie chybia. Jest może najlepszym strzelcem w kraju.

- Słyszałem. To on cię uczył strzelania?

- Jest świetny. Nikt nie potrafi tak strzelać. Pomożesz mu?

- Wbij to sobie do głowy, że twój brat zabił niewinnego człowieka.

Oczy Dariusza Koniecznego ożyły.

- Tak wyglądał niewinny człowiek?

- Właśnie tak.

Oddychał ciężko, jakby ściśnięte płuca odmawiały współpracy.

- Też miał na sumieniu życie.

- Ale nie waszej Basi.

- Nie wiesz tego.

- Twój brat też nie wie, a chłopak nie żyje. To przykre, bo zrobił to, przed czym starał się ratować ciebie.

- Musisz mu pomóc.

- Nie.

- Pomóż mu!

Kruk wstał.

- Pogódź się z konsekwencjami. Im wcześniej, tym lepiej dla ciebie.

Konieczny wyglądał, jakby chciał rzucić się na Kruka.

Kruk nie oczekiwał wdzięczności, ale na pewno nie jawnej wrogości.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Kant we własnej osobie. Biały garnitur, czarne buty, białe zęby, wciąż w komplecie.

- Niech pan nic nie mówi - rzucił od progu Koniecznemu. - Niczego nie podpiszemy.

- Nic nie mówię - mruknął Konieczny, równie niechętny adwokatowi, jak policji.

- Doskonale. - Kant spojrział na lustro weneckie i zwrócił się do Kruka: - Wyjdziemy na chwilę?

Na korytarzu wyciągnął wizytówkę i chciał wręczyć ją Krukowi.

- Chyba nie dałem jej panu ostatnim razem.

- Dał pan.

- Naprawdę? Może chce pan drugą?

Kruk spojrział na wizytówkę, węsząc podstęp. Ale to była tylko wizytówka. Z nazwiskiem wypisanym grubą czcionką.

- Podoba mi się pańskie nazwisko. Wiele o panu mówi.
- Prawda? Lubię myśleć, że mam w sobie coś z tego oświeceniowego filozofa, Immanuela Kanta. - Uśmiechnął się i zacytował z patosem: - Niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie.
- Ma pan poczucie humoru.
- Skoro już czepiamy się nazwisk, co pan powie o swoim? Jest zapowiedzią nieszczęścia.
- Kruk nieśpiesznie pokręcił głową.
- Przychodzę, gdy nieszczęście już się dokonało.
- I żeruje pan na zwłokach.
- Ja żeruję na zwłokach, a prawo moralne jest w panu. Brawo.
- Trzymajmy się tego. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby wyciągnąć mojego klienta. Rozumie pan? Wszystko.
- To znaczy co pan robi?
- Zadzwoiła komórka Kanta. Przeprosił i odwrócił się plecami, rozmawiając o jakichś ludziach, których Kruk nie znał. Komisarz chciał odejść, ale zadzwonił też jego telefon.
- Pomyliłeś się - usłyszał w aparacie Marcina Zycha. - Dotarliśmy do nauczycielki biologii, która uczyła Zdrojewską w liceum. Nie zna żadnego Malewskiego.
- Malewski przyjechał na zjazd klasowy.
- Ta nauczycielka też tam była. Imprezę zorganizowano w restauracji, w której byli też inni goście, zdaje się, że i grupa architektów po jakimś szkoleniu. Zdrojewska zapoznała tam kogoś, kto opisem pasuje do Malewskiego. Ale nie był to kolega z dawnej klasy.
- Popełniał przez nią samobójstwo.
- Nauczycielka nic o tym nie wie. Określiła Zdrojewską jako gwiazdę, do której wzdychało pół szkoły. Jej zdaniem nikt się nigdy dla niej nie zabijał, ale uważa, że gdyby nawet, pewnie nic by to

Zdrojewskiej nie obeszło. Zapamiętała ją jako zimną i nieczułą dziewczynę.

Kruk pomyślał, że podobnego określenia użył Jerzy Stompur.

- Co to znaczy, że Zdrojewska była nieczuła?

- Tak to określiła.

- Ten, co z nią gadał, nie zapytał?

- O co?

- Dlaczego nauczycielka biologii uważa, że jej uczennica była nieczuła. Dźgała żaby cyrklem?

- Nie wiem.

- Chcę numer do tej kobiety. Rodzice Zdrojewskiej żyją? Da się do nich dotrzeć? Niech policja z Warszawy popyta jeszcze o Zdrojewską różnych ludzi, którzy znali ją z tamtych lat. Trzeba dotrzeć do innych uczestników zjazdu.

Kruk skończył. Kant też skończył już rozmawiać i wyszczerzył zęby.

- Mój klient pomógł panu wydobyć schowane zwłoki. Gdyby rozniosła się plotka, że pan o to poprosił, co powiedzieliby na to pańscy przełożeni? Obawiam się, że dla nich wizerunek jest ważniejszy od skuteczności.

- Grozisz mi, adwokacino?

- Chciałbym tylko, aby zbyt głośno nie ujadał pan przeciw mojemu klientowi.

Kant nie czekał na odpowiedź. Wszedł do pokoju przesłuchań.

85

Kruk wrócił do swojego pokoju. Po drodze minął Monikę Paczulską, która szła w przeciwną stronę. Ukłonił się jej, a ona też mu się ukłoniła. Miała zrezygnowaną twarz, którą pośpiesznie odwróciła. Chciał ją zagadnąć, ale jakby to poczuła i przyspieszyła kroku.

W biurze Kruk odniósł wrażenie, że nie był tu całe lata. Paweł Łalkarz bez zainteresowania uniósł głowę znad papierów.

- Monika Paczulska przyniosła ci jakąś opinię - powiedział i znowu opuścił głowę.

- Co tam jest? - spytał Kruk.

- Nie gapię się w twoje papiery. Mam własne.

- No to skąd wiesz, że to opinia?

Kruk usiadł i podniósł z biurka cienką papierową teczkę. Wysunął z niej dwie kartki. Przebiegł oczami.

Ładna laurka.

Nie miała wiele wspólnego z tymi kilkoma krótkimi wymianami zdań, jakie odbyli. Właściwie nie miała z tym nic wspólnego. Kruk miał wrażenie, że czyta gotowca, który stworzono nie po to, by opowiedzieć o człowieku, ale żeby dobrze wyglądał. Na pewno nie opowiadał nic o Kruku.

Poczuł się jeszcze bardziej zmęczony. I zrezygnowany bez powodu.

- Co ci jest? - Paweł znowu podniósł głowę, ale tym razem w jego oczach pojawiło się zainteresowanie.

- Nic.

To nie była prawda. Kruk miał poczucie, że zawiódł Monikę.

Siedziało mu to w głowie i nie chciało wyjść. Kruk nie zabiegał o niczyją sympatię, ale myśl, że ją zawiódł, sprawiała mu przykrość.

- Dobra opinia psychologiczna na nic ci się nie zda, jeśli wylezie sprawa broni Koniecznego - rzekł Paweł. - Marcin mi powiedział.

- A więc jednak oglądałeś moje papiery.

- Jesteś pewny tego, co robisz?

- Nie.

- Podkładasz się. Warto?

- Nie wiem.

- Za sobą do syfu ciągniesz Radka.

Kruk głośno odetchnął. Był jeszcze Kant, który zapowiedział, że zrobi wszystko, by wyciągnąć klienta. Kruk nie mógł liczyć, że Konieczny nie powie mu o broni. Pewnie mówił adwokatowi wszystko.

- Znasz zasady - powiedział Paweł bardzo cicho i bardzo spokojnie. - W syfie tkwimy we trzech. Ty, ja i Marcin. I nie wciągamy nikogo więcej.

- Nawaliłem - powiedział Kruk po długiej chwili ciszy.

- Radek wsparł twoją wersję. Oby nie poniósł za to odpowiedzialności.

Paweł znów siedział z nosem w papierach. Można by się nabrać, że taki z niego biurokrata.

Tak, nawalił. Nawalił teraz, i wróciło poczucie, że nawalił z Moniką. Chciała, żeby wsadził faceta. Przecież go wsadził, tylko później. Może uważała, że za późno.

Przecież nie miała racji. Najchętniej powiesiłaby Stompura za nogi na drzewie, ale tylko dlatego, że jej związek ze sprawą ograniczał się do rozgrywania w głowie scenariuszy. Widzi krzywdę i chce, by zło zostało ukarane. W głowie to nic nie kosztuje. Gdyby podejmowała realne decyzje w realnym świecie, gdyby od tych decyzji zależał ludzki los, nie byłaby taka szybka.

Wiedział, że jest dobrą dziewczyną. Dobrym człowiekiem.

Dobrzy ludzie nie grillują bliźnich bez powodu.

Westchnął, rzucił teczkę na stół i wstał. Zamierzał wynieść się z tego pokoju, bo Paweł był dziś jak siedzący wyrzut sumienia, ale się nie wyniósł.

Usiadł, zacisnął zęby, siedział tak, dopóki do jego uszu nie dotarł zgrzyt. To jego zęby zgrzytały.

Paweł znowu uniósł głowę i nie spuszczał z niego wzroku.

Kruk sięgnął po telefon i wybrał numer.

- Z panem Kalickim proszę. - Chwilę czekał, potem usłyszał, że pan Kalicki jest zajęty w warsztacie i trzeba by po niego pójść. - To idźcie. Dzwonię z Komendy Wojewódzkiej Policji. Komisarz Sławomir Kruk.

Podziałało. Kalicki odezwał się trzy minuty później.

- O co chodzi?
- Kiedy rozmawialiśmy, powiedziałeś, że się zasugerowałeś.
- Co?
- Rozmawialiśmy o zaginięciu Kamili Zdrojewskiej.
- To wiem, tego o zasugerowaniu nie pamiętam.
- Zapytałem cię, dlaczego nie przyjąłeś jej zgłoszenia. Odparłeś, że się zasugerowałeś. Że na człowieka łatwo można wpłynąć.
- Bo to prawda, ale dalej tego nie pamiętam.
- Przypomnij sobie.
- Mów, o co chodzi.
- Nie o co, tylko o kogo. Kto na ciebie wpłynął? Kogo posłuchałeś?
- Daj spokój, chłopie. Cholernie dużo czasu minęło.
- Tylko rok.
- Może i masz rację. To tylko rok i kawałek, ja odpadłem z firmy, ale inni wciąż tam pracują.
- Boisz się mu zaszkodzić?
- Nie donoszę na kolegów. Wina była moja, poniosłem

konsekwencje, nie jestem już policjantem, to wszystko.

- Ale ja jestem, więc mam nad tobą przewagę.
- Nic mi nie zrobisz. Co to ma za znaczenie, z kim gadałem?
- Słyszałeś, że ją znaleźliśmy?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Ktoś zamurował ją w ścianie - rzekł Kruk. - Słuchaj, raz można popełnić błąd, ale brnąć...

- Podinspektor Paczulski.

- Jak to się stało?

- Siedział przy sąsiednim biurku, gdy ją przyprowadziłem. Słuchał jej opowieści. Kiedy zabrałem się za papiery, odciągnął mnie na bok. Powiedział, że od razu widać, że suka kłamie i chce zrobić faceta.

- Dlaczego go posłuchałeś?

- To dobry glina, ma nosa. U nas wszyscy go słuchają, jest jak wyrocznia. Zwykle ma rację.

- Naprawiasz jego prywatną kolubrynę?

Po drugiej stronie aparatu ktoś się ewidentnie zawahał.

- Czasem. On tak nazywa samochody. Przejąłem to powiedzenie.

- A jaki jest jego stosunek do kobiet?

- Może i ma lekkiego joba. Jak się upije, opowiada, że kobiety to kurwy. Wszystkie, oprócz jego żony. Ale to profesjonalista, takie gadanie nie wpływa na jego pracę. Gdy powiedział, że Zdrojewska udaje, uznałem, że musi mieć rację. Zwykle ma.

- Dzięki - powiedział Kruk. - Wszystko zostaje między nami.

Czekał, ale po drugiej stronie nikt się już nie odezwał.

Połączenie zostało przerwane.

86

Wychodziła na spotkanie do jakiejś biblioteki na Zaspie, śpieszyła się, bo miała opowiadać o pracy policyjnego psychologa i informowała go o tym z paniką w oczach, ale i tak władował się do jej gabinetu.

- Chcę kontynuować - powiedział.

- Co chcesz kontynuować?

Powtórzyła wypowiedziane przez niego słowo, było to długie słowo, a ona się przecież śpieszyła. Jakby mówiąc, usiłowała wymyślić, co robić.

- Nasze spotkania. Dobrze mi robiły. Teraz czuję ich brak.

- Przestań się wygłupiać.

- Nie wygłupiam się. Jeśli się nie zgodzisz, poproszę swojego szefa, żeby pogadał z twoim. Będziesz musiała ze mną gadać.

- To jakaś gra?

- Tak. To jakaś gra.

Usiadł na krześle. Patrzył na nią spokojnie, a ona zbladła pod ciężarem tego spojrzenia.

- Sławek, dałam ci najlepszą opinię, jaką mogłam.

- Czytałem.

- Przecież tego chciałeś - powiedziała błagalnie.

- Zadzwoń do tej biblioteki, że nie przyjdiesz.

- Nie mogę!

- Zadzwoń.

- Nie. Wychodzę.

Ale nie wyszła. Stała niezdecydowana, coraz bardziej roztrzęsiona.

- Dlaczego wybrałaś mnie? - spytał.

- Słucham?

To znowu było przeciąganie. Powtórzył pytanie.

- Ja wybrałam? - spytała nieprzytomnie, jakby naprawdę nie wiedziała, o czym Kruk mówi.

- Ściągnęłaś na te psychologiczne rozmowy, w których psychologii jak na lekarstwo. Cały czas badałaś, czy możesz mi zaufać...

- O czym ty mówisz?

- Chcę zobaczyć twoje nogi, Monika.

Przytrzymała się szafy, żeby nie upaść. Potem wróciła za biurko, usiadła, sięgnęła po telefon. Wybrała numer i swobodnym głosem wytłumaczyła, że ma nagły przypadek i muszą przełożyć pogadankę. Osoba, z którą rozmawiała, najpierw wyraziła oburzenie, potem zrozumienie i chciała od razu umówić nowy termin, ale Monika się rozłączyła.

Ta chwila normalnej rozmowy zupełnie ją wykończyła. Telefon wysliznął się z jej dłoni na biurko. Siedzieli w ciszy.

- Chcę zobaczyć twoje nogi.

Wstała. Wyszła z za biurka i zaczęła rozpinać guziki spodni.

- Monika... - powiedział Kruk.

Ściągnęła spodnie do kolan, wyprostowała się. Zamknęła oczy. Stała tak, a Kruk znieruchomiał zdjęty zgrozą.

- Dlaczego nic z tym nie robisz? - warknął nagle wściekły. - Pracujesz w policji.

- Nie wiem - wyszeptała. - To nie takie proste.

Było coś przeraźliwie bezbronnego w jej postaci. Drżała. Kruk przeraził się, że ktoś przypadkiem wejdzie do gabinetu i ją taką zobaczy. Na wpół rozebraną, z nogami sinymi jak u trupa przy długotrwałym rozkładzie.

Podszedł. Pomógł jej się ubrać. Posadził na krześle.

- Znasz mechanizm takiej relacji - powiedział. - Wiesz, co należy zrobić. A zachowujesz się jak zaszczuta dziewczyna ze skrajnej

patologii.

- To nie takie proste - powtórzyła.

- Nic nie jest proste. Czasem podnieść się z łóżka to wyczyn godny medalu. Ale nie można tak żyć.

Rozpłakała się.

- Musiałam natychmiast zakończyć nasze spotkania, kazał mi. Jest o ciebie straszliwie zazdrosny, uważa, że jesteś od niego lepszy, przystojniejszy, inteligentniejszy. Nie rozumie, że nic nas nie łączy, myśli, że gdy cię lepiej poznam, natychmiast odejdę z tobą i zostawię go samego. Dlatego zawsze przychodzi, gdy kończymy spotkania. Wściekł się, że przyszedłam dla ciebie w sobotę. Przygląda ci się, jak wychodzisz... Uważa, że się we mnie kochasz. Karze mnie za to... Bije mnie po każdym naszym spotkaniu. Gwałci...

Kruk przerwał jej szybkim gestem. Drgnęła i zrozumiał, że musi unikać gwałtowności.

- Jak to możliwe? Wyglądacie razem na szczęśliwych. Słyszałem, jak na niego pokrzykujesz.

- Nauczył mnie, jak udawać przy ludziach. Cały czas ćwiczymy, co mam powiedzieć, jaki gest wykonać, kiedy się roześmiać i jak ma to zabrzmieć.

- Nie wierzę. Takich rzeczy nie da się wyćwiczyć.

- Da się, jeśli ćwiczysz bez końca i jedyną twoją nadzieją jest zrobić to w końcu tak, jak on chce.

Podniosła zapłakaną twarz. Miała szeroko otwarte oczy.

- Nie bał się zostawiać śladów?

- Zostawiał je specjalnie. Żebym wstydziła się rozebrać przed innym mężczyzną, żebym go nie zdradziła.

- Zrobimy obdukcję, potem...

- Ma układy. Przysiągł, że nikt z policji ani prokuratury nie wystąpi przeciw niemu. A jeśli znajdę kogoś, kto się odważy, będzie skończony.

Kruk nie mógł się nie roześmiać. To był gorzki śmiech.

- A ty wybrałaś mnie?

- Bo myślałam...

Urwała, uciekła wzrokiem. Kruk zastanowił się, co z nim jest nie tak. Czemu zdarzają mu się takie rzeczy.

- Co myślałaś, Monika?

- Bo jesteś człowiekiem... który... który... Obserwowałam cię, słyszałam, jakie masz podejście. Pomyślałam, że ty możesz mi pomóc.

- Ja.

- Tobie zależy, nie przymkniesz oczu, dlatego że Damian jest policjantem.

- Monika, tyle się o tym wszędzie mówi. To już nie te czasy, żeby tuszować takie rzeczy. Gdybyś po prostu odważyła się o tym powiedzieć...

Wyprostowała się.

- Jesteś naiwny czy udajesz? A ta biedaczka, Kamila Zdrojewska, czy jej uwierzono? Damian oświadczył, że kłamała, i policjant przyjmujący zgłoszenie natychmiast go posłuchał. Jeśli ktoś się nie zawezmie, zamiotą tę sprawę pod dywan, a ze mnie zrobią szaloną. Zniszczą mnie.

- I ja mam się zawziąć?

- Ty nie należysz do układu. Obserwowałam cię. Nie będziesz go kryć.

Kruk poczuł złość, która przyplęnęła nagle, ale nie rozpoznawał jej źródła.

- Tak myślisz? A wiesz, ilu ludzi kryje moje sprawy? Pomyślałaś o tym? Pomyślałaś, co się stanie, jeśli wystąpię przeciw policjantowi i inni przestaną uważać mnie za swojego?

Jej oczy się zwęziły. Nie, o tym nie pomyślała.

Wpatrywała się w niego z wiarą i nadzieją. Nagle dostrzegła wyraz

jego oczu i jej twarz się wykrzywiła.

- O Boże, nie... Proszę, nie mów mu tego, co ci powiedziałam. Niczego od ciebie nie chcę, tylko mu nie mów.

Nie mógł zebrać słów, a ona błędnie to odczytała.

- Proszę - wyszeptała, bo głos wiązał jej w gardle. - Zapomnij o wszystkim. Zapomnij.

Kruk był zły. Na nią, że mu o tym powiedziała, choć sam ją zmusił. Na siebie, że okazał się taki, jaki się okazał. Na tamtego faceta, przez którego wszystko się działo. Złość tylko w nim rosła.

- Nie gadaj bzdur. Skoro tak to wygląda, nie wrócisz do domu.

Pokręciła głową ze znużeniem.

- Co ty opowiadasz?

- Na razie zamieszkasz u mnie.

Uniosła wzrok i wbiła go w niego.

- Zupełnie oszalałeś.

- Chyba że podoba ci się to, co z tobą robi.

- Nie mogę tak nagle... Teraz...

- Czego nie możesz?

- Nie mogę go tak po prostu zostawić.

- Bo co? Macie dzieci? Zostawiłaś obiad na gazie? To zadzwonię i poproszę, żeby wyłączył.

Ręce jej się trzęsły. Całkiem się rozsypała.

- Co ja ze sobą zrobię? I co on zrobi? Jak on sobie poradzi? - Nagle coś sobie uświadomiła. - On mnie zabije.

Wziął jej dłonie w swoje i potrząsnął.

- Uspokój się.

- Ja sobie wszystko przemyślałam. Chciałam cię prosić... musimy zrobić to tak, żeby dowody były bezsporne... chciałam coś zainscenizować, żeby go złapać na gorącym uczynku i żeby nawet jego kontakty w niczym nie mogły mu pomóc...

- Monika, czemu go po prostu nie nagrałaś?

Pokręciła głową z przejęciem.

- To by nie wyszło. On by się domyślił.

- Czyta ci w myślach czy jak?

- Potrafi rozpoznać każde moje kłamstwo, nawet najdrobniejsze.

Ty to zrób. Pomóż mi, błagam!

Kruk miał ochotę dać jej w twarz, żeby wróciła do rzeczywistości. O mało tego nie zrobił.

- Jedziesz do mnie. Pomyślimy, co dalej. Wiesz, co właśnie zrobiłaś?

Nie wiedziała. Bała się zgadywać.

- Właśnie od niego odeszłaś.

Za oknem padało i powietrze przesycił intensywny zapach deszczu. Kruk siedział w ciasnym gabinecie, przy biurku, gdzie akta mieszały się z kobiecymi bibelotami.

Czekał.

Czekał na informację, że Grzegorz Konieczny jest w rękach policji.

I jeszcze czekał na to, że jakaś kobieta z przeszłości przypomni sobie nagle o jego istnieniu, zadzwoni właśnie teraz, a on będzie mógł przyjechać do niej i poczuć ciepło i zapach jej ciała. I że przestanie padać.

Ale tak naprawdę czekał na coś zupełnie innego.

Dochodziła osiemnasta trzydzieści i możliwe, że właśnie się doczekał.

Na korytarzu rozlegały się kroki, Kruk słuchał, czy ich narastający odgłos osiągnie nagle apogeum i potem nie zacznie cichnąć, w miarę jak przechodząca osoba minie gabinet Moniki. Kilka razy już przez to przechodził. Tym razem kroki ucichły pod drzwiami, a drzwi otworzyły się bez pukania.

Stał w nich Damian Paczulski.

Nosił luźny prosty płaszcz, miał mokre od deszczu włosy i błyszczące oczy. Zobaczył Kruka, znieruchomiał, po czym się uśmiechnął. Był to zupełnie pozbawiony wesołości uśmiech. Kruk dostawał groźby od bandziorów, którym zalazł za skórę. Były mniej złowieszcze niż ten uśmiech.

Paczulski rozejrzał się, choć całość pomieszczenia była widoczna na pierwszy rzut oka. Uniósł brwi.

- Gdzie Monika? - zapytał.

Kruk nie odpowiedział od razu. Ale odpowiedział.

- Nie wróci na noc do domu.

- Co się stało?

Paczulski był zaniepokojony. Bardzo zaniepokojony.

- Chciałem ją wyruchać i ściągnąłem jej spodnie. Kurwa, co za ubaw.

Wyprostował się. Nagle niepokój zniknął. Twarz faceta wygładziła się, straciła wszelki wyraz.

Nie powiedział nic, jedynie patrzył.

- Zaprosiłem kumpla do wspólnej zabawy - ciągnął Kruk. - Przypadkiem jest lekarzem i zrobił jej obdukcję. Też miał kupę radochy, czegoś takiego nie widział.

- Co zamierzacie? - Paczulski spojrzał na zegarek, jakby zbierał się do odejścia, a sprawa była mało interesująca i dotyczyła kogoś innego.

- Monika nie będzie już z tobą mieszkać. Zamelinuję ją tam, gdzie jej nie znajdziesz. Masz z tym, chuju, jakiś problem?

Z początku nie zareagował. Potem jego twarz wykrzywiła się na ułamek sekundy w jakimś spazmie, nad którym nie zapanował. Pokręcił głową. W kąciaki ust zabłąkał mu się pobłażliwy uśmiech.

- Tak zdecydowała?

- Właśnie.

- Czy to bardziej twój pomysł?

- Chuj ci do tego. Sprawę załatwisz z samego rana.

- Jaką sprawę załatwię?

- Podanie o zwolnienie.

Rozchylił usta, jakby się dziwił albo potrzebował więcej tlenu.

- Szybki jesteś. No tak, a potem?

- Rozwód, podział majątku, nowe życie dla ciebie w innym mieście. Dobrze byłoby gdzieś daleko. Mogą być, kurwa, Katowice.

Wzrok Paczulskiego stał się zamglony. Facet zakołysał się

nieznacznie.

- A jeśli nie? - wyszeptał. - A co, jeśli nie?

- Domyśl się. Jesteś policjantem.

- Wnieście oskarżenie? Czuję, że jest pomysłowa.

Kruk nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Może tak, może zrobimy coś innego. Nie chcę ci psuć niespodzianki.

Oddech Paczulskiego stał się krótki, urywany.

- Rycerzyk na białym koniku - powiedział wciąż z tym zabłąkanym uśmiechem.

Cofnął się o krok. O drugi. Tym razem uśmiechnął się szeroko i odwrócił. Zniknął za drzwiami.

Nie wypowiedział żadnej groźby.

I to się Krukowi nie spodobało.

Po wyjściu Damiana Paczulskiego zapanowała absolutna cisza. Przez krótką chwilę Kruk poczuł palące pragnienie, aby się schować pod ziemię. Całkowicie odłączyć, wrócić do mieszkania. Rzucić się do łóżka, zasnąć i spać przez kilka dni.

Ale w jego mieszkaniu czekała Monika Paczulska.

A Paczulski nie wykona grzecznie listy zadań, którą otrzymał od Kruka. Nie było co do tego wątpliwości.

Pomyślał o Kamili Zdrojewskiej, która przyszła na policję i odeszła stamtąd, nie otrzymawszy pomocy. Paczulski. Jebana legenda komendy miejskiej.

Monika chciała coś zainscenizować i złapać Paczulskiego na gorącym uczynku. Co to w ogóle za pomysł? Kruk zebrał się bez pośpiechu i zszedł do samochodu. Zanim odjechał sprzed komendy, chwilę obserwował otoczenie.

Jechał dość szybko, płynnie. Mogła zostać u niego kilka dni, ale to złe rozwiązanie. Trzeba było ją gdzieś umieścić, w jakimś bezpiecznym miejscu. Co mu w ogóle strzeliło do głowy, żeby ją do siebie zabierać. Kruk pomyślał z żalem, że może jego życie wyglądałoby inaczej, gdyby nie ulegał impulsom. Może ten jej pomysł z inscenizacją wcale nie był taki najgorszy?

Uliczne światła zmieniły się na żółte, potem czerwone.

Gwałtownie zahamował.

Inscenizacja.

A jeśli Paczulski miał rację? Kamila Zdrojewska jednak kłamała.

U nas wszyscy go słuchają, powiedział Kalicki. Jest jak wyrocznia.

Jeśli Stompur mówił prawdę, że wywiózł ją do stoczni, rozebrał

i zagroził, co jej zrobi, ale przestraszył się własnego czynu i na tym poprzestał? A ona przysłała na policję, aby na niego donieść, ale prawdziwa historia ujęta w słowa, opowiadana zblazowanemu funkcjonariuszowi wydawała się zbyt błaha, więc poczuła presję, by ją udramatyzować i przedstawiła przebieg wydarzeń tak, jakby mąż spełnił groźby, a nie tylko je rzucał? Zaś słuchający tego, wyczulony na kłamstwa kobiet policyjny psychol z miejsca ją wyczuł?

Światła zmieniły się na zielone i Kruk ruszył, ale jechał wolniej.

„Chciałam coś zainscenizować”, brzmiały mu w uszach słowa Moniki Paczulskiej.

No więc jeśli po wizycie na policji Zdrojewska uznała, że aby mąż zapłacił za swoje, nie może być jej słowo przeciw jego słowu. Że musi mieć pewność, że uda się jej go załatwić?

Kruk roześmiał się jak szaleniec, który śmieje się do samego siebie.

Absurd. Marcin miał rację, że on snuje nieprawdopodobne historie.

Ale jego umysł nie przejmował się ani Marcinem, ani w ogóle niczym. Kłótnia, którą słyszy sąsiadka. Pierwsza kłótnia, którą w ogóle słyszy. Pani Zdrojewska-Stompur dba, aby sąsiadka słyszała, i robi wszystko, co może, żeby męża sprowokować. Kusi go i upokarza, niemal gwarantując sobie jego reakcję.

Malewski, umówiony na wieczór ze Stompurem. Plecak z ubraniami Zdrojewskiej, który znalazła Basia. Gdyby Malewski się nie zaćpał i do spotkania z szefem by doszło, czy te rzeczy znalazłyby się w samochodzie Stompura? Radek miał rację. Aby tego dokonać, Malewski rzeczywiście musiałby mieć zapasowe kluczyki do auta Stompura, a dostałby je od Kamili Zdrojewskiej. Po jego niespodziewanej śmierci kluczyki mogłaby znaleźć Basia.

Kruk kilkakrotnie uderzył dłonią w kierownicę.

Wyobraził sobie, jak policja dostaje anonimowy telefon, że

widziano mężczyznę, który włókł kobietę do budynku w starej stoczni. Przyjeżdża patrol. Budynek jest otwarty i wchodzi do środka. Słyszą wołanie o pomoc. W starej stalowej szafie znajdują uwięzioną, nagą kobietę. Kobieta krzyczy, że to mąż ją tam zamknął. Policja jedzie do męża i w jego samochodzie znajduje jej ubrania i buty.

Absurd.

Nie, żaden absurd. Pomyślał, że on by uwierzył tej kobiecie.

Może tak właśnie miało być.

Miało być, ale coś poszło nie tak. Inscenizacja nie przebiegła zgodnie z planem.

Naszły go wątpliwości.

Kruk zjechał na pobocze, włączył światła awaryjne i nie wyłączając silnika, siedział i myślał.

Jeśli to rzeczywiście miała być inscenizacja, Malewski grał w niej kluczową rolę. Pomagał Zdrojewskiej. Nie chciał zrobić jej krzywdy. Krzywdę można było jej zrobić dopiero po jego śmierci.

Kochał ją, a ona też była w nim zakochana. Kochali się oboje tą swoją gównianą miłością. Jerzy Stompur nie dopuszczał myśli że Kamila kogoś ma, że w dodatku kobieta o takich żalach do świata wybrała sobie kogoś tak nieciekawego, ale i tak cała jego opowieść o żonie była opowieścią o jej zakochaniu. Nie chciał w to wierzyć, ale to czuł. I nie mógł tego znieść. Dlatego wywiózł ją nocą do stoczni.

Nasuwał się pewien wniosek.

To tylko hipoteza, powiedział natychmiast do siebie. Hipotezy się weryfikuje. To naciągana wersja śledcza, którą trzeba obalić, żeby zrobić miejsce na inne wersje.

Ale nawet samozatraskujący się zamek szafy pasował. Zdrojewskiej nikt tam nie musiał zamykać, a ona nie musiała tkwić w niej nie wiadomo jak długo. Mogła zamknąć się w szafie sama,

w dowolnej chwili.

Otworzył schowek samochodu, gdzie wciąż leżał zabrany Koniecznemu glock. Jesteś cholernie nieostrożny, Kruk, przemknęło mu przez głowę. Dawno powinieneś pozbyć się tego złomu, a ty tego nie zrobiłeś.

Jesteś celowo nieostrożny, co się może dla ciebie źle skończyć.

W schowku trzymał kilka kompletów lateksowych rękawiczek. Rozpakował jeden i nałożył. Sięgnął po zestaw szmatek do czyszczenia tapicerki, rozłożył pistolet i zaczął starannie go wycierać, element po elemencie.

Czyścił broń, myślał, a niektóre niezrozumiałe do tej pory rzeczy nagle wydały mu się oczywiste. Jeszcze przed chwilą niepowiązane i sprzeczne, zaczynały do siebie pasować.

Nie masz żadnej pewności, pomyślał. Innych rzeczy wciąż nie rozumiał, rekonstrukcja przebiegu wydarzeń, którą układał w głowie, miała kilka białych plam.

W dodatku nie miał dowodów.

Masz wyłącznie podejrzenia, myślał dalej. Kilka słabych podejrzeń opartych na naciąganych przesłankach.

To nic. Nie trzeba dowodów. Obejdzie się bez dowodów.

Ale podejrzenia to za mało. Musisz mieć pewność.

Kiedy skończył, zapakował pistolet do foliowej torebki na dowody. Zdjął rękawiczki, wyjął telefon i wybrał numer.

- Cześć, Sławek - usłyszał w aparacie głos prokurator Marty Krynickiej.

- Mam prośbę. Czy jest jakaś możliwość, żeby szybko sprawdzić, kogo adwokat Brunon Kant reprezentował przed sądem w czerwcu i lipcu dwa tysiące czternastego roku? Potrzebuję nazwisk, właściwości sądów i dat rozpraw.

- Czy to są te miesiące, w których Kamila Zdrojewska-Stompur zniknęła po raz pierwszy?

Krynicka, choć formalnie dostała do prowadzenia tę sprawę, nie ingerowała w przebieg śledztwa. Miała sporo innych postępowań, nie mogła już sobie pozwolić, aby biegać z Krukiem po mieście, tak jak na początku roku, kiedy razem pracowali nad sprawą trupa w worku.

Zdała się całkowicie na komisarza, ale i tak aż za dobrze orientowała się w szczegółach.

- Zgadza się.
- Na kiedy potrzebujesz tej informacji?
- Na dziesięć minut temu.
- Gdyby chodziło o innego adwokata, pewnie bym cię wyśmiała. Ale znam w naszym zabytkowym mieście co najmniej dwóch prokuratorów, którzy uważnie obserwują każde posunięcie Kanta. Jeden, aby nie wchodzić mu w drogę, drugi, aby go w końcu udupić. Kant jest jak jednorożec. Celebryta. Interesuje każdego, a tych dwóch w szczególności. Podzwonię.

Kruk schował torebkę z pistoletem Koniecznego z powrotem do schowka. Musiał jeszcze podjechać na komendę po służbową broń.

Dzwoń, pomyślał.

89

Kruk po cichu wszedł do mieszkania. Myślał, że Monika może spać, i nie chciał jej obudzić. Dziwnie było wracać i wiedzieć, że ktoś jest w domu. To uczucie, od którego zdążył się odzwyczaić.

Nie spała. Skulona siedziała na kanapie, przyciskając do piersi niewielką zieloną poduszkę. Kruk nie wiedział, skąd ją wyjęła.

- Co ja najlepszego zrobiłam? - wyszeptała. - Co ja zrobiłam?
- Jadłaś coś?

Położył na stole torbę z zakupami, choć może trzeba było zamówić coś gorącego z dowozem. Dawno się nikim nie opiekował. Wszedł z wprawy.

- Widziałeś się z nim? - zapytała.
- Tak.
- Co zrobił?
- Był spokojny. Nie zaryzykuje konfrontacji, jest na to za cwany. Przemyśli sprawę i da ci spokój.
- Jak ty fatalnie kłamiesz. Nie znasz go.
- I nie zamierzam poznawać. Będę go trzymał z daleka. Od siebie, a zwłaszcza od ciebie.

Na twarzy miała wyraz udręczenia.

- Co mi strzeliło do głowy?
- Monika, nie jestem wielkim psychologiem, ale widzę to tak: żyłaś w koszmarze, tyle że ten koszmar znałaś. Jesteś przerażona, bo zaczyna się coś, czego nie znasz. Po prostu się boisz, że to będzie gorsze. Uwierz mi, nie będzie.
- Może niewłaściwie ci go przedstawiłam. Damian nie jest taki zły.
- Prawie nic mi o nim nie powiedziałaś - warknął. - Ja tylko

zobaczyłem twoje nogi.

Zabrał zakupy do kuchni i zrobił kilka kanapek. Otworzył karton i nalał soku do szklanki. Spojrzał na swoje dokonanie. Może nie było to dzieło sztuki, ale chodziło o to, żeby Monika po prostu coś zjadła.

Zadzwoiła Marta Krynicka. Odebrał w kuchni.

- Znalazłam kolegę, który potykał się z Kantem na sali sądowej w dwa tysiące czternastym roku. Mam odpowiedź na twoje pytanie.

- Tak?

- Rzeczywiście, to ciekawe.

Gdy Kruk odłożył aparat, zaniósł Monice kanapki. Oczy miała zamknięte. Nie spała, ale zrozumiał, że nie chce rozmawiać.

Kruk był zmęczony. Noga pulsowała lekkim, ale irytującym bólem. Było mu wszystko jedno.

Wrócił do kuchni i zadzwonił do Brunona Kanta.

- Witam, komisarzu.

- Potrzebuję pomocy.

- Niech pan zamówi harcerzy.

- Potrzebuję pomocy od pana.

Śmiech dobiegający z głośnika aparatu. Może z końca świata.

- Znowu? Dlaczego znowu miałbym panu pomagać?

- Zrobi pan dobry uczynek.

- Co z tego będę miał?

- Nagrodę w niebie.

- Kiepsko się składa, bo ja chyba nie wierzę w niebo.

A czy ja wierzę? - pomyślał Kruk. Czy człowiek, który chce zrobić to co ja, wierzy w cokolwiek?

- Więc potrzebuję prawnika z piekła. Lepiej, mecenasie Kant?

Zapadła cisza. Po chwili rozległ się ostrożny głos:

- Co konkretnie pan chce, żebym zrobił?

- Za godzinę przed Kryptą. Niech się pan nie rzuca w oczy.

Chwila wahania.

- Za godzinę nie zdążę. Za trzy.

- Spotkamy się przed wejściem - odparł Kruk.

Rozłączył się i natychmiast odebrał połączenie od Marcina Zycha.

- Masz kolejnego trupa.

- Kto?

- Jerzy Stompur. Wygląda na samobójstwo.

- W celi?

- Sąd nie wyraził zgody na tymczasowe. Trzeba było go wypuścić.

Kruk poczuł obezwładniające zniechęcenie.

- Kurwa, miał siedzieć na dołku. Miał być pod naszym nadzorem, nawet gdy siadał na kiblu. Przecież po to go zamknąłem.

Zapadła cisza.

- Wysłałem za nim człowieka - powiedział cicho Marcin. - To on go znalazł.

- Jak się zabił?

- Zatrucie spalinami, zabrał się za to od razu po powrocie do domu. Garaż, samochód, przewód z rury wydechowej do wnętrza auta. Na pierwszy rzut oka brak udziału osób trzecich.

- Musimy mieć pewność.

- Sądzisz, że ktoś mógł go zabić?

- Nie. Sądzę, że miał dosyć. Ale i tak musimy mieć pewność.

- Prokurator będzie za godzinę, technicy powiadomieni. Zbieraj dupę i jedź.

- Nie mogę.

- Zabieraj się za robotę.

- Nie mogę. Wyślij kogoś innego.

- Co za sprawa...

- Na razie, Marcin.

Kruk stał w kuchni przez kilka minut. Potem dowlóknął się do pokoju. Zgasił górne światło, zostawił tylko lampę. Usiadł w fotelu.

Monika wciąż nie otwierała oczu. Kanapki stały nietknięte.

Kruk spojrział na zegarek. Miał jeszcze czas.

90

Budynek, w którym mieściła się Krypta, stał brzydki i opuszczony. Kruk zdarł policyjne taśmy i otworzył zamek kluczem, który zabrał technikom.

Kant wysiadł z małego peugeota, którym tu przyjechał. Kiedy chciał, potrafił nie rzucać się w oczy. O ile nikt nie spojrzał, kto siedzi za kierownicą. Miał na sobie ten letni biały garnitur i lekką apaszkę zawiązaną pod szyją.

Przyglądał się nazwie lokalu wypisanej sprayem na ścianie.

- Adekwatna nazwa - powiedział.

W środku Kruk puścił go przodem. Zamknął drzwi na klucz. Przeszli do głównej sali. W pierwszym odruchu zapalił wszystkie światła, które zaczęły płonąć na kolorowo. Wyłączył niektóre, labirynt ścianek i palet skrył się w pełnym cieniu krwawym półmroku.

Adwokat rozglądał się, a Kruk wpatrywał się w jego poruszające się plecy.

- Bestia najgorsza zna nieco litości - rzekł Kruk.

Plecy znieruchomiały.

- Ja jej nie znam - rozległ się głos Kanta - więc nie jestem bestią. - Odwrócił się do komisarza. Oczy miał nieprzeniknione. - *Ryszard Trzeci*. Pan zna Szekspira.

- Tak jak Malewski. Czy Malewski może jednak nie?

Oczy Kanta wciąż pozostawały nieprzeniknione.

- Zdaniem szwagra Malewski był tłupek i nie interesował się sztuką. - Kruk zrobił krok w stronę adwokata, który postąpił krok w tył. - Czy cytowałby prawnikowi, który przyszedł go zastraszyć, wielką literaturę? Wiele razy usiłowałem sobie wyobrazić tę scenę.

- Ciekawe.

Kruk wzruszył ramionami.

- Ciekawe jest coś innego. Że pan tu jest.

- Chyba kupił mnie pan tym kazaniem: dobry uczynek i tak dalej.

- Właśnie o to chodzi. Że taki wyrachowany skurwysyn jak pan robi dobry uczynek za darmo.

Adwokat lekko drgnął. Tylko jego twarz pozostała nieruchoma. Także ta jej część, która czasem wyrażała emocje.

- Więc w niebie nie czeka mnie nagroda?

- Ścierwo pańskiego pokroju nie wzbije się tak wysoko.

Kant przymrużył oczy.

- Obrzucano mnie gorszymi obelgami, komisarzy Kruk. A ja bywam pamiętliwy.

- Już raz mi pan pomógł. Musi pan pomóc mi drugi raz.

- Skoro tak ładnie pan prosi...

- Wiem, kto zabił ich wszystkich, ale nie mam dowodów.

- Pan nigdy nie ma dowodów.

- Niech pan mi je da.

Kant powoli unióśł dłoń i przygładził apaszkę.

- Jak?

- Chcę panu coś pokazać.

Kruk sięgnął pod marynarkę. Zaciekawiony Kant nachylił głowę, a Kruk namacał kaburę pod pachą, jego dłoń zacisnęła się na chwycie broni i trzasnęła nim z boku w szczękę prawnika.

Kant runął na posadzkę.

Jeszcze nie rozumiał, co się stało, gdy Kruk stanął nad nim, pochylił się, rozwiązał apaszkę, zdarł ją, odgarnął mu brodę z szyi.

Trzy krwawe ślady, tylko częściowo wygojone, biegły po skosie wzdłuż szyi.

- Basia Malewska miała ostre paznokcie, co, świrze? - Przeszukał adwokata, zabrał mu komórkę, wyprostował się. Odłączył baterię

telefonu, rzucił wszystko na bok.

Kant usiłował się dźwignąć. Uniósł wzrok, w którym było wszystko prócz zaskoczenia.

- Basia... - powiedział. - Wciąż intymnie.

Stanął na chwiejne nogi, nadal był ogłuszony. Z kącika ust ściekała smużka krwistej śliny. Starł ją wierzchem dłoni.

- Czym mogę służyć?

- Niech pan opowie, jak było.

- Opowiem, jak będzie. Jak zacznę cię niszczyć.

Lewą pięścią Kruk wyprowadził cios w brzuch. Kant zgiął się wpół, więc dostał w twarz kolanem, chrupnął łamany nos, i to go wyprostowało. Zapach drogich perfum otaczał adwokata niewidoczną mgiełką, Kruk miał go w nozdrzach, gdy uderzał chwytem broni w skroń prawnika.

Kant znowu zwałił się na posadzkę. Leżał, wywracając oczami, jakby stracił orientację, gdzie jest. Poruszył się. Charcząc i plując, ciężko walcząc o oddech, usiłował odpełznąć od Kruka.

Komisarz szedł za nim. Trwało wieki, zanim Kant dotarł do najbliższej ścianki pomalowanej w kolory ognia. Oparł się o nią. Dyszał, oddychając przez usta, łykając krew spływającą ze złamanego nosa do gardła.

Nagle podniósł twarz. Coś się w niej zmieniło. Kruk miał wrażenie, że patrzy na innego człowieka.

- Twoje metody śledcze - rzekł Kant. - Gdzie tego uczą?

- Basia Malewska. Dlaczego zginęła?

Kant przetarł dłonią twarz. Było zniecierpliwienie w tym geście. Popatrzył na krew i powiedział:

- Jak się domyśliłeś? Przez ten głupi cytat?

- Nie da się uciec od siebie samego, co?

Kant powiódł wzrokiem po lokalu. Zatrzymał spojrzenie na wygasłym barze.

- Przysłałem ją tu pewnej nocy ubraną jak Kamila. Godziła się być Kamilą, no to skończyła podobnie.

Kruk zaniepokoił się. Nie tym, co Kant mówił, ale że w ogóle mówił. Adwokat nie był głupcem ani szczerym bratem łąką, który chętnie sam siebie pogrąży.

Ale on kontynuował:

- Lubiłem to miejsce, gdy mnie tu jeszcze nie znali. Popijałem drinka, mając świadomość, za którą ze ścian...

- Świrze.

- Powtarzasz się. - Kant dotknął dłonią nosa, roztarł krew w palcach. - Średniowiecze. Nie wiem, czemu ci na to pozwalam.

Krukowi przemknęło przez głowę, że to kłamstwo. Kant świetnie wiedział, dlaczego robił to, co robił. Może w pobliżu krążył Bolo, ochroniarz Kanta. Kruk wziął to pod uwagę. Drzwi Krypty 66 były zamknięte, miał je w zasięgu wzroku, a zanim będzie zmuszony wyjść, wezwie wsparcie.

- Średniowieczne metody - warknął Kruk. - Odcinanie rąk złodziejom. Antoni Łozowski rozwodził się nad tym podczas wtargnięcia do Koniecznego. Komu łebki mogły o tym opowiedzieć...

- Nie mnie - odparł Kant.

- Nie tobie. Nie od nich wiedziałeś. Dariusz Konieczny zapewniał mnie, że też nie powiedział nikomu. Bo zdradzić coś swojemu adwokatowi, to jak milczeć, prawda?

Kant wzruszył ramionami, jakby Kruk go nudził.

- Co tu robimy? - spytał.

- Chcę mieć pewność.

- Dam ci ją. Co wtedy?

- Tego ranka, kiedy znaleźliśmy zwłoki Basi Malewskiej, coś jej obiecałem.

- A... - Wydawał się podwójnie znudzony. - Że ujmiesz zabójcę? Dam ci pewność, ale nie dam dowodów. Będziesz samotny z tą

wiedzą.

- Dlaczego ją zabiłeś?

- Chciałem, żeby znalazła Kamilę, ale okazała się za głupia. Co innego ty.

Oczy Kanta były puste. Częściowo sparaliżowane usta wykrzywiały się w parodii uśmiechu.

- Twoja twarz - powiedział Kruk. - To przez Kamilę?

- Nie wierzysz w historyjkę dla kmiotków?

- O mecenasie bohaterze?

Patrzyli sobie w oczy.

- Młody chłopak połknął kiedyś kilka garści leków psychotropowych - rzekł Kant. - Niestety przeżył.

- Też żałuję.

- A może nie przeżył, tylko umarł i urodził się na nowo z porażeniem twarzy i ze skamieniałym sercem. Nigdy nie chodzę do lekarza, żeby nie odkrył mojej tajemnicy.

- Jakiej? - zaciekawił się Kruk, żeby nie sprawić mu przykrości.

- Że moje serce nie bije. Dlatego - Kant był absolutnie poważny - mów szeptem, jeśli mówisz o miłości, komisarzu.

Momentami było w nim coś teatralnego. Ale to zgasło, gdy Kruk zmusił się, żeby zapytać:

- Tak bardzo ją kochałeś?

- Akurat tyle, że gdy umarła, mój świat stracił sens. Nic mi nie możesz zrobić. Na niczym mi nie zależy.

- Wszyscy są nieustraszeni, dopóki nie kroi się ich na kawałki.

A jak umarła Kamila?

- Błagając mnie o życie.

- Malewski też cię błagał?

- Odszedł szczęśliwy. Naćpany po brzegi.

- Dlaczego się naćpał? Zadanie go przerosło?

- Otóż to, choć nie było trudne. Miał jedynie zostawić Kamilę

w stoczni, podrzucić jej ubrania do samochodu Stompura i wykonać anonimowy telefon na policję.

Spojrzeli sobie w oczy, bo Kruk zrozumiał, że Kant nie zamierza kłamać.

Ale człowiek, który mówi prawdę, bywa przerażający.

- Co znalazłaby policja?

- Pewnie się domyślasz, skoro mnie tu ściągnąłeś. No dobra, pogadajmy. - Kant dźwignął się z posadzki, usiadł przy najbliższym stoliku. Ciężko oparł się o blat. - Malewski ze stoczni, zamiast na spotkanie z szefem, zajechał na Migowską ukoić nerwy. Dziwny facet, kokaina obudziła w nim wyrzuty sumienia. Zadzwoił do mnie, że się wycofuje. Nie robiłem trudności, kazałem mu wrócić na nabrzeże, obiecałem, że wytłumaczę go przed Kamilą. Patrzyłem, jak nadchodzi, ledwo trzymając się na nogach, mój następcą w całej swej wspaniałości, jej pan i kochanek... Dałem mu parę tabletek, żeby się lepiej poczuł. Od dawna je dla niego nosiłem. Jak wiesz, znam się na tabletkach.

Kruk pokręcił głową.

- Chętnie rozmawiasz.

- Współpracuję.

- Dlaczego?

- Żebyś wiedział, do czego jestem zdolny. - W oczach Kanta pojawiły się błyski. - Ta wiedza ci się przyda.

- Do czego?

- Nie teraz - rzekł Kant. - Za wcześniej.

- Chcesz się wypowiedzieć do końca?

- Niech mi spowiednik zaufa.

Niepokój Kruka tylko się wzmagił. Kant nie był głupcem, ale być może Kruk nim był.

- Nie planowałeś ich zabijać? Gdyby Malewski się nie wycofał, oboje by żyli?

Kant zmarszczył czoło, jakby Kruk zadał znaczące pytanie.

- Mam zdolność dopasowywania się do sytuacji - powiedział. - Plan był, by najpierw pozbyć się Jerzego Stompura. - Jego głos był beznamiętny. - Kamila cierpiała na klaustrofobię, ale gotowa była sama zamknąć się w ciasnej szafie, tak bardzo chciała ukarać męża. Gdy podjechałem pod budynek samochodem Malewskiego, wzięła odgłos silnika za policyjny radiowóz. Zatrzasnęła się i zaczęła wzywać pomocy. Uwierz mi, ten pierwszy krzyk brzmiał jak szept w porównaniu z tym, co się działo, gdy zacząłem uszczelniać szafę.

Kruk patrzył na faceta i myślał o tym, kim trzeba być, aby być zdolnym do takich rzeczy.

- Kiedyś - rzekł Kant - bardzo dawno temu, odtrąciła mnie. Uważała, że za bardzo żyję wymyślonymi historiami, że życie to nie teatr. Ale lata później z radością przyjęła pomysł czysto teatralnej inscenizacji. Bo życie to jednak teatr, cały czas gramy, a ja wyreżyserowałem dla niej końcówkę.

- Czemu to wszystko? - spytał Kruk. - Bo kiedyś cię nie chciała?

- Bo nie chciała mnie teraz. Nawet gdy...

Urwał. Kruk wypatrywał w jego twarzy emocji, ale niczego nie dostrzegł.

- Nawet gdy znalazła sobie kogoś na boku, to znowu nie byłeś ty - dokończył Kruk.

- Wybrała ćpuna, niedojdę, takie nic... I śmiała zwrócić się do mnie, bym pomógł im wsadzić za kraty jej męża.

- Dała ci szansę. Latem dwa tysiące czternastego roku wyjechała z tobą na dwa miesiące. Gdzie pojechaliście, do Francji?

Kant spojrzał na Kruka szybko, a potem powoli odwrócił wzrok. Komisarz wiedział od prokurator Marty Krynckiej, że w okresie, kiedy Zdrojewska zniknęła po raz pierwszy, Kant też zniknął z Gdańska. Nie było z nim kontaktu, nikogo nie reprezentował w sądach.

- Właściwie cię oceniłem - powiedział Kant i to zabrzmiało jak groźba.

Kruk patrzył na niego, na ten biały garnitur, wielki zegarek. Pomyślał o wielkim jaguarze parkującym przed ogromnym domem, i o celebryckiej sławie otaczającej adwokata. Zdobył to wszystko i przyjechał do Gdańska za nią.

Pieprzony Wielki Gatsby.

- Pewnego dnia po prostu przyszła do mnie i powiedziała, że chce wyjechać. Spodobało mi się, że nie miała nawet walizki. Przyszła, jak stała, gotowa wyruszyć gdziekolwiek.

- Też byłeś na to gotowy?

- Rzuciłem wszystko jednego dnia. To był dla niej cudowny czas. Dymałem ją całymi dniami. Siedzieliśmy w hotelu w Paryżu, ale nie wychodziliśmy z łóżka. Dymałem ją jak mistrz świata. Dymałem bez przerwy i na okrągło.

- Zrozumiałem. Dymałeś ją.

- Nikt nigdy nie robił jej tak dobrze.

- Dymałeś ją jak mistrz świata. Tak ci opowiadała. Po czym wróciła do męża.

Gdy Kant odezwał się znowu, głos miał zmieniony.

- Nie wiedziała, czego chce. Nie potrafiła cieszyć się Paryżem, miłością, nawet pieniędzmi. W gruncie rzeczy była zimna. Wróciła do męża, a ten głupiec ją przyjął, zamiast wyrzucić na zbity pysk.

- Dostał za swoje. Dziś się zabił.

Na Kancie ta informacja nie zrobiła wrażenia.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Żałosny facet, całkiem go zniszczyła, chyba ostatecznie pozwoliłbym mu żyć.

- To bardzo ładnie z twojej strony.

- Policja uznała, że Malewski przedawkował. Ciało Kamili nie znaleziono. Żyłem sobie spokojnie w zadziwieniu, że można zabić dwójkę ludzi, a nikt nie zwróci na to uwagi.

- Takie odkrycie rozzuchwala.
 - Irytuje. Ona była warta, by odnotować jej śmierć. Aby winni zostali ukarani.
 - Winni czyli kto?
 - Naćpany Malewski zostawił w gabinecie ubrania Kamili. Leon Stompur z kolegami zamurował matkę w ścianie. Sposób śmierci prowadził do jej męża. Tylu podejrzanych, a nie działa się nic, bo leniwa policja nie wiedziała, że Kamila nie żyła.
 - Co zrobił ci jej syn?
 - Był jej synem, nie moim. To wystarczająca obelga.
 - Świrze, zabiłeś Leona cudzymi rękami.
- Cała twarz Kanta była teraz nieruchoma jak maska.
- Może i jestem świrem. Tak jak i ty. Bo gdybyś nie był, po co byś mnie tu ścigał? A gdybym ja nie był, po co bym tu przychodził z tobą gadać?

91

Podinspektor Damian Paczulski z trudem znalazł miejsce do zaparkowania przed wielkim falowcem na Obrońców Wybrzeża. Wsiadł z samochodu i zapalił papierosa.

Dochodziła pierwsza trzydzieści, przez półotwarte okno jakiegoś mieszkania dochodziły go pijackie okrzyki i muzyka ustawiona zdecydowanie za głośno.

Zakłócanie spokoju, pomyślał. Jednak zamiast tam spojrzeć, odliczył kondygnacje i zaczął wpatrywać się w okna na siódmym piętrze jednej z klatek schodowych leżących po stronie bliższej nadmorskiego parku i plaży. Zastanawiał się, które okna należą do mieszkania Kruka.

Nie zdążył wypalić papierosa w całości, gdy nadjechał czarny ford i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Mieli na sobie czarne skórzane kurtki, byli silnie zbudowani, ogoleni na łyso.

Stanęli obok Paczulskiego, zadarli głowy na tyle, na ile pozwalały im masywne karki, i też gapili się na falowiec. W milczeniu czekali, aż podinspektor skończy palić.

Potem wszyscy razem ruszyli w stronę wskazanych przez niego drzwi jednej z klatek schodowych. Tam Paczulski wcisnął przycisk domofonu i słuchali cichego brzęczenia.

- Tak? - dobiegł ich stłumiony kobiecy głos.

- To ja.

Głośniejszy brzęczyk obwieścił, że drzwi zostały zdalnie otwarte. Weszli na klatkę i przywołali windę. Czekali, aż zjedzie, wladowali się do środka i wybrali numer piętra.

Siódme.

Winda ruszyła w górę.

Kant spokojnie patrzył na komisarza wzrokiem, który nic nie wyrażał.

Z całego tego gadania Kruk zrozumiał jedno: Kant nie był z kamienia, niezależnie od tego, jak bardzo chciał przekonać do tego Kruka. Gdyby zależało mu, żeby po prostu ujawnić miejsce, gdzie były zwłoki, wystarczyłby odpowiednio sprytny anonim na policję. I może taki anonim zostałby wysłany, ale najpierw Kant chciał mieć pewność, że po znalezieniu ciała policja będzie wiedziała, jaką wersję wydarzeń przyjąć.

Jego wizyta na komendzie miejskiej była próbą podsunięcia policji dowodów. Kantowi nie chodziło o narkotyki, ale żeby znaleziono rzeczy Zdrojewskiej u Malewskiego, aby skojarzono go z jej zniknięciem, a po odkryciu zwłok, tamtemu przypisano sprawstwo.

Bał się. Zabił i bał się, że zostanie odkryty.

Ludzka rzecz.

Chciał wszystko ujawnić w kontrolowanych warunkach. Ujawnić, kierując podejrzenia na martwego człowieka i przez to doprowadzić do umorzenia śledztwa. Może i miał rację. Może zdawał sobie sprawę, że knajpa Łozowskiego nie będzie miała długiego życia. Nie z takim menedżerem. Wkrótce pewnie przejąłby ją ktoś inny, kto może by chciał usunąć część ścianek działowych. Może i tę, za którą leżały zwłoki.

Ale komendant pogonił Kanta i to nie policja weszła w posiadanie dowodów, tylko Barbara Malewska.

Nie spławił jej, jak skłamał Krukowi. Nigdy by tego nie zrobił.

- Dlaczego Basia godziła się być Kamilą?

- Ty znowu o niej? Dziewczyna była bez znaczenia, jak nagroda pocieszenia.

Kant przyznał wcześniej, że to on przysłał ją do Krypty ubraną w rzeczy Kamili. Zych i Maszyński nie chcieli uwierzyć, że normalna dziewczyna mogła wpaść na taki pomysł, żeby zwrócić uwagę chłopaka.

Mogła, jeśli jej mózg nakręcał psychol, któremu ufała.

- Szukała prawdy o ojcu. Chciałeś podsunąć jej swoją prawdę?

- Młode kobiety są naiwne, można im wszystko wmówić.

- Co jej wmówiłeś?

- Tylko to, co sama podejrzewała. Że jej ojciec skrzywdził kobietę. Chciałem, by mogła zobaczyć tę prawdę na własne oczy. Podsuwałem jej wskazówki. Malewski miał w gabinecie stos próbnych wydruków Krypty. Razem je analizowaliśmy. Zainteresowałem ją, czemu tam pracował, czy może coś tam ukrywał... Była tępa. Zanim cokolwiek skojarzyła, rozwścieczyła chłopaków i Konieczny zabił jednego z nich.

Bo młodzi mężczyźni z Krypty też się bali, pomyślał Kruk. Chronili swoje tajemnice, a Basia, idąc za wskazówkami Kanta, zbyt się do nich zbliżyła. Próbowali ją zastraszyć, co się dla nich tragicznie skończyło.

Komórka Kruka piknęła. Przyszedł SMS.

Kant spojrział na zegarek. Odetchnął ciężko.

- Tyle cierpienia... bo kobieta cię odrzuciła - powiedział Kruk. - Może Dariusz Konieczny ciebie też zabije.

- Chcesz go wypuścić? Zabił człowieka w obronie własnej, choć nie wiem, czy nacisnąłby spust, gdyby nie był pijany. A i tak go za to posadzili. - Uśmiechnął się. - Posadzili go, wydostałem go, teraz ty go posadziłeś... i niech już tak zostanie. Tak będzie lepiej dla niego.

- Uśmiech przeszedł w śmiech, gdy zobaczył wyraz twarzy Kruka. - Naprawdę niebezpieczny jest braciszek chirurg. Specjalista od

skalpela i broni, z poczuciem winy wobec rodziny, który pragnie odkupienia i nie upiera się, że musi żyć wiecznie. Zrozumiałem, jak z nim jest, gdy sprzedał mieszkanie, żeby opłacić moje zaporowe honorarium.

- Dlaczego zabiłeś Basię?

Kant zignorował pytanie.

- Nie przejmuj się. Grzegorz Konieczny jest w tej chwili u siostry. Wpadł z wizytą, a wyście go nie zauważyli. I od razu do mnie zadzwonił z telefonu, o których nie wiecie, na telefon, którego nie podsłuchujecie. Krwawi i potrzebuje pomocy. Jeśli się pośpieszycie, zdążycie go tam zdjąć. A jeśli nie, zapraszam do mnie.

- Do ciebie - powiedział Kruk jak echo.

- Nad ranem spróbuje opuścić mieszkanie siostry, a Bolo zgarnie go gdzieś na mieście. Obiecałem mu pomoc medyczną, ale przekażę go w ręce policji. Mogę wystawić go tobie osobiście. Zostaniesz bohaterem.

- Dlaczego ją zabiłeś?

- Chyba zaczęła coś podejrzewać. Nie mogłem ryzykować.

- Jak się domyśliła?

- Jakoś. Wszystko trzeba ci tłumaczyć. O wszystkim gadać.

- Czemu w ogóle gadasz?

- Zabezpieczam się.

- Gadając?

- I tak wiesz albo dowiesz się za chwilę. Słyszałem twoją rozmowę telefoniczną z naczelnikiem. Węszysz w Warszawie. Pewnie dowiesz się o zbiorce pieniędzy na ucznia młodszej klasy liceum, w której Kamila demonstracyjnie nie uczestniczyła. Nauczyciele byli zgorszeni, ale ja ją rozumiałem. Znała prawdę i uważała, że sam sobie jestem winien.

- Wypadek?

- Tak przedstawili to moi rodzice. Wstydzili się mojej próby

samobójczej. Nie wróciliśmy już do Warszawy, zamieszkaliśmy w Krakowie, gdzie studiowałem prawo. Zmieniłem potem nazwisko, aby odciąć się od przeszłości, ale imię też mam specyficzne. Gdybyś się dowiedział, że wypadkowi uległ pewien Brunon, pewnie drążyłbyś do skutku. Za to teraz, gdy ciekawość zaspokojona, możesz zamknąć sprawę.

- Bo to przecież chodzi o ciekawość.

Kant podniósł się znad stolika.

- Masz zamknąć śledztwo. Malewski zabił Kamilę. Młody Stompur udusił młodą Malewską. Dlaczego to zrobił, jest mi wszystko jedno. Sam zdecydujesz.

Kruk pokiwał głową ze zrozumieniem.

- A jeśli nie?

- Powodzenia w sądzie. Nie, przecież nie dojdzie do rozprawy, prokuratura cię pogoni.

Kant znowu błysnął uśmiechem. Kruk nie wytrzymał. Trzasnął go pięścią w zęby. Adwokat upadł i leżał na posadzce. Lekko uniósł głowę. Zęby miał zadziwiająco mocne, wciąż wszystkie i białe, tylko spływała po nich krew z rozbitych ust.

- Bezradność boli. Zastanawiam się, czy masz dyktafon.

Kruk wyciągnął urządzenie z kieszeni. Adwokat pokręcił głową.

- Twój as w rękawie? - spytał niemal ze smutkiem. - Żałosne. Może nagramy coś jeszcze? Nie wyłączaj.

Z wysiłkiem usiadł i pochylił się, opierając ręce na udach. Nie patrzył na komisarza, gdy mówił:

- Wyśmiałem cię, gdy powiedziałaś o Malewskiej: Basia. A przecież też tak do niej mówiłem, gdy ją posuwałem.

Kruk lekko przymknął oczy. Bardzo lekko.

- Miała poczucie winy. Przez nią ukochany wujek trafił za kraty. Chciała opowiedzieć rodzinie i w sądzie o swoim małym śledztwie, o znajomości ze mną, pokazać rzeczy, które znalazła. Wybiłem jej to

z głowy. Nie chciałem, by pogorszyła sprawę, bo rzeczy znalazła w domu wuja oskarżonego już o jedno zabójstwo. Prokuratura w tej sytuacji mogła przyklepać mu dodatkowy zarzut.

- Dbałeś o nią - powiedział cicho Kruk.

- Tak rozpoczął się drugi etap naszej znajomości. Jej rodzina nie życzyła sobie moich usług, więc zadbałem, by Malewska skompromitowała się w sądzie. Wszyscy szli na dno i potrzebowali mojej łaski.

Kant wciąż siedział na posadzce, ale poniósł wzrok i uśmiechnął się połową twarzy.

- Regularnie odwiedzałem ją w domu na Migowskiej, gdzie kazałem jej zamieszkać, żeby mieć ją pod ręką. Zaręczam ci, że się ze mną nie nudziła.

Kruk mocniej przymknął oczy. W kieszeni kurtki czuł ciężar broni zabranej Dariuszowi Koniecznemu. Ta broń zaczynała do niego mówić.

- W Basi było mnóstwo czułości - rzekł Kant. - Zupełnie inaczej niż w Kamili. Kazałem jej ubierać się w te ubrania Kamili. Uczyłem ją, jak zachowywać się jak Kamila. Miałem Kamilę, która była młodsza, posłuszna i czuła. - Oczy Kanta zrobiły się płaskie. - Ale wobec mnie tę czułość tylko udawała.

- Gdzie są te rzeczy?

- Zapomnij.

Kruk zaczął zapominać. Nikt nigdy już nie znajdzie tych rzeczy. Były na nich ślady biologiczne Kanta i z pewnością dawno zostały zniszczone.

- Dlaczego musiała umrzeć?

- Umarła, żeby zachować milczenie. Przesadziłem, trzymała się ostatkiem sił. W końcu by coś chlapnęła, matce albo jakiejś przyjaciółce. Podejrzewałem, że odlicza dni do wyjścia wuja z więzienia. Chyba chciała mu powierzyć swe troski.

Kruk wyciągnął z kieszeni lateksowe rękawiczki. Zaczął je wkładać. Nieśpiesznie, palec po palcu.

Kant patrzył uważnie.

- Poruszyłem cię. Taki jesteś delikatny.

Kruk nie odezwał się, zajęty nakładaniem rękawiczek.

- Nie próbuj mnie straszyć - powiedział Kant. - Jesteśmy współnikami w sprawie pewnego nielegalnego wyburzenia. Poza tym ukryłeś nielegalną broń, którą Dariusz Konieczny groził Leonowi Stompurowi. Bardzo szlachetne, ale taka szlachetność uczyniła cię podatnym na naciski.

Kruk rozprostował lateksowe palce. Sięgnął do kieszeni. W dłoni trzymał foliową torebkę z glockiem.

- To właśnie ta broń.

W oczach Kanta błysnęło.

- Użyjesz jej?

Kruk ostrożnie przykucnął, otworzył torebkę i pozwolił, by pistolet wysunął się z niej na podłogę. Ściągnął z rąk rękawiczki. Cofnął się. Krok, potem drugi. Prawą dłoń schował do kieszeni kurtki.

- Ty jej użyjesz.

Kant wpatrywał się w Kruka z ciekawością.

- Ty naprawdę nie masz dowodów - rzekł. - Uspokoileś mnie.

- Weź broń do ręki - powiedział Kruk.

- Nie jest naładowana?

- Ma pełen magazynek.

- Zabezpieczona?

- To glock.

- Czyli tylko podnieść i walić do ciebie?

- Właśnie.

- A jeśli nie?

- Będę prosił długo.

- Moje zwłoki z obrażeniami po biciu wzbudzą wątpliwości

prokuratury. Widzisz, po tym wypadku nie czuję bólu jak inni ludzie.

- Podnieś broń.

- I zastrzelisz mnie w obronie koniecznej ze służbowego gnata? Mam ci to ułatwić?

Przy tym człowieku Kruk czuł się jak głupiec. Przez głowę komisarza przetaczały się myśli ciężkie i nieznośne. Dopadło go poczucie nierzeczywistości. Czasem tak miał. Zaciskał prawą dłoń na pistolecie w kieszeni kurtki, ale nie wiedział, po co ją zaciskał.

- Jawią ci się różne rzeczy - powiedział Kant i dalej był spokojny. Jego spokój przywodził na myśl śmierć.

Ten człowiek jest martwy, pomyślał Kruk. Naciśnięcie spustu nie będzie miało znaczenia.

- Wierzę, że jesteś zdolny do tych rzeczy, komisarzu. Kiedyś już zabiłeś człowieka. Uniewinniono cię, ale z własnej woli przestałeś nosić broń. Dlaczego? I co to dało? Niedawno prawie zatłukłeś innego człowieka gołymi rękami.

Zapadła cisza. W tej ciszy Krukowi zdało się, że słyszy jakiś szum. Odgłos silnika, który zgasł.

Pod Kryptę podjechał samochód.

Kant też to usłyszał.

- Musiałem cię trochę przetrzymać - mruknął.

Kruk wyjął rękę z pistoletem z kieszeni. Nawet to nie zrobiło wrażenia na Kancie.

- Co ci się wydaje? Że strzelisz do mnie, a potem wrócisz do mieszkania i skrwawionymi rękami poprawisz jej pod głową tę zieloną poduszkę?

Krew uciekła Krukowi z twarzy. Ktoś zaczął walić w drzwi wejściowe.

- Dostałeś SMS-a - rzekł Kant. - Obejrzyj go sobie.

Ręką, w której nie trzymał broni, komisarz wyjął komórkę. Kciukiem wbił PIN, miał jedną przychodzącą wiadomość. Otworzył

ją. To nie była wiadomość tekstowa, tylko MMS. Kruk czekał, aż zdjęcie się załaduje.

Wystarczył jeden rzut oka. Zdjęcie przedstawiało Monikę. Leżała na łóżku Kruka. Była naga. Związana. W usta wepchnięto jej ścierkę. Pod głową miała tę zieloną poduszkę, do której się tak tuliła, gdy wychodził z mieszkania.

- Powinienem lada chwila się odezwać do Bola - powiedział Kant.
- Lepiej dla niej, żebym to zrobił.

Kruk nie poruszył się.

- Bolo jest w twoim domu, potwierdził mi, że wszedł, zanim tu weszliśmy. Wpuściła go, bo powiedział, że kazałeś mu jej pilnować. Mówiłem, że młode kobiety uwierzą w byle co.

Walenie w drzwi się nasiliło. Ktoś krzyczał:

- Otwierać, policja!

Kruk zamknął zdjęcie. Jego kciuk nie próżnował. Wybrał numer Maszyńskiego. Radek mieszkał najbliżej.

- Komisarzu - usłyszał cichy głos Kanta, dobiegający z bardzo daleka. - Czy nagadałem się na próżno? Po tym wszystkim, co ci opowiedziałem, masz wątpliwości, co się stanie?

Kruk usłyszał głos Radka w aparacie.

Rozłączył się.

- Czego chcesz? - spytał.

- Twoi koledzy przyjechali. Trzeba im otworzyć.

Kant podniósł się. Obojętnie przeszedł obok leżącej na podłodze broni. Zebrał z podłogi swoją komórkę i podłączył baterię.

- Działa - rzekł. - Gdy uznam, że jestem bezpieczny, dam znak Bolo, żeby się zmywał. Kobiecie nic nie jest i tym razem nic się nie stanie.

Radek oddzwaniał. Kruk odrzucił połączenie.

- Czego chcesz? - powtórzył.

- Powiedziałem już, czego chcę. Zrobisz to. A jeśli coś

przeoczyłem... Jeśli - co nieprawdopodobne - badania próbek krwi coś wykażą, jeśli pojawi się jakikolwiek dowód przeciw mnie, starannie go sprzątniesz.

Kruk czuł strach i wściekłość, te uczucia mieszały mu się w głowie.

- Dyktafon - powiedział Kant.

Kruk oddał mu urządzenie.

- Klucz.

Kant wyszedł za zasłonę i komisarz słyszał, jak otwiera drzwi.

Kruk zabrał broń Koniecznego z podłogi i schował ją do kieszeni. Usłyszał podniesione głosy. Stał z boku w półcieniu rzucanym przez jedną ze ścianek. W jednej ręce, trochę z tyłu, aby nie było go widać, trzymał służbowy pistolet. W drugiej, na widoku, policyjną odznakę.

Blondyn w mundurze odchylił kotarę i pojawił się w polu widzenia Kruka. Był w stopniu sierżanta, wzrok miał czujny i od razu dostrzegł odznakę. Zawiesił wzrok na cofniętej, schowanej przed jego wzrokiem ręce Kruka.

- Dostaliśmy zgłoszenie - powiedział, nie spuszczając z Kruka wzroku.

- Tak?

- Ktoś dzwonił, że widział dwóch ludzi pod tą budą. Jeden groził drugiemu bronią.

- Fałszywy alarm - powiedział Kruk. - Oprócz nas nikogo tu nie ma. Komisarz Kruk z komendy wojewódzkiej.

Za kotarą Kant groził komuś, że się śpieszy, i jeśli nie zostanie wypuszczony, złoży skargę.

- To prawnik - powiedział Kruk. - Czego od niego chcecie?

- Ma rozbitą twarz - powiedział blondyn i wciąż nie spuszczał wzroku z Kruka.

- Zapytaj go, czy chce się poskarżyć, a jak nie, daj mu spokój.

Rozumiesz, sierżancie?

Blondyn nie poruszył się. Wpatrywał się w Kruka.

Jednak się poruszył.

Zniknął za kotarą.

Kant powiedział, że musiał Kruka przetrzymać. Bolo od dawna siedział w domu Kruka. Kruk gorączkowo myślał, na co czekał adwokat.

Tylko na patrol? Kruk bał się, że nie tylko na to.

Radek znowu dzwonił. Tym razem Kruk odebrał.

Kruk wpadł do mieszkania. Maszyński siedział przy stole i palił papierosa. Było gęsto od dymu.

- Gdzie Monika?

Maszyński pokręcił tylko głową. Wydmuchnął dym i stało się jeszcze gęściej.

- Spóźniłeś się?

- Minąłem się z nimi w drzwiach.

- Z kim?

- Z Moniką i jej mężem. Właśnie wychodzili.

- Trzeba było ją zatrzymać.

- Niby jak? Szła z nim z własnej woli. To oficer policji, a było z nim jeszcze dwóch cwaniaków z miejskiej. Podobno to ty ściągnąłeś ją tu i zmusiłeś, żeby została.

- Ona tak powiedziała?

- Paczulski, ona potwierdziła.

- Uwierzyłeś?

- Jeśli tu była, pewnie miałeś swoje powody. Ale zatrzymać ich nie mogłem.

Kruk stał, głęboko oddychał i czuł, jak przelewa się w nim wściekłość.

- Paczulski powiedział, że to nie pierwszy raz.

- Co? - Kruk drgnął. Przez ten dym dopiero teraz dostrzegł upiorną bladość twarzy Radka.

- To nie pierwszy raz, kiedy to zrobiłeś. Był wściekły, mówił, że lecisz na nią nie od dziś. Ściągasz tutaj szantażem, wiążesz, bijesz i zmuszasz do seksu. Pokazał mi jej uda, linę, którą była

przywiązana do łóżka, zanim wyszedłeś z domu.

- Co?

- Miała ślady od tej linki na rękach i nogach.

Kruk nie mógł uwierzyć. Załatwiali go wedle podobnego schematu, jak załatwiony miał zostać Jerzy Stompur.

- Paczulski powiedział, że żona usiłowała mu kilka razy o wszystkim powiedzieć, ale on nie słuchał, bo nie mieściło mu się w głowie, że byłbyś zdolny do takich rzeczy. Przestali ze sobą sypiać, wstydziła się przed nim rozebrać, a on myślał, że po prostu przestała go kochać. Dopiero dzisiaj, kiedy nie mogła już tego wytrzymać, a ty wyszedłeś z domu, uwolniła się z więzów i zadzwoniła po niego. Przyjechał i wreszcie jej uwierzył. Mówił, że wniosą oskarżenie.

- Ten Paczulski to gaduła.

Kruk zwałił się na krzesło, oparł twarz na dłoni.

- Wiem, że to wszystko gówno - powiedział Radek cicho. - Ale nic nie rozumiem. Ich było trzech policjantów pod bronią, i jeszcze ona, też policjantka... Jeśli potwierdzi ich wersję, a nie zaprzeczyła ani razu, będziesz miał kłopoty. Mnie powiedzieli...

- Że wezmą cię na świadka?

- Wiesz, że nie zrobię nic przeciw tobie.

- Jeśli będziesz musiał zeznawać, mów prawdę.

- Powiem, co widziałem, że to oni wszystko ustawili.

- Nie widziałeś tego, bo to nie oni. Paczulski zabrał ze sobą świadków, bo wiedział, że jadą na gotowe. Ją zmuszono, by odegrała przedstawienie, i uwierz mi, była w tym bardzo dobra. Była świetna, bo przeraźliwie się bała.

- Co zrobisz? - spytał Maszyński.

Kruk machnął ręką.

- Dlaczego spierdolili, zamiast ściągnąć prokuratora? - powiedział.

- Dlaczego Paczulski rozgadał się przed tobą?

Maszyński ze smutkiem pokiwał głową.

- Nie wniosą oskarżenia?

Szantażują mnie, przemknęło Krukowi przez głowę. Bolo narobił jej tutaj zdjęć, a Paczulski przedstawi to tak, że to Kruk zrobił zdjęcia, a on tylko wszedł w ich posiadanie. Kant znalazł sposób, aby wymienić z Paczulskim przysługi.

Zobaczył w umyśle twarz Moniki.

No to ci pomogłem, pomyślał.

Kruk zajechał pod blok Iwony Malewskiej i zaparkował obok pozostawionego do pilnowania wejścia radiowozu. Oparty o maskę samochodu stał młody policjant w cywilu. W ożywieniu rozmawiał z kimś przez telefon, pół ulicy mogło go słuchać. Kruk wysiadł z samochodu i miał wrażenie, że dopiero wtedy funkcjonariusz go zauważył.

Natychmiast zakończył rozmowę. Patrzył na Kruka poważnie, ale oczy mu się śmiały.

- Gratuluję - mruknął Kruk, pokazując legitymację.

- Dziękuję, panie komisarzu. - Funkcjonariusz nie mógł powstrzymać radości, która falą wypłynęła mu na twarz. - To dziewczynka. Ma na imię Basia. Rany, jakie to piękne imię.

Kruk pokiwał głową. Nie uśmiechnął się. To otrzeźwiło tamtego.

Kruk popatrzył na blok. Jedni przygotowują się do pogrzebu, inni świętują narodziny. Ten policjant musiał wiedzieć o zabójstwie, ale nie uświadomił sobie nawet, że w tym domu mieszkała niedawno inna Basia. Może zmieniłby imię córce, gdyby to sobie uświadomił.

- Mysz się nie przecisnie, panie komisarzu - powiedział policjant. - On tu nie przyjdzie. Tracimy czas.

- Mysz pewnie nie. Dlaczego jesteś sam?

- Dwie domówki się zdarzyły, mojego sierżanta zwinęła na wsparcie załoga, co tam świeżo do niej dziewczynę przydzielili. Sierżant to kawał chłopca, a wie pan, na domówkach bardziej niebezpiecznie jak na froncie.

- Wiem.

- A ten, co tu na niego czekamy, przecież on tutaj nie przyjdzie. -

Funkcjonariusz szybko oddychał. Myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Za czterdzieści minut ma ktoś mnie zmienić - westchnął. - Rany, jak ja wytrzymam.

W jego spojrzeniu była prośba, ale Kruk udął, że jej nie widzi.

- Iwona Malewska wychodziła?

- Jest w domu.

- Pójdę z nią porozmawiać.

- Tak jest - powiedział policjant.

Kruk ruszył do budynku.

- Pan utyka, panie komisarzu?

Nie odpowiedział.

Gdy znalazł się przy drzwiach, słyszał, jak dzwoni komórka tamtego, a chłopak przyjmuje kolejne gratulacje.

Kruk bił pięścią w drzwi, a dźwięk niósł się po klatce schodowej. W końcu usłyszał klucz w zamku i w powiększającej się szczelinie dostrzegł znużoną twarz kobiety.

- Nie ma go tu - powiedziała. - Sprawdzaliście. Słyszysz pan? Nie ma go.

- Muszę wejść.

- Zostawcie mnie w spokoju.

Usiłowała się przed nim zatrzasnąć, ale Kruk pchnął drzwi, a wraz z nimi kobietę. Wszedł do środka, przełamując jej wąły opór.

- Wynoś się - szepnęła.

Wyminął ją i znalazł się w dużym pokoju. Usiadł przy stole. Jego wzrok objął cały pokój, potem przemknął po widocznym stąd fragmencie przedpokoju i zamkniętych drzwiach do sypialni po drugiej jego stronie. Ozdobne poduszki na sofie były lekko wygniecione, koronkowe serwetki zdjęte ze stołu leżały rzucone na fotelu. Wyczuwał delikatną woń, przyjemnie znajomą.

- Gdzie pani brat?

- W areszcie. Sam pan go wsadził.

- Gdzie ten drugi?

- Nie wiem. I nie powiedziałabym, nawet gdybym wiedziała. Zamordowano mi córkę, a wy ścigacie mojego brata.

Stała w proggu, pałająca nienawiścią, półprzytomna ze strachu.

- Jestem tu, bo pani brat Grzegorz zabił człowieka.

Podeszła do regału i wzięła coś z półki. Była to mała pozytywka z figurką tancerki, która tylko czekała, żeby zatańczyć.

Kruk przyglądał się Iwonie Malewskiej, usiłując zrozumieć, co

robi. Przytknęła porcelanową figurkę do twarzy w absurdalnej próbie przytulenia. Było w tym coś nienaturalnego i Kruk zwiększył czujność, jakby tancerka mogła mieć broń.

- Czego pan chce?

Usiadła, stawiając pozytywkę przed sobą na stole. Dłonie położyła na krawędzi blatu, w pewnym oddaleniu. Zwrócił uwagę, że końcami palców lewej dłoni przytrzymywała rękaw bluzki.

- Porozmawiać z Grzegorzem Koniecznym.

- Porozmawia pan, jak go złapiecie. No, biegnij. Szukaj go, ty... ty...

Miała udręczoną twarz. Gdy wbił w nią wzrok, uciekła swoim, jej oczy strzelały na wszystkie strony, nie potrafiła nad nimi zapanować. Biegały wszędzie, nie zahaczały tylko o jedno...

O drzwi do sypialni.

No to on tam spojrział, ale nic się nie stało. Za to rozpoznał zapach, który się tu unosił. Antyseptyki. Kant i w tym miał rację. Jak widać, gdy chcesz trafić do piekła, szybko znajdziesz bramę.

- Oboje wiemy, że pani brat jest skończony - powiedział Kruk. - Jest ranny, potrzebuje pomocy, ale gdziekolwiek poprosi o pomoc medyczną, zostanie powiadomiona policja. Gdy go znajdziemy, a znajdziemy go prędzej czy później, spędzi w więzieniu długie lata, może resztę życia.

Jej lewa ręka uniosła się do czoła, przesunęła po nim, na moment rękaw lekko się odchylił, ukazując czerwone plamy na przedramieniu.

Rozmazana krew, niedokładnie zmyta, gdy Kruk dobijał się do drzwi.

Zorientowała się, że to zauważył, wzdrygnęła się i już nie szukała palcami końca rękawa. Za to jej dłoń rozpoczęła wędrówkę w kierunku pozytywki.

Zrozumiał, po co ją tu postawiła. Dźwięk pozytywki, gdy się

rozlegnie... Miał wrażenie, że słyszy delikatny szelest za zamkniętymi drzwiami sypialni.

Dłoń Iwony Malewskiej zbliżała się do tancerki niemiłosiernie wolno. Kruk obserwował ten ruch, który zdawał się nie mieć końca. Palce zastygły, nie sięgając celu.

Nie wykonał żadnego gestu. Gapił się tylko i czekał.

Palce poruszyły się w górę i w dół, ale dłoń nie podjęła wędrówki.

Uniósł wzrok i zobaczył przeraźliwie białą twarz Iwony i jej szeroko otwarte oczy.

- Proszę odejść - powiedziała.

- Myślę, że Grzegorz przyjdzie do pani. I wtedy do kogoś zadzwoni, a ten ktoś nas zawiadomi, i gra będzie skończona.

Wciąż siedziała nieruchomo. Potem zmusiła się, by pokręcić głową. Jej usta zaczęły drżeć, układać się w bezgłośnie słowo „błagam”, które nie zostało wypowiedziane na głos.

- Wiem, kto zabił pani córkę - powiedział Kruk.

Potrząsnęła włosami.

- Ten sam człowiek, przez którego Grzegorz zabił człowieka.

- Kto? - spytała.

Kruk zaczął mówić monotonna, jak automat:

- Basia go zadrapała, gdy ją dusił. Facet ma niedowład twarzy, nie poczuł tego, a długa broda zakryła krew. Ale podczas ucieczki dotknął dłonią krwawiącego miejsca i jego pomocnik, bo ma pomocnika, który zrobi wszystko, co każe, zauważył krew na jego ręce. Wrócili na miejsce zdarzenia, aby zatrzeć ślady. Ale to człowiek szalony. Gdy zaczął zacierać ślady, zrobił to tak, aby rzucić podejrzenie na Łozowskiego i Stompura. Przede wszystkim na Leona Stompura. Nienawidził jego matki i zabił ją. Nienawidził jej syna za to, że był jej synem.

Siedziała skamieniała.

- Obawiam się, że nawet wydostanie Dariusza z więzienia było

częścią jego gry. Ale Dariusz już tam wrócił, a Grzegorz trafi tam lada moment. A tamten zrobi wszystko, żeby nigdy nie wyszli z za krat.

Wyszeptała nazwisko, niemal nie poruszając ustami.

- Brunon Kant - powtórzył za nią Kruk.

Jej pierwszym odruchem było zatkać mu usta dłońmi. Zatrzymała ten gest w pół drogi, przestraszona.

- Nie - powiedziała cicho.

- Tak. Bo Kant nie zrobił tego cyrku dla policji. To nie policja miała podejrzewać Leona Stompura.

- Nie - powtórzyła.

- Wrobienie Stompura nie było zaplanowane. Kant wpadł na ten pomysł, gdy usiłował zatrzeć za sobą ślady. Do tego momentu chciał Leona załatwić w inny sposób. Sprowokował Łozowskiego i Stompura do porwania pewnych ludzi, bo chciał udokumentować porwanie, może nawet jakoś to nagrał, żeby zniszczyć Leona. Ale zanim do tego doszło, pani brat Grzegorz odwiedził pewną młodą kobietę, od której dowiedział się, że zabójca ma zadrapania na rękach. Sądzę, że tą wiedzą podzielił się z Kantem. Kant musiał być zachwycony wnioskami tej kobiety. Facet jest elastyczny. Jego aktorzy od razu dostali dodatkowe zlecenie. Jedna z porwanych osób zadrapała Leona. Zrobiła to specjalnie, aby pani bracia całkiem pozbyli się wątpliwości.

Siedziała nieruchoma, wstrząśnięta.

- Dlaczego zabił Basię? - spytała.

- Bo obłąd go napędza, proszę pani. Robił złe rzeczy i nie chciał, żeby Basia o nich opowiedziała. Spotkałem się z nim dzisiaj. Przyznał się.

Jej oczy rozbłysły nadzieją.

- Jest aresztowany?

- Niestety nie. Nie mam dowodów. Ale nie miał oporów, żeby

o tym pogadać, jest bardzo pewny siebie.

- Nie - krzyknęła Iwona Malewska, uniosła się, wyciągnęła rękę, aby jednak zakryć Krukowi usta, ale komisarz odchylił się i usiadła znowu, płacząc. Nie zapanowała nad sobą i otwarcie spojrzała na drzwi sypialni.

Pozostawały zamknięte.

Kruk zamknął się na jej krzyki i rozpacz. Musiał powiedzieć wszystko do końca.

- To Basi robił te złe rzeczy. Przez ostatnie miesiące wykorzystywał ją seksualnie, a ona znosiła to i milczała, bo bała się, że będzie się mścił i całkiem zniszczy waszą rodzinę. Wydawało jej się, że jesteście wszyscy słabi, a ona musi was chronić.

Iwona Malewska głośno płakała i już nie próbowała uciszyć Kruka. Jej ramiona wznosiły się i opadały. Podniosła wzrok, spojrzała na niego z rozpaczą. Znowu go opuściła.

Nagle starła łzy, wyprostowała się. Gdy uniosła powieki, popatrzyła na Kruka wzrokiem osoby, która nie może pogodzić się z tym, co się stało, ale pogodziła się z tym, co ma się stać.

- Jest pan pewien?

- Kant ma na szyi ślady po jej paznokciach - rzekł Kruk trochę za głośno, bo nie mówił do niej. - Zabił Kamilę Zdrojewską-Stompur. Doprowadził do tego, że pani brat zabił Leona Stompura. Kant zabił też pani męża.

- Co pan z tym zrobi? - spytała Iwona Malewska. Jej głos znów stał się cichy, płynął z daleka.

- Nie wiem.

- Nie wie pan?

- Nie mam dowodów, a facet to sądowy oszust. Podjął kroki, aby mnie zniszczyć. Obawiam się, że zniszczy mnie szybciej, niż ja zdążę go choćby drasnąć. Ale - Kruk spojrzał na zamknięte drzwi sypialni - mam całkowitą pewność, że to on.

Patrzyli tam oboje. Na te zamknięte drzwi.

- Nie - powiedziała Iwona Malewska z narastającą rozpaczą. - Nie.

Kruk wstał.

- Niech pani idzie spać. Kant czeka w swoim domu na pani brata, chce go nam wystawić. Rano będzie po wszystkim.

Wciąż potrząsała głową, z jej oczu znowu spływały łzy, tylko twarz pozostawała bez wyrazu.

- Muszę iść. Pod blokiem sterczy samotny policjant. - Kruk spojrział na zegarek w komórce. - Dostanie zmianę najwcześniej za dwadzieścia minut. Zastąpię go na ten czas, zrobię dobry uczynek. Urodziło mu się dziecko.

Zostawił ją półprzytomną, potrząsającą głową, zapłakaną.

Pomyślał, że ta kobieta na zawsze go znienawidzi.

Funkcjonariusz rozmawiał chwilę przez radio, a potem podał Krukowi rękę.

- Zgodzili się. Dziękuję, komisarzu. Za piętnaście minut przyjadą zmiennicy.

- Jedź już - powiedział Kruk.

Wzrok młodego policjanta stał się nieobecny. Niby jeszcze tu stał, ale myślami był już z żoną i dzieckiem.

Odjechał. Kruk wsiadł do swojej toyoty. Chwilę przyglądał się sobie we wstecznym lusterku. Z trudem wytrzymał własne spojrzenie.

Lekko uderzył palcem w lusterko. Wciąż widział swoją twarz i nie mógł tego znieść. Zamiast odwrócić wzrok, uderzył mocno, pięścią. Szkło pękło.

Poczuł ulgę. Przez moment chciał wierzyć, że wtedy, w sypialni dziewczyny, ktoś zobaczył siebie w lustrze i choć przez chwilę też nie mógł tego znieść. Roześmiał się.

To był chory śmiech. Siedział, starając się równo oddychać, myśli chmarami kłębiły się w jego głowie.

Spokojnie, powiedział do siebie. Spokojnie.

Z klatki schodowej wyłoniła się postać w kapturze. Poruszała się powoli, jakby z wysiłkiem. Przez krótką chwilę kaptur zwrócił się w stronę ulicy, zamajaczyła blada twarz i serce Kruka zaczęło walić jak kościelny dzwon. Potem twarz osunęła się w ciemność, postać przyśpieszyła i zniknęła za rogiem.

Kruk usiłował się uspokoić. Wyszedł z samochodu. Miał w kieszeni paczkę z kilkoma wygniecionymi papierosami. Nie palił, ale czasem

to się przydawało.

Zapalił papierosa.

Ręce mu się trzęsły.

Zdusił niedopałek, sięgnął po telefon.

- Jest w mieszkaniu siostry - powiedział, gdy Zych odebrał. -
Dawaj tu wszystkich, których mamy.

Kruk doradzał czekanie, ale zdecydowano inaczej. Dowódca SPAP-u zrobił szybkie rozeznanie i uznano, że można wchodzić od razu. Czarne sylwetki antyterrorystów wnikały jedna po drugiej do bloku.

Kruk został przy swoim samochodzie. Stał tam, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła, walcząc z przeraźliwym zmęczeniem, mając ochotę uciec stamtąd i nigdy nie wrócić na służbę.

Poszedł pod najbliższe drzewo i zwymiotował.

Widział to jedynie Marcin Zych.

Dwadzieścia siedem minut po wezwaniu przez Kruka wsparcia antyterrorystów weszli do mieszkania Iwony Malewskiej. Trzy i pół minuty później Marcin dostał komunikat przez radio, że obiekt nie został znaleziony.

Na pustej i cichej do tej pory nocnej ulicy zaroilo się od policji. Funkcjonariusze wchodzili i wychodzili z bloku. Kruk usłyszał kilka przekleństw rzuconych pod swoim adresem, ale nic go to nie obchodziło. Potem znaleziono bandaż, i jasne się stało, że obiekt rzeczywiście był w mieszkaniu, tylko uciekł.

Wtedy przestali kląć.

Kruk nie wszedł do mieszkania. Stał na chłodnym powietrzu i tylko się gapił. Przyjechał Radek Maszyński, nie wiadomo po co. Poszedł na górę.

Zych podszedł do Kruka. Towarzyszyło mu dwóch umundurowanych policjantów.

- Z żołądkiem lepiej?

- Lepiej.

- Czemu odesłałeś patrolowego? - Zych przyglądał mu się nieufnie.

- Dziecko mu się urodziło.

- Co z tego?

- Ledwo wytrzymał. Pomyślałem, niech jedzie, ja za niego postoję.

Marcin Zych pokiwał ze zrozumieniem głową. Poklepał Kruka po ramieniu. Zwrócił się do towarzyszących mu policjantów:

- Zajmijcie się czymś.

- Czym, panie naczelniku?

- Na przykład zamiećcie ulicę.

Spojrzeli po sobie i odeszli. Zych przybliżył twarz do twarzy Kruka.

- Czemu odesłałeś patrolowego?

- Na co mi on tutaj? Nie zauważył, jak Konieczny dostał się do mieszkania. Był całkiem rozkojarzony.

- Czemu nie zadzwoniłeś do mnie od razu?

- Zadzwoniłem, jak tylko odjechał.

- Jak kto, kurwa, odjechał?

- Mundurowy.

Marcin nie mówił nic dłuższą chwilę.

- Wychodzisz z mieszkania, w którym ukrywa się strzelec pod bronią, odsyłasz obserwatora, dzwonisz do mnie, ale nie od razu. - Twarz Zycha zaczynała nabierać niepokojącej barwy, widocznej nawet przy sztucznym świetle latarni. - Domagasz się całej armii, więc ściągam ludzi, skąd się da. A gdy armia nadciąga, mieszkanie okazuje się puste.

- Był tam. Sam widziałeś.

- A gdzie jest teraz?

- Nie wiem, jak opuścił mieszkanie.

- Ale ja wiem.

Z bloku wyszła Iwona Malewska w asyście dwóch policjantek. Wsiadła do radiowozu, który zawrócił na asfalcie i odjechał.

- Po co ją zabieramy? - spytał Kruk.

- Trochę z nią pogadamy. Ledwo się trzyma na nogach, może uda się z niej coś wyciągnąć.

- To chyba nieetyczne?

W oczach Marcina odbijały się błyski policyjnych świateł.

- Trzeba skłonić ją do zwierzeń, zanim zażąda Kanta.

- Nie zażąda.

Dwóch czarnych minęło ich, idąc do samochodu. Kruk zaczekał, aż się oddalą.

- Brunon Kant zabił jej córkę i męża. Podobnie jak Kamilę Zdrojewską.

Zapadła cisza. Kruk patrzył za plecy Marcina, na pojedynczych gapiów, którzy pojawili się mimo późnej pory. Zawsze jest dobra pora, by gapić się na cudze nieszczęście.

- Więc to tak - wyszeptał Marcin.

Znowu cisza. Kruk oczekiwał pytań, ale Zych powiedział cicho:

- Po twoim telefonie odwołałem ludzi spod domu Kanta. O to ci chodziło?

- To psychol.

- Ty jesteś psychol.

- Zabił tylu ludzi... Ten człowiek nie ma sumienia.

- A ty wyrywasz chwasty?

- Nie, Marcin. Ja niczego nie wyrywam.

Podszedł Radek Maszyński. Stanął z nimi.

- Trzeba tam jechać, wysyłam SPAP - rzekł Marcin.

- Nie - odparł Kruk.

- Co, kurwa, nie?

- Ja pojedę.

Marcin Zych głęboko oddychał. Potem spojrzał Krukowi w oczy.

- Ty?

- Tak będzie lepiej.

Zych skinął na Maszyńskiego.

- Radek, jedziesz ze Sławkiem.

- Gdzie?

- Do domu mecenasa Kanta. Sławek uważa, że Kant jest naszym sprawcą i to Kanta szukamy. Nie będziemy Sławka o to długo wypytywać, bo tak się składa, że Kanta właśnie odwiedza Grzegorz Konieczny.

Maszyński popatrzył na Kruka.

- Skąd wiesz, że Konieczny do niego jedzie?

Kruk milczał.

- Kurwa - powiedział Maszyński.

- Zbierajcie się.

- Pojadę sam - odezwał się Kruk.

- Nie ma mowy - odparł Zych.

- Powinienem jechać sam. Paweł by mnie poparł.

- A co tu do rzeczy ma Paweł?

Coś jednak miał, bo Marcin zastanowił się, po czym powiedział:

- Dobra. Jedź sam. Ale się pośpiesz.

Stali dalej, Kruk się nie ruszył. Dopiero po dłuższej chwili wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu.

- Masz się śpieszyć - powtórzył Marcin.

- Jasne.

Kruk odwrócił się i ruszył do auta. Maszyński bez słowa poszedł za nim i obszedł toyotę z drugiej strony.

- Nie jedziesz, Radek - rzekł Kruk.

Maszyński go nie słuchał. Zajął miejsce w fotelu pasażera, zatrzasnął za sobą drzwi samochodu.

Kruk z Zychem wymienili spojrzenia.

Zanim Kruk siadł za kierownicę, dobiegły go ciche słowa Marcina:

- Jedźcie ostrożnie.

Kruk usiadł za kierownicą. Maszyński twarz miał bladą i nic nie mówił.

Jechali nocnymi ulicami Gdańska w stronę Sopotu, a Kruk dbał, by jechać zgodnie z przepisami. Minęli McDonalda przy Bażyńskiego.

- Jestem głodny - mruknął Kruk i zawrócił.

Maszyński nadal się nie odezwał. Zostawili samochód na parkingu przed restauracją i weszli do środka. Radek nie chciał jeść, szczęki miał zaciśnięte, rysy stężałe. Ale Kruk i tak zamówił mu Big Maca.

Usiedli, Kruk zabrał się za kanapkę z rybą, Radek otworzył pudełko, ale gapił się tylko i nie tknął zawartości.

- Idę się odlać - rzekł Kruk, zostawiając na wpół zjedzonego fishmaca.

Wstał i ruszył w kierunku toalet. Maszyński nawet na niego nie spojrzał, pozostał nieruchomy, głowę miał zwieszoną, przestrzeloną dłoń trzymał na kolanie. Kruk poczuł niechęć do siebie. Pomyślał o żonie Radka, o jego dzieciach. Radek powinien być teraz z nimi, zamiast z Krukiem szukać potępienia.

Nieliczni ludzie siedzieli przy stołach, pochyleni, wpatrzeni w siebie nawzajem albo w noc za lśniącymi, przestrzennymi szybami fast foodu. Wszystko było takie spokojne, zwyczajne.

Kruk minął korytarz prowadzący do toalet i drugim wyjściem wyszedł z restauracji.

Wsiadł do samochodu i odjechał.

Dom Kanta wciąż wyglądał jak biały pałacyk gęsto otoczony drzewami. Z ulicy niewiele było widać, więc Kruk musiał przeskoczyć przez ogrodzenie, aby dostrzec, że w oknach na parterze pali się wątle światło.

Ból w nodze zatrzymał go na chwilę.

Wyciągnął służbowego glocka. Z bronią w ręku cicho podszedł pod drzwi. Nie były zamknięte na klucz.

Kruk wśliznął się do środka.

Nie musiał długo szukać.

Ochroniarz Kanta leżał w holu przy samych drzwiach. Upadł na wznak i tak został, ręce miał rozrzucone, w jednej wciąż ścisnął broń, jakby nie zamierzał rozstawać się z nią nawet po śmierci.

O tym, że nie żyje, świadczyły nieruchome, otwarte oczy. I mały otwór w czole, idealnie pośrodku. Ale martwy czy nie, Kruk nie zamierzał zostawiać mu pistoletu. Łatwo wyjął broń spomiędzy bezwładnych palców, bo stężenie pośmiertne kończyn jeszcze się nie zaczęło. Sprawdził magazynek.

Brakowało jednego naboju.

Kruk schował pistolet do kieszeni kurtki i zrobił duży krok, przechodząc ponad zwłokami. Skierował się do salonu. Na białej futrynie widniały ślady krwawych palców, jakby ktoś o krwawych dłoniach oparł się o nią, przechodząc.

Konieczny dostał, przemknęło Krukowi przez głowę.

W salonie paliła się tylko lampa stojąca. I leżały dwa kolejne ciała. Bliżej zobaczył ciało Grzegorza Koniecznego, częściowo na boku. Kruk natychmiast przykucnął przy nim, przytknął palce do tętnicy

szyjnej, szukając pulsu.

Pulsu nie było.

Przewrócił go na wznak, oczy Koniecznego także były otwarte, na wysokości serca widniała wielka plama krwi. Niżej, bardziej z boku, tam gdzie wcześniej postrzelił go Maszyński, była druga plama. Kruk nie dotknął broni Grzegorza, za to silniej ścisnął swojego glocka.

Podniósł się i podszedł do Kanta.

Adwokat leżał na brzuchu, spod którego wypłynęła czerwona kałuża i można było jedynie zgadywać, gdzie został postrzelony. Kruk nie chciał zgadywać. W przeblysku intuicji zobaczył scenę, która się tu rozegrała. Trafiony przez ochroniarza Grzegorz Konieczny staje w drzwiach salonu, zabandażowaną dłonią wspiera się o ościeżnicę, aby nie upaść, w wyciągniętej dłoni trzyma pistolet, ale już umiera i nie utrzyma go długo. Kant usiłuje się schować, gdy odnajduje go kula.

Kruk patrzył teraz na biały garnitur adwokata, idealnie czarne buty, z których jeden lekko się zsunął. Na przytuloną do podłogi brodą twarz, półotwarte usta, zamknięte powieki...

Te powieki zatrzepotały jak skrzydła owada.

Kant otworzył oczy. Nie całkiem, tylko do połowy. Z ust wydostało się ciche westchnienie. Głowa uniosła się, wzrok adwokata napotkał wzrok Kruka. Głowa znowu opadła, ale oczy były już całkiem otwarte i wpatrywały się w komisarza.

Lewa ręka Kanta powoli przesunęła się, usiłując uchwycić Kruka za nogę. Komisarz zrobił krok w tył. Ręka opadła, ale nie zrezygnowała. Z wysiłkiem pełzła po podłodze jak wytrwały, powolny, olbrzymi robak.

Kruk patrzył na to w milczeniu.

Podszedł do okna, odsunął firanki i zapatrzył się na ogród. Na dworze wiał lekki wiatr, kołysząc gałęziami młodej śliwy. Ogrodowe

latarenki podświetlały rozkwitającą zieleń. Rząd gęstych tui stanowił żywą ścianę, odgradzającą ogród od reszty świata.

Za plecami słyszał westchnienia, ciche charczenie, a w końcu to ucichło.

Znów zwrócił się do salonu. Dłoń Kanta nie pokonała przez ten czas znacznego dystansu, a teraz znieruchomiała zupełnie. Znieruchomiały oczy, szeroko otwarte, jak oczy tamtych dwóch. Kruk wpatrywał się w nie, myśląc o tym, co w tej chwili widzą.

Przeszedł do holu i stanął w otwartych drzwiach domu. Ulica za drzewami była dobrze oświetlona, ale przez ułamek sekundy miał wrażenie, że przed nim rozciąga się nieskończona ciemność, całkowita pustka.

Tę pustkę... tę pustkę może wypełnić... usłyszał echo szeptu dobiegającego z bardzo daleka, ale ten szept zgasł.

Wciąż stał w drzwiach, nie znajdując w sobie odwagi, aby wyjść na zewnątrz.

Z oddali zaczęło dobiegać narastające wycie policyjnych syren.

Kruk zrobił krok przed siebie.

Wyciągnął telefon i zaczął dzwonić.